

RYSZARD ĆWIRLEJ

POLICJA

03003



POCAŁUNEK JUDASZA

NA LEŚNYM PARKINGU
ZNALEZIONO ZWŁOKI DWÓCH MŁODYCH MĘZCZYŹN.
TO BYŁA DOKONANA Z ZIMNĄ KRWIĄ EGZEKUCJA.

RYSZARD
ĆWIRLEJ

POCALUNEK

JUDASZA



MUZA

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Projekt okładki: *Mariusz Banachowicz*

Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja: *Beata Mes*

Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Katarzyna Szajowska, Barbara Milanowska (Lingventa)*

© by Ryszard Ćwirlej

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2024

ISBN 978-83-287-3006-9

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2024

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Spis treści

Prolog
Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział XI
Rozdział X

Prolog

Środa
9 października 1991
Okolice Pniew

Śnieg zaczął padać wieczorem, ale teraz nie było już po nim śladu. Białe połacie zniknęły, gdy nad ranem zrobiło się trochę cieplej i lunął deszcz. Ciepłej nie oznaczało jednak ciepło. Wiał porywisty wiatr, który sprawiał, że ludzie trzęśli się z zimna, a na nieosłoniętych od deszczu karkach od razu pojawiała się gęsia skórka.

W taki jesienny poranek najlepiej leżeć w łóżku i nie wysuwać nosa spod kołdry, pomyślał Kalafior, przenosząc ciężar ciała z lewej nogi na prawą. Niemiłosiernie bolało go lewe kolano i musiał dać mu odrobinę wytchnienia. Trzeba było je oszczędzać, bo kiedyś miał je mocno obite i przestawioną łąkotkę po tym, jak jeden gnojek kopnął go czubkiem buta piłkarskiego, defasonując mu girę i – wtedy jeszcze o tym nie wiedział – kończąc tym kopniakiem jego piłkarską karierę. Bo po operacji kolana Kalafior już do grania w piłkę nie wrócił. Zrobili mu ten zabieg niby fachowo, ale cały czas ta lewa noga była znacznie mniej wytrzymała od prawej. Nic więc dziwnego, że nie za długo dawało się na niej klęczeć. Na szczęście nie klęczał na twardym, tylko na miękkiej leśnej ściółce, więc jakoś dawało się wytrzymać. Najgorsza jednak była świadomość, że nie miał pojęcia, jak długo to potrwa i co tu się w ogóle dzieje.

Jechał passatem skrojonym w Berlinie. Miał dostarczyć auto do warsztatu w Poznaniu. Prócz niego jechało tą samą trasą jego dwóch kumpli. W zasadzie to jeden był kumplem, a drugiego dodano im w ostatniej chwili. Był starszy o jakieś dziesięć lat i wcale do nich nie pasował. Taki trochę zgred, co to sobie chciał dorobić na samochodowej robocie. No ale skoro szefostwo go zaakceptowało, to ani on, ani Kula, czyli ten jego kolega, nie mieli nic do powiedzenia. Byli przecież tylko od roboty. Jechali pociągiem do Berlina, potem metrem pod wskazany adres. Tam stały już przygotowane fury, do których wsiadali i nikogo o nic nie pytając, wracali do Polski. Robota czysta i przyjemna. A za każdą sprowadzaną bryczkę ich szef płacił po dwieście marek na rękę. Życie nie umierać.

No więc umówili się na tym parkingu niedaleko Świecka, że się tu spotkają, jakby się zgubili. On i Kula się umówili, a ten gość, który przedstawił im się jako Maras, powiedział, że się też zatrzyma. Kalafior nie miał nic przeciwko. W końcu jechali razem tym samym kursem, dla tego samego pracodawcy, więc byli niejako kumplami z pracy.

Kula zajechał swoim białym oplem kadetem pierwszy. Kilka minut później na tym leśnym parkingu byli już wszyscy trzej. Zdażyli tylko zapalić po papierosie i wypić trochę kawy z termosu, gdy pojawiło się kolejne auto. Zielony volkswagen transporter na niemieckich blachach zatrzymał się przy połamanej drewnianej ławce, tuż przy wypełnionym do granic możliwości śmietniku, którego zawartość rozsypała się po całym parkingu. Z auta wysiadło czterech mężczyzn. Kalafior obrzucił ich niechętnym spojrzeniem, ale nie miał nic przeciwko temu, żeby obcy też skorzystali z ich parkingu. W końcu to był las i każdy mógł się tu wylać pod drzewem.

Ale mężczyźni wcale nie mieli zamiaru ulżyć swoim pęcherzom. Gdy tylko wyszli z transportera, ruszyli szybko w kierunku Kalafiora

i jego kolegów. Nim ci zdążyli się zorientować, co się dzieje, dostrzegli skierowane ku sobie lufy pistoletów.

– Ręce, kurwa, do góry i nic, zamknąć mordy, kurwa! – zawołał najniższy, mocno napakowany, ubrany podobnie jak pozostali w skórzaną kurtkę. Na głowie miał czapkę z daszkiem, taką amerykańską z jakimiś literami N i Y. Kalafior nie wiedział, co znaczą te litery, ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Szybko podniósł ręce, tak jak mu kazano. Rzadko, a właściwie nigdy nie celowano do niego z pistoletu, więc teraz przestraszył się poważnie, widząc wymierzoną w siebie broń.

Stojący nieco z boku wysoki i dobrze zbudowany gość był ubrany lepiej niż pozostali. Miał na sobie wełniany płaszcz, a pod nim dwurzędowy garnitur. Taki trochę biznesmen, pomyślał o nim Kalafior, kiedy ten podszedł bliżej i pchnął go w stronę lasu. Po chwili wszyscy trzej klęczeli na ściółce, a ci, którzy ich tu przyprowadzili, stali za ich plecami.

– Wy jeździecie do Niemiec i przywozicie fury? – odezwał się w końcu ten wielki. On chyba był ich szefem, domyślił się Kalafior, bo to, jak mówił, wskazywało, że chłop ma władzę. Tak odzywał się do chłopaków jego dawny trener w drużynie Olimpii Poznań. Też miał podobny nieznośny sprzeciwu ton i nie używał wcale żadnych przekleństw.

– A bo co? – odpowiedział hardo Maras.

– Bo chujów sto, ty kurwo! – krzyknął niski łysol i Kalafior usłyszał trzask. Maras musiał dostać z liścia w pysk. Plaśnięcie było wyraźne, a jęk Marasa nie pozostawiał już żadnych złudzeń.

– Jeszcze raz się, kurwa, odezwiesz bez pozwolenstwa, to dostaniesz w łeb kijem od łopaty, ty jebańcu – zagroził łysy.

– Czego od nas chcecie? – zapytał płaczącym tonem Kula. Kalafior zdał sobie sprawę, że jego kumpel niczego z tej lekcji nie zrozumiał. Bo jeśli ten mały mówił, że nie wolno odzywać się bez pozwolenia...

Kolejne uderzenie i tym razem Kula jęknął z bólu.

– Mówiłem wam, że bez pozwolenia nie gadamy. A teraz wywracać kieszenie i wysypać wszystko do czapki. Kermit, weź no swoją bejsbolówkę i zrób zbiórkę!

Po chwili pojawił się przed nimi ten gość w amerykańskiej czapce, lecz tym razem nie miał już jej na głowie, ale w dłoniach. To znaczy, że taka czapka nazywa się bejsbolówka, stwierdził w myślach, kompletnie bez sensu, Kalafior, wrzucając do niej portfel z dokumentami, kluczyki od auta i kilka banknotów. Pozostali zrobili dokładnie to samo.

– No dobra – pochwalił ich ten wielki w garniturze. – To teraz grzecznie odpowiedzcie mi na kilka pytań. Jasne?

– Jasne – odpowiedział szybko Kalafior.

– To powiedzcie mi, dla kogo wy pracujecie, co?

– Dla pana Grubińskiego, co na niego mówią Gruby Rychu. Znaczy, dokładniej dla pana Waligóry, co prowadzi warsztat pana Rycha, bo pan Grubiński już warsztatu nie prowadzi... – zaczął wyjaśniać Kalafior, starając się nie pominąć żadnych szczegółów.

– A ten Grubiński to czemu nie prowadzi? – dopytywał mały.

– Bo on się już takimi drobiazgami nie zajmuje. On jest bankier i ma własny bank.

– O, bankier, kurwa. To jakiś musi być niezły chuj, że w banku robi, he, he! – skomentował ten od czapki.

– Chuj czy nie, jego interesy samochodowe się właśnie skończyły – stwierdził szef bandziorów. – Teraz to my przejmujemy cały teren.

– Lepiej, żebyście na niego nie wpadli, bo z was zrobi pasztetówkę – rzucił Maras. Powiedział to głosem pewnym i zdecydowanym, jakby wiedział doskonale, że z Grubińskim nie warto zadzierać.

– A ciebie kto, kurwa, pytał? – krzyknął mały i znów rozległ się trzask wymierzonego ciosu. Maras przewrócił się, padając na bok.

– Ty! – Dowodzący bandytami wielki gość stanął przed Kalafior. – Ty nie jesteś głupi – pochwalił go, uśmiechając się szeroko, po czym chwycił chłopaka za rękę i pociągnął ją ku sobie. – Posłuchaj mnie, kolego – zaczął mówić wolno, tak jakby chciał, żeby wszystko, co powie, dotarło do Kalafiora. – Powiesz panu bankierowi, że skończyło się wożenie bryczek z RFN-u. Teraz auta mogą wozić tylko ci, którym my na to pozwolimy.

– A kto wy jesteście? – zapytał przytomnie Kalafior.

– My jesteśmy Młode Wilki – wyjaśnił mu mały łysol.

– Młode Lwy rządzą! – poprawił go ten wielki szef.

– No właśnie, Lwy! – rzucił szybko, jakby chciał zatrzeć swoją pomyłkę. – Rozumiesz, kurwo, że my tu rządzymy, znaczy się Lwy... Młode, a nie Wilki?

– No rozumiem.

– No to niech ten twój bankier wypierdala na Księżyc, czy gdzie tam chce, i niech nie próbuje z nami zaczynać, bo skończy tak o, kurwa! – Powiedziawszy to, wskazał głową w prawo. Tam cały czas leżał Maras, który jeszcze dobrze nie oprzytomniał po potężnym uderzeniu w tył głowy.

Do leżącego podszedł niepozorny szczupły facet, cały w dresie z kreszu i w czapce z owczej wełny na głowie. Wydobył zza paska

pistolet i niemal nie mierząc, przycisnął spust. Kula trafiła w skroń Marasa, który chyba nawet nie zdążył się przestraszyć. W jego szeroko otwartych oczach Kalafior dostrzegł bezbrzeżne zdumienie, nim spojrzenie zaszło mgłą i zamarło, rejestrując ostatni obraz z leśnym parkingiem.

Przerażony Kula krzyknął głośno, starając się zapewne wyrazić w ten sposób swoją niezgodę na bezsensowną śmierć nowego kolegi, ale jego krzyk urwał się nagle, zagłuszony kolejnym wystrzałem. Dresiarz, który stanął za nim, pociągnął za spust i czoło chłopaka pękło, a kula znalazła drogę wylotową z drugiej strony głowy. Bezwładne ciało Kuli, który swój pseudonim wziął od breloczka do kluczy zrobionego z karabinowego naboju, bezwładnie opadło na leśną ściółkę, rosząc ją wypływającą z rozdartego czoła krwią.

– Ja pierdolę! – jęknął Kalafior, który zrozumiał, że to, co dzieje się wokół niego, to nie żadna scena z filmu gangsterskiego, ale prawdziwy film, w którym on jest jednym z głównych aktorów. Doszło do niego też, że jego rola właśnie się kończy i jej finał będzie równie tragiczny jak w przypadku tych dwóch zastrzelonych kolegów. Ale zaraz, przecież ten facet powiedział, że ma powtórzyć coś Grubińskiemu.

– Nie zabijajcie mnie, proszę. Powiem panu Grubińskiemu wszystko, co trzeba.

– Pewnie, że powiesz, kurwa. Wszystko mu powiesz, kurwa. Wszystko! – powiedział mały i szarpnął jego dłoń do przodu. Chłopak poczuł, że ktoś z tyłu łapie go za drugą rękę i za szyję. Nie rozumiał, co się dzieje, dopóki nie zobaczył tego czwartego z napastników, grubego i wielkiego gościa w wełnianym płaszczu. Ten podszedł do swojego niższego kompana, spojrzał na niego i zadowolony uniósł w górę ogrodowy sekator.

– Ile tniemy? – zapytał podwładnego.

– Niech pan mu upierdoli jednego. Tyle wystarczy! – stwierdził mały. Gruby pokiwał głową, a potem chwycił w żelazny uścisk palec wskazujący prawej dłoni Kalafiora. Ten próbował ją wyrwać, ale nie miał najmniejszych szans. Uchwyt był zbyt silny. Nagle poczuł rozdzierający ból i krzyknął najgłośniejszym głosem, jak potrafił, wyrażając w tym okrzyku rozpacz, a jednocześnie skargę na niesprawiedliwość losu, bo palce prawej ręki były mu bardzo potrzebne w jego samochodowej pracy, i gdy ta myśl przemknęła mu przez głowę jak błyskawica i eksplodowała bólem rozpryskującym się po całym ciele, nagle wpadł w czarną otchłań niemocy, strachu i omdlenia.

– Co z nim zrobimy, szefie? – spytał ten w bejsbolówce.

– Owiń mu czymś łapę, jakimś bandażem czy szmatą, wsadź do bagażnika i bierzemy go. Wyrzucimy gnoja w Poznaniu.

– A ci dwaj?

– Niech sobie leżą. Oni już do niczego nie są nam potrzebni. A ten tu zanieś wiadomość, że z nami się nie zadziera.

– A co z palcem?

– Weź se na pamiętkę – stwierdził gruby i ruszył w kierunku volkswagena. Trzeba się było śpieszyć, bo w każdej chwili na parkingu mógł się pojawić jakiś obcy samochód, a oni przecież nie potrzebowali żadnych niepotrzebnych świadków.

Gdy wyjeżdżali na drogę, na parking wjechał duży fiat, z siedzącą za kierownicą starszą kobietą.

Rozdział I

Poznań
Czwartek
10 października
Godzina 11.30

– Ja to bynajmniej obrzydliwy jestem – powiedział podkomisarz Teofil Olkiewicz, spoglądając na dwa zakrwawione palce leżące na zielonym linoleum.

– Co jesteś? – zapytał komisarz Mariusz Blaszkowski. Blacha, bo tak nazywali w komendzie tego mierzącego sto osiemdziesiąt centymetrów, dobrze zbudowanego bruneta o szczupłej, starannie ogolonej twarzy, ubrany był w dżinsową kurtkę Levi'sa i czarne sztruksowe spodnie. Policjant siedział przy stoliku i coś zapisywał w notesie.

– No że krwi to ja nie lubię, bo mnie mgli, jak się napatrzę na takie czerwone plamy. I zaraz muszę coś na przepłukanie gardła wziąć – wyjaśnił Olkiewicz.

– Napij się coli – zaproponował Blaszkowski.

– A co ja dzieciok jestem, żeby słodkie pić? – skrzywił się Teoś, prostując plecy. Złapał się za bolące miejsce i jęknął głośno. – O, i do tego jeszcze mnie strzyka w krzyżach. Jakiś heksenszus czy jak? Coś mi się widzi, że ja już za stary jestem na tą nową milicję.

– Jak za stary? – Blaszkowski obrzucił kolegę uważnym spojrzeniem. Teofil Olkiewicz rzeczywiście do najmłodszych

funkcjonariuszy nie należał. Jak na policyjne standardy był mocno posunięty w latach, bo przekroczył już pięćdziesiątkę. Do tego wyglądał niezbyt okazale. Mierzący nieco ponad sto sześćdziesiąt centymetrów, obdarzony wielkim brzuchem, który skrywał pod opiętą popielatą marynarką, założoną na niebieską koszulę mundurową, sprawiał wrażenie specjalisty do spraw hodowli drobiu w prowincjonalnej gminnej spółdzielni, a nie policjanta śledczego z komendy wojewódzkiej w Poznaniu. Ale jak wiadomo, policjant z dochodzeniówki nie powinien się rzucać zbyt w oczy i lepiej, żeby był podobny do nikogo, niż miałby w sobie coś charakterystycznego, czyli wyróżniającego i zapadającego w pamięć.

Olkiewicz poprawił opadającą na bok zaczeskę, maskującą wstydliwie łysinę na czubku głowy, i zbliżył się do kontuaru. Skinął na bladego barmana o smutnym i dość przestraszonym spojrzeniu, który wyglądał jak śledź podczas wędzenia. Mężczyzna natychmiast podszedł do policjanta, licząc, że ten będzie chciał go przesłuchać. W końcu był świadkiem tego, co się tu, w tej knajpie, wydarzyło godzinę temu, i miał już przygotowaną odpowiedź na wszelkie śledcze pytania. Jednak ten grubas o okrągłej twarzy i dwóch podbródkach miał wobec niego zupełnie inne plany.

– Ty, nalej no mi wyborowej. – Funkcjonariusz wskazał palcem na rząd butelek stojących na szklanej półce, która opierała się na lustrzanej tafli ściany. Barman zrobił wielkie oczy i spojrzał zdumiony na gliniarza. Nie spodziewał się takiego obrotu rzeczy. Raczej przygotowywał się na wnikliwe przesłuchanie, a tymczasem ten oto facet, zamiast poddawać go badaniu, kazał mu robić to, co zwykle robił, czyli lać wodę. Jako profesjonalista zaraz jednak otrząsnął się ze zdumienia, pokiwał głową i sięgnął po szklanekę. Nie, nie po kieliszek, bo tu był porządny europejski i nowoczesny bar z wielką plastikową reklamówką Martini, stojącą na kontuarze.

W takim miejscu nie piło się po chamsku, tak jak w tych wszystkich mocno zakorzenionych w peerelowskiej rzeczywistości podrzędnych spelunach. Tu do szklanek nalewało się drinki, czyli wódkę mieszaną z sokiem pomarańczowym z kartonika albo pepsi-colą, a wszystko to z dodatkiem kostek lodu.

Postawił szkło na blacie, sięgnął po butelkę wyborowej i nalał pięćdziesiątkę. Spojrzał na łysego i uśmiechnął się. Ten ze zrozumieniem pokiwał głową. Zaraz jednak zrobił zdumioną minę, gdy dostrzegł w ręku barmana butelkę pepsi. Chłopak zdjął zgrabnie kapsel otwieraczem i już chciał wlać do szklanki ciemny płyn, ale policjant go powstrzymał.

– Łe, tej, co ty chcesz zrobić?

– No... drinka – wyjaśnił zbity z tropu bufetowy.

– Że niby jak?

– No do wódeczki cola...

Policjant zmrużył oczy w geście dezaprobaty.

– Drinek to jest dla dziewczynek – stwierdził. – A ja piję wódeczkę z wódeczką co najwyżej. Nalej no jeszcze wyborowej do pełna i zostaw flaszkę. A ten ulepek to możesz też zostawić. Tej, Mariusz, chcesz pepsi? Pepsi piją lepsi! – Jego kolega nic nie odpowiedział, więc Olkiewicz machnął ręką, chwycił za szklankę i upił spory łyk wódki. – No to teraz człowiek może się zająć jakąś robotą, jak już gardło trochę się przepłukało – powiedział ni to do siebie, ni do barmana. Sięgnął do kieszeni i wydobył z niej paczkę francuskich gauloises'ów. Włożył do ust jednego i zaczął szukać zapalek. Barman był szybszy. Podsunął mu zapaloną srebrną zapalniczkę. Policjant zaciągnął się głęboko i zaraz odkaszlnął, bo tytoń był dość mocny. W końcu wdrapał się na barowy stołek i zadowolony, oparłszy się o kontuar, pomachał nogami. – Kiedyś to się paliło ekstra mocne bez

filtra – stwierdził, wskazując swojego papierosa. – Ale jak się wew tym kraju wszystko zmieniło, to przeszedłem na te francuzy. A co, nie stać mnie? Pewnie, że stać, bo teraz ćmiki tanie jak barszcz. A te ekstrasy to się całkowicie popsuly, że się nadają do palenia ino dla szuszwoli. A pomyśleć, że kiedyś takie zagraniczne ćmiki to można było ino w peweksie dostać. A teraz to w każdym kiosku Ruchu albo na tych no straganach sprzedają i wszystko, co tylko człowiek chce. Żyć nie umierać. I nawet piwo jest wszędzie w sprzedaży, a kiedyś to żeby browar kupić...

– Chce pan zamówić piwo? – zapytał barman, któremu powoli mijał już szok i zaczął wracać do rzeczywistości. Między innymi dzięki temu, że wciągnął go w nią Olkiewicz, dając okazję powrotu do codziennej rutyny.

Teofil pokręcił głową.

– Tu ty w barze pracujesz i nie wiesz, że wódeczki z piwem się nie miesza? Jak już człowiek wypije wódkę, to się takiemu piwa nie podaje, bo się może za szybko struć. Co innego, jak się od piwa zacznie. Szczególnie dobrze jest wtenczas, jak się po mocnym picu ma kaca, a nie chce się upić tak od razu, bo na ten przykład się jest w robocie i trzeba być na chodzie. To się wtedy dzień zaczyna od małego piwka, żeby tego kaca utopić w słabym alkoholu. A potem, tak jakieś dwie godziny później, można drugie piwo przyjąć, bo kac już się rozpuścił. No i jak się trzecim poprawi tak jakoś przed obiadem, to po obiedzie już człowiek całkiem gotowy, żeby wypić se pięćdziesiąteczkę.

Uniósł szklanke i upił łyk.

Barman najwyraźniej chciał coś odpowiedzieć na temat metody zapijania kaca, bo jako codzienny obserwator amatorów

wyskokowych trunków miał własne spostrzeżenia w tej materii, ale Olkiewicz nie dał mu dojść do słowa.

– Oczywiście, że można też gorzołę od rana walić, ale to nie jest dobre, bo człowiek może się szybko osłabić. Tak że z pićmi trzeba uważać, jak kto nieobyty. A ty, jak w barze pracujesz, to musisz mieć wiedzę, bo ona w robocie się przydaje. Tak jak w każdej pracy potrzebna jest wiedza. Jak choćby przykładowo wiedza, co się w naszej policyjnej robocie przydaje do wykrywania przestępców. Widzisz, jak mój koleżka komisarz pisze i pisze w notesie. Bo on, jak se coś wymyśli, to zaraz zapisze i potem z tych notatek to wpisuje wszystko do protokołów. A ja nie zanotowuję, bo ja mam wiedzę w głowie. – Powiedziawszy to, postukał się palcem w czoło i uśmiechnął zadowolony. – Ale nasza wiedza, co ją mamy zapisaną albo poukładaną w łepetynie, musi się skądś wziąć. A bierze się ona od świadków takich jak ty. I dlatego musisz teraz se wszystko przypomnieć i powiedzieć dokładnie, jak to było.

Barman wzruszył ramionami.

– No niby nic nadzwyczajnego nie było, no chyba tylko to, że pan Piotrowski, znaczy się agent naszej restauracji, poszedł do drzwi, żeby je otworzyć, bo u nas się otwiera dopiero od dwunastej. No bo wcześniej na kuchni jeszcze się jedzenia nie robi. To do dwunastej mamy zamknięte, a wszyscy już się przygotowują, znaczy się kładzie na stoły świeże obrusy, i to robi kelner dyżurny, ten, co go nie ma w chwili obecnej, no bo uciekł, jak się wszystko zaczęło.

– A ty żeś czemu nie uciekł?

– Bo ja byłem za barem, a ten taki chudy to kazał se nalać wódki z sokiem pomarańczowym. I ja mu musiałem przecież nalać. A tych dwóch innych to gadali z szefem, a właściwie to na niego krzyczeli i go szarpali, a potem to zrobili. – Wskazał głową na plamę krwi na

linoleum i leżące tam dwa palce. Blaszkowski pochylał się nad nimi wraz z technikiem policyjnym, który przymierzał się do robienia zdjęć.

– A co oni gadali? – zainteresował się Olkiewicz.

– No że pan Piotrowski nie zapłacił im i że ma zapłacić. A on im mówił, że w kasie pusto i nic nie zarobił. I żeby mu odpuścili. A oni, że nic mu nie odpuszczą, bo za ochronę trzeba płacić, a jak kto nie płaci, to dostaje pierwsze ostrzeżenie, taki lekki wpierdol. Bo pan Piotrowski już od nich dostał po ryju, znaczy się po twarzy, i chodził w ciemnych okularach przez dwa tygodnie. No i ten gruby i taki wielki jak szafa dwudrzwiowa złapał szefa w pasie, a drugi wziął jego rękę i nawet nie zobaczyłem, kiedy wyciągnął sekator, taki chyba do gałęzi, i ciachnął jeden palec, a potem drugi.

– I co dalej?

– No dalej to już nic. Poszli sobie, a pan Piotrowski zemdłał chyba z bólu.

– No i...

– I kazali, żeby nie dzwonić na policję, bo i mi obetną palce i coś jeszcze, jak tu wrócą. I powiedzieli, że wrócą niedługo i że szef ma do tego czasu zebrać całą kasę.

– A kto zadzwonił po policję? – zainteresował się Olkiewicz.

– No ja.

– Nie bałeś się?

– Bałem, ale musiałem zadzwonić, żeby pogotowie przyjechało i zabrało szefa do szpitala, no i żeby mu pomogli, i jak dzwoniłem, to mi się numery pochrzaniły i zamiast na pogotowie ratunkowe zadzwoniłem na dziewięć dziewięć siedem i jak zacząłem mówić o tych obciętych palcach, to się okazało, że rozmawiam z policją i że

policja wysyła już karetkę. No i to wszystko. Zabrali szefa do szpitala, powiedzieli, że policja już jedzie, i wyście już przyjechali. I jeszcze powiedzieli, że oni są Młode Lwy, jak w tej książce.

– Jakiej książki?

– Irwina Shawa.

– O lwach to ja nie czytam – stwierdził Teofil, który niczego nie czytał za wyjątkiem nekrologów w „Głosie Wielkopolskim”.

Dopił wódkę do końca i zaordynował sobie kolejną porcję. Pokiwał głową ze zrozumieniem, coś tam mruknął pod nosem i zeskoczył ze stołka. Podszedł do Blaszkowskiego i wyciągnął ku niemu dwa palce układające się w zwycięskie V.

– Obetnęli je, bo nie zapłacił jakiejś kasy. Ten młody wszystko widział. Powiedzieli, że do końca tygodnia ma czas, żeby zapłacił, i że ma nie wzywać policji. A do cięcia palców mieli sekator. Taki do obcinania gałęzi w ogródku.

– Skurwysyny – warknął Blaszkowski. – Pewnie chcieli wymusić okup za ochronę.

– No właśnie tak powiada ten młody – potwierdził Teofil.

– I mówisz, że kiedy mają przyjść?

– Chyba w niedzielę.

– Trzeba by się z nimi spotkać. – Mariusz uśmiechnął się, a potem otworzył swój notes i coś w nim zapisał. Olkiewicz pokręcił głową z dezaprobatą. On niczego nie zapisywał, a o wszystkim pamiętał. No może niekiedy zapominał o czymś, ale skoro zapomniał, to znaczy, że nie było to nic ważnego.

– Nazywają się Młode Psy – przypomniał sobie Teofil.

– Psy? – zdziwił się Blacha. – Ale dlaczego psy?

– To z książki, tego no... Shawa – powiedział Teoś, który jakimś dziwnym trafem zapamiętał nazwisko pisarza.

– Lwy – poprawił go Mariusz. – Młode Lwy.

– Właśnie. Niech będą lwy. W każdym razie rozchodzi się o zwierzynę, co to umi odgryźć człowiekowi palce. Pewnie w tej książce tak napisał ten pisarz...

Mariusz pokiwał głową, wyraźnie zaskoczony. Nigdy by nie przypuszczał, że Teofil ma jakąś wiedzę na temat literatury amerykańskiej. Dotąd był przekonany, że Olkiewicz nie ma pojęcia o żadnych książkach, a z literaturą wiąże go tylko codzienne używanie literatek. No ale cóż, ludzie się przecież zmieniają i każdy ma prawo do intelektualnego rozwoju.

Poznań
Godzina 12.05

Starszy sierżant Arkadiusz Mazurek wskazał palcem na boczną ścianę kamienicy, ozdobioną neonem „Zwiedzajcie ZOO” przedstawiającym żyrafę, lwa i lisa. Zwierzęta namalowano na ścianie budynku, a później zainstalowano na nich kolorowe światła. Niestety, neon nie działał już od ładnych kilku lat.

– Jak byłem mały, to jeszcze się świecił – powiedział policjant, gdy jego kolega, kierowca kapral Włodek Molenda, zatrzymał nyskę, wjechawszy bez ceregieli na chodnik. Co z tego, że obowiązywał tu zakaz zatrzymywania. Oni byli przecież z policji i nikt nie mógł im nic zrobić. – Pamiętasz, jaki był ładny?

– Nie pamiętam. – Molenda pokręcił głową. – Ja jestem z Tarnowa Podgórnego. U nas nie było żadnych neonów. A do Poznania to nie jeździłem za często. Byłem w zoo ze szkolną wycieczką i widziałem

nawet lwa i jeszcze flamingi. Ale neona to żeśmy nie mieli. Tylko podświetlony napis „Milicja na posterunku”...

– No tak, kto by tam w takim Tarnowie chciał reklamować ogród zoologiczny – stwierdził sierżant, wysiadając z auta. – Czekał tu na mnie. Szybko się załatwię i jedziemy dalej.

– Panie, tu nie można stawać! – Zza pleców Mazurka odezwał się jakiś stanowczy głos. Policjant się odwrócił. Starsza kobieta z parasolką w dłoni wskazywała na widoczny dobrze znak zakazu zatrzymywania i postoju. Zresztą nie trzeba było być specjalnym znawcą drogowego oznakowania, żeby wiedzieć, że nie parkuje się na chodniku, niemal na przejściu dla pieszych. Ale Mazurek był pewien swoich racji. Nie miał zamiaru zatrzymywać się w innym miejscu, bo tu miał najbliżej do punktu ZURT-u¹.

– A pani co, z drogówki czy jak? – rzucił opryskliwie.

– Ja jestem z rady dzielnicy – odpowiedziała rzeczowo właścicielka parasola i dość dużego nosa.

– To niech pani napisze skargę nawet do samej rady narodowej. A teraz proszę nie przeszkadzać, bo panią zaraz aresztujemy za utrudnianie pracy policji w trakcie wykonywania obowiązków służbowych.

– Nie ma już żadnych rad narodowych. Teraz są rady gminy i dzielnicy.

– Mnie wszystko jedno. Nie mam czasu na gadanie, bo wykonuję czynności służbowe w chwili obecnej.

– A co se pan myślisz, że komuna się jeszcze nie skończyła i milicji wszystko wolno?

– Nie milicji, tylko policji – poprawił ją, trzasnął drzwiami i ruszył przed siebie, zostawiwszy radną samą.

– To skandal, żeby tak się rządzić na naszych ulicach – krzyczała za nim. – Ja do „Expressu Poznańskiego” napiszę o tym, do „Expressu” albo nawet do „Głosu”. Numery rejestracyjne sobie zapiszę!

Machnęła jeszcze kilka razy parasolką przed szybą, za którą siedział Molenda. Ten nawet nie podniósł wzroku na kobietę, bo miał zamknięte oczy. Jak wytrawny kierowca korzystał z każdej wolnej chwili, by złapać trochę snu. W końcu kobieta zorientowała się, że jej działania nie przynoszą żadnego efektu, bezsilnie pokręciła głową i ruszyła przed siebie w kierunku ulicy Strusia.

Mazurek tymczasem pchnął drzwi do zakładu napraw sprzętu elektrycznego i wszedł do środka. Za ladą siedział ponury facet o wąsatej twarzy przypominającej nutrię. Na widok klienta uniósł spojrzenie znad gazety i uśmiechnął się nieszczercze.

– Ja w sprawie mojego telewizora – wyjaśnił Mazurek, wyjmując z kieszeni portfel. Miał w nim kartkę informującą o przyjęciu sprzętu do naprawy. Pogrzebał w przegródkach i w końcu natrafił na kwitek. – O, tu jest papier. Proszę bardzo. – Położył go na ladzie. Facet ubrany w granatowy kitel wstał, wziął kartkę do ręki i uważnie się jej przyjrzał.

– Telewizor, powiadasz pan?

– No. Japoński. I kolorowy oczywiście.

– Azjatycki szajs – mruknął technik pod nosem i zaraz zniknął na zapleczu. Policjant, usłyszawszy to niezbyt pochlebne określenie, chciał mu odpowiedzieć, że się gównem zna na telewizorach, skoro dla niego kolorowy japończyk to jest szajs, ale na razie nie miał komu tego powiedzieć. Jak ten gość wróci, to mu wygarnie, co sądzi o jego zawodowych kompetencjach. Ten jego telewizor to przecież bardzo dobry sprzęt i Mazurek był z niego nawet dumny. Choć na

razie się trochę popsuł, ale w końcu to porządna japońska robota, więc ta usterka nie mogła stanowić jakiegoś problemu dla zakładu naprawy.

Kupił go dwa tygodnie temu na Łazarzu od pewnego gościa, który miał tam stragan z elektroniką sprowadzaną z Niemiec. Handlarz opchnął mu go po okazyjnej cenie trzech milionów złotych. Tak tanio dlatego, że odbiornik tv był już trochę używany i nie miał pilota. Ale Mazurek machnął na to ręką. Całe życie miał telewizor Neptun bez pilota i jakoś z tym żył. A ten japoński można było przecież obsługiwać też ręcznie, bo miał wszystkie przyciski na wierzchu. Tyle że na razie nie dało się go obsłużyć, bo chwilowo nie działał.

Przyniósł go do domu, podłączył do kontaktu i wcisnął przycisk włącznika, ale nic się nie wydarzyło. Telewizor nie ożył. Potem powcisnął wszystkie inne guziki i dalej nic. Zawołał więc sąsiada Kalisiaka, który był już dwa razy w Niemczech Zachodnich i miał fachową wiedzę na temat obsługi nowoczesnego sprzętu.

Kalisiak pochylił się nad telewizorem, powduszał przyciski, a potem walnął pięścią w pudło na górze. Niestety, nic to nie pomogło. Pokręcił więc głową i podrapał się po łysinie.

– Jak dla mnie, to on nie działa – stwierdził sąsiad.

– Tyle to i ja widzę – burknął Mazurek. – A chciałem go podłączyć do wideo. – Wskazał na pudło odtwarzacza tej samej marki co telewizor. Odtwarzacz przynajmniej chodził, bo Mazurek sprawdził go, instalując u Kalisiaka w mieszkaniu. Tam na próbnym pokazie obejrzeliby jakiś film wojenny o Rambo, który walczył z Ruskimi w Afganistanie. Mazurek miał jeszcze jeden film o zupełnie innej tematyce, ale tego nie mogli puścić ostatecznie, bo Kalisiakowa pewnie dostałaby zawału, jakby zobaczyła, co tam w tym filmie się wyrabia.

No więc Mazurek miał nadzieję, że obejrzy tego pornola na swoim własnym telewizorze. Niestety ten był niedziałający.

– Mnie się widzi, że sam nic tu nie poradzisz. Musisz go zanieść do ZURT-u, niech go tam przejrzą. W takiej aparaturze, co jechała z Niemiec, coś się mogło po drodze poluzować czy rozszczelnić i dlatego prąd przez kabel nie dochodzi do kineskopu – stwierdził z miną znawcy Kalisiak. Mazurek poszedł więc za radą kolegi i zawiózł telewizor na Głogowską. Tam sprzęt przyjęto i kazano mu przyjść za dwa tygodnie.

Zasłona poruszyła się i zaraz spod niej wynurzył się telewizor niesiony przez pracownika zakładu. Mężczyzna postawił go na blacie i się uśmiechnął, ukazując dwa wielkie pożółkłe od nikotyny przednie zęby.

– To jest ten? – Poklepał telewizor po obudowie.

– No ma się rozumieć, że ten. Niezły sprzęt, co?

– He, he, he! Niezły to on był jakieś dziesięć lat temu.

– Co?

– Szajs, panie, koreański szajs.

– Jak koreański? Przecież...

– Koreańskie gównno. To taka produkcja dla ubogich prosto z Korei Południowej. Panie, on do naszej polskiej Westy z pilotem to się nie umywa. Znaczy to badziew jest i tyle.

Mazurek uniósł palec ku górze i zaczął nim wymachiwać zdenerwowany.

– Może i koreański, ale jakoś całkiem niezła. Pan się chyba jednak nie zna na telewizorach.

Podobny do nutrii facet znów wyszczerzył żółte zęby.

– Ja, panie szanowny, to na telewizorach zęby zjadłem, za przeproszeniem. I wszystkie znam jak własną kieszeń, to wiem, co mówię. A z tego rzęcha to co najwyżej możesz pan se akwarium zrobić. Wystarczy tylko wyciągnąć kineskop i wkleić w jego miejsce szybę. Widziałem takie akwarium. Bardzo ładnie wyglądają rybki, jakby były w telewizji.

– Co pan pieprzysz?

– Ano tyle, że on jest nienaprawialny. – Powiedziawszy to, postukał palcem w ekran. – Kineskop przepalony jest i dlatego telewizor chodzić nie będzie.

– To co ja mam teraz zrobić? – zapytał sam siebie Mazurek, ale technik miał na ten temat wyrobione zdanie.

– Zanieś go pan do szklarza.

– Zabiję skurwysyna! – Nagle w oczach policjanta pojawiła się twarda determinacja. Już wiedział, co ma robić.

– Szklarza chcesz pan zabijać?

– Nie, tego gnoja, co mi sprzedał ten szmelc.

– Zanim go pan zabijesz, ja jeszcze poproszę sto pięćdziesiąt tysięcy.

– Za co? Przecież nie naprawiliście telewizora.

– Za rozebranie i złożenie, a poza tym za diagnostykę. Teraz masz pan przynajmniej pewność, że masz pan za co zabić sprzedawcę.

Mazurek odliczył pieniądze, chwycił telewizor w obie ręce i ruszył ku drzwiom. Pracownik ZURT-u przytrzymał mu drzwi, uśmiechając się, tak jakby przed chwilą zrobił interes życia. Bo rzeczywiście jakiś interes zrobił. Przegląd telewizora i diagnostyka w tabeli wycen przypisane miały dwadzieścia tysięcy za taką usługę. Ale że ceny rosły, a tabele były dość stare, więc sam naliczył opłaty. Do kasy

trafiało zaś tyle, ile wskazywała tabela, a nadwyżka to był jego czysty zysk, który dziś w całości zamierzał przeznaczyć na piwo.

Molenda, dostrzegłszy kolegę z telewizorem, wyskoczył z auta i otworzył boczne drzwi do przedziału aresztanckiego.

– I co, naprawili? – zapytał z troską.

– Gówno zrobili. Nic się na tej technice nie znają.

– To może do jakiegoś japońskiego naprawiacza by trzeba? – zaproponował kierowca.

– Nie ma u nas naprawiaczy japońskich.

– No tak, ale będą. W końcu Wałęsa zapowiadał, że niedługo będziemy drugą Japonią.

– Może i będziemy, ale na razie jesteśmy gównianym krajem, w którym wszystko jest do dupy. Łącznie z papierem toaletowym.

Włożyli telewizor do środka, a kierowca zatrzasnął drzwi.

– To gdzie teraz jedziemy? – zapytał Molenda.

– Na łazarską gemelę². Muszę dopaść jednego gościa. – Powiedziawszy to, sierżant poklepał się po kaburze swojego służbowego pistoletu P-64.

Godzina 14.20

– Halo, Mariusz?

– Cześć. Coś się stało? Bo wiesz, mam od cholery roboty...

– O której będziesz w domu? – zapytała Wiktoria Łabędzka, a w jej głosie dało się słyszeć jakieś napięcie. On jednak tego nie zauważył. Był pochłonięty swoimi służbowymi sprawami, a ten telefon miał go wciągnąć w świat tych prywatnych, na które w tej chwili nie miał czasu. Dopiero przed kwadransem przyjechali na komendę i za

chwile miał pójść do swojego szefa, inspektora Marcinkowskiego, żeby mu zreferować sprawę. Niby nic nadzwyczajnego z tymi obciętych palcami, ale jeśli to się rozprzestrzeni, jeśli bandziory szantażują też innych agentów? Na razie nie mieli na ten temat żadnych informacji, ale być może ci obcinacze palców dopiero rozpoczynali swoją karierę poborców haraczy. Dlatego zamierzał rozpocząć śledztwo, do którego sprawa obciętych palców będzie tylko wstępem, a obejmie swoim zasięgiem inne miejsca w Poznaniu. Oprócz tego chciał jeszcze omówić kwestię zasadzki, bo skoro ci goście mają wrócić po kasę do restauratora, to jest duża szansa, że da się dojść po nitce do kłębka i załapać całą bandę. Mariusz nawet wymyślił, jak to zrobić. Przebierze się w cywilne ciuchy i poczeka na tych bandziorów. A potem wystąpi przed nimi jako kuzyn okaleczonego agenta i zażąda rozmowy z ich bossem. W sumie prosty plan, tylko Marcinkowski musi go zaakceptować. Dlatego chciał wypisać sobie wszystkie argumenty za, czyli ułożyć rozmowę z szefem, który nigdy nie był chętny do ryzykowania bezpieczeństwa swoich ludzi. Ale Blacha był optymistą i liczył, że go przekona. Ale żeby to zrobić...

- Jeszcze nie wiem, o której, bo mam sporo roboty...
- Ale mniej więcej o ósmej czy o dziesiątej?
- Pewnie koło dziesiątej. Jak będę wracał, to zapukam do ciebie...
- Nie! - przerwała mu gwałtownie. Dopiero teraz zrozumiał, że coś się dzieje. Przecież Wiktoria nigdy nie reagowała tak gwałtownie.
- Wiesz, no mogę się postarać, żeby...
- Posłuchaj, muszę się z tobą dziś zobaczyć. Koniecznie musimy pogadać.
- No dobrze, oczywiście. Mam tu sporo roboty, ale postaram się jak najszybciej wrócić.

– To zrobimy tak: od ósmej będę czekała u ciebie w domu.

– No pewnie – odpowiedział uradowany. Skoro chciała czekać u niego, to znaczy, że nie jest tak źle. Niepotrzebnie się przestraszył. A Wiktoria, jak to kobieta, miała po prostu jakiś swój kryzys. Może bolała ją głowa? W każdym razie, jak chce czekać u niego w mieszkaniu, to nawet lepiej. – Tak, Wiki, czekaj na mnie, postaram się przyjść jak najszybciej.

– Od ósmej czekam – powiedziała i przerwała połączenie. Jeszcze przez chwilę trzymał słuchawkę przy uchu. W końcu odłożył ją powoli na widełki. Nie czuł się zaniepokojony, ale po raz pierwszy od czasu, jak się poznali z Wiktoria, oznajmiła mu, że będzie na niego czekać nie u siebie, ale u niego. Owszem, miała klucze do jego mieszkania. Mieszkali w tym samym bloku, na tym samym piętrze, więc jako sąsiadka nawet powinna mieć te klucze, tak na wszelki wypadek. Ale była nie tylko sąsiadką. Była jego dziewczyną. Poznali się przed rokiem, gdy Blaszkowski wprowadzał się do niewielkiego, spokojnego służbowego mieszkania przy Kościuszki. Ona w swoim mieszkaniu od kilku lat, dokładnie od roku osiemdziesiątego, kiedy to jej mąż otrzymał lokal z kwaterunku. W osiemdziesiątym trzecim facet wyjechał z Polski na Zachód, zostawiając ją z dwójką dzieci. Był działaczem podziemnej Solidarności, który został zmuszony do emigracji przez ówczesne władze. Wiktoria miała jechać wkrótce po nim do Niemiec. Mąż pisał, że się urządza, że ma już mieszkanie, ale na razie jednopokojowe, i pracuje nad tym, by załatwić większe. Problem tylko w tym, że jeszcze za mało zarabia i nie ma na większe pieniądze. Początkowo pisał dość regularnie, ale po jakimś czasie listy zaczęły przychodzić rzadziej. W osiemdziesiątym szóstym dostała ostatni list, w którym informował ją, że zamierza pojechać do Stanów, bo to kraj wielkich możliwości. Wiktoria napisała jeszcze kilka razy do męża, by w końcu otrzymać dwa swoje własne listy

z niemiecką adnotacją, że adresat jest nieznany. Rok temu przysłano jej urzędowe pismo, w którym adwokat informował, że prowadzi sprawę rozwodową jej męża, a podstawą do orzeczenia rozwodu ma być trwały rozkład pożycia. Dlatego wzywa ją do potwierdzenia stanu faktycznego, czyli tego, że nie żyją ze sobą od osiemdziesiątego trzeciego roku. Podarła ten list i wyrzuciła do kosza. Dzieciom nic nie powiedziała. Mariusz był pierwszą osobą, której zwierzyła się, że jest w zasadzie rozwiedziona, choć oficjalnie nie ma tego na piśmie. Ale jemu nie przeszkadzało to, że zadaje się z rozwódką. Nawet fakt, że była od niego starsza o osiem lat, nie miał dla niego żadnego znaczenia. Zakochał się w niej niemal od pierwszego wejrzenia i po cichu miał nadzieję, że tego jej męża w tej Ameryce szlag trafi, a on będzie mógł się z nią ożenić. Na razie jednak musiał załatwić swoje służbowe sprawy, by ze spokojem móc iść na spotkanie ze swoją Wiktoria.

– O, jesteś już! – Z zamyślenia wyrwał go czyjś głos. Spojrzał w kierunku drzwi pokoju, w którym urzędował. Dostrzegł stojącego w progu szefa. Marcinkowski, czterdziestoletni, mierzący sto osiemdziesiąt centymetrów blondyn o starannie wygolonej twarzy i wysportowanej sylwetce, ubrany w popielaty garnitur, przypominał modela z niemieckich katalogów reklamujących męskie ubrania. Od pewnego czasu zamiast koszul zakładał pod marynarkę cienkie golfy, które sprawiały, że nie wyglądał na urzędnika, ale na sportowca, który właśnie wysiadł z wyścigowego auta.

Mariusz wstał zza biurka.

– Melduję, że właśnie przyjechałem i chciałem tylko opracować szczegóły, i pójść do pana inspektora, żeby wszystko zreferować.

– Jakie szczegóły? – zdziwił się Marcinkowski.

– No w sprawie tego faceta, co mu odcięli palce...

– Łee! – Marcinkowski machnął ręką. – To w zasadzie może poczekać do jutra. Tak mi się zdaje, że nic w tym pilnego.

– No niby nie.

– Facet nie umrze chyba?

– Ma obcięte dwa palce, więc raczej nie ma szans się odmeldować do świętego Piotra. Jutro chcę z nim pogadać, bo dzisiaj nie nadawał się do mówienia.

– No dobrze, to jakby co, jutro się melduj. A teraz chodź, zapraszam do mnie.

Mariusz wyszedł z za biurka i założył wiszącą na oparciu krzesła dzinsową kurtkę.

– A o co chodzi? – zapytał, zaciekawiony, bo nie co dzień sam naczelnik wydziału dochodzeniowo-śledczego zapraszał go do siebie, i to osobiście, a nie przez sekretarkę.

– Zaraz się dowiesz – rzucił Marcinkowski, lekko się uśmiechając.
– Właściwie to nic się tu nie zmieniło w tym pokoju – powiedział, rozglądając się wokół.

– No nie. – Blaszkowski też omiół spojrzeniem niewielkie pomieszczenie. Stały w nim cztery biurka, dwa pod oknem, a jedno na prawo od drzwi. Prócz tego była tam jeszcze szafa na akta o kilku odsłoniętych półkach i z zamknięciem na dole, a pod przeciwległą ścianą, na lewo od drzwi, stała szwedzka ława rozdzielająca dwa mocno wysiedziane fotele, których młodość przypadła na drugą połowę lat sześćdziesiątych. Wszystkie te meble można było spokojnie wpisać do rejestru policyjnych zabytków. – Ale mamy przecież nowe radio. – Mariusz wskazał na stojący na okiennym parapecie radiomagnetofon Kasprzak, który dwa lata temu zastąpił wysłużone radio Stereo Amator. – No i na słomiance nie ma już talerza.

Marcinkowski spojrział na ścianę, na której przez całe lata wisiał biały talerz okolicznościowy z orłem otoczonym wieńcem i mieczem w tle. Dodatkowo zdobiły go pozłacane litery układające się w napis „XXX lat MO i SB”. Gdy Fred Marcinkowski przyszedł do wydziału pod koniec lat siedemdziesiątych i dostał miejsce za biurkiem, które dziś należało do Blaszkowskiego, talerz już tu wisiał.

– Co się z nim stało? – zapytał inspektor.

– Spadł i się potłukł.

Fred uśmiechnął się pod nosem. No tak, symbole dawnej, zamkniętej już epoki nie mogły przecież patronować pracy dzisiejszych stróżów prawa. Wtedy, gdy on zaczynał służbę, powieszony na ścianie talerz musiał tam tkwić, bo nikt nie odważyłby się go zdjąć, choć żaden z pracujących wówczas w tym biurze ludzi nie należał do admiratorów Służby Bezpieczeństwa i entuzjastów przyjaźni między milicją a resortem. A dziś, proszę bardzo, wystarczyło tylko szerzej otworzyć okno, by wiatr zmian mógł zdmuchnąć talerz należący do słusznie minionych czasów, pomyślał Marcinkowski, wychodząc na korytarz.

– A gdzie jest Teoś Olkiewicz? – zapytał, odwracając się do podążającego jego śladem podkomisarza.

– A diabli go wiedzą. Był ze mną na Starym Rynku, a potem się gdzieś zawieruszył. To znaczy nie wrócił ze mną do komendy, bo coś tam bąknął, że jeszcze musi załatwić jakąś sprawę i dojdzie piechotą.

Fred pokiwał głową. Znał Olkiewicza od osiemdziesiątego pierwszego roku i dobrze wiedział, że jego podwładny zawsze chodzi własnymi ścieżkami. Szczególnie wtedy, gdy zwietrzy okazję, żeby wpaść gdzieś na kielicha podczas pracy. Dziś jednak jego nos go zawiódł. Gdyby wrócił z Blaszkowskim, nie musiałby węszyć za alkoholem po mieście.

Marcinkowski przycisnął klamkę do sekretariatu, przez który przechodziło się do jego gabinetu. Siedząca za biurkiem pani Jadwiga, sekretarka odziedziczona po poprzednim szefie wydziału, która pracowała w komendzie od czasów ostatniego malowania ścian, czyli gdzieś od połowy lat siedemdziesiątych, uśmiechnęła się na widok przełożonego.

– Panie inspektorze, komisarz Brodziak i komisarz Marjański już są. A Olkiewicza nigdzie nie mogę znaleźć – zameldowała.

– Teoś jak się znajdzie, to się znajdzie. A na razie niech nam pani zrobi cztery kawy i kieliszki też poproszę.

– Do koniaku? – zapytała, żeby uściślić zamówienie.

– Nie, pani Jadwigo, kieliszki do wódki. Nie będziemy przecież koniakiem wznosić pożegnalnego toastu.

– Pożegnalnego? – zdziwił się Blaszkowski. – O co tu chodzi? – zapytał sam siebie, ale gdy weszli do środka, wszystko zrozumiał. Dwaj oficerowie, którzy czekali w środku, natychmiast podnieśli się z krzeseł. Rudowłosy Brodziak uśmiechał się, jak zwykle szczerząc białe zęby. Marjański, jego kolega z roku w szkole milicyjnej w Szczytnie, brunet o lekko kręconych włosach, wyglądał jak zatroskany królik. Chyba naprawdę mocno przeżywał odejście ze służby swojego starego kumpla. Bo ta wódka i to zaproszenie do gabinetu szefa to było pożegnanie Mirka Brodziaka, faceta, dzięki któremu Mariusz Blaszkowski trafił do pracy w tym budynku w osiemdziesiątym piątym roku.

Nowy Tomyśl
Godzina 14.50

Prokurator Brygida Bocian odgarnęła opadający na czoło kosmyk jasnych włosów, po czym palcem poprawiła okulary, które zsunęły się jej z nasady nosa. Zmarszczywszy ciemne brwi o naturalnym, niepodkreślanym kredką kolorze, w skupieniu studiowała teczkę wypełnioną aktami. Pomalowane delikatną różową szminką usta były zaciśnięte, jakby mogło to jej pomóc w lepszym zrozumieniu zapisków sporządzonych przez podkomisarza Pikułę. Ten siedział naprzeciw pani prokurator, udając pewną obojętność. Ale prawda była taka, że się denerwował, o czym świadczyły kropelki potu na jego skroniach. Gdy poczuł, że strumyk zaczyna spływać mu po policzku, sięgnął szybko po kraciatą bawełnianą chusteczkę i otarł nią twarz.

– Co, gorąco? – zapytała prokurator, przenosząc spojrzenie z akt na oficera.

– No tak, trochę – bąknął, otarłszy ponownie czoło. Wkurzała go ta baba, mimo że na początku, gdy się poznali, nawet mu się spodobała. Jak na prokuratorkę, była całkiem ładna, a jej niebieskie oczy robiły wrażenie na mężczyznach. Na nim też zrobiły. Pół roku temu, gdy po raz pierwszy ją zobaczył, pomyślał, że to wreszcie jakaś pozytywna odmiana w tej zatechłej prowincjonalnej prokuraturze w Nowym Tomysłu. Dotychczas siedzieli tam sami starcy, mocno zanurzeni w rzeczywistości PRL-u. Młoda dziewczyna, która pojawiła się tu prosto po studiach, była jak zapowiedź zmian. I rzeczywiście zmiany nastąpiły. Brygida Bocian miała zupełnie inną filozofię podejścia do pracy niż jej starsi koledzy. Oni chcieli mieć święty spokój i marzyli tylko o tym, by w miarę bezstresowo dociągnąć do emerytury. Dlatego nie czepiali się, nie drażyli, nie wyszukiwali niedociągnięć. Robili to, co zawsze, czyli niewiele. Z nią było inaczej. Widać było, że jej naprawdę zależało na wynikach. Wymagała od oficerów, żeby ich robota była wykonana w sposób

perfekcyjny, tak by nikt nie mógł się doczepić do prowadzonych przez nich śledstw. Ale policjanci byli przecież tylko ludźmi i nie zawsze im się udawało. Szybko więc zniechęciła do siebie i swoich metod funkcjonariuszy z posterunków podległych nowotomyskiej prokuraturze, którzy zaczęli szczerze tęsknić za starymi dobrymi czasami, kiedy to nikt na nich nie naciskał, nie wymagał i nie poganiał.

– Jakby w tych aktach było wszystko w porządku – postukała palcem w zapisaną odręcznym pismem kartkę – toby nie było panu gorąco. Bo wie pan, dlaczego się pan denerwuje i poci z tego zdenerwowania? Ja panu powiem. Bo tu nie ma nic. A to znaczy, że żeście nic nie zrobili.

Podkomisarz Pikuła poczuł się dotknięty do żywego. Jak to nic nie zrobili? Przecież byli na miejscu popełnienia przestępstwa, zabezpieczyli ślady. Przesłuchali nawet świadka, kierowcę fiata, kobietę, która zatrzymała się na tym parkingu i odkryła zwłoki, a potem pojechała do Pniew na komisariat i zgłosiła sprawę. Kobieta na parkingu znalazła dodatkowo jeszcze palec, po czym go zabezpieczyła, to znaczy zawięła w papier od kanapki. Fakt, że trochę był zatłuszczony przez masło, ale i tak to nie miało żadnego znaczenia. Chciała dobrze, więc się postarała. A że przy okazji, łącząc między truposzami, zdeptała wszystkie ślady? No przecież to nie jej wina. Ona się na procedurach nie zna. Nie uczą tego w szkole na lekcjach przysposobienia obronnego, choć powinni mówić uczniom, jak się należy zachować, gdy znajdą się na miejscu popełnienia przestępstwa. Ale na kiepski system edukacyjny w naszym kraju policja wpływu żadnego nie ma. Więc dlaczego ona się czepia?

– O, przepraszam bardzo – odparł oburzony podkomisarz. – Żeśmy zrobili wszystko, co w danych warunkach się dało zrobić.

Mamy protokół z zabezpieczenia miejsca zdarzenia, mamy zeznania świadka...

– Który nic nie widział, znaczy nie widziała – przerwała mu prokurator.

– A co niby miała ta pani widzieć, jak ona przyjechała tam już po zabiciu tych dwóch? Jakby przyjechała wcześniej, toby nie była świadkiem, tylko kolejnym zabitym, znaczy się zabitą.

– A co z identyfikacją? Nawet nie wiemy, kim są ci zabici.

– A skąd niby mamy wiedzieć, jak oni nie mieli przy sobie żadnych flepów³, znaczy się nie mieli dokumentów. Nic nie mieli, na podstawie czego by się udało ich zin... den... znaczy zidentyfikować.

Prokurator Bocian spojrziała na niego uważnie. Siedzący naprzeciw mężczyzna miał krótkie ciemne włosy, przysypane na skroniach lekką siwizną. Okrągła twarz sprawiała pocziwe wrażenie, choć w tym momencie przykryte autentycznym oburzeniem. Nie wyglądał na pewno na kapitana Żbika, który z łatwością rozwiązuje wszystkie zagadki kryminalne za pomocą swojej nieomyślnej intuicji. Raczej był typem gminnego urzędnika, co to siedzi za tym samym biurkiem od trzydziestu lat i już dawno przestało mu się chcieć cokolwiek, co wymagałoby wyjścia z biura.

– Pan kończył szkołę oficerską w Szczytnie? – zapytała naraz z zupełnie innej beczki.

Powoli pokręcił głową.

– A czemu się pani pyta?

– Tak z ciekawości – odpowiedziała, lekko się uśmiechając. Dostrzegł, że ma bardzo ładne usta i piękny uśmiech. Ale nie dał się nabrać. Wiedział już, że nie da się z nią zaprzyjaźnić. Byli wrogami

i trzeba ją było traktować jak przeciwnika. Czyli być bardzo ostrożnym.

– Ja na szkoły oficerskie i na studiowanie to czasu nie miałem. Zaraz po szkole średniej poszedłem do milicji. I w tej milicji dwadzieścia lat przepracowałem, aż doszedłem do stopnia starszego chorążego sztabowego. A jak przyszła wolna Polska, to zostałem w policji. I jak już były te nowe stopnie, to mnie jakoś zaszeregowali na pierwszy oficerski stopień. To co, miałem się nie zgodzić?

Pokiwała głową ze zrozumieniem. Pikuła w milicji nigdy nie została by oficerem, a w nowej rzeczywistości dostał szansę. Nic więc dziwnego, że ją wykorzystał. Tyle że jako oficer śledczy okazał się jednak mało przydatny.

– Człowiek wykształcony lepiej rozumie otaczający go świat.

– Ja tam już dobrze rozumiem to wszystko, co dzieje się dookoła.

– To skoro pan wszystko rozumie, to dlaczego nie chce pan zrozumieć mnie?

– Że niby jak?

– No tak, że od zdarzeń na parkingu, na którym zabito dwóch ludzi i jednego pozbawiono palca, minęły dwa dni, a wy nadal nic nie macie. A to oznacza, że zamiast złapać morderców samodzielnie, czekacie, aż przyjadą tu ludzie z wojewódzkiej i odwalą za was robotę.

– Na nic nie czekam – oburzył się Pikuła.

– To proszę mi powiedzieć, co żeście w tej sprawie zrobili?

Prokurator wstała z krzesła za biurkiem i podeszła do okna. Spojrzała na zewnątrz. Zaczynał jesienny deszcz i do tego wiał zimny wiatr. O takiej pogodzie mówiło się, że psa z domu by nie wygonił. Pomyślała więc, że ma szczęście, bo przez tego siedzącego na krześle

gościa będzie musiała sama pojechać na ten parking i rozejrzeć się na miejscu, żeby sobie wyrobić zdanie na temat zbrodni. W aktach nie było nawet jakiegoś rozsądnego szkicu, dzięki któremu można by było się zorientować w terenie. Będzie musiała zrobić wszystko sama.

Ze złością spojrzała na swoje białe rajstopy, które założyła do wiśniowej spódnicy i garsonki. To nie były rzeczy, w których mogłaby ganiać po lesie. Do tego botki na wysokim obcasie nie nadawały się do brodzenia w błocie. Musi jechać do domu i ubrać się adekwatnie do sytuacji. Na szczęście miała w szafie wojskowe spodnie moro i nieprzemakalną kurtkę z kapturem. Traperki do chodzenia po górach też leżały gdzieś wciśnięte na półkę. Przebranie zajmie jej pół godziny, ale jeszcze musi dojechać do swojego mieszkania w Opalenicy. To zajmie kolejne pół godziny, potem jeszcze droga do Pniew... Nie, stanowczo zbyt długo to potrwa. Trzeba przełożyć tę wizję lokalną na jutro, bo dzisiaj dotrze na miejsce, kiedy zacznie się robić ciemno. Jutro będzie można umówić się z tym Pikułą od rana...

– Panie komisarzu, jutro pojedziemy na ten parking razem. Chcę sama wszystko zobaczyć.

Pikuła wzruszył ramionami. Pomyślał, że jutro będzie równie paskudna pogoda jak dzisiaj, ale na szczęście to dopiero jutro. Dziś nigdzie nie będzie musiał się wybierać, co było bardzo istotne ze względu na fakt, że był umówiony ze swoim kolegą Barszczewskim na piwo. A wiadomo, że takie męskie piwo to święta rzecz i kiepsko by było odwoływać spotkanie.

– Jak mamy jechać, to czemu nie. Jutro może nie będzie padać, więc lepiej chodzić tam po tym lesie na sucho. A tak w ogóle to pani prokurator co sobie życzy tam znaleźć?

– Znaleźć to raczej nic. Chcę się tylko rozejrzeć.

– A, to rozumiem. Ja wszystko pani pokażę, gdzie leżeli i w ogóle. Bo miejsce jest cały czas zapaliskowane i otoczone żółtą taśmą.

Bocian wróciła na swoje miejsce i usiadła za biurkiem. Otworzyła szufladę i wydobyła z niej paczkę marlboro i starą metalową zapalniczkę na benzynę. Podsunęła papierosy policjantowi. Ten skwapliwie skorzystał z okazji. Włożył sobie papierosa do ust i chciał po dżentelmeńsku wziąć zapalniczkę, żeby przypalić sobie i jej, ale była szybsza. Wykrzesła ogień i mu podała.

To go zdziwiło. W końcu wyglądała jak dama, a z tą zapalniczką zachowała się jak ktoś nieobyty. Przecież wszyscy wiedzieli, że ogień podają mężczyźni. No może ona po prostu była za młoda, żeby znać się na dobrych obyczajach. A ta zapalniczka to jakiś muzealny za-
bytek z zagranicznymi napisami. Takich się już od dawna nie używa. Teraz każdy szanujący się człowiek nosi przy sobie kolorowe przezroczyste jednorazówki z Zachodu.

– A co z palcem? – zapytała znienacka.

Pikuła spojrzał na swoje palce, w których trzymał papierosa.

– No a co ma być? Nic nie jest. Ale trochę poźółkły od palenia
ćmików. No wie pani, ja to nie na co dzień palę te amerykańskie, co pali pani prokurator. Przyzwyczajony to ja jestem do popularnych bez filtra. I to od nich skóra się robi żółta. O, tu, gdzie trzymam papierosa.

Wypuściła dym nosem, rozszerzając przy tym dziurki. Pięknie, jak narowista klacz, pomyślał Pikuła, ale zaraz wrócił do rzeczywistości, ściągnięty ze świata fantazji jej ostrym głosem.

– Z palcem, tym obciętym, do licha!

– A, z tym! Z tym to nic. Wsadzili go na pogotowiu do lodu, a później w takiej puszcze dali do prosektorium.

– I nic żeście z nim nie zrobili?

– A co miałem zrobić? Przecie go się przyszyć już nie da.

– Ja się pytam, czy żeście rozesłali informacje do szpitali w okolicy, czy ktoś bez palca nie potrzebował ostatnio pomocy?

Na twarzy Pikuły pojawił się szeroki uśmiech. Tym razem nie dał się zapędzić w kozi róg.

– Melduję, że informacja o tym została wysłana do wojewódzkiej komendy w Poznaniu dalekopisem i pytanie nasze przekazane do wszystkich placówek w województwie poznańskim.

– No to chociaż coś. A odciski palców, znaczy się palca, czy zostały zdjęte?

Pikuła poczuł, że znów pot ścieka mu po skroniach. O odciskach palców wcale nie pomyślał. W końcu to nie były palce, tylko jeden palec, więc takim jednym nie dałoby się obsłużyć całej tabeli wszystkich dziesięciu palców, gdzie przestępcy musieli składać swoje odblaski opuszek. Ale jak ona chce, to się z tego palucha odblask, a nawet i dziesięć. Pod warunkiem oczywiście, że w prosektorium nie wyrzucili go do pieca. Bo przecież wszystko się mogło zdarzyć.

– No pewnie, że zostały zdjęte – skłamał w żywe oczy. Bo niby kto miał myśleć o jakichś zasranych odciskach palców z jednego palca. Może nawet się tak stało, że technik zjął tam na miejscu, ale nic mu nie powiedział, a on nie zapytał, bo po jakiego diabła mu ta wiedza. No ale jak ta mała cholera chce, to niech jej będzie. Jak stąd wyjdzie, to najpierw znajdzie Frąckowiaka, technika, który był na miejscu i zabezpieczał ten palec, i zapyta, gdzie są odciski palców tego palca. A jak Frąckowiak powie, że nie zdejmował, to on zrobi wielkie oczy

i zapyta go, czy on aby na pewno dobrze się czuje i czy chce pracować w policji, jak nawet odcisku z palca nie umie zdjąć.

No i problem się sam rozwiązał, pomyślał zadowolony z siebie policjant.

Poznań
Godzina 19.30

Na Kościuszki nie było daleko. Wystarczyło tylko wyjść z komendy wojewódzkiej na Kochanowskiego, skręcić w prawo, na końcu ulicy jeszcze raz w prawo, a dalej już cały czas prosto. To w normalnych warunkach jakieś dziesięć minut marszu. W normalnych, to znaczy wtedy, gdy człowiek idzie krokiem sprężystym, czyli marszowym. Ale Mariusz szedł powoli i ostrożnie. Nie, wcale się nie chwiał i nie musiał szukać ścian budynków, by się podpierać. Nie był pijany, ale można by powiedzieć, że lekko był podпиты. No ale jak w takim dniu mogłoby być inaczej? Wracał przecież ze spotkania pożegnającego swojego mentora.

Spojrzał na zegarek. Do dwudziestej zostało jeszcze pół godziny, więc nie musiał się śpieszyć. Mógł się przespacerować, zastanawiając się nad tym, co wydarzyło się dzisiaj i wcześniej, przez ostatnich sześć lat jego życia. Tym bardziej że deszcz przestał już padać, a zimny wiatr przeleciał przez miasto i zniknął gdzieś na wschodzie, za Winogradami, pozostawiając powietrze nieruchome i na powrót śmierzące węglowym czadem i spalinami samochodów.

Zatrzymał się na narożniku, tuż koło wejścia do Szpitala Miejskiego Raszei. Poklepał się po kieszeniach, szukając zapalek. Nie znalazł. I dobrze, pomyślał, bo wcale nie miał zamiaru palić. Tego papierosa, którym poczęstował go Brodziak, wziął tak odruchowo, włożył do ust i zaraz go wyciągnął. Nie wiedział, po co to zrobił.

Nigdy nie palił. Pomyślał, że może to okazja, żeby choć raz zapalić z Mirasem? Nie, kompletna bzdura. Co ma palenie do odejścia kolegi ze służby? Wystarczyło przecież, że opił to jego pożegnanie, choć w zasadzie to był prawie abstynentem. Pijał tylko przy szczególnych okazjach. No ale dzisiaj okazja była wyjątkowa.

– No i co teraz będziesz robił? – zapytał Marcinkowski, choć wszyscy już od jakiegoś czasu wiedzieli, jakie Mirek ma plany.

– Będę się nudził za duże pieniądze – zażartował Brodziak, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Przecież ty tam oszalejesz z nudów – skomentował Blaszkowski. Mirek pokiwał głową.

– To prawda, że takiej zabawy jak tu – wskazał palcem coś nieokreślonego nad głową, co w domyśle mogło być komendą wojewódzką – no i takiego towarzystwa jak wy, chłopaki, to raczej już nie znajdę w życiu. A pamiętasz, Fred – zwrócił się do Marcinkowskiego – jak żeśmy się poznali?

Marcinkowski skinął głową i już chciał coś powiedzieć, gdy od drzwi odezwał się Teofil Olkiewicz:

– No, panowie, co żeście myśleli, że stary Olkiewicz gdzieś przepadł i już się nie znajdzie? Nic z tego. Ja wiedziałem, że Miras przyjdzie się żegnać, więc poszedłem poszukać jakiejś wódeczki i czegoś na zakąskę.

Postawił na stole konferencyjnym, przystawionym do biurka szefa wydziału, butelkę wyborowej, a obok papierowe zawiniątko, które natychmiast się rozwinęło, odsłaniając smakowicie wyglądającą kiełbasę.

– Wyborowa z Poznania i śląska z Buszewka, czyli same specjały. A jak żeś powiedział o tym zapoznaniu się, to pragnę nadmienić, że wtedy, w tą noc, jak się wojna zaczynała, to i ja dołączyłem do wydziału i razem ześmy rozwiązywali zagadkę tych zastrzelonych gości z Solidarności, co ich nasi koledzy z SB załatwili za pomocą kuli pistoletowej⁴.

– Prawda – potwierdził Brodziak. – To trzeba za to wypić.

Chwyił butelkę, otworzył ją i rozlał wódkę do kieliszków. Olkiewicz podstawił mu swój, który zapobiegliwie przyniósł z sekretariatu.

– Picie, drodzy koledzy, w miejscu pracy to poważne wykroczenie – powiedział Marcinkowski, unosząc swój kieliszek. – Ale, jak sami wiecie, bywają takie chwile, że niewypicie jednego... no może dwóch kieliszków świadczyłoby o wyjątkowym braku kultury.

– Prawda – poparł go Olkiewicz. – W pracy się nie pije, ino co najwyżej można degustować. No to zde gustujmy zdrowie Mirasa, któren przepracował z nami szmat czasu i teraz idzie gdzieś tam na poniewierkę!

Wszyscy unieśli kieliszki i zaraz wypili.

– A ty, Blacha – ciągnął dalej Olkiewicz – jak żeś do nas przyszedł, to ja bym za ciebie złamanego grosza nie dał. Taki byleś akuratny i grzeczny, że se myślałem, że nic z ciebie nie będzie. A tu proszę, nawet żeś mnie dogonił w ilości gwiazdek na pagonach.

– Bo się chłopak do nauki przykładał – rzucił Marcinkowski. – Jak do nas przyszedł za sprawą Mirka, to tyś był chorążym sztabowym, a on za ledwie starszym szeregowym.

Mariusz pokiwał głową. Nic nie odpowiedział, bo właśnie przed sekundą włożył sobie do ust solidny kawałek kielbasy. Nie był wytrawnym pijakiem, jak niektórzy z jego kolegów, więc gdy już mu

się zdarzało pić wódkę, musiał ją czymś zapić albo zagryźć, by szybko usunąć palący gorzki smak.

Rzeczywiście, gdy trafił do wydziału, wcale nie zapowiadał się na dobrego policjanta. To Brodziak go dostrzegł w tłumie. Służył wtedy w ZOMO na Taborowej. Jego pluton został przydzielony do zabezpieczania terenu nad Wartą, gdzie dwaj wędkarze wyciągnęli z wody bezgłowe zwłoki kobiety. Na widok okaleczonego ciała Mariusz mało nie zemdleł. Być może właśnie ta nadwrażliwość sprawiła, że Brodziakowi zrobiło się żal chłopaka. Posłał go więc wraz z dzielnicowym na pobliskie osiedle, by poszukali jakichś świadków. I okazało się, że Mariusz znalazł faceta, który coś w nocy widział nad rzeką. To zadecydowało. Brodziak powiedział o nim Marcinkowskiemu, a ten, będąc wówczas zastępcą szefa wydziału, załatwił mu przeniesienie z ZOMO do wojewódzkiej⁵. I tak, przez kompletny przypadek, chłopak zaczął pracę w zespole śledczym, z którego później oddelegowano go do szkoły oficerskiej w Szczytnie. Wrócił do Poznania z dwoma gwiazdkami podporucznika krótko przed tym, jak milicja przestała istnieć. Młody podporucznik MO został podkomisarzem.

– Ale prawda jest taka, że gdyby nie Mirek, toby mnie tu z wami dzisiaj nie było – powiedział, wstając z miejsca. Więc dlatego, jak jestem niepijący, chciałem wznieść toast za Mirasa. Stary, dziękuję za wszystko! – Uniósł kieliszek, który zdążył już napełnić Olkiewicz.

Brodziak uśmiechnął się i skinął głową w podziękowaniu, szybko przełknął swoją wódkę.

– Chłopaki, ja bez was to w zasadzie co mam robić? Nic nie zrobię – stwierdził nieco bełkotliwie, bo już mu trochę wódka poszła w język. – Jak chcecie, to ja wam w moim nowym miejscu pracy wszystkim robotę załatwię. Co, Teoś, chcesz? Blacha, chcesz? Tobie,

Maryjanek, też dam radę załatwić. W moim banku, znaczy się banku Rycha i też trochę moim...

– A co ja bym tam niby miał robić? – Zdumiony Marjański sięgnął po papierosa. – Ja przecież jestem policjantem z krwi i kości, a nie bankierem.

– W banku, w którym od przyszłego tygodnia będę dyrektorem i szefem ochrony, znajdzie się miejsce dla każdego. Ty, Maryjanek, mógłbyś być szefem działu... Jak to się, cholera, nazywa, taki dział, że się dba o to, żeby bank dobrze wyglądał?

– Od wizerunku – przypomniał sobie Marjański.

– No właśnie, ty jesteś literat, tobyś mógł pisać te wszystkie ulotki do ludzi, żeby zostawiali w banku pieniądze. Czyli że musiałbyś ich przekonywać, że nasz bank jest najlepszy.

– Ja nie wiem, czy to jest robota dla literata – krygował się Marjański, choć widać było, że się zainteresował ofertą kolegi. W końcu miał różne zdolności, a literatura była jego mocną stroną. Jakiś czas temu napisał nawet książkę o ciężkiej milicyjnej robocie⁶. Książka miała zostać wydana w serii „Ewa wzywa 07” w dziewięćdziesiątym roku. Ale niestety, wraz z upadkiem komuny upadła też seria propagandowa i wtedy Marjański odczuł pewną ulgę. Bo gdyby książka się ukazała, to ktoś mógłby odnieść błędne przekonanie, że on był apologetą minionego ustroju i wiodącej siły narodu, czyli PZPR. Ale na szczęście jego milicyjny kryminał przepadł gdzieś w czeluściach wydawnictwa. Nie wytrzymało ono czasu przemian, a Marjański został literatem, który napisał powieść, tyle że nie mógł jej zaliczyć do swojego artystycznego dorobku.

– Z ciebie, Blacha, zrobię swojego zastępcę – planował dalej Brodziak, szastając stanowiskami. – Fred mógłby zostać dyrektorem

operacyjnym, bo na skomplikowanych operacjach się zna, a Teoś... z Teosia zrobimy...

– Dla mnie roboty w banku nie znajdziesz – stwierdził Olkiewicz.
– Ja się w ścianach duszę – powiedział i rozpiął kołnierzyk koszuli. – Ale nic się nie martw, Miras, bo będę do ciebie zachodził na pogaduchy o pierdołach.

Gdy spotkanie powoli dobiegało już końca, Brodziak wyciągnął z kabury pod pachą swój nieregulaminowy pistolet. Była to amerykańska beretta, którą kiedyś zarekwirował pewnemu bandycie podczas jakiejś akcji. Broń udało się zalegalizować i dzięki temu Mirek stał się właścicielem spluwy, której zazdrościli mu wszyscy koledzy noszący służbowe P-64.

– Fred, zostawiam tobie tą pukawkę. Nie mam cywilnego zezwolenia na broń, a ta beretta jest przecież służbowym gnatem. Niech idzie w dobre ręce – powiedział, kładąc broń na blat stołu. Mariusz pomyślał, że Fred powinien przekazać ją któremuś z nich, ale Marcinkowski najwyraźniej zamierzał schować pistolet do szuflady. Szkoda, bo miał na niego ochotę. Zresztą Marjański też patrzył pożądliwie. Tylko Teofil nie zwracał na berette uwagi. On robił przegląd flaszek, szukając tej, w której zostało jeszcze trochę wódki. Niestety, wszystkie trzy butelki opróżniono do sucha.

Marcinkowski wziął do ręki pistolet, potrzymał go przez chwilę, jakby ważył go w dłoni, a potem podał Mirkowi.

– Masz jeszcze tydzień służby. Oddasz, jak będziesz się odmeldowywał.

Mariusz wszedł na drugie piętro i włożył klucz do drzwi. Te jednak otworzyły się od razu. Za nimi stała Wiktoria.

– Czekaaś na mnie! – ucieszył się, wchodząc do domu.

– Cicho! – ostrzegła go, jakby głośniej wypowiedziane słowa mogły zbudzić jakiegoś śpiącego smoka. Pewnie nie chciała, żeby któreś z jej dzieci ich usłyszało. Jej mieszkanie było dokładnie naprzeciwko.

Pociągnęła go za ramię i natychmiast zamknęła drzwi na zamek. Mariusz zdjął swoją popielatą drelichową kurtkę, a potem ściągnął sportowe adidas.

– Co to za konspiracja? – zapytał, wchodząc do pokoju. Zdziwiony dojrzał na ławie stojącej wzdłuż kanapy, pomiędzy dwoma fotelami, butelkę wina i dwa kieliszki. – Jakieś święto mamy dzisiaj?

– Wypijmy najpierw – poleciła Wiktoria, wskazując na leżący na blacie korkociąg. Mariusz szybko poradził sobie z korkiem, po czym nalał bułgarską wytrawną soperę do kieliszków.

Usiadł na tapczanie pewny, że ona przysiadzie się do niego. Wybrała jednak fotel. Wzięła kieliszek do ręki, przez chwilę wpatrywała się w głęboką czerwień wina, a potem wypila całą zawartość.

– Wika, co jest z tobą? – zapytał, bo jej zachowanie było dość nietypowe.

– On wrócił... – odpowiedziała, nalewając sobie kolejną porcję wina.

– Kto? – nie zrozumiał w pierwszej chwili.

– Jak kto? Mój mąż, Oskar Łabędzki, facet, który zostawił mnie i własne dzieci, wrócił, jakby się nic nie stało. Przyjechał, stanął w drzwiach i powiedział: „Kochanie, jestem!”, a dzieciaki oszalały z radości.

Rozdział II

Poznań
Godzina 19.50

Mirek Brodziak też wracał z firmy pieszo. Nie śpieszył się nigdzie, więc postanowił niezbyt odległą trasę z komendy do swojego mieszkania na Woźnej przejść spacerkiem. Chciał zapamiętać ten dzień, kiedy po latach służby wreszcie podjął decyzję, by odejść. Zostawiał za sobą pracę, którą lubił, wielu ludzi, których szanował, i przede wszystkim przyjaciół. No ale przecież nie wyjeżdżał na koniec świata. Zostawał w Poznaniu, a jego bank był całkiem niedaleko, bo przy placu Wolności. Jeszcze trzy lata temu pomysł swojego najbliższego kumpla Rycha Grubińskiego nazywanego Grubym Rychem, poznańskiego cinkciarza i faceta od lewych interesów, uważał za kompletną mrzonkę. Rychu wymyślił sobie, że kiedyś przestanie handlować walutą na ulicy i założy własny bank. W osiemdziesiątym ósmym roku to rzeczywiście był pomysł, który można było od razu zakwalifikować do tych z gatunku science fiction. Ale rok później wszystko się zmieniło. Zmienił się kraj, w którym dotychczas handel dolarami czy markami był traktowany jak przestępstwo, zmieniły się też przepisy. Z dnia na dzień wprowadzono możliwość legalnego obrotu walutami. Rychu dowiedział się o walutowych planach rządu znacznie wcześniej niż inni i dzięki temu dobrze się przygotował. W noc przed wprowadzeniem nowych przepisów wzdłuż drogi prowadzącej z Poznania do Świecka i na samej granicy z Niemcami stało kilka

punktów wymiany walut. Podobne kantory otworzył też w Poznaniu. I w taki oto sposób z dnia na dzień przestępca Grubiński stał się poważnym biznesmenem. Otwarcie własnego banku, który dla odróżnienia od tych wszystkich kas państwowych nazwano Bankiem Ziemskim, sprawiło, że Brodziak z dnia na dzień stał się zamożnym człowiekiem. Rychu bowiem w to przedsięwzięcie zainwestował sporo pieniędzy, między innymi gotówkę, którą Mirek pomógł mu odzyskać, odbierając ją z rąk konkurencji. Grubiński uznał, że część tej kasy należy do przyjaciela. Brodziak nie miał ochoty brać od kumpla pieniędzy pochodzących z przestępstwa. W końcu był jeszcze wtedy milicjantem. Gdy powstał bank, ze zdziwieniem dowiedział się, że ma w nim dziesięć procent udziałów. Więc jego odejście z policji było tylko kwestią czasu. Ten czas właśnie nadszedł.

Przeszedł przez plac Cyryła Ratajskiego, by po chwili ulicą Ratajczaka dostać się na plac Wolności. Zamierzał przeciąć go na ukos, bo trzeba było przejść Stary Rynek, by dotrzeć na jego ulicę. Minąwszy skrzyżowanie, wszedł na przejście dla pieszych. Po drugiej stronie ulicy był kiosk czynny do dwudziestej. Postanowił zaopatrzyć się tam w papierosy, bo paczka mu się właśnie skończyła. Podeszedł do budki i nachylił się do okienka.

- Ma pan camele? - zapytał.
- A co mam nie mieć? - odpowiedział kioskarz.
- To poproszę.
- Proszę. Sześć tysięcy.
- A co takie drogie?
- Jak co, panie, przecież to camele, znaczy peweksowskie ćmiki. Jak za drogo, to za połowę ceny weź se pan caro. Dobrze, bo polskie.

Wziął camele. Polskim papierosom przestał już dawno ufać. Choć ludzie mówili, że ich jakość od jakiegoś czasu zaczęła się poprawiać. Nie był jednak na tyle zdesperowany, żeby sprawdzać to metodą organoleptyczną. Zapłacił i ruszył przed siebie. Naraz dostrzegł coś dziwnego. W kamienicy naprzeciwko, ozdobionej złotymi literami układającymi się w dumny napis „Bank Ziemski”, zobaczył samotne światło na drugim piętrze. Rozpoznał natychmiast to okno. Tam mieścił się gabinet prezesa banku.

– A ten co tam robi o tej porze? – zapytał sam siebie, zapalając papierosa. Rychu miał dziś iść z jakąś dziewczyną do teatru. Przedstawienie miało się rozpocząć o dziewiętnastej, tak przynajmniej mówił Mirkowi. Widać jednak coś go zatrzymało.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, zbliżył się do drzwi i przycisnął dzwonek. Po chwili usłyszał jakieś trzaski dochodzące z głośnika domofonu, a potem zachrypnięty głos:

– Bank jest nieczynny już – poinformował go ochroniarz. Brodziak od razu rozpoznał, z kim ma do czynienia.

– Panie Walasik, nie śpij pan.

– A to pan kapitan, jak Boga kocham. Już otwieram – odpowiedział głos i zaraz zamilkł.

– Nie, niech pan nie otwiera tylko... halo, panie Walasik!

Ale Walasik nie odpowiedział. Zdaje się, że wyskoczył ze swojej dyżurki i pognął na dół, żeby wpuścić Brodziaka. Choć ten wcale nie miał zamiaru wchodzić. Chciał tylko się zapytać, czy prezes jest w banku...

Usłyszał odgłos klucza przekręcanego w solidnych przedwojennych drzwiach, a potem jeszcze jednego i w końcu zgrzyt odsuwanej masywnej stalowej sztaby. Jedno skrzydło otworzyło się i na zewnątrz wychyliła się głowa w czapce z daszkiem.

– Pan kapitan, jak pragnę zdrowia. Co to, już pan się za robotę bierze? Bo to mówią, że dopiero za kilka dni ma pan zacząć...

– A tak tylko przechodziłem i zobaczyłem, że się świeci.

Drzwi otworzyły się szerzej i Mirek wszedł do środka. Walasik autentycznie ucieszył się na jego widok. To dzięki niemu miał dobrze płatną pracę w banku. Wszystkich ochroniarzy pracujących w systemie trzymianowym, dwadzieścia cztery godziny na dobę, wybierał Brodziak. Rychu poprosił go, żeby to on przejrzał podania i wybrał najlepszych. No i wybrał samych byłych milicjantów, jeszcze w sile wieku, którzy z różnych powodów odeszli z firmy po weryfikacji. Nie wnikał, z jakich. Brał takich ludzi, co do których miał pewność, że będą sumiennie wykonywać każdy rozkaz. I rzeczywiście, w ten sposób stworzył trzydziestoosobową gwardię pretoriańską pilnującą bezpieczeństwa banku i prezesa.

– Świeci się, bo pan prezes przyjechał.

– A co się stało?

– Nie wiem, czy się co stało, ale widać było, że wkurwiony. Nie na mnie, ma się rozumieć, ale ogólnie. I z nim jeszcze przyjechał pan Waligóra.

– Kto?

– No pan inżynier z zakładu naprawczego.

– Ano tak – przypomniał sobie Brodziak. Waligóra był szefem warsztatu, w którym doprowadzano do stanu używalności samochody sprowadzane z Niemiec. To „doprowadzanie” polegało na przebijaniu numerów na bloku silnika, przykręcaniu nowych tablic i wystawianiu polskich dowodów rejestracyjnych. Rychu pozbył się tego warsztatu w chwili, gdy zaczynał legalną bankową działalność. Tak przynajmniej powiedział Mirkowi. Ale jak widać, chyba nie zerwał całkowicie kontaktów z ciemną stroną mocy.

Ta wieczorna wizyta zaintrygowała Mirka na tyle, że postanowił jednak zajrzeć do biura prezesa.

– To, panie Walasik, ja w takim razie idę na górę sprawdzić, w jakiej sprawie to wkurwienie jest – wyjaśnił.

Strażnik pokiwał głową. Rozumiał, że jeśli ktoś może pomóc prezesowi, to na pewno jest to ten tu kapitan, który wszelkie problemy w trakcie śledztw rozwiązywał szybko i zdecydowanie. Walasik przekonał się o tym w osiemdziesiątym piątym, gdy któregoś dnia Brodziak przyjechał na Chłapowskiego do jego komisariatu.

Od kilku godzin męczyli się z jednym gościem podejrzanym o morderstwo w jednej z kamienic na Górnej Wildzie. Facet najpierw wielokrotnie zgwałcił i na przemian torturował pewną młodą kobietę, a na koniec ją udusił. Złapano go na klatce schodowej, prawie na gorącym uczynku. Milicjanci nie mieli wątpliwości, że to jego robota, ale gość nie chciał się do niczego przyznać i nie miał zamiaru współpracować. Wytrzymał nawet lanie, które spuścili mu milicjanci na dzień dobry, ale na Brodziaka okazał się za cienki. Mirek, który przejął śledztwo, wszedł do pokoju przesłuchań. Siedziało tam już wraz z podejrzanym dwóch sierżantów. Jednym z nich był Walasik. Oficer usiadł naprzeciwko aresztowanego, bez słowa wy dobył z kieszeni kurtki niewielki bębnekowy rewolwer Smith & Wesson 36, położył go przed sobą i spojrzał na faceta, uśmiechając się złowrogo. Ten obserwował go z bezczelną miną przylepioną do chropowatej twarzy. Dwaj milicjanci również wpatrywali się w tego rudzielca z wojewódzkiej, o którym sporo słyszeli, ale nie widzieli nigdy w akcji. Brodziak tymczasem wyciągnął paczkę cameli, zapalił srebrną zapalniczką Zippo, zaciągnął się dymem i sięgnął po rewolwer. Aresztowany przełknął głośno ślinę, poruszając wystającą grdyką. Najwyraźniej czuł, że coś

się święci. Mirek znów się uśmiechnął, a potem otworzył magazynek bębenny i powoli zaczął wyjmować z niego kule, jedna po drugiej, a każdą po kolei stawiał na blacie. Po chwili było ich pięć. Przyjrzał się im uważnie, po czym jedną wziął w dwa palce i wsunął w otwór magazynka. Zatrzasnął i wprowadził bębenek w ruch. Gdy się zatrzymał, nikt z ludzi siedzących w pokoju nie miał pojęcia, w jakim położeniu jest kula.

– Słyszałeś o ruskiej ruletce? – Brodziak przerwał pełną napięcia ciszę. Gwałciciel pokręcił głową. – To taka gra, w której masz połowę szans na przeżycie. To znacznie więcej, niż dałeś tej dziewczynie, którą zamordowałeś.

– Nikogo nie za...

– Zamknij się. Możesz się odezwać tylko wtedy, kiedy będziesz chciał się przyznać.

– Ale...

– Siedź cicho i patrz.

Brodziak wziął do ręki rewolwer i przyłożył go sobie do skroni. Dwaj sierżanci poderwali się z krzeseł.

– Siadać! – przywołał ich do porządku. Usiedli posłusznie. W pokoju zrobiło się tak cicho, że słyhać było tylko muchę latającą pod sufitem. A później wszyscy usłyszeli suchy trzask, gdy kapitan pociągnął za spust.

Strzał był pusty. Brodziak wyszczerzył zęby w uśmiechu, a dwaj sierżanci odetchnęli z ulgą. Za to w oczach gwałciciela pojawił się strach.

– Teraz twoja kolej – powiedział kapitan i przysunął rewolwer w jego kierunku. – Twój ruch, kolego.

– Ja pierdolę, weźcie go ode mnie. Weźcie ten pistolet i tego pojeba!

Brodziak wstał z krzesła, oparł się dłońmi o stół i wycedził szeptem:

– Bierz gnata i strzelaj albo ja ci go przystawię do łba. Jeszcze nie skończyliśmy naszej gry.

– Panowie, zabierzcie tego psychola. Ja pierdolę, przyznaję się, że ja zabiłem. Przyznaję się do wszystkiego, tylko go stąd zabierzcie!

Brodziak popatrzył na milicjantów, potem wstał bez słowa i wyszedł. Sierżant Walasik pobiegł za nim.

– Panie poruczniku! – zawołał, a Brodziak się zatrzymał.

– No co tam, sierżancie?

– Zastanawiam się... Znaczy się, bo wydaje mi się, że pan zaryzykował, ale nie wiem, czy to ryzyko było potrzebne, bo ten i tak...

– Ja nie mam czasu na pieprzenie się z takim gnojkiem – rzucił Brodziak, uśmiechając się. – A ryzyka nie było.

Sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej nabój do rewolweru.

– Bębenek był pusty, ale on o tym nie wiedział. Wy też nie wiedzieliście.

– O ja pierdolę – jęknął milicjant, a w tym jęknięciu słychać było nieskrywany podziw. Chwilę później sierżant Walasik odebrał od gwałciciela i mordercy zeznanie z przyznaniem się do winy.

Teraz spoglądał w ślad za tym desperatem, który wiedział, jak zmusić twarde jednostki do zeznań.

Brodziak zniknął za drzwiami windy. Wsiadł na piętrze i poszedł do sekretariatu długim korytarzem, którego kamienna podłoga wyłożona była zielonym chodnikiem.

W sekretariacie nie było nikogo, więc od razu skierował się do drzwi gabinetu prezesa. Nie były zamknięte. Przez szparę wypływała smuga światła, oświetlając mu drogę.

Przystanął na sekundę, a usłyszawszy podniesiony głos przyjaciela, chwycił za klamkę, pociągnął ją ku sobie i wszedł do środka. Rychu, dostrzegłszy go, pomachał ręką, najwyraźniej zadowolony.

– Ty zawsze wiesz, kiedy jesteś potrzebny – powiedział, uśmiechając się szeroko.

– Szef ochrony musi wiedzieć, kiedy się pojawić.

– No i dobrze, że jesteś, bo zdaje się, że mamy kłopoty – stwierdził Grubiński i odwrócił się w kierunku siedzącego za długim stołem inżyniera Waligóry. Ten pokiwał głową, robiąc przy tym zatroskaną minę.

– Poważne?

– Jak cholera – przyznał Rychu. – Powiedziałbym nawet, że śmiertelnie poważne.

Mirek podszedł do barku i nalał sobie do szklanki johnniego walkera. Nie musiał pytać prezesa o zgodę. Czuł się jak u siebie, a kłopoty Grubińskiego zawsze były jego kłopotami.

Godzina 21.40

– Wika, to przecież nie ma kompletnie sensu.

– Sensu? Czy życie ma w ogóle jakiś sens? – odpowiedziała ze smutkiem, spoglądając w pusty kieliszek, na którego ściankach widać było jeszcze smużki spływających kropelek czerwonego wina.

– No pewnie, że tak... Yyy... Wszystko, co robimy, ma sens. Oczywiście, jeśli robimy coś dobrego... No to... wtedy budujemy coś ważnego dla siebie i dla innych. Yyy... Przecież budowaliśmy nasz związek... – Mariusz próbował w jakiś racjonalny sposób ułożyć swoją opowieść o ładzie i harmonii świata, ale najwyraźniej mu nie szło. Wypił stanowczo za dużo, jak na swoje marne umiejętności pijaka amatora, i teraz czuł, że myśli mu uciekają gdzieś na bok. Najpierw powstają w głowie jasne i klarowne, a gdy już je widzi i są na wyciągnięcie ręki, za nic w świecie nie można ich złapać, nie mówiąc o stworzeniu z nich składnych zdań. „Dla rozjaśnienia myśli najlepiej jest wypić kielicha, wtedy się człowiekowi od razu obraz klaruje i bystrość powraca”, mawiał jego kolega Teofil Olkiewicz. Nie próbował dotąd tego sposobu, ale Teoś chyba wiedział, co mówi, bo pił zawsze w dużych ilościach i choć w kwestiach intelektualnych nigdy nie był orłem, to jednak w pracy sobie jakoś radził.

– Wiesz co, wypijemy jeszcze – zaproponował i sięgnął po butelkę. Ale była pusta. Wstał więc i poszedł do kuchni. W szafce pod zlewem miał jeszcze kilka butelek bułgarskiego merlota. Kupił jakiś czas temu cały karton, żeby mieć zapas na wszelki wypadek. Wiktoria bardzo lubiła czerwone wytrawne wino, więc w ten sposób chciał jej sprawić przyjemność. Sophia była całkiem niezła i co najważniejsze, dostępna w każdym sklepie. Mówiło się, że Bułgaria winem właśnie spłaca swój dług wobec Polski i dlatego powinniśmy się przyzwyczaić do tych win, bo całość spłacą za jakieś pięćdziesiąt lat. A jak już to zrobią, to cała Polska będzie tak przyzwyczajona do tej bułgarszczyzny, że nic innego nie będzie narodowi smakować.

Wydobył butelkę z kartonu, szybko otworzył ją korkociągiem. Gdy wrócił do pokoju, Wiktorcia nadal siedziała na fotelu, wpatrując się w pusty kieliszek. Nie miał pojęcia, co powinien jej powiedzieć, Chciał być racjonalny i logiczny w swojej argumentacji, ale jak miał to zrobić, skoro nie potrafił znaleźć żadnych sensownych argumentów?

Postawił wino na blacie i naraz coś mu przyszło do głowy.

– A wiesz, miałem ci o tym powiedzieć, ale jakoś mi wyleciało.

Spojrzała na niego zaciekawiona. Uśmiechnął się, stwierdziwszy, że udało mu się wyprowadzić ją choć na chwilę z tej katatonii.

– No więc byłem w zeszłym tygodniu na Łazarzu i tam u tego gościa, co, wiesz, tego, co handluje płytami i kasetami, zamówiłem płytę Depeche Mode. No i proszę bardzo... hmm... Przedwczoraj podjechałem do niego, jak byłem w mieście, i miał już dla mnie, prosto z Berlina, album *Violator*, a w nim twój ulubiony *Personal Jesus*.

– O, to świetnie – odpowiedziała mu bez specjalnego entuzjazmu. Uwielbiała Depeszów, był więc przekonany, że ta wiadomość ją zelektryzuje. W końcu to była prawdziwa płyta, a nie jakieś pirackie nagranie na kasecie ze Stilonu Gorzów. Jakość była gwarantowana. Szczególnie gdy odtwarzało się muzykę na dobrym sprzęcie. Mariusz kilka miesięcy temu kupił wieżę Sony. Zawsze marzył o takim zestawie składającym się ze wzmacniacza, radia, magnetofonu i gramofonu. Jeszcze do niedawna takie cuda można było dostać tylko za dolary w peweksie, ale gdy nastąpiła demokracja, nagle w zwykłych sklepach radiowo-telewizyjnych, w których jeszcze do niedawna można było oglądać tylko puste półki, zaczęły pojawiać się świetne towary za złotówki. Kupił więc cały zestaw, poświęcając na to swoje dwumiesięczne zarobki. Ale ani przez chwilę nie żałował.

Wieża sprawowała się bardzo dobrze, a muzyka wypływająca z polskich głośników Altus zachwycała swoją doskonałością.

Podszedł do meblościanki, na której ustawił sprzęt, wyciągnął płytę z kartonowej, a potem papierowej okładki, położył ją na gramofonie i ostrożnie opuścił igłę. Coś zgrzytnęło, ale zaraz z głośników popłynęła cisza, przyprószona delikatnym świergotem winyla, który powoli otwierał przed słuchaczami muzyczną przestrzeń. Najpierw pojawiły się klaskające dźwięki keyboardu, zaraz dołączyła do niego elektryczna perkusja, zlewając się z klawiszami w jeden rytm, a po chwili doszedł wokal...

Mariusz stał przez chwilę, zasłuchany w pierwszy utwór, gdy nagle z tego stanu zespolenia z muzyką wyrwał go głos Wiktorii.

- Ściszej, proszę!
- Co? - nie zrozumiał w pierwszej chwili.
- Zrób ciszej. Nie mam nastroju na muzykę.
- Ale przecież to Depeche...

Naraz zrozumiał, że mówi poważnie. Chciał jej umilić te trudne chwile muzyką, ale najwyraźniej nie potrzebowała takiej muzycznej kroplówki.

- Przepraszam, chciałem ci... no wiesz...
- Wiem - potwierdziła, skinąwszy głową. - Wiem, ale muzyka nic tu nie pomoże... Nalej wina.

Wielkie pokrętko wzmacniacza obrócił prawie maksymalnie w dół. Muzyka wypływała teraz z głośników bardzo cienkim strumieniem. Podszedł zaraz do stolika, rozlał wino i usiadł na tapczanie, najbliżej, jak się dało, fotela, na którym siedziała Wiktorii. Stuknęli się kieliszkami i wypili, on zaledwie mały łyk, ona opróżniła szkło do dna.

– Czyli że co w takim razie...? – chciał zapytać, ale nawet jeszcze nie wiedział, o co. Przerwał, gdy położyła mu palec na ustach.

– Jak zaczęła się Solidarność, mieszkaliśmy w wynajmowanym pokoju na Winiarach. Tam niedaleko były akademiki. Przychodzili do nas studenci, chłopacy i dziewczyny z uniwerku i ekonomicznej. W tym jednym pokoju siedzieliśmy na dwóch fotelach, dwóch krzesłach i na podłodze. Nie mogliśmy mówić za głośno, bo w łóżeczku leżała mała Karolinka. Miała wtedy dwa latka. Zakrywaliśmy łóżeczko kocykiem, żeby światło jej nie raziło. A my wszyscy siedzieliśmy i gadaliśmy. Mój mąż był wtedy wykładowcą socjologii na Szamarzewie. Takim typowym młodym naukowcem z tamtych czasów. Wiesz, długie włosy, broda i wełniany sweter do dzinsów, a na nogach buty zamszowe, takie szczury. A jego studenci całkiem podobni, tyle że brody mieli krótsze, a dziewczyny w tych długich sukienkach, narzuconych na ramiona dzinsowych bluzach, z chustkami kolorowymi na głowach... I wszyscy palili papierosy. Nie pozwalałam na palenie w mieszkaniu, bo byśmy się tam zaczadzili, więc palili na klatce schodowej albo na ulicy. Bo oni do niego po wykładach, znaczy po zajęciach, przychodzili, żeby gadać o tym, co się w kraju dzieje. Cały ten rok osiemdziesiąty żeśmy z tymi młodymi ludźmi przegadali. Zresztą my też wtedy byliśmy niewiele starsi od nich. A on był dla nich takim autorytetem. Tak pięknie mówił o Polsce, o tym, jak dla niej trzeba się poświęcać. Że nowoczesny patriotyzm to wcale nie umieranie za ojczyznę, ale przede wszystkim praca dla niej, dla ludzi, dla tych, którzy mają najgorzej. Że oni, ci właśnie studenci, powinni zakasać rękawy i pomagać robotnikom, uczyć ich i robić wszystko, by poprawiać ich położenie.

Wskazała na pusty kieliszek. Natychmiast jej nalał. Tym razem tylko przepłukała usta.

– Wiesz, pamiętam ten czas. Wtedy chodziłem jeszcze do ogólniaka...

– Taka byłem z niego dumna – wróciła do przerwane go wątku, zupełnie nie zwracając uwagi na to, co powiedział Mariusz. Opowiadała dalej, tak jakby go tu wcale nie było. – On mi tak bardzo imponował, ten mądry człowiek, ten mój mądry mąż, na którego studenci patrzą jak w obrazek i słuchają tego, jak trzeba zmieniać Polskę. „Nie jesteśmy w stanie wyrwać się z uścisku Sowietów, bo taka jest sytuacja geopolityczna. Już pewnie na zawsze zostaniemy w sferze sowieckich wpływów. Więc chodzi o to, żeby wyszarpać dla siebie jak najwięcej swobody, rozluźnić tę niewolniczą obrozę, którą mamy na szyi, żeby móc jak najwięcej zrobić dla siebie i swojego narodu. Dlatego musimy zdecydowanie powiedzieć sobie, że nie mamy odwrotu od socjalizmu. Musimy tylko z niego wydobyć te wszystkie elementy, które sprawiają, że może ludziom żyć się dobrze, a odrzucić to, co jest w tym ustroju złe, czyli wszystkie te układy, układziki prowadzące do korupcji czy nepotyzmu. To się nazywa socjalizm z ludzką twarzą. I taki ustrój zbudowany przez nas... nie, nie przez nas, starych, lecz przez was, młodych, bo to wy będziecie budować ustrój sprawiedliwości społecznej i powszechnej równości, taki właśnie ustrój musicie zbudować. Ale żeby tak się stało, ta cała partyjna nomenklatura musi odejść...” Tak pięknie mówił o Polsce i socjalizmie jak o czymś nierozdzielalnym, nienaruszalnym i ponadczasowym. A potem przyszedł stan wojenny i zobaczyłam zupełnie innego człowieka. Na początku przez kilka dni siedział w kuchni, bojąc się w ogóle wyjść z domu. Miałam wrażenie, że się załamał. A on cały czas zastanawiał się nad jedną kwestią: dlaczego go nie aresztowali? Zażartowałam, że chyba nie był dla nich zbyt ważny, a on się wściekł. Myślałam, że zaczną rzucać meblami i talerzami. Jakieś kompletne szaleństwo. Oczywiście

przeprosił, wyjaśnił, że jest na skraju załamania nerwowego... Gdy w lutym ruszyła uczelnia, zaczął normalne zajęcia. I znów pojawili się w naszym domu studenci. Ale już nie na spotkaniach dyskusyjnych. Odbierali paczki z ulotkami i wychodzili w pośpiechu. Mój mąż zaangażował się w podziemie, jakby chciał nadgonić stracony czas, jakby chciał przekonać milicję i esbecję, że popełnili poważny błąd, nie internując go. No i doczekał się. W osiemdziesiątym trzecim weszli do naszego mieszkania nad ranem. Kuba miał wtedy roczek. Znaleźli całą stertę dopiero co wydrukowanej bibuły. Zabrali go, ale po trzech miesiącach wypuścili. Dalej się miotał, jeździł po Polsce, organizował manifestacje i ciągle siedział w tych ulotkach. Jego nie było w domu, a ja zajmowałam się dwójką dzieci i chodziłam do pracy. Wtedy dostałam etat w filharmonii... Wszystko było na mojej głowie, jego nie było, za to co chwilę wpadała milicja i robiła w domu kipisz. I powiem ci, że jak wsadzili go po raz drugi, odczułam coś w rodzaju ulgi. Pomyślałam wtedy, a dokładnie to pamiętam, że będziemy mieć wreszcie święty spokój.

Któregoś dnia wrócił do domu i powiedział, że wypuścili go pod warunkiem, że wyjedzie za granicę. To znaczy najpierw on, a potem ściąganie nas. Rozumiesz, on wcale nie pytał mnie, co myślę na ten temat. Powiedział, że wyjeżdża i że wyrobili mu nawet już paszport, i dają bilet do Niemiec, bo w ten sposób pozbywają się niebezpiecznego człowieka podziemia. Powtarzał to, że jest dla nich niebezpieczny i że się go boją...

Wyjechał, a po jakimś czasie przyszedł ten list. Mój bohater, bojownik o wolność Polski i wszystkich ludzi, który chciał pracować dla kraju i poświęcać wszystko, poświęcił ojczyznę i rodzinę dla wygodnego życia... I teraz ten pierdolony bojownik o prawo i sprawiedliwość wrócił do domu, jak gdyby nigdy nic, jakby

wyjechał przed tygodniem, i wiesz co? Przywiózł dla mnie džinsy, amerykańskie lewisy, o dwa numery za małe. Kurwa, za małe, bo przez ten czas, jak go nie było przy mnie, dupa mi urosła, a on przecież nie mógł tego wiedzieć...

Przerwała, wpatrzona w światełka wieży stereofonicznej. Płyta już dawno się skończyła, ale nikt nie pomyślał nawet, żeby puścić drugą stronę. Mariusz nie miał pojęcia, co powinien teraz powiedzieć. W zasadzie to nawet czuł, że cokolwiek by powiedział, i tak nie znajdzie żadnych słów, które mogą w jakikolwiek sposób odnieść się do tej historii albo wysnuć z niej jakiś sensowny wniosek. Zrobił więc to, co każdy mężczyzna potrafi zrobić w sytuacji, w której nie ma pojęcia, jak się zachować przy kobiecie. Chwycił ją za rękę i lekko pociągnął ku sobie. Popatrzyła na niego zdumiona jak księżniczka Lea na mistrza Yodę, ale poddała się, wstała z fotela i usiadła obok, na sofie. Wtuliła się w niego, więc wykorzystał ten moment, by poszukać jej ust. Pocałował ją, a ona, jakby tylko na to czekała, zaczęła go całować mocno, namiętnie, niemal drapieźnie. Zdarli z siebie ubrania, a potem połączyli się ze sobą spleceni w ekstatycznym uścisku, szukając siebie w sobie nawzajem, jakby świat miał się zaraz skończyć... Jakby mieli kochać się po raz ostatni.

Godzina 22.30

Wszedł po schodach wiodących do komendy wojewódzkiej. Stojący w drzwiach policjant zaszalutował. Musiał znać Brodziaka z widzenia, bo nie zażądał okazania żadnego dokumentu. Mirek machnął ręką na powitanie i otworzył drzwi. Wtedy uświadomił sobie, że nigdy dotąd nie widział tego przyszczatego chłopaka. A może widział, ale nie zwrócił na niego uwagi? Tak, chyba musieli gdzieś wpaść na siebie, bo młody go poznał, a to on nie wiedział nic

na temat tego początkującego szkieła⁷. Chyba się starzeję, pomyślał. Kiedyś znał wszystkich, z każdym młodym potrafił pogadać chociaż przez chwilę. Był otwarty na tych, którzy zaczynali robotę, i dlatego udało mu się kilku z nich wyłuskać z szarego tłumu, a potem pomóc w znalezieniu odpowiedniej roboty po ukończeniu zasadniczej służby. Tak przecież było z Blachą. Chyba miał dobrego nosa do ludzi.

Zatrzymał się i cofnął. Podeszedł do wartownika, który spoglądał na niego ze zdziwieniem.

– Ty wiesz, kto ja jestem? – zapytał, a posterunkowy zadrżał. Źle zacząłem, pomyślał, widząc strach na jego twarzy. Pewnie wystraszył się, że chce go sprawdzić i zameldować później, że wpuścił faceta nocą bez skontrolowania dokumentów. – Znaczy, czy my się znamy? – poprawił się. Chłopak pokręcił głową.

– Melduję, panie komisarzu, że ja pana znam, bo dwa miesiące temu byłem z panem na przeszukaniu u tego gościa, co to handlował amfetaminą w tabletkach. No, pamięta pan komisarz, na Łazarzu to było. Gość miał całą pakę tego gówna z Niemiec w pudle z kawą. To ja znalazłem – dodał z dumą w głosie.

Naraz Mirek przypomniał sobie tę akcję. Jacyś faceci przewozili do Polski zupełną nowość na rynku, amfetaminę, czyli lek pobudzający, który doskonale sprzedawał się w berlińskich dyskotekach. Ładowali ją do paczek po kawie i przemycali w kartonach. Tego gościa złapano prawie na gorącym uczynku, to znaczy niemal zaraz po tym, jak przyjechał z towarem z Berlina. Zakapował go któryś z jego kumpli, gość, który dostał towar i nie miał z czego spłacić. Postanowił więc pozbyć się kłopotu, wsypując dostawcę. Miał jednak pecha, bo ten przemytnik, którego wsadził Brodziak przy pomocy młodego policjanta, wyszedł na wolność po czterdziestu ośmiu godzinach.

– No tak, rzeczywiście. Kosela się nazywasz – przypomniał sobie.

– Tak jest, Wojtek Kosela – odpowiedział wyraźnie zadowolony posterunkowy. – I co, panie komisarzu, z tym facetem od amfy? Siedzi już chyba?

Mirek wyciągnął camela, włożył go do ust i już chciał podpalić, lecz spojrzał na młodego policjanta i pomyślał, że zachował się niegrzecznie. Podsunął mu paczkę. Kosela przełknął ślinę na widok dobrych papierosów.

– Nie mogę palić na warcie – wyjaśnił.

– Weź fajkę na później – polecił Brodziak. Chłopak sięgnął po papierosa i zaraz ukrył go w kieszeni kurtki moro. – Ten gość od amfy to wyszedł po odsiedzeniu cztery osiem.

– Jak to?

– A tak to, że u nas amfetamina nie jest zaliczana do narkotyków.

– Nie jest? – Posterunkowy był najwyraźniej zdumiony.

– No nie, to jest lek pobudzający sprzedawany na receptę. Można sobie pójść do lekarza i poprosić o zapisanie, bo się, na ten przykład, chce długo pracować w nocy. Wśród studentów podczas sesji jest to popularne lekarstwo. A temu gościowi można co najwyżej dać kolegium za handel lekami bez recepty.

– No ale jak to? U nas na kursach mówili, że to narkotyk, co jest coraz bardziej popularny na Zachodzie, ale i w naszym kraju. Wiem to, bo na każdej dyskotece u nas sprzedaje się amfę, i to wcale nie taką z apteki.

– Widać prawo nie nadaża za życiem – rzucił Mirek, po czym zgasił papierosa w popielniczce stojącej przed drzwiami. Machnął ręką na pożegnanie i wszedł do środka. Dyżurny siedzący za szklaną szybą z niewielkim okienkiem spał w najlepsze. Musiał mu przerwać

drzemkę, żeby dostać się dalej. – Też, Heniu! – powiedział, pochylając się nad okienkiem do podawania dowodów osobistych i przesyłania informacji głosowych metodą usta-ucho i na odwrót. Heniu otworzył oczy. Dostrzegłszy Brodziaka, zdziwił się.

– No przecież żeś już dziś wychodził – stwierdził i ziewnął, powoli się przeciągając.

– A co to, człowiek nie może sobie po nocy popracować?

– Może, pewnie, że może, tylko po co?

– Dla dobra ludowej ojczyzny.

– Już ona nie ludowa, ale... cholera ją wie, jaka ona teraz.

– Bandycka, Heniu, bandycka.

Sierżant Heniu Lasota przycisnął guzik zwalniający elektroniczną blokadę drzwi wiodących do niezbyt obszernego holu komendy. Mirek poszedł ku schodom. Pokój, w którym pracował, znajdował się na drugim piętrze. Szybko wspiął się na górę i stanawszy pod drzwiami, zaczął szukać klucza w kieszeni. Miał swój własny, dorobiony już lata temu. Tak było wygodniej, bo nie trzeba było pobierać klucza z dyżurki. W ten sposób pracownicy wydziału mogli wchodzić do swojego pokoju i budynku komendy i wychodzić stamtąd, kiedy tylko była taka potrzeba, i nikt tego nie rejestrował.

Namacał klucz, ale go nie wyjął. Dostrzegł bowiem świetlistą smugę wydobywającą się z wąskiej szpary pomiędzy skrzydłem a framugą. Czyżby ktoś był w środku? Przecież wszyscy lokatorzy tego pokoju już dawno poszli do domu. A może jakiś złodziej? Nie, bzdura kompletna. Przecież złodzieje nie okradają komendy wojewódzkiej. To raczej jakiś szpieg. Ktoś, kto chce się dowiedzieć, czym się zajmują oficerowie wydziału dochodzeniowo-śledczego. Kiedyś szpiegowali ich esbecy, a teraz być może faceci z UOP-u. No to jeśli złapał tych gości na przetrząsaniu ich biurka, to zaraz robi

z nimi porządek w dawnym milicyjnym stylu, tak że będą spieprzać w podskokach.

Wydobył z kabury ukrytej pod pachą beretę, położył dłoń na klamce, przycisnął, a potem z impetem pchnął drzwi.

– Ręce do góry i ani pary z gęby, bo...

Mężczyzna siedzący przy biurku na prawo od drzwi najwyraźniej nie miał zamiaru nic mówić. Popatrzył zdumiony na Brodziaka i uniósł obie ręce. Mirek najpierw dostrzegł butelkę w prawej, potem szklankę w lewej dłoni. W końcu zobaczył przestraszoną twarz Teosia Olkiewicza.

– A ty co tu robisz? – zapytał zdziwiony Brodziak.

– Jak co, do cholery? – odparł Olkiewicz. – No przecież jestem w pracy.

– Przecież ześ wychodził razem ze mną.

– Wychodziłem, ale się zawróciłem – wyjaśnił podkomisarz, opuszczając ręce. Postawił flaszkę i szklankę na blacie biurka. – A ty co z gnatem do pokoju włączysz? Ty nie wiesz, że każdy pistolet czy nawet giwera to może samobezwzględnie wypalić? A jeszcze tym bardziej, jak jego się trzyma w łapie.

– Myślałem, że ktoś się włamał do naszego pokoju.

– Do naszego? A niby po co?

– No wiesz, takie różne myśli przychodzą człowiekowi do głowy. Zwłaszcza jak przychodzi w nocy, a tu światło – wyjaśnił Brodziak, wkładając pistolet do kabury.

Teofil pokręcił głową.

– Ty to już chyba ześ się przepracował całkowicie do tego banku. Przecież my tu niejedną noc spędziliśmy na dyżurach nocnych. Niejedną flaszkę się tu nocą obaliło.

– Prawda – zgodził się z nim Brodziak. Wszedł w końcu do środka i zamknął za sobą drzwi. Podeszedł do swojego biurka stojącego w głębi pokoju i usiadł na krześle.

– A ty czemu żeś przyszedł z powrotem? – zapytał Olkiewicz.

– Chciałem coś sprawdzić w depezach z teleksu, co do nas przychodzą. Miałem tu gdzieś u siebie całą stertę tych z ostatniego tygodnia. – Mówiąc to, Mirek zaczął przekładać papiery leżące w przymie o niebezpiecznej wysokości.

Teofil obserwował go uważnie. U niego na biurku panował idealny porządek. Nie było tam nic prócz szklanki i flaszki. Olkiewicz nie lubił ani pisać, ani czytać, a każdy zapisany papier traktował jak zło konieczne i gdy mógł, odsuwał go od siebie z obrzydzeniem jak najdalej. Najlepiej na biurka kolegów albo na półkę z niepotrzebnymi papierami.

– A o co dokładnie się rozchodzi? – zapytał, a potem wlał reszkę wódki do szklanki. – Za dużo nie ma, ale się z tobą podzielę – stwierdził, obrzucając krytycznym spojrzeniem do połowy napełnione naczynie.

– Pij, Teoś, pij na zdrowie. Ja jutro muszę być w formie. Mam robotę.

– Że niby co się stało?

Brodziak przerwał poszukiwania i popatrzył na Olkiewicza. Znali się od dziesięciu lat i mieli do siebie pełne zaufanie, bo nieraz jeden ubezpieczał drugiego w trudnych sytuacjach, dlatego Mirek nie zamierzał niczego ukrywać przed kolegą.

– Sprawa poza wydziałem. Ktoś sprzątnął dwóch ludzi Grubego Rycha, a jednemu obciął palec.

– Aua! – jęknął Olkiewicz, spoglądając na swoje palce. – Musiał mieć do niego złość jaką. Tak jak wtedy, w osiemdziesiątym szóstym, ten gość, co to tym dwóm ręce obciął, pamiętasz?

Mirek skinął głową. Prowadzili tę sprawę, która przerodziła się w śledztwo obejmujące swoim zasięgiem nie tylko Poznań, ale i Katowice, bo bandzior działał w różnych miejscach, zostawiając po sobie krwawe ślady⁸.

– A jak szukasz tego, co to pisali chłopaki z Nowego Tomyśla o obciętym palcu i dwóch zabitych gościach, to patrz się do wiadra na śmieci. – Wskazał na kubeł stojący w rogu pokoju. – Jak zostałem w robocie na dyżurze, bo wzięłem nocny za Czecha Kaliszana, co musiał pilnie wyjechać na pogrzeb, bo mu wuja zmarł, to pozbierałem te śmieci, co leżały na podłodze, bo wiesz, że ja nie lubię siedzieć, jak gemela jest w pokoju. No to wywaliłem te papiery do śmieci, ale najpierw się zmusiłem i przeczytałem, czy tam czego ważnego nie było. Same bzdury to były, ale jeden był ciekawy, o tym obciętym paluchu. To przeczytałem do końca, a potem wyrzuciłem.

Skończył, chwycił szklankę i dopił do końca.

– Teoś, jesteś genialny – ucieszył się Mirek, poderwał z krzesła i poszedł grzebać w śmietniku.

Teofil nic nie odpowiedział. Dobrze wiedział, że genialny to może nie jest, ale co jak co, głowę to ma nie od parady. Milicyjną głowę... znaczy teraz już policyjną.

Godzina 23.20

– W zasadzie to niech pan da jeszcze jedno piwo – poprosił, siadając przy barze. Najpierw chciał wypić tylko pięćdziesiątkę, a potem wrócić do domu. No ale jakoś tak wyszło, że do tego domu

nie bardzo chciało mu się wracać, bo nie widział konkretnego celu. Miał tam sam siedzieć i zastanawiać się nad sensem życia? Po co. Wyszedł zaraz, jak Wiktoria wróciła do siebie. Nie, nie do siebie, do mieszkania, w którym czekali na nią mąż i dzieci, czyli modelowa rodzina, która miała szansę na szczęśliwą przyszłość. A on stał temu szczęściu na przeszkodzie. Nic więc dziwnego, że postanowiła się go pozbyć.

– I co teraz będzie? – zapytał, gdy leżeli obok siebie zmęczeni i, jak mu się wydawało, szczęśliwi.

– W sensie? – Zawsze tak było, ilekroć nie potrafiła od razu odpowiedzieć na jakieś niewygodne pytanie, próbowała zyskać na czasie, choć dobrze wiedziała, o co mu chodzi.

– Co będzie z nami – odparł. – Z tą całą, powiedziałbym, niezbyt komfortową sytuacją.

– Komfortową czy niekomfortową... Cholera, no przecież wiesz. Prawda jest taka, że wszystko się zmieniło.

– No rozumiem. W końcu to, że on się pojawił, wprowadziło pewne zamieszanie w naszym życiu. – Poczuł, że jasność umysłu, przytłumiona wcześniej alkoholem, zaczyna wracać. Mógł więc zająć się szczegółową analizą rzeczywistości, w której się znaleźli. No i naraz zrozumiał, co ona chce mu powiedzieć. Co oznacza to całe spotkanie. Ona przyszła się z nim pożegnać.

– Nie mogę być żoną zdradzającą męża z sąsiadem – powiedziała, sięgając po papierosa z paczki leżącej na blacie ławy. Zapaliła. Nie skomentował tego. Czekał na to, co ona chce mu powiedzieć. Nie zamierzał jej niczego ułatwiać. – Musisz to zrozumieć. Wszystko się zmieniło. Ja wiem, że to idiotyczne, że zachowuję się jak idiotka, bo powinnam wyrzucić go z domu na zbitą mordę. Za to, jak mnie olał,

jak olał nasze dzieci, nie powinien mieć już nigdy wstępu do naszego domu. Ale stało się inaczej, niespodziewanie i bez obłączenia zdobył tę naszą twierdzę. Wszedł i rozsiadł się jak u siebie. I co najważniejsze, został powitany z entuzjazmem. Gdyby nie dzieci... Ale wiesz, dla nich to jest ojciec, kochany tatuś, który wrócił wreszcie do domu.

– Rozumiem – rzucił, gdy cisza zaczęła się przedłużać.

– Naprawdę? Kochany jesteś. Wiem, że nie chcesz mnie zranić. Naprawdę jesteś cudowny. Rozumiesz, że nie mam wyjścia?

– Rozumiem – potwierdził.

– Dziękuję. Muszę już wracać – oznajmiła, wstając z kanapy. Patrzył na jej nagie kształtne ciało, próbując zapamiętać każdy szczegół. Wiedział, że to kompletnie bez sensu, ale chciał zatrzymać ją w pamięci, bo tylko ten obraz od teraz będzie miał na własność.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, ubrał się i wyszedł z mieszkania. Stojąc na klatce schodowej, przez chwilę nasłuchiwał odgłosów dochodzących z naprzeciwka. Usłyszał kobiecy śmiech i głosy dzieci.

– Pierdolona rodzinna sielanka – mruknął sam do siebie i zaczął schodzić w dół. Nie bardzo wiedział, dokąd się wybiera. Musiał się przewietrzyć, uporządkować myśli i odpowiedzieć sobie na pytanie, które zadał tam, na górze, Wiktorii. Co dalej? No właściwie to nic. Będzie robił swoje, natykając się co jakiś czas na obcych ludzi z mieszkania vis-à-vis.

Wyszedł z klatki schodowej na chodnik przed budynkiem. Spojrzał w niebo. Nie było widać żadnej gwiazdy. Chmury musiały wisieć nisko, deszcz jednak nie padał. Poczul chłód, więc zapiął błyskawiczny zamek swojej drelichowej wojskowej amerykańskiej kurtki M-35, którą kilka dni temu kupił na Łazarzu. Koledzy w pracy

od razu ocenili, że wygląda jak porucznik Borewicz. Ale nie przeszkadzało mu to. Lubił Borewicza.

– Ej, ty! – usłyszał głos za sobą. Odwrócił się. Na ławce, na prawo od wyjścia, siedział jakiś facet. Przez chwilę mignął zarys jego brodatej twarzy, gdy pociągnął papierosa, a żar oświetlił ją upiornym światłem.

– Co? – mruknął, domyślając się, że ma do czynienia z jakimś bezdomnym, których w ostatnim czasie pojawiało się coraz więcej na ulicach. Smutny efekt zmian zachodzących w kraju.

– Ty się nazywasz Blaszkowski?

Zatkało go. Kloszard, który znał jego nazwisko? Ciekawe skąd?

– Powiedzmy, że tak. O co ci chodzi?

Mężczyzna wstał, wyrzucił peta na chodnik i ruszył przed siebie. Gdy wyszedł z ciemności i wkroczył w przestrzeń oświetlaną uliczną latarnią, Mariusz ze zdziwieniem odkrył, że ten facet wcale nie jest jakąś podwórkową łachudrą. Brodę i wąsy miał starannie przystrzyżone, a głowę przykrywała czapeczka z daszkiem w stylu polowego kepi amerykańskiej armii. Ubrany był w pikowaną sportową kurtkę, dzinsy i sportowe buty za kostkę. Ogólnie sprawiał przyzwoite wrażenie, ale jego mina rozwiewała wszelkie wątpliwości. Nawet jeśli zazwyczaj bywał przyzwoity, to wobec Mariusza nie miał wcale uczciwych zamiarów. Grymas na twarzy świadczył dobitnie, że nie jest do niego zbyt przyjaźnie nastawiony.

– Musimy pogadać – rzucił, podchodząc bliżej.

Blaszkowski zauważył, że gość zaciska dłonie w pięści. Stał metr od niego, czyli w miejscu najdogodniejszym do wyprowadzenia niespodziewanego ataku. Mariusz cofnął prawą nogę, żeby w razie napaści móc błyskawicznie ograniczyć powierzchnię ciała wystawioną na uderzenie. Tamten chyba tego nie zauważył, bo nie

zareagował. Gdyby był obyty w walce wręcz, powinien też lekko się obrócić, żeby mieć lepszą pozycję do wyprowadzenia ciosu.

– O czym chcesz gadać?

– O życiu.

– Słuchaj, nie wiem, kim jesteś, i nie mam zamiaru...

– Zamknij się, gnojku, i słuchaj. Odpierdol się od niej!

– Co?

– Trzymaj się od niej z daleka, bo jak nie, to cię, skurwysynu, zabiję.

Mariusz, kompletnie zdumiony, uniósł wzrok, by spojrzeć mu w oczy. Facet był o głowę wyższy od niego. Blacha złapał kontakt wzrokowy specjalnie, by skupić na sobie jego spojrzenie. Dostrzegł wściekłość, a może prawdziwą nienawiść. Zrozumiał, że ten człowiek mówi prawdę. Jeśli mu pozwoli, zabije go bez zmruczenia oka. Był od niego większy, bardziej postawny i zapewne silniejszy. Musiał więc wykorzystać jego siłę przeciwko niemu. Ale najpierw należało odwrócić uwagę i doprowadzić go do stanu, w którym nie będzie reagował racjonalnie. To była jego szansa.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi, grubasie.

Facet wypuścił głośno powietrze nosem, jak byk szykujący się do ataku.

– Wiktoria to moja żona. To moja kobieta, a ty mi ją...

– Uspokój się, grubasie. – „Grubas” najwyraźniej nie bardzo mu się podobał, więc Mariusz już wiedział, że trafił w czuły punkt.

– Zabiję cię, ty pierdolona zomowska gnido. Takich jak ty żeśmy na manifestacjach rozdeptywali i rozsmarowywali na bruku. Teraz, gdy nastąpiła wolna Polska, wasz czas już się skończył. Nie zostanie po was nawet smród. Tylko wstyd i hańba, ty zomowska kurwo!

– Już się nagadałeś, grubasie? To teraz zabieraj tą swoją grubą dupę i spierdalaj, bo cię zaraz zamknę za zakłócanie ciszy nocnej!

– Tylko jedno umiecie, wy zomowskie szumowiny, zamykać ludzi i dręczyć w więzieniach.

– Nie tylko, grubasie, to potrafimy. Umieemy jeszcze opiekować się kobietami porzuconymi przez grubasów z Solidarności...

To był ten moment. Zauważył, że złość, którą przeciwnik jeszcze wstrzymywał, przelała się i zaczęła wyciekać uszami, więc facet ostatecznie został wyprowadzony z równowagi. Uniósł obie dłonie z zaciśniętymi pięściami na wysokość głowy Mariusza, ale to był błąd. Nie zdążył wyprowadzić ciosu. Blacha zrobił to, czego uczono go na kursach samoobrony judo. Odwracając się do napastnika tyłem, jednocześnie wysunął prawą nogę i biodro. Pochylił przy tym głowę, a obie ręce wyciągnął ku górze. Atakujący facet potknął się na jego wysuniętej nodze, uderzył krocem w biodro, które wbiło się w niego, a on odruchowo podskoczył, uciekając od przeszywającego bólu. Ten moment wykorzystał Mariusz, ciągnąc go na własne plecy i ramię. Pochylił się przy tym gwałtownie, szarpiąc mocno za rękę. Napastnik wywinął kozła w powietrzu i z trzaskiem opadł na ziemię. Rozległ się stłumiony huk, jakby pękła chodnikowa płyta, a potem Blacha ze zdziwieniem poczuł, że coś chrupnęło mu w rękach. Na szczęście nie w żadnej z jego rąk, ale w tej, którą trzymał w zaciśniętych dłoniach. Przez sekundę nic się nie działo, a potem rozległ się przeraźliwy skowyt, który wydobył się z gardła leżącego na ziemi delikwenta. Niemal natychmiast w oknach domów po obu stronach ulicy zapaliły się światła. Kilka głów wychyliło się na zewnątrz.

– Co się tam, do cholery, dzieje? – wołał jakiś mężczyzna z drugiego piętra.

- Jezus Maria! Bandyci! - zawtórowała mu kobieta z trzeciego.
- Zamknąć ryje, wy chuję najebane - odpowiedział im zachrypnięty facet z bloku naprzeciwko.
- Panie Mariuszu, wezwać milicję? - zapytał rzeczowo gospodarz domu, Piotr Wójcik, mieszkający w tej samej klatce na parterze.
- Niech pan wezwie pogotowie. Facet ma chyba rękę wyrwaną ze stawu. Trzeba mu będzie nastawić.
- A co to za jebaniec? - zainteresował się stróż.
- Chyba jakiś pijak. - Blaszkowski nie chciał wdawać się w szczegóły. Gospodarz nie zdążył poznać męża Wiktorii, bo zaczął tu pracę kilka miesięcy temu.

Wójcik zadzwonił i pięć minut później była już karetka. Wraz z nią pojawił się patrol policji. Mariusz szybko wyjaśnił im, co się stało, a jego legitymacja służbowa potwierdziła, że to, co mówi, musi być najprawdziwszą prawdą.

Gdy na ulicy zrobiło się pusto, odjechał ambulans i rozeszli się przypadkowi gapie, a okna w mieszkaniach się zatrzasnęły, bo nie było już na co patrzeć, Mariusz ruszył wolnym krokiem przed siebie. Kilka minut później zatrzymał się i rozejrzał dookoła. Nawet nie zauważył, kiedy dotarł do skrzyżowania z ulicą Fredry. Wzburzony, zamiast wrócić do domu, wybrał się do miasta. Spojrzał na zegarek. Nie było jeszcze zbyt późno. Naraz usłyszał muzykę dochodzącą z lokalu na narożniku. A co tam, idę, zdecydował. Bramkarzowi przy drzwiach pokazał policyjną blachę i wszedł do środka bez płacenia. Przy barze zamówił wódkę, a potem piwo. W nocnym lokalu o wdzięcznej nazwie WZ trwał właśnie w najlepsze dancing, a głośna muzyka nadawała się idealnie, by wyciszyć skołatane myśli. Znany poznański zespół Drupio Band grał znany przebój zespołu Kombi *Black & white*, a piękna piosenkarka robiła, co mogła, by utrzymać

swój wokal na melodycznej linii. Nie było to jednak zbyt łatwe zadanie, zważywszy że i muzycy mieli z tym problem.

Godzina 23.50

– A czemu akurat do Wuzety? – zapytał Brodziak. Teofil wzruszył ramionami.

– Miejsce jak każde inne – stwierdził. – A zasadniczo to się rozchodzi o to, że tam jest dancing.

– Przecież ty nie chodzisz na tańce – zdziwił się Mirek.

– Zasadniczo to nie chodzę. Z powodu, że ja nie za bardzo lubię, jak za głośno grają.

– Pan komisarz to ma całkowitą rację – odezwał się prowadzący auto sierżant Grzegorz Kania. – Ja, jak piję, to nie tańczę, a muzyka to tylko w tle, niech tam sobie gra, byle żeby nie przeszkadzała, nie, Darek?

– No – odparł siedzący na miejscu pasażera starszy sierżant Dariusz Jakubczak. Obaj policjanci mieli dziś nocną służbę patrolową, polegającą na krążeniu po mieście. Więc gdy dyżurny komendy miejskiej połączył się z nimi i powiedział, że mają podjechać po dwóch funkcjonariuszy z wojewódzkiej, którzy potrzebują podwózki, potraktowali to jak przyjemną odmianę.

– To powiedz mi, Teoś, po cholere idziemy na ten dancing? – zapytał Brodziak. Olkiewicz spojrzał na niego jak wyrozumiały podoficer na ofertę kompanijną, która nie rozumie najprostszych decyzji dowódcy.

– No przecież ci tłumaczę, że jak jest dancing, to są ludzie. A jak są ludzie, to można się najważniejszych informacji dowiedzieć, bo,

po pierwsze, to jest od kogo, a po drugie to ludożerka już podpita, to bardziej rozmowna. No a po trzecie, na dancingu można się napić.

– I potańczyć – dodał sierżant Kania, który lubił tańczyć.

– Ja tam za tym przebieraniem girami nie przepadam – stwierdził Olkiewicz.

– To pan komisarz dużo traci – rzucił sierżant.

– Że niby jak? – zainteresował się Teoś.

– Ano tak, że człowiek se może każdą panienkę wymacać.

– Jak każdą? – Olkiewicz jeszcze nie zrozumiał, ale możliwość, którą otwierał przed nim sierżant, wydała mu się interesująca.

– No bo na ten przykład – zaczął wyjaśniać kierowca – siedzi se taka panienka w lokalu gastronomicznym i pije kawę albo nawet piwo. No to człowiek nie podejdzie tak do niej, nawet jak siedzi przy stoliku obok, i nie powie: „Czy mogłaby pani dać się przycisnąć tak mocno, żeby sprawdzić, czy ma pani twarde cycki?”. Bo jakby tak się człowiek zapytał, to zaraz by dostał od niej po ryju. A jak jeszcze na dodatek siedzi z facetem, to już zapomnij w ogóle, żeby ją można było wyciągnąć od stolika i chwycić, gdzie trzeba. A na dancingu to proszę bardzo. Siedzi se taka fajna panienka, jej chłop pije z kolegą i ani myśli iść tańczyć, bo już mu się giry płaczą, a ona się nudzi. No to wtedy wstaje ja i idę do stolika, gdzie oni siedzą, i mówię do tego jej najebanego faceta: „Czy pozwoli pan szanowny, żebym panią poprosił do tańca?”. A on spogląda na mnie i na nią i mówi: „Idź no se, Kaśka, podylaj⁹ z panem, bo się chyba nudzisz, a ja tu będę se na ciebie patrzył”. I Kaśka idzie z muchami w nosie, żeby mu pokazać, że jest na niego wkurzona, i w tańcu daje się ścisnąć jak cytryna. Wszystko po to, żeby temu jej Marasowi pokazać, że ona jest niezależna od niego. A ja se taką laskę wymacam z każdej strony i co wymacane, to moje.

- A ten Maras to co?
- Jaki Maras?
- No gadaliście, że ten przy stoliku, co z nią siedzi, to Maras.
- Nie, ja tylko tak przykładowo.
- Aha. Ale potem co z tą panienką? Bierzecie ją gdzieś na bok i tam na boku? No wiecie...
- No nie. Bo jeszcze by z tego jakaś bijatyka wyszła.
- Łe tam. - Olkiewicz machnął ręką. - Na co mi macanie bez niczego więcej. To już się wolę napić.
- A wiecie panowie, czym się różni kobieta od cytryny? - zapytał sierżant, zatrzymując samochód na wysokości kościoła Zbawiciela. Uśmiechnięty od ucha do ucha odwrócił się do oficerów.
- Że niby słodko wyglądają, a w środku kwaśne? - spróbował domyślić się Brodziak. Zadowolony Kania pokręcił głową.
- Bo cytrynę najpierw się rżnie, a potem wyciska, a z babkami jest całkiem odwrotnie, ha, ha!

Wysiedli z samochodu, który zaparkował w niewielkiej zatoczce. Obaj mundurowi policjanci zostali w aucie. Nie byli potrzebni w środku, żeby nie wywoływać zamieszania. Olkiewicz kazał im czekać, bo nie chciało mu się wracać do domu na Wildę pieszo.

Przy wejściu stało kilka osób, które próbowały dostać się do środka. Cerber, który pilnował drzwi, oceniał ich na oko i wpuszczał tylko tych, którzy wyglądali na ludzi z pełnymi portfelami. Blokował wejście młodzieży i żołnierzom na przepustce, bo to wiadomo, że ci wszyscy gówniarze nie dość, że nie śmierdzą groszem, to jeszcze z takimi kłopot. Wypije taki kilka piw i narzyga do kibla albo, co gorsza, obok i sprzątaczką będzie mieć robotę. Dlatego trzeba było już przy wejściu robić właściwą selekcję.

Marian Ignasiak, który w Wuzecie pracował już prawie czterdzieści lat, potrafił ocenić gościa jednym spojrzeniem. Uczył się tego od czasu, gdy zaraz po szkole gastronomicznej został pomocnikiem kelnera, potem kelnerem, a gdy przyszedł czas emerytury, zatrudnił się w szatni i na bramce. Kiedy dostrzegł podchodzącego do drzwi Teofila Olkiewicza, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Znali się jeszcze z czasów, gdy Olkiewicz pracował w SB, a Ignasiak był jego płatnym tajnym informatorem. Donosił o nastrojach, a Teofil wypłacał mu za to co miesiąc pewną kwotę z funduszu operacyjnego. Ignasiak podpisywał pokwitowanie, a pieniędzmi dzielili się po połowie. Dzięki temu kelner miał nad sobą parasol ochronny rozciągnięty przez Olkiewicza, więc mógł bez żadnej obawy o własne bezpieczeństwo handlować obcymi walutami na terenie restauracji.

Olkiewicz pomachał ręką, żeby zwrócić na siebie uwagę, ale Ignasiak już przekręcał klucz w drzwiach.

– Odsunąć mi się od wejścia i przepuścić! – zawołał do tłoczących się kilku młodych chłopaków.

– A co to, oni mogą wejść, a my nie? – oburzył się długowłose brunet z brodą i wąsami, wyglądający jak Jezus podczas wesela w Kanie Galilejskiej, czyli już w odpowiedniej formie do zabawy i czynienia cudów.

– Ciąg mi stąd, łachudro nieogolona. Tu tylko wstęp dla ludności z kulturą obycia. Proszę się ładować, panie inżynierze. O, pan z kolegą? Jak najbardziej, dla dwóch panów zarezerwowana rezerwacja oczekuje.

Obaj policjanci weszli do środka. Za nimi chciało wcisnąć się dwóch szeregowych na przepustce ze szkoły pancерnej, ale Ignasiak był twardy.

– Wojsko na dancing wchodzi tylko od porucznika wzwyż i z szablą przy boku – oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Ja mam szablę w domu – stwierdził szeregowy z rzadkim wąsem pod nosem.

– To idź po szablę, a ja tu na ciebie poczekam – rzucił były kelner i wypchnął obu wojaków na zewnątrz. Zamknawszy drzwi, odwrócił się do oficerów uśmiechnięty od ucha do ucha. – Panowie widzą, jaki to element próbuje się dostać na krzywy ryj. Ale, na szczęście, starego Ignasiaka nie tak łatwo wziąć na plewy.

– I w związku z tym ja, panie szanowny, z jednym zapytaniem do pana się chciałem wzwrócić. – Olkiewicz klepnął starego znajomego w ramię. – Bo to wiadomo, że jak jest pilna potrzeba, to się idzie do Ignasiaka.

– Pan wiesz, panie Teoś, że jak trzeba, to się pomoże.

– To przypominasz pan sobie, jak kilka miesięcy temu, zaraz, kiedy to było... chyba w styczniu? Jednego gościa, co to się awanturował na sali, co krzyczał, że on zna osobiście Stana Tymińskiego i że Wałęsa wygrał przez oszustwo...

– No co mam nie pamiętać. Tego gnojka wyrzuciliśmy, bo nikt nam w lokalu na Lecha nie będzie pluł, a potem zupełnie przypadkowo zajęli się nim jacyś inni goście, co im niby bejmy wisiał i niby dlatego ta awantura była tu u nas na sali.

– I pamiętasz pan, co działo się dalej?

– No to oczywista oczywistość. Mordę mu sprali i ponoć obcięli palucha.

– I o to się rozchodzi! – Zadowolony Olkiewicz spojrział na Brodziaka. – Widzisz, Miras, że łeb, choć stary, to się jeszcze do czegoś przydaje.

– Obcięli mu palec? To musi być przecież w aktach...

– Nic nie ma w aktach – wyjaśnił Ignasiak. – Sprawa niby honorowa. Załatwili między sobą. Gość z obciętą łapą się nie poskarżył, oddał kasę, a ci, co im był dłużny, odpuścili i nie obcięli mu niczego więcej.

– A tego gościa, co obciął, to gdzie znajdziemy?

– Jego to diabli wiedzą – odpowiedział Ignasiak – ale tego bez palca to nie będzie trudno, bo on się panienkami zajmował i chyba jeszcze zajmuje. Tyle że ja jego tu za często nie widuję. Chyba zmienił lokalizację.

– A kto jego widuje? – zapytał Brodziak, który już poczuł świeży trop i nie zamierzał go wypuścić.

– Idźcie se, panowie, na salę, napijcie się przy barze i poczekajcie. Ja się rozejrzę i podeślę wam jedną taką dupę, co dla niego latała i pewnie wie, w jakich rejonach jego można znaleźć.

Teofilowi nie trzeba było dwa razy mówić. Natychmiast ruszył do baru z nadzieją, że zanim wykidajło znajdzie panienkę, zdążą coś wypić.

Na parkiecie tańczyło kilkanaście par. Orkiestra grała przebój Zbigniewa Wodeckiego *Pszczółka Maja*. Wokalistka bezskutecznie próbowała dorównać sławnemu koledze i wyciągnąć z tej pieśni to, co dla wielu nieosiągalne, ale na szczęście rozbawione towarzystwo nie zwracało na jej wysiłki najmniejszej uwagi. Przy barze siedział tylko jeden klient wpatrzony w pełny pokal piwa. Olkiewicz wdrapał się na stołek obok niego i wskazał na barmana.

– Panie Fredku, nalej no pan dwie setki i coś do popicia, bo mi od tego gadania całkowicie w gardle się zaschło...

– Się robi, panie inżynierze – odpowiedział siwy barman, który nalewał tu wódkę i przyrządzał drinki od dwudziestu lat, więc zdążył już dość dobrze poznać alkoholowy gust Olkiewicza. – Robi się, wódka z powietrzem pół na pół i pepsi ciepła bez lodu dwa razy dla pana inżyniera.

Gość obok się odwrócił.

– Teoś? – zdziwił się.

– Blacha, jak Boga kocham. No nareszcie żeś się zachował jak prawdziwy człowiek czynu. Zamiast pójść spać po picciu, poszedł żeś się dopić. Patrz się, Miras, Blacha tu siedzi.

– Mariusz? – Zdumiony Brodziak klepnął go w ramię i wspiął się na kolejny stół. – Co ty tutaj robisz? – zapytał, ale nie doczekał się odpowiedzi.

– A to jest właśnie moja dobra znajoma, Samanta Foks. – Ignasiak przedstawił im pulchną tlenioną blondynkę, ubraną w skórzaną spódniczkę mini i czerwoną obcisłą bluzeczkę, podkreślającą obfity biust. – Samanta jest do panów predyspozycji – wyjaśnił. – A ja się oddalę natychmiastowo, gdyż obowiązki pod drzwiami, w postaci głośnego dobijania się, wzywają mnie pilnie.

Barman postawił na blacie dwie szklanki wypełnione do połowy wódką i dwie butelki pepsi. Teofil natychmiast zabrał się do degustacji.

Mirek wskazał dziewczynie stół obok siebie. Wskoczyła na niego lekko i zaraz skinęła na barmana. Ten pokiwał głową, bo wiedział, że ma jej nalać wody zabarwionej sokiem. Klient płacił jednak za drinka. Brodziak dobrze znał te numery, więc od razu ją ostrzegł:

– Jak chcesz pić, to na swój koszt. Ja ci nie stawiam, tylko pytam.

– A co to, nawet gardła nie można zwilżyć?

– To wolny kraj, więc możesz sobie robić, co chcesz, kochana. Ja ci czasu zabierać nie zamierzam, dlatego klienta, co ci zwilży, co tam chcesz jeszcze, zdążysz załapać. A mnie tylko powiedz, gdzie mogę znaleźć faceta bez palca.

– Tomcia Palucha?

– Nie wiem, jak się nazywa.

– Tomcio Paluch. Tak go nazwali, bo palca rzeczywiście nie ma. Miał obcięty jakiś czas temu.

– To gdzie go znajdę?

– A co z tego będę miała, że powiem?

– Jak co? – wtrącił się Olkiewicz. – Będziesz miała radochę, że pomogłaś takiemu miłemu panu jak mój kolega. No dalej, gadaj, dziewczyno, bo my tu czasu nie mamy na pierdolenie o Szopenie. Mów, gdzie ten Paluch bez palca urzęduje, i już możesz iść się kręcić na parkiecie.

– Ostatnio przesiaduje w Polonezie – powiedziała, zeskakując ze stołka. – Jest tam codziennie, bo ma trzy młode pindy do roboty – wyjaśniła. – Ale papierosa to możesz mi chyba dać, nie? – Uśmiechnęła się do Brodziaka. Ten poczęstował ją camelem, podał ogień, po czym odprowadził wzrokiem, gdy odchodziła w kierunku parkietu, zgrabnie poruszając biodrami. Musiał przyznać, że znała się na swojej robocie.

Rozdział III

Piątek
11 października
Godzina 8.10

Wojtek Kalafarski, nazywany przez kumpli Kalafiozem, obudził się z wielką suchością w ustach i bólem palca. Zaraz, jakiego, do cholery, palca? – pomyślał.

– Przecież nie może mnie boleć, jak ja już nie mam palca, bo mi go te chuje zboleła obcięty – powiedział sam do siebie, zdumiony tym odkryciem. Wyraźnie czuł ból w palcu, ale nie w miejscu ucięcia, lecz wyżej, na samej opuszce, jakby się tam czymś skaleczył.

Uniósł lekko rękę, by się upewnić, że to, co się wydarzyło tam, przy drodze, to nie jakiś straszny sen. Faktycznie, nie był to sen. Na miejscu palca była zakrwawiona gaza, przytwierdzona do ręki poplamionym bandażem zabezpieczonym plastrem. To znaczy, że palec nie odrósł i ten ból to jakieś oszustwo...

Podniósł się z łóżka, postawił bosc stopy na podłodze i zaczął się rozglądać. Wszystko na szczęście się zgadzało. Był we własnym domu, a dokładniej w mieszkaniu, w bloku na Winogradach, które wynajmował od roku, to jest od czasu, kiedy przyjechał do Poznania na studia. Teraz właśnie zaczynał drugi rok geografii.

I jak mam zacząć bez palca? – przyszła mu do głowy głupia myśl. Ale zaraz uświadomił sobie, że wcale nie jest taka idiotyczna. Przecież człowiek, jak pisze, to używa do przytrzymania długopisu palca wskazującego. A oni mu właśnie ten wskazujący ucięli. To

znaczy, że będzie musiał się nauczyć pisać, przytrzymując długopis następnym palcem...

Naraz usłyszał jakieś odgłosy dochodzące zza ściany, potem stukot drewniaków na podłodze z linoleum, po chwili dźwięk sikania i zaraz po nim spuszczenia wody w ubikacji.

Jolcia już wstała, zdążył pomyśleć, gdy rozległo się pukanie do drzwi jego pokoju.

– Proszę – rzucił niechętnie. Nie miał ochoty widzieć się z kimkolwiek, ale Jolcia Niemirska nie była, niestety, kimkolwiek. Była tak jakby trochę jego dziewczyną. Poznali się w ubiegłym roku. Przypadek sprawił, że z jeszcze jednym chłopakiem, długowłosym hipisem studiującym socjologię, zamieszkali wspólnie w trzypokojowym mieszkaniu. Ten socjolog się wprowadził, ale jakby go nie było, bo rzadko pojawiał się w swoim pokoju. Kalafior i Jolcia faktycznie mieszkali więc we dwójkę. A takie wspólne mieszkanie sprzyjało bliższym kontaktom. Spędzili nawet kilka nocy w jednym łóżku. Jednak żadne z nich nie zalegalizowało tego nieformalnego związku stwierdzeniem, że ze sobą chodzą. Faktycznie, częściej leżeli, niż chodzili.

– Wojtek, jak się czujesz? – zapytała dziewczyna zza drzwi. – Mogę wejść?

– Wejdz... tak!

Nacisnęła klamkę i wsunęła się do środka. Ubrana w różowy szlafrok szczupła blondynka o niebieskich oczach, przykrytych szklami okularów, podeszła do łóżka, wystukując każdy krok podszwami drewniaków. Przysiadła koło niego. Odwrócił się na bok, trzymając na wszelki wypadek rękę w górze.

– Daj, zobaczę. – Złapała go za ramię i delikatnie przysunęła je ku sobie. Nie protestował. Ten opatrunek to była jej robota. Dziewczyna

studiowała weterynarię i wiedziała, jak się opatruje zwierzęta, więc z człowiekiem też dała radę. Próbowwała go przekonać, że to tylko doraźne rozwiązanie problemu i że trzeba jechać na pogotowie, ale on nie chciał się za nic w świecie na to zgodzić.

– Wiesz, będą pytać, co i jak, a ten mój szef kazał mi trzymać gębę na kłódkę – wyjaśnił, choć w jego głosie nie było przekonania. Nie mógł jej przecież powiedzieć całej prawdy o tym, co wydarzyło się w tym lesie. Wiedziała tylko, że jeździ do Niemiec i przywozi samochody. Mówił jej, że to całkiem legalne zajęcie i że auta są kupowane tam na miejscu, a jego rola ogranicza się tylko do przejechania takim wozem z punktu a do b. Ale coś jej się w tym wszystkim nie zgadzało. Przede wszystkim to, że zarabiał na tym transportowym interesie ogromne pieniądze. Kilka tygodni temu pokazał jej pięćset marek. To był majątek. Miesięczna pensja nauczyciela w Polsce, którą on zainkasował za dwa kursy. Wtedy był trochę podpity, więc pewnie dlatego się jej pochwalił, a już następnego dnia próbował się wyłgać, twierdząc, że coś pokręciła, a wypłata była za kilka kursów. Nie uwierzyła mu. Zaczęła podejrzewać, że bierze udział w jakimś przekręcie. No i gdy dwa dni temu wrócił do domu bez palca i gdy nie chciał słyszeć o pójściu do lekarza, była już pewna, że należy do jakiegoś złodziejskiego gangu.

– Dlaczego szef nie pozwolił ci iść do lekarza? O co w tym wszystkim chodzi?

– Wiesz, bo to nie do końca legalne.

– Co? Kradniecie auta?

– Nie. Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że auto naprawialiśmy w zakładzie bez koncesji i tam taka maszyna do cięcia mi obcięła ten palec. A jakby się ktoś dowiedział, toby ten zakład zamknęli i by było już po naszej robocie. No rozumiesz...

Pokiwała głową, ostrożnie zdejmując opatrunek. Nie rozumiała, a właściwie nie miała zamiaru zrozumieć i uwierzyć w tę opowieść ewidentnie wyssaną z palca.

Zdjęła bandaż i natychmiast zmarszczyła nos. Rana wyglądała paskudnie.

– Nie jest dobrze – stwierdziła zła na siebie, że dała się przekonać do nicnierobienia. Przecież miała fachową wiedzę na temat ran i wiedziała, że tu potrzebna jest pomoc lekarza. Ale nie miała w sobie zbyt dużych pokładów zdecydowania i uległa tym jego idiotycznym argumentom. I teraz był efekt.

– Co jest? – zapytał wystraszony.

– Obawiam się, że jeśli nie pojedziemy do szpitala, to za chwilę utną ci całą rękę.

– Co? Chyba zwariowałam.

– Nie, nie zwariowałam. Mówię, co widzę. Za chwilę wda się zakażenie.

– Nie mogę pójść do...

– No oczywiście, że nie możesz – odpowiedziała z wyraźnym sarkazmem. – Nie możesz pójść do lekarza, więc lepiej, żeby ci odcięli całą dłoń. Bo to, co tam widzę na tym kikucie, wygląda jak początek gangreny...

– Co?! Gangreny?

– Tak – odpowiedziała zdecydowanie, choć wcale nie była pewna. Nigdy nie widziała zakażonej rany, ale czytała sporo o zakażeniach. Może więc to było zakażenie, a może nie. Ale lepiej tego kretyna wystraszyć, niżby miało z tego wyniknąć coś gorszego.

– Pojedziesz ze mną? – zapytał, jakby już podjął decyzję.

– No pewnie. Mam na dwunastą zajęcia, ale jak zaraz pojedziemy, to...

– Weźmiemy mojego malucha. Tylko ty poprowadzisz.

Pokiwała głową. Kiepsko się czuła jako kierowca, bo odkąd zrobiła prawo jazdy dwa lata temu, prowadziła samochód może pięć razy. Ale chyba pamiętała, jak się zmienia biegi. A jeśli nie, to się po drodze nauczy, a raczej sobie przypomni.

– Poczekaj, ubiorę się. – Wskazała na swój szlafrok.

– Ja też muszę się ubrać.

– Może ci pomogę? – zaproponowała.

– Nie, muszę sobie jakoś sam poradzić. – Przyciągnął ją do siebie i pocałował. – Dziękuję.

– Nie ma za co. Dobra, nie czas na czułości. – Wykręciła się z tego uścisku i poszła do siebie, wystukując rytm drewniakami.

Kwadrans później byli już w windzie. Jakaś gruba kobieta obrzuciła ich niechętnym spojrzeniem. Jej czarno-biały kundel obwąchał im nogi i cofnął się za swoją panią. Na „dzień dobry” właścicielka psa nie odpowiedziała, zacisnęła tylko usta, jakby ich obecność osobiście ją dotknęła. Znali ją, bo mieszkała piętro wyżej, a ona znała ich, bo była z tych, co wiedzą wszystko o sąsiadach. O nich wiedziała akurat tyle, że wystarczyło jej, by wyrobić sobie opinię. Byli młodzi, mieszkali razem, nie mieli ślubu, a nocami przez rury od kaloryfera dochodziły do niej jęki tej dziewczyny, to znaczy, że była ladacznicą. A, i jeszcze jedno, nigdy nie widziała ich w kościele, czyli to pewnie barbarzyńcy i poganie.

Winda dojechała na parter. Pies wybiegł pierwszy, a za nim powoli i dostojnie wytoczyła się jego właścicielka, ostentacyjnie odwracając głowę od zdobiącego ścianę rysunku, przedstawiającego

uśmiechniętego bałwanka z podpisem „Bouli to chuj”. Oczywiście nie powiedziała „do widzenia”, bo wypowiedanie jakichkolwiek słów pod adresem tych młodych zbereźników było zdecydowanie poniżej jej godności.

– Chodź, Cezar, idziemy na spacer. Nie oglądaj się, idź prosto...

Ale kosmaty Cezar już nie usłyszał. Wybiegł przed klatkę schodową z radosnym skowyt, oznajmiając wszystkim mieszkańcom, że wreszcie może sobie ulżyć.

– Kurczę, zapomniałam portfela – powiedziała Jolcia, przetrząsając nerwowo torebkę. – Słuchaj, muszę wrócić na górę.

Kalafior wzruszył ramionami.

– Jasne, poczekam przy samochodzie. W ogóle to chyba jakoś mniej mnie boli. – Uniósł dłoń, jakby w ten sposób mógł dowieść, że mówi prawdę. Zrobił to jednak zbyt szybko i na twarzy wykwitł mu grymas bólu. Jolcia pokręciła głową.

– Nie zachowuj się jak Rambo. Zaraz wracam.

Winda pojechała w górę. Jolcia wysiadła na siódmym piętrze i pobiegła do drzwi. Otworzyła je, weszła do mieszkania i zaczęła w pośpiechu szukać portfela. Leżał w kuchni na stole. Włożyła go do torebki i wyszła na klatkę.

Po chwili była już na dole. Wychodząc z bloku, dostrzegła tę grubą sąsiadkę stojącą na trawniku i przeczesującą radarowym spojrzeniem najbliższą okolicę. Psa Cezara nigdzie nie było widać.

Pobiegła w kierunku przyblokowego parkingu. Z daleka rozpoznała zielonego malucha. Nikt z sąsiadów nie miał auta w takim ładnym soczystym kolorze. Przeważały sraczkowate i białe. Było też kilka bordowych, ale tylko ten jeden był zielony.

Podeszła do samochodu od strony kierowcy i pociągnęła za klamkę. Drzwi nie ustąpiły. Nachyliła się do środka, żeby ponaglić Wojtkę. Wewnątrz jednak nikogo nie było. Zaczęła się nerwowo rozglądać. Może poszedł do kiosku po papierosy? A żeby cię cholera jasna wzięła. Przecież mówiłam, że się śpieszę na zajęcia... Bezradna oparła się o maskę samochodu i wyciągnęła z torebki papierosy... Miała całą paczkę, a on o tym wiedział, bo sam ostatnio przywiózł z Niemiec kilka kartonów. Nie kupowałby w kiosku, bo mieli fajek pod dostatkiem. Gdy to zrozumiała, poczuła, że coś jest nie tak, że on nie powinien, ot tak, się zgubić.

I wtedy dostrzegła leżący pod samochodem pęk kluczy z breloczkiem w kształcie ludzika z klocków Lego. Kupiła ten breloczek podczas wycieczki do Legolandu w Danii w te wakacje i własnoręcznie przyczepiła. Nie było wątpliwości, to były klucze Kalafiora.

Godzina 8.20

– W tej sytuacji szukamy gościa, co ma odrąbany palec, bo możliwe, że on może mieć coś wspólnego z tymi facetami, którzy obcięli palec temu restauratorowi.

– Coś nam się tu namnożyło tych obciętych paluchów – stwierdził inspektor Marcinkowski, przeglądając teczkę z aktami, którą położył na blacie jego biurka Blaszkowski.

– Bolszewicka metoda – stwierdził Olkiewicz, sięgając po paczkę papierosów leżących przed nim.

U Marcinkowskiego w pokoju można było palić. Zwyczaj palenia w trakcie porannych operatywek pochodził jeszcze z czasów, gdy szefem wydziału był pułkownik Eugeniusz Żyto. Gdy milicja

przekształciła się w policję, pułkownik odszedł na emeryturę, a miejsce w gabinecie i w wydziale dochodzeniowo-śledczym zajął jego podkomendny, Alfred Marcinkowski. Ten pokój w zasadzie nic się nie zmienił. Nowy lokator nie miał serca do wprowadzania zmian. Zostało więc brązowe biurko na wysoki połysk, przystawiony do niego długi stół z ośmioma wysłużonymi krzesłami, na których siadali podkomendni podczas narad i odpraw, w rogu cztery fotele i ława szwedzka, gdzie można było przyjąć jakiegoś ważnego gościa. Na lewo od biurka stała jeszcze wysłużona szafa na papiery. Na ścianie po prawej kiedyś wisiał obraz przedstawiający Feliksa Dzierżyńskiego, głównego czekistę sowieckiej Rosji, ale po tym, jak milicja zmieniła się w policję, Krwawy Felek został zdjęty i schowany za szafą. Fred dość długo zastanawiał się, kto powinien zawisnąć w tym miejscu, bo że musi pojawić się tam jakiś obraz, był przekonany. Przemawiały za tym i względy praktyczne, bo po Dzierżyńskim została jaśniejsza plama na ścianie. Marjański zaproponował, żeby szef powiesił Piłsudskiego. Nie był poznaniakiem, więc nie miał pojęcia, że w Poznaniu marszałek nie cieszył się szczególną estymą. Jego pomysł został więc natychmiast odrzucony. W końcu Olkiewicz podsunął myśl, żeby obraz przedstawiał jakąś scenę z powstania wielkopolskiego. Tym bardziej że dziadek Marcinkowskiego i ojciec Teofila walczyli w powstaniu. I tak miejsce po Dzierżyńskim zajął obraz przedstawiający atak powstańców na prezydium niemieckiej policji.

– Jakby tu wisiał ten Dzierżyński co dawniej, toby on nam mógł powiedzieć, jak te bolszewickie sukinkoty się obchodzili z naszymi jeńcami.

– A co mają wspólnego jeńcy... – zapytał Blaszkowski, ale Teofil wszedł mu w słowo.

– Mają, mają. Bo oni, ci bolszewicy, a o tym mi opowiadał mój tatuś Anastazy, co walczył na wojnie bolszewickiej, to naszym chłopakom obcinali ręce, a oficerom to nawet na żywca zdzierali skórę z rąk, że to niby pańskie rękawiczki. Taka to banda była, że szkoda gadać.

– No tu masz akurat rację, Teoś – zgodził się z nim Marcinkowski.
– Wiem od dziadka, który był też na tej wojnie, że takie wypadki brutalnych tortur miały tam miejsce.

– Nie jedno miejsce, ale kilka nawet – potwierdził Teofil. – Im chodziło o to, żeby zastraszyć naszych chłopaków. Ale oni byli twardzi, a jedyne, co udało się Ruskim zrobić, to tyle, że nasi po takich torturach to raczej jeńców nie brali.

– No to mamy bolszewicką metodę zastraszania ludzi przeniesioną na nasz grunt – stwierdził Mariusz.

– Ruska metoda – powtórzył Teofil i naraz zamilkł, wpatrzony w obraz.

– Chcesz powiedzieć, że to jakiś przybysz ze Wschodu? – zapytał go Marcinkowski.

– Niby ładny obrazek – stwierdził Olkiewicz bez związku z pytaniem. Jego myśli podążyły gdzieś daleko, a spojrzenie zatrzymało się na barwnej scenie ataku.

– Tam kacapów nie było. – Marcinkowski próbował podążyć tropem Teofila. – W tym budynku urzędował później mój dziadek. –

Fred wskazał palcem gmach ostrzeliwany przez powstańców. –

Później, znaczy już po powstaniu, jak już mieściła się tam polska Dyrekcja Policji.

– Mój tatuś tak samo. – Olkiewicz był dumny ze swojego ojca, który był podoficerem policji i jednocześnie wywiadowcą, należącym do tak zwanej grupy pościgowej komisarza Antoniego

Fischera, dziadka Freda. Teraz wreszcie mogli oficjalnie o tym mówić, bo wcześniej, gdy obaj pracowali w milicji, chwalenie się koneksjami rodzinnymi z przedwojennymi policjantami mogło się źle skończyć. – Ale jedno się nie zgadza – powiedział Olkiewicz, marszcząc nos.

– Co się nie zgadza? – Blaszkowskiemu wszystko się zgadzało. Obraz był jak obraz, kolorowy i dynamiczny, więc Mariusz był przekonany, że to prawdziwe dzieło sztuki. A poza tym wcale nie rozumiał, dlaczego ci dwaj w ogóle rozmawiają o jakimś obrazie, a nie o tym, co najistotniejsze, czyli śledztwie, które właśnie się rozkręcało.

– Idzie o to, że tego ataku to wcale nie było. – Teofil zapalił w końcu papierosa, bo palenie ułatwiało mu znalezienie odpowiednich słów. – Oni tam się nie bronili, ci niemieccy policjanci. Mój tatuś powiadał mi, że Niemcy siedzieli w środku, uzbrojeni jak na wojnę, i do środka poszli nasi parlamentarzyści i...

– Parlamentariusze – poprawił go Marcinkowski.

– No mówię, że poszli tam i się dogadali. Nasi im powiedzieli, żeby się nie wygłupiali, bo po co mają ginąć nadaremno jedni i drudzy, jak się można porozumieć. No i się dogadali i żadnego strzelania nie było. A Ratajczak, co zginął na ulicy, co się teraz nazywa Ratajczaka, to dał się zastrzelić całkiem przypadkowo, bo jakiś Niemiec z okna wypalił, jak się Polacy zbliżali. Ale szturm nie było, a ten, co to namalował, to miał mylne informacje.

– No ale co to wszystko ma wspólnego z naszym śledztwem? – Mariusz najwyraźniej nie potrafił odgadnąć, o co chodziło Olkiewiczowi.

– Przecież mówię wyraźnie, że jak ludzie są obyci i na poziomie, to se krzywdy nie zrobią. Tak jak ci, co tam siedzieli w tym

prezydium niemieckiej policji, i tamci powstańcy, co do nich poszli rozmawiać. Dogadali się i nikt nikomu nic nie zrobił. Ale nie zawsze się ludzie dogadują, bo z dzikusami nie ma o czym gadać. Taki dziki bolszewik to człowiekowi może łapę uciąć. O, dlatego my musimy szukać bolszewika.

Mariusz pokręcił głową. Teorie Olkiewicza może były i interesujące, ale nie zawsze przystawały do rzeczywistości. Bolszewicy przecież już dawno powymierali.

– Gdzie ja ci żywego bolszewika teraz znajdę? – rzucił ze śmiechem.

– Może nie bolszewika, a dzikusa jakiegoś – wyjaśnił Olkiewicz, zaciągając się z lubością aromatycznym gauloisem.

– Wydaje mi się, że kluczową sprawą jest odnalezienie tego sutenera – stwierdził Marcinkowski. Teofil już na samym początku narady opowiedział o ich wczorajszej wizycie w restauracji i o tym, że natrafili na ślad niejakiego Tomcia Palucha.

– Miras go już namierza – wyjaśnił Blaszkowski. Fred zrobił skwaszoną minę. Bardzo cenił swojego przyjaciela Brodziaka, ale to jego półformalne śledztwo nie bardzo mu się podobało. Brodziak był na urlopie, więc nie powinien angażować się w samodzielne poszukiwania.

– A czego on właściwie szukał nocą w komendzie? – zapytał Marcinkowski Olkiewicza. Ten wzruszył ramionami, bo dokładnie nie pamiętał. Wczoraj pamiętał, ale było to w trakcie popijania wódki, więc miał prawo zapomnieć, czego ten Miras szukał.

– Jakiejś depeszy – przypomniał sobie wreszcie. – Ale te stare depesze były w śmieciach i on coś wygrzebał o jakimś obciętym palcu, co do nas faksowali gdzieś z jakiejś komendy na prowincji.

I jak mi o tym palcu powiedział, to ja se przypomniałem o tym gościu z obciętym paluchem...

– Trzeba to sprawdzić. – Fred spojrział na Mariusza. Wiedział, że ten da sobie z tym radę. Jest skrupulatnym oficerem, więc szybko zorganizuje akcję obdzwaniania okolicznych komend. – Bo jeśli gdzieś jeszcze kogoś okaleczono w okolicy, to znaczy, że nasza banda obcinaczy palców rozszerza działalność – oznajmił Marcinkowski, po czym wypił łyk herbaty ze szklanki w metalowym koszyczku. Herbata była zimna i niesmaczna, bo zaparzona wczoraj, ale inspektor nie lubił niczego marnować, więc nie wyobrażał sobie, że można by wylać wczorajszą herbatę i zaparzyć nową przed dopiciem tej starej. – Rozmawiałem wczoraj z naszym kolegą z UOP-u – rzucił jakby od niechcienia, widząc, że jego podwładni zaczynają pakować do kieszeni swoje papierosy i zapalki, jak to zwykle bywa na koniec takich porannych operatywek. Blaszkowski już zdążył zamknąć czarny notes, a Marjański, który nie odezwał się od samego początku spotkania ani razu, spojrział wyczekująco na dowódcę. Temat UOP-u go specjalnie interesował, bo od czasu do czasu zdarzało mu się współpracować z przedstawicielami tej służby. A poza tym wszyscy znali doskonale podpułkownika Markowskiego, szefa poznańskiej delegatury.

Markowski był w latach siedemdziesiątych żołnierzem Czerwonych Beretów, czyli wojskowym komandosem. Był też działaczem Solidarności, który po wprowadzeniu stanu wojennego pracował w podziemiu.

– O, i co tam u naszego podporucznika? – zapytał Teoś, który zaprzyjaźnił się z Markowskim podczas kilku miesięcy wspólnej służby.

– Przede wszystkim to awansował i już jest podpułkownikiem – wyjaśnił inspektor.

– No proszę, jak to u nich szybko idzie – zdziwił się Olkiewicz. – Znaczy się, jak ja bym został w SB i przeszedł do tej nowej ochrony, tobym już mógł być generałem.

– Gdybyś był wcześniej w Solidarności, to miałbyś przed sobą świetną karierę – zauważył Blacha.

– Oni tam nie mają kadr, dlatego ścieżka awansu jest dość szybka – stwierdził Fred. – Więc jakbyście chcieli, chłopaki, to Markowski was przyjmie po starej znajomości.

– Mnie tam dobrze jest u nas – oznajmił Olkiewicz. – A Markowski to co chce?

– Nic szczególnego, żadnych konkretów. Powiedział mi, że dochodzą do nich sygnały o tym, że według przewidywań z komendy głównej niedługo zaleje nas prawdziwa powódź kradzionych na Zachodzie aut.

– Coś takiego! – zdumiał się Teofil. – To znaczy, że my już jesteśmy w Europie, a dopiero co byliśmy w ruskiej dupie. Jak to się wszystko zmienia, Polak został papieżem, elektryk prezydentem, a Jaruzelski emerytem. Tylko my wszyscy, jak zawsze, w milicji... o pardonsik, jednakowoż nie w milicji, ale w policji.

Okolice Pniew

Godzina 8.30

– Pani prokurator to bynajmniej wygląda dziś jak prawdziwy żołnierz – powiedział z niekłamany podziwem w głosie kierowca sierżant Tomasz Pustelak, piegowaty blondyn, który na posterunek w Nowym Tomysłu przyszedł pół roku temu prosto po zasadniczym przeszkoleniu w wojsku. Od razu też zakochał się w pani prokurator i nie miał jeszcze szansy jej znieubić, bo jak dotąd nie zamienili ze

sobą ani słowa. To znaczy on by chciał zamienić jak najwięcej słów, tyle że nie było okazji. Gdy dziś rano od podkomisarza Pikuły dowiedział się, że pojedzie na wizję lokalną z nim i z tą „małą pindą z prokuratury”, jak ją określił Pikuła, mało serce mu nie stanęło z radości.

– I wyczyść radiowóz, żeby poruty nie było. Bo jak się ta cholera przyklei do jakiejś spiczniałej kanapki albo nie daj Boże pod nogi wytoczy się jej jakaś flaszka po piwie, to gotowa jeszcze zrobić z tego jakąś awanturę – wyjaśnił Pikuła. – I raz-dwa się z tą gemelą w aucie załatw, bo o ósmej jedziemy.

Pustelak nie był w ciemną bity, a poza tym był już dobrze przeszkolony podczas służby w wojsku i wiedział, jak się załatwia takie sprawy. Przede wszystkim nie miał zamiaru sam brudzić rąk. Natychmiast zawołał dwóch młodych posterunkowych, żeby zrobili porządek i wypucowali całe wnętrze jego poloneza. Ale jako odpowiedzialny podoficer, zdający sobie sprawę z konsekwencji swoich działań i ogromu odpowiedzialności, jaki złożył na jego sierżanckie barki komisarz, nie poszedł siedzieć w dyżurce, ale osobiście nadzorował sprzątanie, wskazując palcem wszystkie miejsca, w których był bałagan.

Posterunkowi wynieśli z auta kilka butelek, całą stertę papierów po kanapkach i cukierkach, kilka zgniłych jabłek i całkowicie spleśniałego banana. Zaplamionych siedzeń nie dało się tak od razu wyczyścić, więc kazał nałożyć na nie pokrowce z czarnego skaju, wyciągnięte ze starego poloneza stojącego na kołkach w garażu. Dywaniki zostały wymyte, a podłoga wysprzątana do czysta miotełkami, bo odkurzacz od dawna był zepsuty. Na koniec osobiście skropił kąty wodą kolońską o kwiatowym aromacie, więc w aucie pachniało jak w podrzędnym zakładzie fryzjerskim.

– Co tu tak śmierdzi? – zapytał Pikuła, gdy przyszedł do auta z ubraną w wojskowe spodnie i buty traperki panią prokurator.

– Melduję, że się płyn do mycia tapicerki rozlał i jeszcze nie zdążył się przegryźć. Ale możemy jechać z otwartymi oknami, to się trochę przewietrzy.

– Bzdura! Zimno jak cholera, a ty chcesz jechać z otwartymi oknami? Nie masz innego wozu pod ręką?

– Bez przesady, komisarzy, nie będziemy otwierać okien, a zapach nie jest wcale taki straszny – stwierdziła ugodowo prokurator, siadając na miejscu obok kierowcy. Ten uśmiechnął się zadowolony. Pikuła wcisnął się na tylne siedzenie, marudząc pod nosem. Nie był przyzwyczajony do jeżdżenia z tyłu. Ale dziś nie miał wyjścia. Jako dżentelmen musiał ustąpić miejsca tej smarkuli, bo wymagały tego zasady dobrego wychowania. Nie robił jednak tego z przyjemnością, lecz z musu. I do tego jeszcze ten smród kwiatów, że aż mu się chciało rzygać. Zresztą może to wcale nie od kwiatów, ale od tego piwa, które wczoraj wypił po pracy ze swoim kolegą. Może było jakieś stare, bo przecież zazwyczaj po wypiciu ośmiu butelek poznańskiego nic się z nim nie działo, a dziś, gdy tylko wsiadł do auta, zaczęło mu wszystko podchodzić do gardła.

– W sumie to całkiem ładny zapach – stwierdziła prokurator. – A jeśli chodzi o wojsko, to chciałam wam powiedzieć, sierżancie, że ja w trakcie studiów byłam na wojskowym przeszkoleniu, a potem jeszcze na obozie wojskowym i mam stopień kaprała podchorążego.

– No to może pani wydawać mi rozkazy, pani podchorąży – stwierdził z uznaniem sierżant.

– A ty już bez wazeliny w tyłek nie włącz – mruknął Pikuła. – I tak ci pani prokurator może wydawać rozkazy, bo od tego jest, żeby policjantem sobie buty wycierać. I nie gadaj tyle, ale ruszaj!

Pustelak odpalił silnik i samochód po chwili był już na ulicy.

– Wiesz, gdzie jechać, co? – zapytał podkomisarz.

– No wiem – odparł sierżant. – Tam, gdzie myśmy już byli na zabezpieczeniu miejsca zdarzenia, znaczy się w lesie pod Pniewami.

– O, to wyście, sierżancie, tam byli na miejscu? – zapytała pani prokurator, a chłopak mało nie roztopił się ze szczęścia. Zwracała się do niego takim tonem, jakby miała za chwilę zaproponować mu wspólną kąpiel w wannie wypełnionej wodą kwiatową.

– Wszyscyśmy tam byli – mruknął Pikuła z tyłu.

– Tak, już wiem, że pan tam był, komisarzu. Ale pytam sierżanta, bo on ma młode oczy i na pewno jest spostrzegawczym człowiekiem. To powiedzcie, sierżancie, co żeście tam zobaczyli niezwykłego?

Sierżant o młodych oczach, wpatrzony w drogę, próbował zebrać myśli. No ale mnie teraz zażyła. Przecież nic tam niezwykłego nie było. Niezwykły był tylko palec, bo trupy zastrzelone to takie zwykłe trupy. No może tylko...

– Leżeli gębami do przodu, znaczy się...

– Ty nie gadaj o jakichś gębach. To nie podwórko – upomniał go Pikuła. – Gadać się należy językiem urzędowym, tak jakbyś zapisywał raport. A w raporcie o gębach się nie pisze.

– A o czym? – zapytał sierżant, który jeszcze raportu samodzielnie nie pisał.

– O tych, no... o tym z przodu i z tyłu... Twarzach na przodzie i plecach na tyle.

– No właśnie mówię, że obaj denaci leżeli na twarzach z przodu, znaczy się przednią częścią ciała, od twarzy zaczynając, poprzez dolną część ciała, znaczy nie, środkową, to jest brzuchami leżeli na trawie, a nogi mieli obydwaj, tak na boku, jakby podkurczone.

- No i co to oznacza według was? - pytała dalej prokurator.
 - Na moje to było tak, że oni klęczeli.
 - Słuszne spostrzeżenie - pochwaliła go Bocian.
 - I jak oni tak klęczeli, to później dostali strzał w łeb, znaczy się w potylicę. Ale ten z prawej, co leżał najdalej, to chyba najsznapierv upadł, bo był tak jakby trochę na boku, a tego drugiego to jakby ścięło, tak padł od tego strzału. I ten jeden miał osmaloną głowę przy dziurze wlotowej, a drugi nie, to znaczy się jeden klęczał i dostał postrzał, a drugi leżał i on dostał ze stania, znaczy się, z daleka, z odległości, a tamten z przyłożenia. - Powiedziawszy to, wysunął palec do przodu i dotknął nim szyby samochodu.
 - No i się wymądrzył dedektyw jeden - mruknął Pikuła. - Ty się chwytaj lepiej kierownicy, bo my na oględziny nie dojedziemy i zamiast dwóch jeszcze więcej zabitych będzie.
 - Ja melduję, że tylko tak chciałem...
 - Nie wymądrzył się, komisarzu, ale opowiedział własnymi słowami o spostrzeżeniach. Powinniście być zadowoleni z podwładnego, że jest uważnym obserwatorem.
 - Obserwator w krótkich portkach.
 - Może i jeszcze nie ma doświadczenia, ale jak niby ma go nabrać inaczej, niż tylko oglądając miejsca, w których doszło do zbrodni? Doświadczenia się nabiera wtedy, gdy się wykonuje dobrze swoje czynności i patrzy się na działania doświadczonych przełożonych.
- Przez chwilę jechali w milczeniu. Z Nowego Tomysła do Pniew jest dwadzieścia pięć kilometrów. Ale nie musieli dojeżdżać do samego miasta. Trzeba było tylko minąć Lwówek i przed Dąbrową skręcić w niewielki las, gdzie znajdował się parking, a właściwie wyjeżdżona niewielka przestrzeń bez drzew, którą kierowcy

samochodów osobowych wykorzystywali na postój do załatwiania fizjologicznych potrzeb i wyrzucania śmieci prosto w zarośla.

– O, to jest już tutaj.

Pustelak wskazał rozjeżdżone pobocze i jednocześnie zwolnił. Auto wytraciło prędkość i powoli wtoczyło się na parking. Stał tam tylko jeden samochód. Czerwone bmw na polskich numerach poruszało się rytmicznie. Nie było widać niczego w środku, bo szyby miało zaparowane.

– O, chyba się ryćkają – rzucił sierżant i zaraz na twarzy pojawił mu się rumieniec wstydu. Uświadomił sobie bowiem, że przy kobiecie nie powinien być zachowywać się w tak prostacki sposób. Ale na pani prokurator jego określenie nie zrobiło większego wrażenia.

– Idźcie no, sierżancie, do nich, zapukajcie grzecznie i powiedzcie, że mają się stąd wynosić – poleciła.

Podjechał na sam koniec parkingu, tam gdzie miejsce popełnienia morderstwa zaznaczyli żółtą taśmą, i zatrzymał radiowóz.

– Po co będzie chodził, pani prokurator. My takie sprawy załatwiamy z fasonem – odezwał się z tyłu Pikuła. – Włącz no, chłopie, dyskotekę!

Pustelak pokiwał głową i nim prokuratorka zdążyła zaprotestować, uruchomił policyjny sygnał alarmowy. Bmw natychmiast znieruchomiło. Przednia szyba opuściła się i na zewnątrz wyjrzała rozczochrana brunetka. Gdy dostrzegła radiowóz, krzyknęła coś, wyraźnie przestraszona, a potem zamknęła okno. Auto znów zaczęło się ruszać, lecz już nie tak rytmicznie jak wcześniej, ale w znacznie bardziej nieuporządkowany sposób. W końcu znieruchomiło, a kierowca odpalił silnik. Ktoś od środka zaczął przecierać szyby.

– Wysiadamy, żeby se nie myśleli, że ktoś tu sobie jaja robi – zakomenderował Pikuła i otworzył drzwi.

Sierżant wyskoczył pierwszy i ruszył w kierunku czerwonego auta. Ale nie pokonał nawet połowy dystansu, gdy kierowca wrzucił jedynkę i jego samochód wyjechał na drogę. Pikuła pomachał mu pięścią na pożegnanie i tyle go widzieli.

– No co, ma się ten styl, pani prokurator? – pochwalił się, patrząc na wysiadającą z auta kobietę. Ta prychnęła tylko pod nosem i stanąwszy przy drzwiach, zaczęła się rozglądać.

– To gdzie to było? – zapytała w końcu, bo nie dostrzegła niczego, co mogłoby świadczyć o dramatycznych wydarzeniach.

– Tu, przed panią prokurator – pośpieszył z wyjaśnieniem sierżant.

– A taśma gdzie? – zapytała.

– Podpierzdolili – stwierdził Pikuła. – Taśma nowa, prosto z wałka, więc co mieli nie wziąć. Sam bym taką wziął do ogrodu do podwiązywania gałązek. A tu za darmochę ktoś dostał z pięćdziesiąt metrów takiej taśmy.

– Co za ludzie – rzuciła Bocian, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Ludzie jak ludzie, pani prokurator, u nas naród nauczony, że jak co niepilnowane, to trzeba zabrać, żeby kto inny nie zabrał. Komuna nas nauczyła machlojek, to ludzie się tak szybko nie oduczą kombinowania.

– Dlatego potrzebna jest odpowiednia edukacja – odpowiedziała.

Podeszli bliżej, tam gdzie stał już sierżant. Chłopak wskazał palcem jakieś miejsce.

– Tu leżał ten, co leżał już wcześniej, tu ten drugi, a tu była krew od tego palca. Dobrze, że psy go nie zezarły czy borsuki albo coś

innego.

– Zeznanie kobiety, która go znalazła, jest w raporcie – stwierdził na wszelki wypadek Pikuła.

Bocian zaczęła dokładnie przyglądać się trawie, ale nic nie dało się tam dostrzec. Naraz uniosła głowę i spojrzała przed siebie.

– A ten śmietnik to taki był już? – Wskazała na blaszany kubel wypełniony śmieciami, którego zawartość wysypywała się na zewnątrz.

– No był. A co go miało nie być – odparł Pikuła.

– Sprawdziliście zawartość?

– Niby po co? – Podkomisarz nie zrozumiał, o co jej chodzi. – Kto by się tam babrał w śmieciach.

– Sierzancie, macie brezent w aucie?

– Mam pałatkę.

– Dajcie ją – zakomenderowała.

Chłopak pobiegł do samochodu i po chwili wrócił z zielonym wojskowym pakietem.

– Rozłóżcie koło śmietnika i wysypcie zawartość kubła na pałatkę.

Zrobił, co mu kazała. Pikuła nawet nie podszedł do tej sterty śmieci. Z ostentacją wyciągnął papierosa i zapalił, pokazując wszystkim, jak bardzo jest zdystansowany od tego grzebania w gównie.

– O ja pierdole! – zawołał Pustelak i uklęknął pomiędzy śmieciami. Brygida Bocian zrobiła to samo, więc Pikuła nie miał wyjścia, musiał tam podejść, wiedziony ciekawością. A gdy podszedł, też rzucił przekleństwem. Tyle że wypowiedziane przez niego „kurwa mać” wcale nie wyrażało zdumienia, ale autentyczne wkurzenie.

Poznań
Godzina 9.30

– Zna ich pan? – zapytał komisarz Blaszkowski, patrząc uważnie na mężczyznę z zabandażowaną dłonią. Ten skrzywił się boleśnie, ale nie wiadomo, czy na wspomnienie wczorajszych wydarzeń, czy może z powodu bolącej ręki.

– Znać to nie, w sensie, że nie są to moi znajomi, ale można powiedzieć, że znam z widzenia.

– Chce pan coś do picia? – zapytał policjant, siadając naprzeciw. Do pokoju wszedł przed chwilą z kubkiem herbaty, więc zapytał pro forma, mając nadzieję, że facet odmówi i szybko przejdą do rzeczy.

– Poproszę o kawę – odpowiedział restaurator.

Blaszkowski się uśmiechnął. Był przygotowany na taką ewentualność.

– No dobrze, jak pan chce, to musi pan zejść na dół i tam jest bufet. Może pan sobie kupić. Ale to zajmie chwilę, bo w bufecie zawsze jest kolejka.

– Bufet? – Mężczyzna z niesmakiem zmarszczył nos. – Myślałem, że pan zaparzy mi...

– Przykro mi, ale ja nie piję kawy. Jak pan chce, to proszę śmiało, ja mogę poczekać jeszcze trochę z tym przesłuchaniem.

– Przesłuchanie? To ja jestem o coś podejrzany? Wydawało mi się, że jestem ofiarą przestępstwa.

– Źle mnie pan zrozumiał. Chodzi o to, że muszę przyjąć od pana zeznania. Dlatego muszę je nagrać i wpisać do protokołu.

– A, rozumiem. A kawy to już nie chcę. Odechciało mi się pić. Zróbmy to szybko, bo czuję, że środki przeciwbólowe przestają działać. – Powiedziawszy to, wymownie uniósł zabandażowaną dłoń.

– To może wody trochę? – zapytał policjant, bo zrobiło mu się żal poszkodowanego człowieka, który przeżył bądź co bądź coś strasznego. Obcięcie palca to w końcu poważne okaleczenie. Na tyle poważne, że Mariusz chciał przesłuchać rannego w szpitalu. Spodziewał się bowiem, że facet będzie tam leżał pod kroplówką i pod stałą opieką lekarzy. Gdy zadzwonił do szpitala Raszei dziś rano, na chirurgii nikt nie potrafił mu udzielić informacji o pacjencie z obciętym palcem. Przełączono go na izbę przyjęć i okazało się, że rzeczywiście był tam taki człowiek, ale wczoraj. Lekarz, który go przyjmował, wytłumaczył policjantowi, że obcięcie palca to nie powód, żeby przyjmować kogoś na oddział.

– Panie szanowny, czy pan myśli, że my tu mamy łóżka hotelowe?
– zapytał niezbyt miłym tonem doktor.

– A czy ja pytam o hotelowego gościa? – odpowiedział równie opryskliwie Mariusz. – Nie dzwonię do pana, żeby uciąć sobie pogawędkę na temat możliwości i wydajności szpitalnych oddziałów. Mnie interesuje konkretny pacjent, z którym muszę porozmawiać.

– Konkretny pacjent... zaraz, o, tu mam go zapisanego w księdze przyjęć... Antoni Piotrowski był tu wczoraj.

– A dzisiaj gdzie jest? – Mariusz był zdumiony.

– Jak gdzie? No chyba jest w domu. Bo gdzie by miał być? Na pewno wczoraj dostał zwolnienie lekarskie. Ja bym mu wypisał przynajmniej dwa tygodnie. Ale ile dostał, to nie wiem, bo ode mnie nie odbierał tego zwolnienia.

– Jak to, bez palca?

– No tak, bez palca przecież da się odebrać zwolnienie. Można przecież drugą ręką odebrać.

– Nie, ja pytam, czy bez palca poszedł do domu.

– A co, panie, bez palca od ręki chodzić można, nie? Ha, ha! Jakby od nogi mu odcięło, to inna sprawa. Nie dałby rady iść. No chyba że na wózku, bo stopa bardziej jest uwrażliwiona niż dłoń, a poza tym przy chodzeniu jest cały czas nacisk, więc ból jak diabli. A jak nie ma od ręki, to inna sprawa. Można iść...

– Mnie chodzi o to, że zaraz po operacji czy opatrzeniu wysłaliście go do domu. Nie za wcześnie?

– Panie milicjancie – odezwał się lekarz, akcentując mocno słowo „milicjancie”. Albo nie przyzwyczaił się jeszcze do słowa „policjant” albo celowo chciał pokazać swój niechętny stosunek do człowieka, który musiał być spadkobiercą milicyjnych tradycji. Policja jako instytucja działała w Polsce dopiero drugi rok i wielu ludzi nie zdążyło się przyzwyczaić do faktu, że funkcjonariusze nie są już zbrojnym ramieniem władzy. Na zaufanie społeczeństwa policja musiała sobie zapracować, a to, jak wiadomo, proces długotrwały. Dobrą reputację można zniszczyć w godzinę, ale buduje się ją latami.

– Czy ja pana uczę, jak ma pan łapać złodziei? Jeśli lekarz uznał, że można pacjenta wypuścić, to znaczy, że podjął decyzję na podstawie swojej fachowej wiedzy. Rozumie pan? Fachowa wiedza to coś, co zdobywa się przez lata nauki na wyższej uczelni.

– Tak, coś na ten temat słyszałem. Podobno studenci medycyny potrafią nazwać każdą ludzką kość czy mięsień...

Lekarz pominął milczeniem tę uwagę zaprawioną nutą sarkazmu.

– To co z tym pacjentem?

– Przyjęty na izbę przyjęć z obciętym palcem. Została mu udzielona pomoc w postaci natychmiastowej interwencji chirurgicznej, polegającej na oczyszczeniu rany i zeszytciu płatów skórnych powyżej kości, tak żeby skóra mogła zarosnąć na miejscu,

w którym był palec. Palca nie było, więc o przyszyciu nie było mowy – stwierdził medyk żartobliwym tonem.

Błaszkowski zrozumiał, że lekarz niezbyt życzliwie nastawiony jest do policji, bo chyba raczej nie chodziło o stosunek do niego samego. Nie zamierzał więc przedłużać tej rozmowy. Nie mógł się jednak opanować, by nie odbić piłeczki.

– Tak, słyszałem, że w Poznaniu lekarze próbowali uratować obcięty palec i przyszyć go z powrotem.

– Tak, a ja nie słyszałem. To ciekawe. W którym szpitalu?

– No jak w którym? Milicyjnym, oczywiście. Tam, gdzie pracowali najlepsi specjaliści od ran ciętych. Rozumiem, że w takim zwykłym szpitalu nie dalibyście sobie rady z takim zabiegiem – wyjaśnił i pożegnał się szybko, słysząc nerwowe sapanie po drugiej stronie słuchawki. Przerwał rozmowę i zaraz wykrecił numer do informacji telefonicznej. Udało mu się połączyć za pierwszym razem.

– Jakie nazwisko? – zapytała kobieta po drugiej stronie.

– Piotrowski Antoni. Mieszka gdzieś podobno na Wilczaku.

– A jaka ulica? – Kobieta próbowała uściślić dane.

– Nie mam pojęcia.

– To niech pan czeka, bo Piotrowskich to mamy tu ze dwie strony w książce telefonicznej. A nie ma pan książki telefonicznej? – zapytała z nadzieją w głosie. Chyba nie należała do osób lubiących pracę w informacji.

– Nie mam, droga pani. Jakbym miał, tobym nie dzwonił na informację.

Jeszcze tydzień temu miał na biurku trzy książki telefoniczne, jedną z instytucjami poznańskimi, drugą z telefonami dla całego województwa i wreszcie trzecią z nazwiskami prywatnych

abonentów. Ale ktoś je pożyczył i nie oddał. Dlatego teraz musiał korzystać z usług informacji.

– O, ja tu mam Piotrowskich Antonich ośmiu – ucieszyła się kobieta. – To w sumie mało – stwierdziła zadowolona. – To co, mogę dyktować?

Zapisał wszystkie osiem numerów i zaczął je obdzwaniać. Za czwartym razem trafił na restauratora. zaproponował mu, że odwiedzi go w domu, żeby spisać zeznanie, ale mężczyzna uparł się, że przyjedzie na komendę.

– Nie chce mi się wody. – Restaurator pokręcił głową. – Ale chętnie bym zapalił.

Błaszkowski wstał i wyszedł na korytarz. Po chwili wrócił z blaszaną popielniczką osadzoną na wysokim statywie. Postawił ją obok przesłuchiwanego. Ten zaraz wydobyl z saszetki na dokumenty paczkę papierosów. Mariusz nie znał ich nazwy, ale orientował się dość dobrze w tytoniowym asortymencie, by dostrzec, że są to jakieś zagraniczne fajki. Żaden z jego kolegów takich nie palił. Musiał przyznać, że pachniały bardzo aromatycznie.

Przez chwilę przyglądał się mężczyźnie. Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat. Był ubrany w modny szalowy sweter z Turcji, nałożony na turkusową koszulę. Na nogach miał dobrze wytarte dzinsy, ale nie były to marmurki, na które moda powoli się kończyła. O wyszukanej elegancji świadczyły czarne mokasyny, założone na białe skarpetki, w stylu Michaela Jacksona. Nieco łysiejący z przodu Piotrowski nadrabiał braki owłosienia sięgającą prawie do karku plerezą.

– Czy w takim razie możemy już zacząć naszą rozmowę? – zapytał oficer.

– Jak najbardziej – odparł Piotrowski.

– To zacznijmy od tego, czy pan miał wcześniej kontakt z tymi ludźmi, którzy obcięli panu palec.

Restaurator mruknął coś pod nosem, a potem spojrzął Blaszkowskiemu w oczy.

– Ja tych skurwysynów najpierw pogoniłem, jak przyszli do mnie za pierwszym razem. Wiedziałem, że takie gnoje chodzą po restauracjach, od moich znajomych, co mają knajpy na Stary Mieście. I że chcą wymuszać haracz i każą mówić na siebie Młode Lwy. Ja powiedziałem, że nie będę z nimi gadać. Jak przyszli pierwszy raz jakiś miesiąc temu, to powiedziałem, że mają spierdalać. No to oni poszli i tylko trochę naczyń potłukli. A, i powiedzieli, że mam się zastanowić, bo wrócą. No i wrócili dwa tygodnie później, powiedzieli, że będą brać ode mnie dwa miliony miesięcznie. I że gdybym wcześniej się zdecydował, toby brali tylko bańkę. Ale teraz kwota wzrosła. To im powiedziałem, że jakbym miał dwa melony miesięcznie luzem, tobym pojechał na wczasy do Bułgarii. Więc kazałem im spieprzać. No to poszli i powiedzieli, że następnym razem będą cztery bańki i żebym przygotował za dwa tygodnie. I wtedy mi się spalił samochód. Normalnie pod blokiem zostawiłem swojego passata wieczorem, a rano auto było spalone. No to sobie pomyślałem, że to przypadek, że może samozapłon czy jak. Ale głupi nie połączyłem tego z nimi. A to było ostrzeżenie, że mam płacić. No i w końcu przyszli po te cztery bańki, których, oczywiście, nie miałem i... – Podniósł dłoń w górę. – Tak się skończyło. Ujebali mi palec i powiedzieli, że teraz jestem im winny osiem baniek.

– Powiedzieli, że wrócą? – Mariusz wolał się upewnić.

– No tak, mówili, że nie mają już czasu dłużej czekać i ma być forsa już.

– I co pan zrobi?

– Jak co? Zabiję ich wszystkich.

Mariusz się uśmiechnął. Facet miał jaja.

– A tak naprawdę?

– Myślałem, żeby skrzyknąć kilku znajomych właścicieli knajp, zastawić na nich pułapkę i wpierdolić im kijami.

– Rozwiązanie mi się podoba. Ale jest niebezpieczeństwo, że jeśli dostaną wpierdoli, to wrócą do was z pistoletami. To bezwzględni ludzie, o czym już pan się przekonał.

– Więc co mam robić? – Piotrowski zmarszczył brwi, a na czole pojawiły się bruzdy świadczące o tym, że intensywnie coś analizuje.

– Niech pan zostawi tą sprawę do załatwienia nam. Obiecuję, że w ciągu kilku dni wszyscy będą pod kluczem – zapewnił Mariusz, choć wcale nie był taki pewny tego, że jego polowanie na lwy zakończy się sukcesem.

Godzina 9.50

– Gdzie on mieszka? – zapytał Brodziak Mariana Waligórę. Ten rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć, że nie jest Duchem Świętym, a potem chwycił notes leżący na biurku. W kanciapie warsztatu samochodowego było zdecydowanie zbyt gorąco. Wszystkiemu winny był piecyk, stalowa koza, która, nie wiedzieć po co, rozpalona była jak piec hutniczy. W końcu na zewnątrz nie było jeszcze zbyt zimno. Ale widać kierownik warsztatu lubił siedzieć w mocno nagrzanym pomieszczeniu. Ubrany był tylko w koszulę, na którą założył pikowany bezrękawnik. Na głowie miał czapeczkę

z daszkiem, z napisem „POLMOZBYT”. Mirek domyślił się, że zanim trafił do zakładu Grubego Rycha, musiał pracować w tej państwowej firmie cieszącej się niezbyt dobrą opinią wśród klientów. Do legendy przeszły opowieści o tym, jak to pracownicy warsztatów samochodowych należących do Polmozbytu wykręcali części z gwarancyjnych aut, by sprzedawać je prywatnym mechanikom. Skoro tam pracował, to znaczy, że zna się na przekrętach, pomyślał Mirek, patrząc, jak inżynier szuka w zabazgranym zeszycie jakiejś zagubionej notatki.

– O, mam go tutaj – ucieszył się, natrafiwszy na właściwy wpis. – Nazywa się Kalafarski. Wojciech Kalafarski.

– Pracuje w warsztacie?

– Nie. – Waligóra pokręcił głową. – To nie jest fachowa siła.

– A kto?

– No taki, jak by go tu nazywać... O, już wiem, to jest kurier! – Ucieszył się, znalazłszy odpowiednie określenie.

– To czym dokładnie zajmuje się taki kurier? – przepytował go dalej policjant.

– No wie pan... – Inżynier uśmiechnął się krzywo. Niezbyt dobrze czuł się w roli przesłuchiwanej osoby. Tym bardziej że wiedział o Brodziaku, że to gliniarz. Rozumiał, bo mu dokładnie wyjaśnił to jego szef Rychu Grubiński, że Brodziak będzie z nim rozmawiał, ale nie jako policjant, tylko szef jego ochrony, bo już od przyszłego tygodnia obejmie stanowisko. A teraz musi ustalić wszystkie szczegóły, żeby móc odpowiednio zareagować na zagrożenie, które nadchodzi. Bo co do tego Rychu nie miał żadnych wątpliwości. Zastrzelenie dwóch ludzi przewożących dla niego auta, i do tego jeszcze obcięcie palca kolejnemu było wyraźną wiadomością: „Wycofaj się z interesu, bo będzie jeszcze gorzej”.

Grubiński nie miał jednak najmniejszego zamiaru się poddawać. Tym bardziej po tym, co się wydarzyło, nie planował rozmawiać z tymi, którzy go próbowali nastraszyć. Jedyłą odpowiedzią, której mogli się spodziewać mordercy, była ta adekwatna do podjętych przez nich działań. No ale na razie nie było wiadomo, z kim mają do czynienia, więc Grubiński poprosił Mirka, żeby ten się zorientował, co to za ludzie napluli mu w gębę.

Jeszcze kilka lat temu takie podwójne morderstwo byłoby nie do pomyślenia. Pobicie, czy nawet okaleczenie, owszem. Ale żeby zabijać ludzi przewożących samochody! Co to, do cholery, za nowi bandyci, którzy mają za nic ludzkie życie?

– Kurier zajmuje się przewożeniem towaru.

– Zrozumiałe, że towaru. Ale konkretnie, co przewozili?

– Konkretnie, no to pan wie. – Inżynier zrobił głupią minę. Trochę niekomfortowo było tak normalnie przyznać się przed milicjantem, że ci goście na jego polecenie przemycali ukradzione auta. No ale z drugiej strony Rychu nakazał mówić Brodziakowi o wszystkim.

– Auta są kradzione. Dostajemy je od wyspecjalizowanej grupy polskich złodziei pracujących w Berlinie i w zachodnich Niemczech. Ta grupa kroi bryki i raz w tygodniu robi coś w rodzaju giełdy.

– Co takiego? Jakiej giełdy?

– No takiej, że w jakiejś hali magazynowej w Berlinie robią wystawkę aut, taką niby giełdę. Na wystawę przyjeżdżają kupcy z Polski i kupują na pniu samochody. W jednym rzucie sprzedaje się zawsze jakieś dwadzieścia fur. Wszystkie ładnie wyglądające, prawie nowe samochody, znaczy żaden szmelc. Mój człowiek, co mieszka w Berlinie, idzie na taką giełdę i kupuje kilka sztuk, tyle, ile trzeba, zazwyczaj trzy, cztery na tydzień. Mógłby więcej, ale problemem są ludzie do przewozu. Trzeba mieć takich, co się nie boją. Najlepiej

młodych. Ja zawsze biorę studentów. Oni to traktują jak niezłą zabawę. Jadą pociągiem do Berlina, piją piwo w pociągu, a rano wsiadają do samochodów i wracają do Polski.

– Nie ma wpadek?

– Skąd. – Inżynier się uśmiechnął. – Sprawa prawie czysta. Bo ci goście, co kradną fury, wyposażają je w polskie tablice i polskie dowody rejestracyjne. Polskie auto wraca do kraju z zakupów. Bo studenci zawsze po odebraniu auta jadą na zakupy, znaczy kupują jeszcze jakiś towar na handel. Na przykład słodycze, kawę czy sprzęt wideo i różne inne rzeczy. Tak że tym młodym się podwójnie opłaci.

– I ja o takich numerach dowiaduję się dopiero w chwili, jak przechodzę do cywila – jęknął Brodziak. Gdyby miał wiedzę o złodziejskiej giełdzie wcześniej, to mógłby z niej skorzystać i... No właśnie, skorzystać czy nie. Bo gdyby się dowiedział, że w tym interesie macza palce Gruby Rychu, to miałby problem, co z taką wiedzą zrobić. Przecież nie mógłby wsadzić własnego kumpla. Ale teraz ten kumpel w zasadzie już przestawał zajmować się lewymi interesami. Handel autami to był ostatni element jego dawnego podziemnego imperium.

Za czasów komuny Grubiński był szefem większości poznańskich cinkciarzy, ludzi handlujących zachodnimi walutami pod peweksami. Drugą odnogą jego działalności od połowy lat osiemdziesiątych był warsztat samochodowy, w którym legalizowano kradzione na Zachodzie auta. Ta działalność jeszcze się jakoś kręciła siłą rozpędu, ale Rychu nie miał już do niej serca. Teraz jako właściciel banku planował się pozbyć tej ostatniej kotwicy łączącej go z dawnym światem przestępczym. Jako bankier chciał być czysty i nie zamierzał ciągnąć tego złodziejskiego wózka. Zapewne wkrótce zamknąłby warsztat i zwolnił inżyniera wraz z całą jego ekipą, ale niestety doszło do tej nieszczęsnej egzekucji. Rychu potraktował

więc tę sprawę jak kwestię honorową i Mirek, który znał go od zawsze, wiedział, że Grubiński nie odpuści. On zawsze wyrównywał swoje rachunki. Szkoda, że ci, którzy zastrzelili dwóch pracujących dla niego ludzi, o tym nie wiedzieli.

Drzwi od kantorka otworzyły się i do środka wszedł chłopak ubrany w drelichowy jednocześnie roboczy kombinezon. Na głowie miał czarny beret, spod którego wysuwały się długie kosmyki czarnych kręconych włosów. Widać niewiele robił sobie z rygorystycznych przepisów BHP, zabraniających w halach naprawczych pracować osobom z długimi włosami. Nie miał więcej niż osiemnaście lat. Na widok gościa zatrzymał się i spojrzał pytająco na swojego szefa.

– No co tam, Czarek? – spytał kierownik.

– Panie szefie, ja... no chciałem powiedzieć, że ten no... ta beemka, co szef kazał no... naszykować... to, to ona już jest na ulicy. Znaczą się zatankowana jest i no w ogóle, no... Fajny wozik.

– No to dobrze. A masz kluczyki i rejestrację?

– No – potwierdził Czarek i zaczął oklepywać się w poszukiwaniu kieszeni, w której schował to, co przyniósł. W końcu znalazł w tej na piersi. Wydobył dokumenty wraz z kluczami i położył wszystko na biurku przed szefem. – A już se myślałem, że gdzieś je zgubiłem.

– Dobra. Dzięki. Powiedz Karolakowi, żeby teraz się wziął za tego białego opla kadetta.

Chłopak pokiwał głową, po czym wskazał palcem radio stojące na parapecie okna oddzielającego biuro od hali naprawczej.

– O, to jest Guns N' Roses, a ta piosenka to *Don't cry* – objaśnił z miną znawcy rocka. Zupełnie niepotrzebnie, bo ani kierownik, ani jego gość nie zwrócili uwagi na płynącą z radiowego głośnika muzykę.

- O, nie wiedziałem, że znasz angielski – zdumiał się Waligóra.
- Nie znam. Tylko no słowa piosenek znam, ale nie rozumiem – powiedział chłopak, kiwając głową w takt rytmu wybijanego przez perkusję. Odwrócił się i tanecznym krokiem wyszedł z kanciapy.
- No widzi pan, panie Mirku szanowny, z kim ja muszę pracować. Kiedyś ludzie garnęli się do zawodu tacy, co to chcieli w warsztacie pracować. A ten tu, dzisiejszy mechanik, tylko o muzyce myśli. Co za czasy!
- Wszystko się zmienia. Nawet milicja nie jest już milicją – stwierdził Mirek.
- I komu to przeszkadzało, że kiedyś wszystko było na swoim miejscu?
- Nic na to nie poradzimy – rzucił Brodziak, wstając z krzesła. – A, jeszcze jedno, czy pana zdaniem ktoś natrafił na waszych kurierów przypadkowo?
- Jak najbardziej, niestety, nie wiem – rzucił szybko inżynier. – Ja wiem tylko tyle, co mi powiedział ten młody Kalafior.
- Czyli że co?
- Że gdy oni się zatrzymali tymi trzema przywożonymi do nas samochodami, to zaraz na parking wjechała ekipa gości, takich mocno napakowanych, i od razu kazali im ręce do góry podnieść i klęczeć.
- I coś chcieli konkretnego?
- No właśnie że nie. – Waligóra zrobił zatroskaną minę. – Kalafarski twierdzi, że tylko pokrzyczeli, tak jakby chcieli, żeby zapamiętał właśnie te krzyki, poprzekliwali do tego, a potem, jakby tak od niechcienia, zastrzelili tych dwóch.

– Skurwysyny. – Mirek przygryzł dolną wargę i zaraz jęknął z bólu, a na języku poczuł słony smak krwi. – Co za jebane skurwysyny.

– Tak samo myślę – zgodził się z nim inżynier.

– Oni ich nie znali?

– Raczej nie.

– To znaczy, że to była egzekucja nie z zemsty, tylko po to...

– Po to, żeby dać panu Rychowi sygnał.

– Kurwa, co to za ludzie.

– Bandydzi – stwierdził kierownik zakładu, zapisując na wyrwanej z zeszytu kartce adres chłopaka. – Mieszka na Winogradach, przy Serbskiej. Z tego, co wiem, to w jakimś wieżowcu. Tam, wie pan, przy tej ulicy bloki stoją tak bokiem do Serbskiej. Najlepiej, jakby pan do niego wieczorem pojechał.

– Dlaczego?

– Bo za dnia to on studiuje.

– Z obciętym palcem?

– A co to, jak kto kaleka, to już nie może studiować?

Brodziak wzruszył ramionami. Skinął głową i włożył kartkę do kieszeni.

– Autko czeka na ulicy – przypomniał jeszcze inżynier, podając Mirkowi dokumenty i kluczyki.

Brodziak włożył wszystko do czarnej skórzanej saszetki i wyszedł z biura. Musiał spotkać się z tym chłopakiem i wydobyć od niego wszystkie szczegóły. Wszystko było przecież ważne, każda informacja dotycząca tych bandziorów mogła się okazać bezcenna. Tylko że nie wieczorem, ale najlepiej jak najszybciej.

Przeszedł podwórko, na którym stało kilkanaście zaparkowanych samochodów. Pomyślał, że kierownik musi mieć układ z dzielnicowym, bo inaczej policja dawno by zlikwidowała tę działającą niemal oficjalnie złodziejską dziuplę.

Kiedy znalazł się na ulicy, zobaczył białe bmw 325. Uśmiechnął się na ten widok. Nigdy jeszcze nie prowadził beemki. Wiedział, że Rychu kazał inżynierowi przygotować dla niego jakiś dobry wóz, żeby nie musiał jeździć po mieście tramwajem, ale nie przypuszczał, że to będzie taka fura. Jako policjant na urlopie nie mógł przecież poruszać się radiowozem, więc potrzebował prywatnego samochodu. No i dostał prawie nowe, pachnące, jeszcze ciepłe niemieckie auto z nocnego sklepu. Gdy usiadł za kierownicą, otworzył dowód rejestracyjny. Wyglądał jak najbardziej autentycznie, wystawiony przez wydział komunikacji w Pile. Wszystkie pieczętki i wpisy były jak oryginalne. Nie było się do czego przyczepić. Ale najciekawsze znalazł w rubryce „właściciel”. Okazało się, że samochód należy do niego.

Rozdział IV

Godzina 10.05

Zobaczył go już z daleka. Stał przy murku, na którym drobni handlarze rozkładali swoje towary. Facet ubrany był w seledynowe spodnie kreszowe, biało-czerwone buty typu sportowego za kostkę i czarną skórzaną kurtkę. Na głowę założył wełnianą czapkę, z daleka rzucającą się w oczy dzięki ostrej pomarańczowej barwie. Najwyraźniej robił wszystko, by być widoczny. W ten sposób jego potencjalni klienci namierzali go, jak zagubione na morzu statki znajdowały wejście do portu dzięki latarniom morskim.

– No to lepiej by było dla ciebie, żeby cię rodzona matka nie urodziła – powiedział do siebie sierżant Mazurek.

Dziś przyszedł tu ubrany po cywilnemu. Wczoraj szukał tego gościa, ale bezskutecznie. Gdy podjechał radiowozem na rynek Łazarski, natychmiast wśród sprzedających zapanował popłoch. Część z nich zniknęła z towarem, a niektórzy woleli nawet zostawić stragan z zawartością, żeby nie dać się powiązać z kradzionymi fantami. Ale Mazurek nie przyjechał tam robić obławy na paserów, ale by złapać jednego konkretnego gościa i wyciągnąć mu z gardła pieniądze, które zainwestował w zepsuty telewizor. Wczoraj faceta nie znalazł, więc dziś postanowił zmienić taktykę operacyjną. Przekonawszy się, że handlarze na Łazarzu reagują nerwowo na widok munduru, postanowił podejść tu incognito. Założył więc dzinsy, adidas i jesionkę, na głowę kraciastą lujówkę, a na oczy ciemne okulary. Wyglądał jak tajny agent pracujący dla bardzo

tajnych służb. Przejrzawszy się w lustrze, stwierdził, że z taką umiejętnością maskowania się powinien pracować w UOP-ie, a nie w zwykłej policji.

Zresztą tak naprawdę dopiero zaczynam swoją karierę policyjną, więc kto wie, jak się potoczą moje losy. Być może wyróżnię się podczas jakiejś akcji przeprowadzanej wspólnie z uopowcami i któryś z nich zwróci na mnie uwagę, myślał Mazurek, przeciskając się przez ludzką ciżbę kupujących, handlujących i okradających ich wszystkich kieszonkowców.

Podszedł na odległość mniej więcej pięciu metrów od faceta w jaskrawej czapce i pochylił się nad kocem, gdzie jakiś handlarz porozkładał rurki, klucze, śruby i pogięte gwoździe. Zdziwił się, że są chętni na takie badziewie, dostrzegłszy grzebiących w tym śmietniku ludzi, którzy rzeczywiście coś wybierali.

– Panie, a te klamki to aby na pewno miedziane? – zapytał niski gość w kolejarskim mundurze.

– A co pan myślisz, że ja jakimś szmalcem handluję? – zachnął się sprzedawca. – Miedź tak czysta jak miedziany czajnik albo kubek z miedzi, panie szanowny. U mnie klamki pierwsza klasa, z kamienicy na Żydowskiej, tej naprzeciwko synagogi, co ją zamknęli i drzwi zabili dechami. Ale jak kto wie, jak wejść na miejsce, to se poradzi. Choć szanownemu panu nie polecam samotnej wyprawy, bo coś może na łepetynę spaść i zabić na miejscu.

– Ale pana nie zabiło.

– Bo ja, panie szanowny, przez całe życie w tej kamienicy mieszkałem i jak mnie z niej wyprowadzili na eksmisję, tom se powiedział, że darmo nie oddam tego całego dobra. I też, proszę bardzo, wszystko stamtąd prosto na Łazarz trafia. I będzie trafiać tak

długo, jak długo puste ściany nie zostaną. Bo ja Balcerowiczowi tego wszystkiego nie zostawię.

– To po ile te klamki od okna, bo ja do komórki potrzebowalibyśmy dwie, a nowych kupować nie będę, bo te plastikowe to szmelc prawdziwy...

Mazurek przesunął się jeszcze bliżej faceta w czapce, który właśnie w tym momencie zachwalał swój zagraniczny towar jakiemuś klientowi w szarej jesionce i czarnym berecie.

– To jest, panie, pierwsza klasa odtwarzacz wideo, znaczy się lepszy niż zwykły odtwarzacz, bo ma możliwość nagrywania.

– Znaczy magnetowid? – zapytał ten w berecie.

– Nie, magnetowid to byłby dwa razy droższy i by kosztował trzy bańki. A ten to odtwarzacz, ale z możliwością...

– No to jaka różnica?

– Kolosalna. Magnetowid ma możliwość nagrywania na przykład na określoną godzinę, bo ma timer. Taki timer się nastawia i proszę bardzo, nagrywa panu na ten przykład „Wiadomości” o wpół do ósmej.

– A na cholerę mi „Wiadomości”? Ja takich bzdur to nie oglądam.

– To se pan nastawiasz na dwadzieścia po siódmej i nagrywasz dobranockę, na ten przykład *Smerfy* albo *Pszczółkę Maję*, a sam se pan siedzisz w knajpie i pijesz piwo. Przychodzisz pan potem do chaty, a tu proszę, dobranocka nagrana i można se ją obejrzeć.

– E, to ja nie potrzebuję takich uniedogodnień. Wystarczy mi sam odtwarzacz.

– Tylko najpierw pan sprawdź, czy działa – wtrącił się Mazurek. – Bo ten gość znany jest z tego, że szmelc sprzedaje.

– A idź pan stąd, do cholery, bo zaraz sznupe¹⁰ zdefasonuję, tak że cię matka rodzona przez próg nie wpuści, bo se pomyśli, że to jakiś orangutan bez przednich zębów do chaty jej się wtrynia.

– A spróbuj, gnoju niemyty. No dalej, spróbuj, to się zaraz przekonasz, jak to się zbiera kły z chodnika. Myślisz, że mnie zakrzyczysz, oszuście pierdolony, i ja se grzecznie pójdę? A nic z tego, ty ćwoku z Ryczywołu. Sprzedał żeś mi telewizor niechodzący, i to wcale nie japoński, ale koreańską podróbę. Jak mi zaraz tu bejmów moich nie oddasz, to do końca życia będziesz żałował, że matka cię urodziła. Oddawaj mi kasę, bo za chwilę będzie po tobie!

– Ludzie kochani, weźcie mi tego gnoja, co na uczciwego handlarza napada z ryjem. Pierwszy raz widzę tą kreaturę z rozdartą kalafą. Zamykaj ryło i spieprzaj, pókim dobry, bo jak nie, to...

Nie dokończył swojej groźby, ponieważ Mazurek nie miał zamiaru robić zbyt wielkiego hałasu o telewizor. Co miał powiedzieć, już wykrzyczał, więc teraz musiał przejść do czynów. Był o głowę niższy od handlarza, ale to nie stanowiło dla niego żadnej przeszkody. Jeszcze zanim poszedł do policji, trenował boks, więc wiedział, jak szybko i sprawnie posłać prawy prosty w brzuch, sprawiając, by zaatakowany się pochylił, a potem, niemal od razu, poprawić lewym sierpowym w podbródek.

Handlarz nie spodziewał się takiego obrotu rzeczy i zareagował dokładnie tak, jak chciał Mazurek. Najpierw zgiął się w pół, a potem poleciał na plecy, posłany drugim uderzeniem wprost na swoje magnetowidy ustawione jeden na drugim. Piramida przewróciła się pod ciężarem właściciela, a on sam przeleciał przez murek i padł na trawę. Policjant skoczył za nim i przyklęknął, opierając kolano o splot słoneczny przeciwnika.

– O Jezu! – jęknął facet, z którego uszło całe powietrze.

– No i jak się masz, pruski karaluchu? Już mnie teraz poznajesz czy mam ci jeszcze przyfanzolić w ryja?

– Poznaję.

– Masz bejmy?

– Mam!

– To oddajesz mi za ten szmelc i jeszcze za moją krzywdę dokładasz dziesięć kaset z dupeczkami – rzucił Mazurek z odrobiną niepewności, bo przecież nie wiedział, czy gość ma tyle pornoli na składzie.

– A co tu się wyrabia? – odezwał się ktoś za plecami sierżanta w cywilu.

– Panie władzo, ten gość mnie napadł w celach rabunkowych – zaczął wyjaśniać podniesionym głosem handlarz. Mazurek się odwrócił. Na chodniku stał gruby jak beczka piwa policjant. Domyślił się, że musi to być dzielnicowy.

– Nie napadłem, tylko chciałem swoją własność odzyskać, bo ten oto zasraniec mnie okradł z moich pieniędzy. Sprzedał mi telewizor...

– Zejdźcie, obywatelu, z obywatela – przerwał mu policjant.

– Ale on...

– Nie gadajcie, tylko złaźcie.

– Niech go pan aresztuje! – Handlarz wymierzył oskarżycielsko palcem w Mazurka. Ten, nie zastanawiając się specjalnie, trzepnął go w tę wskazującą winnego rękę. Facet krzyknął z bólu, choć w tym okrzyku więcej było udawania, obliczonego na zrobienie wrażenia na policjancie, niż samego bólu.

– Koniec tej bijatyki. Obaj dawać dowody osobiste – zarządził dzielnicowy.

– Ja nie mam dowodu przy sobie – odburknął sprzedawca, podnosząc się z trawy i otrzepując kreszowe spodnie.

– Nie macie dowodu, to zaraz inaczej pogadamy. Pójdziecie obaj na komisariat i tam wszystko wyjaśnimy.

– Nigdzie nie będziemy chodzić – rzucił sierżant incognito. – Proszę, to są moje papiery. – Powiedziawszy to, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki służbową legitymację. Dzielnicowy wziął do ręki czarny kartonik, robiąc przy tym zdziwioną minę. Nie musiał nawet zaglądać do środka, bo wiedział, co zobaczy. Sam miał podobny. Na wszelki wypadek jednak otworzył. W środku było zdjęcie Mazurka w policyjnym mundurze. Spojrzał na fotografię, a potem na Mazurka, który uśmiechnął się i wyciągnął rękę po dokument. – Jestem funkcjonariuszem policji podczas wykonywania czynności służbowych. Więc może mi pan sierżant pomoże z tym gościem, który jest ewidentnym oszustem i złodziejem – wyjaśnił, rozwiewając wszystkie wątpliwości funkcjonariusza. Ten spojrzał na niego jeszcze raz, jakby chciał się upewnić, czy ten facet podający się za policjanta rzeczywiście nim jest, potem popatrzył na tego drugiego, ale w miejscu, gdzie przed chwilą stał handlarz, nie było nikogo.

– Spierdala! – Wskazał palcem na znikającego w tłumie faceta w pomarańczowej czapce. Ten wbiegł między stragany, roztrącając na boki ludzi. Mazurek odwrócił się i niewiele się zastanawiając, ruszył biegiem za uciekinierem. Ale nie zamierzał pchać się w ten kłębiący się tłum. Błyskawicznie przeanalizował sytuację i wyszło mu, że handlarz będzie uciekał, przecinając rynek na ukos, by wydostać się jedyną ulicą wychodzącą z północnej pierzei. Najkrótsza droga była jednak wypełniona ludźmi, którzy zwalniali tempo ucieczki i to samo stałoby się z pogonią. Dlatego postanowił okrążyć plac, wybiegając na ulicę. I to był dobry wybór. Po chwili

zobaczył, jak spomiędzy straganów wypada gość w pomarańczowej czapce i zmierza wprost w ulicę Małeckiego. Mazurek był tuż za nim. Wiedział już, że uciekinier mu się nie wymknie. Za chwilę go dopadnie...

Dostawczy żuk wyjechał spomiędzy straganów na ulicę i zatarasował mu drogę. Mazurek zatrzymał się, obiegł auto i puścił się w kierunku wylotu ulicy, w którą przed chwilą wbiegł handlarz. Ale uciekinier rozpląnął się w tłumie przechodniów.

Godzina 10.40

Mariusz zamknął teczkę z aktami i spojrzał przez okno. Chmurzyło się, a on musiał wyjść z komendy i pójść do miasta. Popatrzył na zegarek. Miał jeszcze trochę czasu, bo dopiero dochodziła jedenasta, a on umówił się koło południa. Na Stary Rynek nie było daleko. Postanowił więc, że się przespaceruje. Po drodze będzie mógł sobie dokładnie przemyśleć parę spraw. Miał trochę wyrzutów sumienia, że nie powiedział o wszystkim Marcinkowskiemu. No ale gdyby to zrobił, to musiałby wydać Brodziaka, a Brodziak przecież prowadził to samo śledztwo co on, tylko robił to we własnym stylu i bez obciążeń służbowych.

Wczoraj wieczorem w knajpie wyjaśnili sobie, nad czym pracują, i doszli do przekonania, że nie ma co się kręcić samodzielnie, lecz trzeba połączyć siły. Choć na początku Mariusz miał pewne wątpliwości.

– Słuchaj, Mirek, przecież jak przyjdiesz do Marcinkowskiego i powiesz mu, o co chodzi, to on nie będzie robił ci przeszkód. To

twój stary kumpel. Zrozumie, że prowadzisz takie... hm, mniej oficjalne śledztwo.

Brodziak pokręcił głową.

– Nic z tych rzeczy. Fred to najporządniejszy człowiek, jakiego znam, poważnie mówię, ale ma pewien problem.

– Jaki problem?

Brodziak się uśmiechnął.

– To jest, niestety, pieprzony legalista. On nie pozwoli na żadną samowolę i wyrównywanie rachunków, a tu się zapowiada poważna rozgrywka z ludźmi, którzy mają życie ludzkie za nic, więc nie przebierają w środkach. Dlatego potrzebują przeciwnika, który będzie miał w dupie zasady.

– Mówisz o sobie?

– No jasne, że siebie mam na myśli, bo przecież nie Teofila. – Wskazał na przyjaciela, który właśnie przed chwilą odsunął talerz z zakąskami na bok, położył głowę na ramieniu i zasnął. Teofil był znany z tego, że podczas męczących biesiad alkoholowych potrafił błyskawicznie zregenerować siły, ucinając sobie krótką drzemkę. Przesypiał w takich niebyt sprzyjających relaksowi warunkach piętnaście, dwadzieścia minut i zaraz potem wracał rześki i wypoczęty do świata szczęśliwych pijaków. Teraz pochrapywał cicho, śniąc zapewne o kolejnym pełnym kieliszku do wypicia, kompletnie niezainteresowany planami kolegów. Nie przeszkadzała mu nawet wokalistka zespołu Drupio Band próbująca zaśpiewać piosenkę Alicji Majewskiej z serialu *07 zgłoś się*.

*Przed nocą i mgłą osłoń mnie,
zabierz z serca samotność,
cień, co tam legł.*

*Wytarguj od gwiazd ten czas, mój czas,
co zanim się stał – zbiegł.*

– Czyli chcesz pójść po bandzie? – zapytał Mariusz.

– Wiesz, to jest tak, że jak ktoś wysła taką informację w świat jak obcięty palec, to znaczy dokładnie tyle, że masz się trzymać z daleka. Taki właśnie przekaz dostał Rychu Grubiński. I co twoim zdaniem miałby zrobić? Powiedzieć tym facetom, że oczywiście przyjmuje do wiadomości i wycofuje się ze swoich interesów, bo się przestraszył ich ostrzeżenia? Nie, kurwa, nie może tego powiedzieć, bo jeśli jednym odpuści, to następni zaraz zaczną mu wchodzić na głowę. I dlatego muszę mu pomóc.

– To czego dokładnie szukasz? – zapytał Mariusz.

– Chłopaka, który jechał z Berlina samochodem i obcięli mu palec. – Mówiąc to, Mirek spojrzał gdzieś w bok, jakby szukał kogoś na parkiecie. Wolał nie patrzeć Mariuszowi w oczy, bo gdyby ten się dowiedział, że oprócz palca chodzi jeszcze o dwa trupy, pewnie nie dałby mu szansy na nieoficjalne śledztwo. Gra była zbyt niebezpieczna, a Blacha był realistą. Mirek musiałby się pogodzić z tym, że śledztwo prowadzi komenda, i ewentualnie mógłby, zawieszając swoje odejście, włączyć się w nie oficjalnie. Ale on nie chciał sobie wiązać rąk. Tych facetów musiał dopaść przed policją, żeby Rychu mógł z nimi wyrównać rachunki. Blacha, gdy dowie się o trupach, może mu nie wybaczyć tego, że coś przed nim ukrywa, ale nie ma innego wyjścia. Musiał ponieść to ryzyko.

– Ja mam za to ajenta knajpy, któremu obcięto dwa palce.

– Pewnie się postawił skurwysynom.

– Powiedział, żeby się od niego odwalili, a oni jednak postanowili go przekonać, żeby im zapłacił za ochronę knajpy.

– To są ci sami ludzie! – stwierdził Mirek, sięgając po papierosa.

– A skąd masz taką pewność? – zainteresował się Mariusz. On zawsze miał wątpliwości. Ale przede wszystkim nie lubił wyciągać pochopnych wniosków. Na razie wydawało mu się, że ma za mało danych, żeby móc zdobyć się na jakiegokolwiek autorytatywne sądy. – No wiesz, myślę o tym, że to może być przypadek.

Brodziak uśmiechnął się lekko pod nosem.

– No to zobacz, jak to wygląda z boku. Mamy faceta w knajpie w Poznaniu, któremu jakieś gnoje obcinają palce. W tym samym mniej więcej czasie podobny przypadek, czyli obcięcie palca człowiekowi pracującemu dla Rycha. A wcześniej ten Tomcio Paluch, sutener z Poznania. Ile takich przypadków miałeś w ciągu, powiedzmy, ostatnich dwóch lat? No proszę, powiedz mi, z iloma obcięciami palcami miałeś do czynienia?

Mariusz naraz zrozumiał, że Brodziak ma całkowitą rację. Chyba nie kojarzył tak dobrze, jak powinien, przez ten alkohol, który dziś wypił. No i jeszcze przez te wszystkie emocje dzisiejszego wieczoru. W końcu nie co dzień człowiek rozstaje się z dziewczyną i dodatkowo wyrywa rękę jej facetowi, który jeszcze niedawno był tylko postacią na fotografiach w rodzinnym albumie.

– Masz rację, Mirek. Już mi się to wszystko jasno wyświetliło w głowie. Nie ma takich przypadków. To się wszystko składa w jedną całość. Chyba pojawiła się w Poznaniu, czy w województwie, jakaś nowa grupa bandycka, która robi swoje porządki. Zajmują się zastraszaniem, pobieraniem pieniędzy za ochronę i przejmowaniem biznesowego rynku działającego na styku legalnych i nielegalnych interesów. Tak właśnie nadepnęli na odcisk Rychowi.

– No teraz wreszcie kumasz, o co biega, chłopie – ucieszył się Brodziak. Chwycił butelkę wódki, by rozlać ją do dwóch kieliszków.

– Ja już nie chcę. – Mariusz wskazał na swój kieliszek, ale Brodziak zignorował te opory.

– Wiesz co, Blacha, ja odchodzę z policji, a tam ześmy razem przepracowali prawie siedem lat, i ty wiesz, że my po raz pierwszy pijemy razem wódkę.

– No wiesz, że ja rzadko sięgam po kieliszek.

– No to teraz nie odmawiaj i weź wypij ze mną.

– Za co?

– Za to, żebyśmy zawsze byli kumplami.

– No za to mogę wypić, ale kumplami będziemy zawsze. Przecież...

– Nic nie mów. Tak w życiu bywa, że niekiedy musisz robić różne rzeczy, bo wiesz, że to jest słuszne. I jak patrzysz na to z boku, to może się wydawać, że to, co robisz, jest złe, ale nawet jak na pierwszy rzut oka to wygląda źle, to prawda jest taka, że jest to dobre...

– Co ty pieprzysz, Miras?

– Nic nie pieprzę, Blacha, nic nie pieprzę. Ale wiem, co mówię. Teraz nie będę ci tego tłumaczył, ale w końcu zrozumiesz... Napijmy się.

Chwycił kieliszek i uderzył w krawędź drugiego. Mariusz wziął do ręki swój i wlał wódkę do ust. Przełknął i mało się nie zakrztusił. Nie znosił smaku wódki, ale na szczęście na stole stała butelka pepsi. Popił, zmywając gorzki smak z języka i przełyku.

*Zapal ogień we mgle,
niech nie zgasi go wiatr,
tyle dróg płacze się,*

zły jest świat.

Serialowa piosenka przyciągnęła na parkiet sporo ludzi. Widać magia porucznika Borewicza nadal działała, mimo że nie kręcono już nowych odcinków.

– A ty myślisz, że Borewicz jeszcze jest w policji? – zapytał naraz Mirek, wsłuchany w filmową melodię.

– Przecież to aktor – odparł zdumiony Blaszkowski.

– Jaki aktor?

– No ten, co grał Borewicza. Bronisław Cieślak.

– Co, Broniek Cieślak jest tutaj? – Teoś Olkiewicz podniósł głowę znad stolika i rozejrzał się po sali nieprzytomnym wzrokiem. – Bo mi się zdawało, że o Bronku Cieślaku mówicie.

– Znasz go? – zapytał Mariusz z niedowierzaniem. Aktorzy to byli ludzie z innego świata, więc znajomość z kimś takim to był powód do wielkiej dumy. Tak się przynajmniej zdawało Blaszkowskiemu, który nie poznał żadnego aktora osobiście.

Teofil sięgnął po butelkę wódki, nalał sobie do kieliszka i natychmiast wypił. Otarłszy usta wierzchem dłoni, spojrzął na Blaszkowskiego.

– Z Bronkiem Cieślakiem byłem na kursach oficerskich jeszcze za czasów poprzednich. Byliśmy na szkoleniu...

– Ale on przecież jest aktorem – przerwał mu Mariusz. Teoś uśmiechnął się z wyższością.

– Broniek Cieślak pracował i pracuje w komendzie głównej w Warszawie. I z wyglądu wcale nie jest podobny do tego Borewicza z filmu. Wygląda jak prawdziwy szkieł, i do tego wszystkiego jest ciemnym brunetem z wąsami. A jego szefową w wydziale dochodzeniowo-śledzącym, wyobraźcie se, była kobitka. Pani

pułkownik Matylda Kaczmarek już w policji nie pracuje. Jak się wszystko zmieniło, powiedziała, że mogą się w dupę pocałować i ona dla tych nowych robić nie będzie. Fajna babka – powiedział Olkiewicz i oblizał zeschnięte wargi. – Ale Broniek jeszcze tam robi, bo niedawno nawet dzwonił do nas w jakiejś sprawie, ale już nie pamiętam, w jakiej. To żeśmy se pogadali i się wypytałem o wszystko. Wyobraźcie sobie, że tą panią pułkownik to chcieli dać do archiwum. Taką dobrą policjantkę do archiwum. Koniec świata!

– Mi się rozchodziło o tego aktora, który w filmie grał porucznika Borewicza – wyjaśnił Mariusz, ale Olkiewicz ucieszył się jeszcze bardziej.

– Ten Borewicz to też potrafi wypić. W zeszłym roku, jak był tu na targach w Poznaniu, to żeśmy pili przez całą noc do rana, a potem to poszłem go do taksówki odstawić, bo z targów do hotelu Merkury przez ulicę nie mógł przejść, tak się z ledwością na girach trzymał. A ja sam potem na tramwaj poszłem i bimbą do chaty wróciłem, całkowicie samodzielnie. Bo pić, panowie, trzeba umieć – stwierdził i rozlał wódkę do trzech kieliszków. Tym razem Mariusz nie oponował. Jakoś lepiej się poczuł po tym ostatnim kieliszku.

Dziś zdał sobie sprawę, że to był chyba jednak ten jeden kieliszek za dużo. Wstał zza biurka i podszedł do wieszaka stojącego w rogu pokoju. Założył drelichową zieloną kurtkę, do złudzenia przypominającą tę noszoną przez Borewicza, i wyszedł na korytarz. Wiktoria poprosiła go o spotkanie w mieście. Może chciała mu powiedzieć, że słusznie zrobił, obijając tego łajdaka, jej męża. W końcu należało mu się jak mało komu za to, co zrobił jej i dzieciom. No i za niego samego, bo Łabędzki wkroczył w jego życie i całkowicie je zburzył, bydlak jeden.

Godzina 11.00

Mazurek siedział na krześle, a wokół rozciągał się widok jak w nowoczesnej jaskini czterdziestu rozbójników. Wszędzie, na podłodze, stole, na półkach i nawet na szerokim dwuosobowym tapczanie, stały albo leżały paczki ze sprzętem elektronicznym. Były tu radia, magnetofony, magnetowidy, walkmany, telewizory, a więc wszystko to, co wymyśliła ludzkość dla uprzyjemniania sobie życia. Lśniące nowością kartony, w które był zapakowany sprzęt, świadczyły o tym, że była to elektronika nieużywana, a więc pochodząca wprost od producenta, czyli ze sklepu albo hurtowni. Oszołomiony policjant patrzył i nie mógł się napatrzeć. Jedno było pewne, w Polsce nie było sklepów oferujących takie dobra w takich ilościach, więc musiały trafić do nas nielegalną drogą.

– Tyle masz tu tego wszystkiego zupełnie nowego, a ty handlujesz takim badziewiem? – powiedział zdumiony Mazurek.

– To nie jest moje – odpowiedział chudzielec nieco zduszonym głosem. Nie mógł mówić w normalny sposób, bo było mu dość niewygodnie. Leżał bowiem na podłodze z twarzą przyciśniętą do pomalowanej na sraczkowaty kolor deski. Do tej podłogi przyduszał go but należący do Mazurka, oparty na jego policzku. But stanowił zabezpieczenie. Policjant przyciskał handlarza na wszelki wypadek, żeby ten nie wstał i nie uciekł, zanim z pomocą nie przyjdzie dzielnicowy z rynku Łazarskiego.

– A czyje niby? – zapytał sierżant, wyciągając papierosa z paczki, którą przed chwilą znalazł na stole. Stał tam wielki karton, w którym mieściło się pewnie ze sto podłużnych sztang z papierosami. Jedna była rozdarta i paczki leżały w nieładzie na blacie. Dlatego Mazurek nie miał żadnych skrupułów i skorzystał z okazji. Na co dzień palił

zwykle radomskie, a tu leżały przed nim marlboro, więc nie mógł się powstrzymać, by nie spróbować takiego rarytasu.

Zapalił i zaciągnął się aromatycznym dymem, a potem spojrzał na zegarek. Jego nowy znajomy policjant najwyraźniej miał w sobie dużo spokoju. Powinien go ubezpieczać i wkroczyć do tego mieszkania zaraz po nim, ale gdzieś się zawieruszył.

– Ten sprzęt to ja tylko przechowuję – oświadczył leżący facet.

– Oczywiście, każdy złodziej złapany z ręką w cudzej kieszeni mówi, że to nie jego ręka. No dalej, co mi jeszcze powiesz ciekawego, kochanieńki?

– Powiem, że jak powiem, to oni mnie zabiją.

– Kto cię zabije?

– No ci od tej elektroniki. Znaczą się właściciele, co to u mnie tylko przechowują.

– Nie zabiją cię, nic się nie martw. We Wronkach cię nie dopadną. Tam o twoje bezpieczeństwo zadbają panowie klawisze. A oni potrafią troszczyć się o osadzonych. Wierz mi, kochanieńki, że jak im się powie, żeby o kogoś dbali...

– Niby czemu do Wronek? Ja przecież nic nie zrobiłem.

– Jak nie zrobiłeś? Zrobiłeś, zrobiłeś. Jakbyś nie zrobił, to przecież byś nie uciekał. Nie uciekają ludzie, co mają czyste sumienia. A ty masz je brudne jak kibel na Dworcu Głównym.

– Jestem niewinny!

– Cicho bądź, bo ktoś idzie! – Nadepnął mocniej twarz swojego aresztanta i spojrzał w kierunku korytarza wiodącego do wejścia. Drzwi były szeroko otwarte, więc dzielnicowy powinien tu trafić bez problemów. Zresztą był przecież w bramie tej kamienicy razem z nim i wiedział, co ma robić. Boże, co za ćwok z tego gościa.

Mazurek aż się gotował ze zdenerwowania. Chwilę wcześniej umawiali się, jak ma wyglądać ich wspólna akcja.

– Słuchajcie, sierżancie, zrobimy tak, ja wkroczę do tego mieszkania pierwszy, a wy będziecie mnie ubezpieczać – wyjaśnił pewnym głosem Mazurek. – Może tak być?

– Może – potwierdził dzielnicowy Obrębski.

Mazurek klepnął go w ramię i już chciał ruszać na górę, gdy jego nowy znajomy chwycił go za rękaw.

– Ale nie macie przecież broni, żeby robić interwencję.

– A po co mi ją brać? Ja nie idę strzelać się z mordercami, tylko chwycić jednego gnojka, co sprzedaje zepsutą elektronikę.

– No i prawda, ale gdybyście chcieli, to może ja wam moją tetetkę wypożyczę na chwilkę? – Mówiąc to, dzielnicowy poklepał czarną kaburę, przytroczoną do pasa.

– No nie. Po co mi ta spluwa? – Mazurek pokręcił głową. – Dam sobie radę z gołymi rękami.

– No to może chociaż moją pałkę wam dam, bo głupio tak wchodzić bez uzbrojenia. To, jak by nie patrzeć, mieszkanie niby normalne, ale mnie się zdaje, że tam jest melina złodziejska.

– Moje ręce lepsze od pałki – zaśmiał się Mazurek. – Zresztą mam w was zabezpieczenie najlepsze, bo wy będziecie tu moją ariergardą.

– Tak jest – powiedział sierżant i zasalutował. – Czym? – Dopiero teraz do niego dotarło, że ma być czymś, o czym nie miał zielonego pojęcia.

– Ariergarda znaczy tylna straż – wyjaśnił Mazurek. – Zabezpieczacie tyły, podczas gdy ja atakuję.

– Melduję, że zrozumiałem – ucieszył się sierżant i jeszcze raz zasalutował.

Mazurek klepnął go w ramię i zaczął się wspinać po brudnych i niekonserwowanych od lat schodach, które użalały się nad swoim stanem, głośno i donośnie skrzypiąc przy każdym kroku. Obrębski miał ruszyć za nim, ale tego nie zrobił.

Kilkanaście minut wcześniej dzielnicowy rzucił się w pościg za uciekającym handlarzem, ale przede wszystkim za tym, którego służbowa policyjna legitymacja została mu w ręce. Wtedy pomyślał, że dokument służbowy funkcjonariusza powinien być w kieszeni właściciela, a nie jakiegoś innego policjanta. Dlatego mimo swojej poważnej tuszy puścił się biegiem. No może nie był to sprint, ale bieg energetyczny, z którego nasza tegoroczna mistrzyni świata w maratonie Wanda Panfil pewnie mogłaby być dumna. Po chwili był na Kanałowej. Wyszedł bowiem ze słusznego założenia, że uciekający facet, znany mu całkiem dobrze, czyli z imienia, nazwiska i adresu, ucieka tam, gdzie powinien, czyli do swojej chaty. I się nie pomylił. Gdy dotarł do tej odrapanej starej kamienicy, której wejście podtrzymywało dwóch rzeźbionych brodaczy o atletycznej budowie, młody funkcjonariusz stał w bramie, rozglądając się bezradnie. Dzielnicowy podszedł do niego, zasalutował i wyciągnął ku niemu rękę z legitymacją.

– Pan kolega tak poleciał szybko, że legitkę zostawił. A legitymacji służbowej zostawiać się nie powinno.

– A skąd pan wiedział, gdzie mnie szukać? – Zdumiony Mazurek odebrał dokument i schował go do kieszeni.

– No jak skąd? Przecież pan ścigasz Karola Matyjasika, syna Mariana, zamieszkałego na Kanałowej cztery mieszkania cztery

w Poznaniu.

– To pan go zna?

– Jak najbardziej. Ja tu znam wszystkich na Łazarzu, bo ja jestem tu dzielnicowym – wyjaśnił Obrębski z pewną nutą dumy w głosie. Powiedział to tak, jakby oznajmiał, że jest miejscowym proboszczem.

Mazurek wspiął się na górę i przez chwilę postął przy drzwiach, nasłuchując, co się za nimi dzieje. Słyszać było tylko muzykę dochodzącą z radia, bo przerywaną jakimś gadaniem. Rozpoznał nawet piosenkę wykonywaną przez Marylę Rodowicz, tę o byle jakim pociągu. Między słowami dało się słyszeć dźwięk przesuwania albo przestawiania czegoś. Policjant odruchowo chwycił za klamkę i ją nacisnął. Zdziwił się, bo drzwi nie były zamknięte. Ostrożnie je otworzył i wszedł do środka. Przed nim rozciągał się długi korytarz z drzwiami po prawej i po lewej stronie. Te lewe były otwarte. To stamtąd dochodziły hałasy zagłuszające piosenkę.

Stanął w wejściu i od razu dostrzegł plecy faceta pochylonego nad kartonem od telewizora. Mężczyzna grzebał w środku, nie zwracając na nic uwagi, całkowicie pochłonięty pracą. Mazurek jednym susem dopadł go, pociągnął ku sobie i przewrócił na podłogę. Oszołomiony, nie stawiał oporu. Policjant na wszelki wypadek kopnął go w brzuch. Facet jęknął i natychmiast się obrócił, zajmując obronną pozycję twarzą do podłogi. Sierżant złapał krzesło stojące przy stole, na środku pokoju, przyciągnął je do siebie, postawił nad leżącym, tak że cztery nogi ograniczały jego ruchy, po czym usiadł i butem przycisnął głowę handlarza do podłogi.

Siedział tak już prawie kwadrans, czekając na dzielnicowego. W końcu w korytarzu dało się słyszeć jakiś ruch.

– Halo, jest tu ktoś? – rozległ się chropowaty głos starszego kolegi.

– No tutaj jestem! – odpowiedział Mazurek.

Do pokoju wkroczył zadowolony z siebie Obrębski. Za nim pojawili się dwaj młodzi policjanci.

– To żeśmy zdążyli – powiedział z dumą w głosie. – Zawezwałem patrol z radiowozem, żeby niezwłocznie dostarczyć zatrzymanego na komendę – wyjaśnił.

– Jakoś żeś się pan nie śpieszył.

– A co, miałem niepotrzebnie ryzykować? Trzeba było wezwać pomoc.

– Mogli mnie tu zatłuc! – mruknął Mazurek.

– Mogli, ale nie zatłukli – stwierdził Obrębski. – No, ładny składzik kontrabandy żeśmy wykryli – powiedział, najwyraźniej zadowolony z obrotu sprawy. Podszedł do kartonu, tego samego, nad którym pochylał się wcześniej zatrzymany handlarz. Zajrzał do środka, po czym włożył tam rękę i coś wydobył. – O proszę, nie tylko telewizory, ale i jakieś lekarstwa się z Niemiec przewozi. – Pomachał plastikowym przezroczystym woreczkiem wypełnionym kolorowymi pigułkami.

Mazurek spojrzał na tabletki i natychmiast zrozumiał, że to nie żadne lekarstwa.

– Co to jest? – zapytał handlarza, którego dwaj policjanci właśnie zakuwali w kajdanki.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział chudzielec opryskliwie. – Pierwszy raz to w życiu widzę. Pewnie coś musiało się zaplątać do paczki.

– W tym kartonie od telewizora jest więcej tego – stwierdził dzielnicowy.

– Niech pan nie dotyka tych woreczków – ostrzegł go Mazurek. – Są na nich odciski palców tego typu. Grzebał tam właśnie w momencie, jak tu wszedłem, więc dobrze wie, co było w środku. A te tabletki to mi wyglądają na narkotyki.

– No to jak są to narkotyki, to prędko wy z pierdła nie wyjdziecie, obywatelu Matyjasik – stwierdził Obrębski i wrzucił woreczek do kartonu.

– To żadne narkotyki nie są – odpowiedział Matyjasik, ale jego odpowiedź nikogo nie zainteresowała.

Godzina 11.40

Białe bmw podjechało niemal pod samo wejście do wieżowca. Jednak po chwili auto się wycofało. Kierowca ruszył wzdłuż szeregu zaparkowanych przy osiedlowej ulicy samochodów, rozglądając się za wolnym miejscem. W końcu natrafił na lukę pomiędzy małym fiatem a wartburgiem. Wjechał więc tam i wyłączył silnik.

Mógł stanąć po drugiej stronie uliczki, wzdłuż chodnika, ale wolał nie ryzykować porysowania lakieru. Parkowanie między innymi autami dawało gwarancję bezpieczeństwa jego nowej beemce. Poza tym ustawiona pośród innych samochodów beemka nie przyciągała uwagi przechodniów. Takie bmw mogło zostać przecież zauważone przez potencjalnych złodziei. A tych nie brakowało na osiedlach. W końcu to tu właśnie, w tych sypialniach z wielkiej płyty, dokonywano najczęściej kradzieży samochodów. Mirek Brodziak dobrze o tym wiedział, bo jako policjant często uczestniczył w naradach, podczas których prezentowano policyjne dane dotyczące przestępczości w Poznaniu i województwie poznańskim. Więc jako nowo upieczony właściciel bryki z górnej półki, auta

ekskluzywnego i drogiego, od razu wszedł w nową rolę, człowieka, który musi za wszelką cenę chronić swój dobytek przed złodziejami.

Zamknął auto kluczykiem, a potem obszedł je dookoła, sprawdzając, czy aby na pewno wszystkie drzwi, łącznie z tymi od bagażnika, są zamknięte.

– Strzeżonego Pan Bóg strzeże – usłyszał jakiś głos za swoimi plecami. Odwrócił się. Na chodniku stał brodaty mężczyzna w brązowej kurtce, z kapturem założonym na głowę. W ustach trzymał tłącego się papierosa. W zdeptanych butach i poplamionych dresowych spodniach wyglądał jak główny lokator osiedlowego śmietnika.

– W jakim sensie? – zapytał Brodziak.

Gość uśmiechnął się i wskazał na samochód.

– Piękna bryczka. Szkoda by było, żeby ktoś ją podpieprzył.

– A co, są tu jacyś złodzieje? – zapytał policjant, rozglądając się dookoła.

– Panie, szkoda gadać! – stwierdził kloszard, machając ręką. – Złodzieje są wszędzie. Kradną, gnoje, co się tylko da. Ale na szczęście ludzi dobrej woli jest więcej.

– A, to znaczy się pan z dobrą wolą? – domyślił się Brodziak.

– Jak najbardziej, panie szanowny. Mam dobrą wolę, chęci i czas. Znaczy się, jeśli panu szanownemu odpowiada moja skromna osoba w postaci pilnowacza tego oto pięknego cacka, to służę swoją skromnością i zdecydowaniem oraz gwarancją, że nikt się do tego skarbu nie zbliży i nie porysuje lakieru gwoździem.

– A jeśli powiem, że mnie ta oferta nie interesuje?

– Łe, panie szanowny, jak może pana nie interesować, jak pan chcesz mieć auto w całości, z kołami i bez zarysowań. Pan musisz

wiedzieć, że złodziejstwo w naszej dzielnicy się rozpleniło na wyjątkowo nieprawdopodobną skalę, a chuligaństwo wśród szczonów jeszcze bardziej jest popularne niż piosenkarz Michael Jackson.

– I jak się nie zgodzę, to jakieś wywijasy¹¹ się przy aucie pojawiają?

– Jakby szanowny pan zgadł. Kręcą się tu te cholery i niczego nie uszanują. A jak nie ukradną, to chociaż zniszczą. Złośliwe to skurwysyństwo jak diabli. Widzi mi się, że kiepsko by się szanownemu panu jechało z przebitymi oponami.

– A jak pan przypilnuje, to...

– Pies z kulawą nogą nawet się na auto nie odleje. Nie mówiąc już o kociambrach. A pan wiesz, że jak stary kociamber naszcza na oponę, to całe auto śmierdzi przez miesiąc tak, że się nie da jeździć.

– Ile mnie ta przyjemność ma kosztować? – zapytał Brodziak, uśmiechając się pod nosem. Musiał przyznać, że gość był przekonujący i potrafił umiejętnie wykreować obraz zagrożenia.

– Dokładnie dwadzieścia dwa tysiące i pięćset złotych polskich.

– Dwadzieścia dwa...

– I jeszcze pięćset. Proszę nie zapomnieć o tej końcówce.

– Ale czemu tyle?

– Bo tyle kosztuje flaszka wódki Wyborowej w najbliższym sklepie monopolowym – stwierdził, wskazując na pobliski pawilon handlowy.

Ta argumentacja przekonała Brodziaka ostatecznie.

– Dobra, masz pan na razie dziesięć tysięcy, a jak wrócę, resztę.

– Szanowny pan może być całkowicie uspokojony względem bezpieczeństwa pańskiej bryczki. Nikt tu nawet nie podejrze na

metr. Osobistością tego dopilnuję – stwierdził kloszard, odbierając banknoty.

Mirek ruszył w kierunku wieżowca. Sprawdził na wszelki wypadek jeszcze raz numer, upewniając się, że to ten adres zapisał mu kierownik Waligóra. Chłopak mieszkał prawie na samej górze, więc przywołał windę. W kabinie śmierdziało tak, jakby ktoś w niej zwymiotował. Ale śladów wymiocin nigdzie nie było. Za to ściany ozdobiono dziesiątkami napisów, od wyznań miłości do wyszukanych obelg pod adresem kolegów i koleżanek. Szczególnie spodobał mu się ten informujący, że jakiś „Bobek to pizda i chuj” jednocześnie. Nie przeczytał nawet jednej dziesiątej zapisków, gdy winda zatrzymała się na siódmym piętrze. Szybko odnalazł mieszkanie i zapukał do drzwi. Te otworzyły się niemal natychmiast.

– Dzień dobry – powiedział do drobnej dziewczyny.

– A pan w jakiej sprawie? – zapytała szybko.

– Komisarz Brodziak z policji – przedstawił się, wyciągając służbową legitymację.

– Z policji? Przecież mi powiedzieli, że się nie zajmą sprawą, bo na razie to za wcześnie.

– Co powiedzieli?

– No że zaginięcie można zgłaszać dopiero po czterdziestu ośmiu godzinach. A tu nie ma nawet czterech godzin. Tyle że ja widziałam prawie wszystko, to znaczy oprócz samego zaginięcia.

Drzwi naprzeciwko otworzyły się i z mieszkania wychyliła się głowa sąsiadki w turbanie z ręcznika.

– Panie, a u nas wody ni ma w kranie. – Pomarszczona kobieta w wieku mocno zaawansowanym wskazała na swoją głowę. –

Odżywkę nałożyłam i chciałam spłukać, a tu nic nie leci. Kiedy to naprawicie, bo to już trzeci raz odłanczacie w tym tygodniu...

– Ja nie jestem z administracji – odpowiedział jej policjant.

– Nie? – zdziwiła się. – Jak nie z administracji, to co...

– Niech pan wejdzie – zaproponowała dziewczyna.

– Jak nie z administracji, to po co tu łązi po bloku? Jeszcze co ukradnie, a wody ni ma...

Zamknęła drzwi i na wszelki wypadek przekręciła zamek patentowy.

– Niech pan wejdzie do kuchni – zaproponowała dziewczyna, wskazując dłonią drzwi na prawo. Brodziak wszedł do niewielkiego pomieszczenia, w którym oprócz gazowego pieca i lodówki były jeszcze stół z dwoma taboretami, zlewozmywak z szafką pod spodem, a obok druga szafka na talerze. Stał na niej dzbanek elektryczny do grzania wody i niewielkie tranzystorowe radio Jowita 2, z którego płynęła przyciszona muzyka. Mirek od razu rozpoznał charakterystyczny głos wokalisty zespołu Clash Joe Strummera, który zastanawiał się, czy ma zostać, czy odejść.

– To o co chodzi z tym zaginięciem? – zapytał, usiadłszy na wskazanym przez gospodynię stołku.

– Jak to, pan nie wie? A pana nie przysłali tu, żeby wyjaśnić sprawę?

– Nie. – Pokręcił głową. – Ja w zupełnie innej kwestii. Chodzi mi o Wojciecha Kalafarskiego.

Popatrzyła na niego zdumiona.

– No przecież o nim właśnie mówię. O Wojtku znaczy się.

– Co pani mówi?

– No że Wojtek zaginął.

– Kiedy?

– Dzisiaj rano, niedawno, bo mieliśmy razem jechać do lekarza...

– Niech pani usiądzie. – Wskazał jej drugi taboret. Zrobiła tak, jak kazał. Usiadła i położyła dłonie na czystym blacie. Zauważył natychmiast, że paznokcie ma niepomalowane i krótko przycięte. – A teraz po kolei proszę mi opowiedzieć, co się stało.

Przez chwilę zastanawiała się, jakby w myślach szukała odpowiednich słów. Naraz zacisnęła dłonie w pięści.

– On zniknął sprzed bloku. Normalnie się rozpląnął. Wyszedł z budynku i miał poczekać na mnie w samochodzie. Razem mieliśmy pojechać do lekarza. To znaczy ja miałam prowadzić i jego zawieźć, bo on nie mógł sam kierować. No i wyszliśmy z mieszkania i w windzie na dole przypomniałam sobie, że nie wzięłam portfela, znaczy, że go zostawiłam w kuchni. To powiedziałam mu, że muszę wrócić, bo w portfelu mam prawo jazdy. I pojechałam do góry, a on poszedł do auta. Wróciłam do mieszkania, wzięłam portfel i zjechałam na dół. Poszłam do samochodu, ale Wojtka tam nie było. Tylko te kluczyki z tym ludzikiem leżały przy aucie. Tak jakby mu wypadły. Nigdzie go nie było widać. No to sobie pomyślałam, że coś się stało. Poszłam nawet do sklepu, tu obok bloku jest taki spożywczak, to poszłam tam, żeby zobaczyć, czy go tam nie ma, ale też nic. Tak jakby wyparował.

– A może się pogniewał o coś? No wie pani, tak nieraz bywa, że facet się obrazi i sobie pójdzie...

Szybko pokręciła głową.

– Nie obraził się o nic. Chciał, żebym z nim pojechała. Bo pan nie wie, ale on był ranny.

– Miał obcięty palec – stwierdził Brodziak. Wiedział o tym palcu od inżyniera. Dziewczyna zrobiła wielkie oczy.

– Ktoś zgłosił jednak ten wypadek? – zapytała. – To znaczy ten jego szef w zakładzie naprawczym?

– Poniekąd – potwierdził policjant. – Wiem, że był okaleczony, znaczy bez palca, i zamierzałem z nim porozmawiać o okolicznościach, czyli jak do tego doszło.

– No to pan rozumie pewnie, że skoro miał ten palec obcięty, to nie czuł się najlepiej. Ja mu go opatrzyłam, ale nie jestem fachowcem. Studiuję weterynarię i potrafię zabandażować ranę, ale chciałam, żeby poszedł do lekarza, a on za nic nie chciał, bo mówił, że mu szef zakazał. Co to za szef, do cholery?

– No ale jednak dziś się zgodził?

– Tak, bo powiedziałam, że rana wygląda bardzo brzydko i może się to skończyć zakażeniem. To go przekonało i postanowił jechać. Tyle że nie dojechał, a sam pieszo raczej by nie poszedł, skoro prosił mnie, żebym go zawiozła.

– Ma pani jego zdjęcie? – zapytał Brodziak.

– Tak, coś tam mam – stwierdziła i zaraz wstała z taboretu. Wyszła z kuchni, by wrócić po chwili z fotografią. Położyła ją na blacie. Mirek przez chwilę wpatrywał się w przystojną twarz uśmiechniętego chłopaka rozebranego do kąpielówek, stojącego na nadmorskiej plaży. Obok niego dziewczyna w jednoczęściowym stroju.

– To z czerwca, jak byliśmy w Mielnie, więc aktualne – wyjaśniła.

Schował zdjęcie do kieszeni kurtki i wstał od stołu.

– Znajdzie go pan? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Postaram się – odparł i wyszedł z mieszkania. Pomyślał, że trzeba by pogadać z tym gościem, który pilnował mu auta. Kto wie, może dyżurował na parkingu od rana i widział, co stało się

z chłopakiem. Nie miał jeszcze wszystkich danych, ale czuł, że Wojciech Kalafarski nie poszedł na piwo. Ktoś musiał go zabrać spod domu, i to raczej na pewno pod przymusem.

Wyszedł z klatki schodowej i ruszył do miejsca, gdzie stało zaparkowane jego nowe bmw. Jego świeży znajomy siedział obok samochodu na plastikowym fotelu i palił papierosa. Na widok Brodziaka poderwał się na równe nogi.

– Panie majorze, samochód cały i zdrowy doczekał się powrotu właściciela – oznajmił i mrugnął lewym okiem, zadowolony z pomyślnego zakończenia swojej warty.

– Myśli pan, że jestem majorem?

– Na pułkownika pan trochę za młody – stwierdził, ukazując w uśmiechu okazałe braki w uzębieniu.

Nowy Tomyśl
Godzina 12.10

Prokurator Brygida Bocian zaparzyła kawę w porcelanowym kubku. Przywiozła go w te wakacje z Francji. Była po raz pierwszy w życiu na wycieczce w Paryżu i wpadła w prawdziwy zachwyty. Francuska stolica zrobiła na niej niesamowite wrażenie swoją urodą i niepowtarzalnym stylem. No i ten kubek, biały w delikatne liliowe kwiatki, które najprawdopodobniej mogły być kwitnącą lawendą, ale co do tego nie miała pewności, ponieważ kupując, o to nie zapytała, był wspomnieniem paryskiego stylu i szyku. Bo Francuzi pili kawę w filiżankach albo właśnie w kubkach. Bardzo ją to zdumiało, bo w Polsce wszyscy parzyli małą czarną w szklankach. Mówiło się, że to kawa po turecku. Tymczasem nad Loarą piło się taką parzoną w specjalnym ekspresie z aluminium, stawianym na kuchence

gazowej. Kupiła sobie taki ekspres, no i w tym samym sklepie francuską kawę, do której dołączono jako dodatek ten kubek. Nie mogła więc teraz pić z innego naczynia. Tyle że w pracy parzyła tak jak dawniej, zalewając mieloną wrzątkiem. Ekspresu używała w domu, bo w pracy mógłby go jeszcze ktoś rąbnąć. Taki luksusowy przedmiot mógł zainteresować jakiegoś nieuczciwego prokuratora i przykleić mu się do lepkiej ręki. Wolała więc nie kusić losu i pić zwykłą staromodną kawę, a kubek był jej ukłonem w stronę francuskiej kultury.

– A pani prokurator to smakuje kawa w tym kubeczku? – zapytał siedzący biurko obok prokurator Bogdan Wiśniak. – Bo ja to bym się już nie przestawił – stwierdził, stukając łyżeczką w szklany spodeczek.

– Mnie z kubka bardziej smakuje – stwierdziła i popatrzyła na lawendowe kwiatki zdobiące ścianki. Nie była pewna tak do końca, czy rzeczywiście smakuje lepiej, ale na pewno lepiej to wyglądało i co by nie mówić, świadczyło o jej obyciu w świecie zachodniej cywilizacji. A ten Wiśniak to był stary, pięćdziesięcioletni dziad o mentalności oficera KGB, czyli człowiek Wschodu, który nigdy niczego nie widział za zachodnią granicą, bo nigdy tam nie był.

– Takie tam wymysły. Szklanka to jest szklanka – stwierdził.

– Do szklanki, żeby ją złapać, trzeba mieć koszyczek, a kubek ma uchwyt.

– Podstakańczyk – wyjaśnił.

– Co takiego?

– To po rosyjsku. Oni tam piją w szklankach herbatę parzoną w samowarze, a szklanki się trzyma, żeby się nie poparzyć, w takich właśnie jak mój podstakańczykach, czyli koszyczkach. O, ten kupiłem akurat, jak byłem w Moskwie na olimpiadzie. Pociągami

przyjaźni żeśmy jechali do Moskwy z Poznania. Piękne to były czasy. A jakie ja przywiozłem ze Związku Radzieckiego różności. Nawet kawior czarny w puszcze i wódkę Stoliczną – rozmarzył się na to piękne wspomnienie. – Dla żony kolorowy termos do kawy ozdobiony Miską i dla dzieci Miszki z kólkami olimpijskimi.

– Jakie „miszki”? Czy to chodzi o misie?

– Brawo – pochwalił ją. – Tak właśnie w istocie było, że Miska to był symbol tej olimpiady. I wszędzie były ozdoby olimpijskie z tym misiem. Piękny ten miś, taki radosny i uśmiechnięty jak ludzie radzieccy. Tak nas tam przyjmowali i witali, że aż przyjemnie wspominam... Oj, pojechałoby się jeszcze raz do Moskwy, zobaczyć te podmoskiewskie wiecziera...

– E, teraz to pan raczej już tam nie pojedzie – zawyrokowała Bocian.

– A to niby czemu?

– No jak to? Przecież tam się wszystko gotuje po tym puczu Janajewa. Nie wiadomo, kto tam teraz rządzi, czy dalej Gorbaczow, czy ten nowy, Jelcyn. Litwa, Łotwa i Estonia już ogłosiły niepodległość, no i Związek Radziecki, do którego by pan chciał jechać, rozpada się na kawałki. Myślę, że to koniec tego imperium zła, a wszystko dzieje się na naszych oczach.

– No, nie byłbym taki pewien. ZSRR to w dalszym ciągu mocarstwo atomowe, z którym się trzeba liczyć. Nawet u nas i w NRD mają jeszcze swoje wojska... – Przerwał, przyglądając się uważnie młodszej koleżance. – To pani interesuje się polityką, pani prokurator? – zapytał zdumiony.

– A co, nie mogę?

– Nie, nie, jak najbardziej. Tylko że pierwszy raz widzę kobietę, która by miała takie szerokie horyzonty. Pani mówi o polityce, jakby

pani się na niej znała.

– Dużo na tematy polityczne czytam, a gazetę „Polityka” to już obowiązkowo. U mnie w domu zawsze było to pismo, bo tata je czytał, i ja właściwie na „Polityce” uczyłam się składać litery.

– Brawo, pani prokurator. To naprawdę niezwykle, jeśli chodzi o kobiety, które zazwyczaj interesują się modą.

– Widać za mało ma pan do czynienia z kobietami – stwierdziła, kładąc teczkę z aktami na blacie swojego biurka.

– Ja mam, proszę pani, żonę i trzy córki. To oznacza, że w kwestiach kobiecych jestem prawdziwym ekspertem.

– Szczerze panu gratuluję. – Uśmiechnęła się do niego, a zaraz potem uśmiech zniknął jej z twarzy, bo otworzyła teczkę. Prokurator jeszcze coś do niej mówił, ale ona wyłączyła się z konwersacji jak lampka, której ktoś wyciągnął z gniazdka kabel. Całą uwagę skupiła na zdjęciach przedstawiających zabitych ludzi, a potem wzięła do ręki plastikowy woreczek, w którym znalazły się trzy dowody osobiste, trzy prawa jazdy, niewielki skórzany portfel, w którym były drobne pieniądze, w końcu trzy mapy drogowe Polski oraz plan Berlina. Wszystko wydobyte ze śmietnika na parkingu, który wcześniej przeoczyli policjanci zabezpieczający to miejsce. Śmietnik był jakieś pięćdziesiąt metrów od chaszcz, w których znaleziono zastrzelonych mężczyzn, ale przecież był to obszar tego samego parkingu. Powinni byli to sprawdzić od razu. No ale nie sprawdzili.

Z tymi policjantami z Nowego Tomysła było wieczne utrapienie. Niby uważali się za specjalistów wysokiej klasy, a w rzeczywistości byli nieudacznikami przewrażliwionymi na punkcie swojego pozornego profesjonalizmu. W końcu to ona znalazła te wszystkie przedmioty wyciągnięte ze sterty śmieci. Trzeba było widzieć miny obu funkcjonariuszy, gdy natrafiła na dowody osobiste. Włożyła je

wraz z pozostałymi rzeczami do worka foliowego i z tym trofeum pojechali na komendę w Nowym Tomysłu, żeby technik pobrał odciski palców. Gdy skończył, zabrała wszystko do siebie, żeby jeszcze raz to przejrzeć.

Wyciągnęła kartkę papieru kancelaryjnego i zaczęła szybko wypisywać dane z dowodów. Dokonała szybkiej selekcji, sprawdzając zdjęcia w dowodach z twarzami zabitych. Przy dwóch nazwiskach, Robert Kulas i Marian Mrugała, postawiła krzyżyki. Trzeci dokument był wystawiony na nazwisko Wojciech Kalafarski.

Podkreśliła to nazwisko, uśmiechając się pod nosem. Bezwiednie sięgnęła po papierosa. Włożyła go do ust, ale nie zdążyła poszukać zapalek. Prokurator Wiśniak podał jej ogień. Zapaliła i natychmiast wróciła do swoich notatek, nawet mu nie podziękowawszy. Ten tylko mruknął coś pod nosem i zaczął znów przeglądać wielką płachtę „Gazety Poznańskiej”.

Brygida jeszcze przez chwilę robiła notatki, potem przejrzała dokładnie zapiski, jakby w poszukiwaniu jakichś uchybień, aż w końcu zadowolona z siebie wzięła do ręki telefon.

– Z komendą wojewódzką poproszę – rzuciła, gdy odezwała się telefonistka z centrali. Ta powiedziała jej, że to może potrwać kilka minut, więc odłożyła słuchawkę i zapaliła kolejnego papierosa. Jakiś czas temu przerzuciła się z marlboro na pall malle, bo były znacznie słabsze. Przypomniała sobie, że gdy była jeszcze na studiach, tych zachodnich papierosów w ogóle nie było w handlu. Wtedy paliła ohydne carmeny. A teraz, proszę bardzo, dostępne jest wszystko, czego tylko dusza zapragnie. Wiśniak znów podał jej ogień. Skinęła głową i posłała mu lekki uśmiech. Zrozumiał, że nie miała ochoty na rozmowę, więc jako człowiek kulturalny nie zamierzał być nachalny. Zanurzył się w lekturze artykułów sportowych na ostatniej stronie gazety.

Brygida Bocian tymczasem siedziała skupiona, wpatrując się w telefon. Postanowiła, że skontaktuje się ze swoim znajomym z komendy w Poznaniu, Mariuszem Blaszkowskim. Chciała go poprosić o drobną przysługę, by wysłał kogoś do Kalafarskiego, bo wszystko wskazywało na to, że to musi być trzeci z trójki mężczyzn złapanych przez bandytów. On był zapewne właścicielem obciążonego palca, czyli miał całą wiedzę na temat tego, co wydarzyło się na parkingu. Przesłuchanie go było więc w tym momencie kluczowe dla sprawy. Mariusz mógł to dla niej zrobić. W końcu znali się nie od dziś.

Spotkali się cztery lata temu. To była taka prawdziwa wakacyjna miłość. Ona była wówczas studentką prawa. Przyjechała na wakacje do ośrodka kempingowego nad jeziorem Płotki, koło Piły. On, student szkoły oficerskiej w Szczytnie, miał też wakacje. Poznali się podczas dyskoteki w kawiarni Słoneczna i spędzili razem te dwa tygodnie, widując się codziennie na plaży i pływając kajakami po jeziorze. Matka Brygidy pilnowała, żeby dziewczyna nie wracała do domku kempingowego zbyt późno, więc ten wakacyjny związek nie miał szansy przerodzić się w namiętny romans. Chociaż wtedy oboje byli przekonani, że ich spotkanie nie było kwestią przypadku, ale przeznaczeniem, i że po wakacjach będą nadal ze sobą. Ale jak to w życiu się zdarza, odległość robi swoje. Płomienny związek umarł śmiercią naturalną, a jego jedynym materialnym śladem były listy i kartki pocztowe, w których zamknięte zostały letnie wspomnienia.

Gdy Brygida skończyła studia, nawet myślała o tym, by odszukać Mariusza. Ciągle było jednak coś ważniejszego. Spotkali się dopiero w ubiegłym roku, i to wcale nie prywatnie, ale podczas śledztwa, które ona nadzorowała, a on przejął z ramienia wojewódzkiej¹². Dziwnie się wtedy poczuła, bo zobaczywszy go, zrozumiała, że nadal się jej podoba. Ale nic nie wyszło z powrotu do bliższych stosunków,

ponieważ okazało się, że Mariusz jest w jakimś związku. Brygida nie znosiła konkurencji, więc odpuściła. Zresztą wyznawała zawsze zasadę, że nie da się dwa razy wejść do tej samej rzeki, a ożywianie młodzieńczych uczuć nie przyniesie raczej niczego dobrego.

Telefon się rozdzwonił. Chwyciła słuchawkę.

– Halo, mówi prokurator Brygida Bocian z Nowego Tomysła. Proszę z dochodzeniowo-śledczym, z komisarzem Mariuszem Blaszkowskim.

Przez chwilę czekała, aż po drugiej stronie ktoś się odezwie. W końcu usłyszała męski głos. Wydało się jej, że jest nieco bełkotliwy.

– No co tam? – zapytał facet.

– Z komisarzem Blaszkowskim proszę.

– Hyk! – usłyszała odgłos czkawki. – Z kim chcesz gadać?

– Z Blaszkowskim.

– Aha! Hyk. Blacha, jakaś cizia do ciebie.

– Tylko nie... – Nie zdążyła wytłumaczyć, że nie jest żadną cizią, bo w słuchawce znów odezwał się ten sam facet co przed chwilą.

– Najmocniej szanowną panienkę przepraszam, ale właśnie nastąpiło nieporozumienie, gdyż Mariusz, znaczy się mój kolega Blacha, wyszedł na miasto i gdzieś go poniosło. Ale kiedy wróci, to ja nie wiem.

– A może pan zapisać?

– Co zapisać?

– Że dzwoniła prokurator Brygida Bocian.

– Bocian, he, he!

- Coś pana śmieszy?
- Melduję, że mnie wszystko śmieszy, bo weseli ludzie żyją przyjemniej niż ci wszyscy, co mają wetknięte kije do tyłka.
- Może by pan grzeczniej trochę...
- Ja zapisałem, a pani niech se wyjmnie.
- Co?
- No mówię, ten kij, ha, ha, ha!

Wesoły policjant przerwał połączenie. Będzie musiała zwrócić uwagę Mariuszowi, że w jego pokoju siedzi jakiś nieokrzesany cham. Co za ludzi przyjmują do tej policji?

Rozdział V

Poznań
Godzina 13.15

– Chłopak zniknął sprzed domu.

– Jak to zniknął?

– No normalnie, rozpułnął się w powietrzu. Jego dziewczyna miała go zawieźć do lekarza, bo nie chciał wcześniej pójść ze strachu czy diabli wiedzą czemu. No i wyszedł do auta na parking, a ona cofnęła się do domu po portfel. I jak zeszła do samochodu, to chłopaka nie było, a auto stało na miejscu. A jeszcze ciekawsze jest to, że koło samochodu leżały jego kluczyki.

– Znaczą się, został porwany, żeby nic więcej nie powiedział. Przyniósł wiadomość, a teraz go sprzątną – rzucił Rychu Grubiński rozparty w wygodnym prezesowskim fotelu. Wszyscy mówili na niego Gruby Rychu, ale on tak naprawdę nigdy nie był grubasem. Był dobrze zbudowany i solidnie umięśniony. Przy tym mierzył prawie sto dziewięćdziesiąt centymetrów, co sprawiało, że wszystkie garnitury, które zakładał, wyglądały na nim, jakby były nieco za małe. Na szczęście od pewnego czasu była moda na dwurzędówki, a te były znacznie luźniejsze niż tradycyjne marynarki. Dlatego uległ modzie i wygodzie jednocześnie, choć w garniturach nie czuł się dobrze. Zazwyczaj nosił kurtki i do tego dzinsy. Ale ten sposób ubierania został zamknięty w rozdziale jego życia zatytułowanym „Szeł cinkciarz”. Gdy otworzył nowy pod tytułem „Prezes banku”, musiał też zmienić się zewnątrz. Zaczął ubierać się szykownie

w sposób odpowiedni do nowej pozycji człowieka o czystych rękach, zajmującego się tylko i wyłącznie legalnymi interesami. Nawet zmienił nieco swoją twarz. Broda troglodyty i potargane włosy zostały przycięte i starannie wyrównane, więc teraz robił naprawdę dobre wrażenie wizualne. Starał się też mówić w sposób jak najbardziej kulturalny. Choć przy Brodziaku dawne nawyki wychodziły od razu.

– Tak właśnie może być. Chłopak już przestał być potrzebny – stwierdził Mirek, rozsiadając się w głębokim skórzanym fotelu.

Rychu wygramolił się zza biurka i podszedł do bogato rzeźbionej szafy gdańskiej, która mogła mieć nawet trzysta lat. Kupił ją do swojego gabinetu, bo stwierdził, że jego pozycja wymaga podkreślania wiekowymi przedmiotami, które mogą się potencjalnym klientom kojarzyć z solidnością banku. Pewnym ukłonem w stronę nowoczesności było wnętrze szafy, które kazał wyłożyć lustrami. Gdy otwierał drzwi, zapalały się lampki podświetlające półki i stojące na nich kieliszki, szklanki i butelki. Tych było tu chyba dwieście.

– Co pijesz? – zapytał. Mirek wzruszył ramionami. Najbardziej smakowała mu czysta wyborowa, ale nie chciał sprawić koledze przykrości, gdy ten chciał się pochwalić niemal muzealną kolekcją alkoholi.

– A co proponujesz?

– Należę ci dwudziestoletnią szkocką. Nazywa się Glen... fiddich... coś tam, tylko nie wiem, jak się to czyta. Single malt, co znaczy, że niemieszana z innymi. W każdym razie to szkocka sprowadzona ze Szkocji i rozlewana z beczki w tym roku. Rozlali tylko tysiąc butelek i ja kupiłem dziesięć sztuk, czyli cały karton. Wyobraź sobie, że ta łycha kosztuje sto dwadzieścia funtów za flaszkę. To jest, bracie, raj

dla podniebienia – wyjaśniał, nalewając trunek do szklanek z rżniętego kryształu.

Podszedł do stolika ustawionego pomiędzy czterema fotelami i postawił szklanki na blacie. Usiadł naprzeciwko Mirka i sięgnął pod stół. Z półki wziął jakiś kolorowy prospekt.

– Posłuchaj tego. – Otworzył gazetkę i zaczął czytać z wyraźną radością i jednocześnie przejęciem. – Ten glenfiddich to pierwszy dwudziestolatek w historii destylarni. Delikatny i zrównoważony, pełen nut kwiatów, owoców i migdałów, został zabutelkowany z mocą czterdziestu trzech procent alkoholu. Na deser oferuje drzewne aromaty w towarzystwie lukrecji. Debiutujący w tym roku single malt spędził dwadzieścia lat w beczkach z amerykańskiego dębu po bourbonie. Niezwykle elegancka i finezyjna, idealna dla doświadczonego smakosza whisky słodowej.

– Cieszy mnie twoja radość – stwierdził cierpko Brodziak. On nigdy nie przepadał za jakimiś udziwnieniami. Pił wódkę, bo tak nauczył się pić w młodości. A te wszystkie koniaki czy łyskacze to były tylko jakieś wynalazki do naciągania ludzi, którzy lubili płacić za osobliwości. Rychu lubił, a co najważniejsze, miał za co lubić.

– Teraz weź tę szklaneczkę, wypij trochę – zaczął wyjaśniać Grubiński, nie zważając na sceptycyzm przyjaciela.

Mirek zrobił, jak mu kazano. Poczul rzeczywiście jakiś dziwny korzenny smak, którego nie potrafił zidentyfikować. Może to rzeczywiście migdały?

– No i co czujesz?

– Szczypie w język, ale trochę migdałami zajężdza.

– No widzisz, co można odkryć w takim specjalnym łyskaczu.

– Ja się bardziej interesuję tym, co można by odkryć w sprawie tych facetów, którzy zabili twoich ludzi.

Rychu wzruszył ramionami.

– Nie ma co się gorączkować. Już rozpuściłem informację na mieście. Wiara ponoć słyszała już o jakichś gnojach, co naciągają ludzi na pieniądze za ochronę.

– A wiadomo, dla kogo robią? – zainteresował się Brodziak.

Rychu pokręcił głową, a potem upił kolejny niewielki łyk. Na jego twarzy pojawił się wyraz autentycznej rozkoszy. Odchylił głowę do tyłu, zamknął oczy i przez chwilę siedział tak z lekkim uśmiechem, delektując się smakiem i chwilą.

– Na razie nie wiemy, dla kogo, ale wiemy przynajmniej, że są nietutejsi, bo nikt ich nie zna.

– Skąd ta pewność?

– Poczekaj, zaraz pogadamy z Tuniem. On rozpuścił w mieście zapytania o tych drani i już ma coś do opowiedzenia.

Rychu wstał z fotela, podszedł do biurka i sięgnął po słuchawkę telefonu.

– Pani Wioletko, niech pani da tu kierownika działu zabezpieczenia logistycznego.

Odłożył słuchawkę i wrócił na fotel. Otworzył stojące na biurku pudełko z cygarami i wskazał zawartość Brodziakowi. Ten pokręcił głową. Wolał swoje camele. Rychu obciął końcówkę zwykłym, wyjętym z kieszeni scyzorykiem i zaraz zapalił. W pokoju rozniósł się aromatyczny zapach.

– Kubańskie – rzucił, jakby to jedno słowo mogło podkreślić ich walory.

Mirek już nieraz palił te wielkie brązowe fajki, ale zdecydowanie wolał zwykłe papierosy. Cygara były dla facetów, którzy mają za dużo czasu i spędzają go na siedzeniu w fotelach i gadaniu o niczym. On palił i zaraz wychodził. Żył w ciągłym niedoczasy, więc nie było szansy zaprzyjaźnić się z nawet najlepszymi cygarami z Kuby.

– Co to jest dział zabezpieczenia logistycznego? – zainteresował się. Znał Tunia, który od lat pracował z Grubińskim i był jego specjalistą od zadań wywiadowczych, czyli zajmował się zbieraniem w mieście użytecznych informacji. Prócz tego pełnił też niezwykle odpowiedzialną funkcję odbiorcy utargów od pracujących dla Rycha cinkciarzy. Grubiński miał do niego pełne zaufanie, dlatego gdy przechodził na jasną stronę mocy i z przestępcy stawał się bankierem, nie zapomniał o swoim zaufanym. Zresztą nie tylko o nim. Jego ludzie, cinkciarze spod peweksów, też dostali ofertę pracy w bankowości. Ale zdecydowana większość wolała prowadzić swoje małe interesy na ulicy. Z nimi wszystkimi Tunio nadal utrzymywał kontakt, więc cały czas miał doskonałe rozeznanie, co dzieje się w mieście. Dlatego gdy wczoraj prezes banku kazał mu się zorientować w sytuacji, dziś mógł już przyjść z konkretami.

– A, ten dział to ja stworzyłem specjalnie dla Tunia. To taki dział, w którym jest jeden pokój i dwa biurka. Jedno należy do sekretarki i maszynistki w jednym, co prowadzi dokumentację i wypełnia takie tam papiery, które przychodzą do działu, a Tunio to wszystko nadzoruje.

– I siedzi przez osiem godzin w biurze? – zdziwił się Mirek, który znał Tunia z dawnych czasów i wiedział, że ten najlepiej czuł się na ulicy albo w knajpie, ale na pewno nie w biurze.

– No skąd, łązi po mieście jak zawsze, ale tu przynajmniej na spokojnie może się spotykać z ludźmi i wypytywać o wszystko. To taki mój kierownik wywiadu.

– A, rozumiem, czyli robi to, co zawsze, gada z wiarą i zapisuje w notesie.

– Dokładnie tak. – Rychu pokiwał głową i nalał sobie odrobinę whisky. Mirkowi nie zaproponował, bo ten miał jeszcze prawie nienaruszoną porcję.

Rozległo się pukanie do drzwi i zaraz do środka wsunął się Tunio, szczupły pięćdziesięciolatek z pociągłą twarzą podobną do kangura, ubrany w porządną, choć może za bardzo jaskrawą zieloną marynarkę i do tego brązowe spodnie. Na widok szefa uśmiechnął się szeroko, ukazując dwa złote zęby. Mirek natychmiast dostrzegł przemianę, która zaszła w jego uzębieniu. Wcześniej miał tylko złotą prawą górną czwórkę. A teraz dołączyła do niej trójka. To znaczyło, że Tunio stawał się człowiekiem zamożnym i zainwestował w kolejny ząb grube pieniądze.

– Panie prezesie, chciałem zaanonsować się, że już się pojawiłem – oznajmił, wchodząc do gabinetu.

– Weź no pan krzesło i przysuń się tu do nas – polecił Grubiński.

Tunio posłusznie chwycił stojący przy stole konferencyjnym mebel i przystawił go do ławy.

– No i co tam żeś się pan wywiedział? – spytał prezes.

Tunio sięgnął do oprawnego w czarną skórę notesu i przez chwilę szukał odpowiedniej strony, śliniąc co chwilę palec wskazujący, by łatwiej mu było odwracać kartki.

– O, już mam wszystko, co udało mi się w tym okrutnie krótkim okresie czasu uzyskać. – Tunio lubił używać wyszukanych słów, bo jego zdaniem świadczyło to o obyciu i wysokiej pozycji w społecznej strukturze. – Więc można wskazać na dwuaspektowość omawianych kwestii, które się niekoniecznie zachodzą w jednym punkcie, ale idą dwubiegunowo, jak koń na biegunach jest na dwóch właśnie.

I pierwszy biegun to gość, co jemu palucha obcięli, to się nazywa Paluchowski i wszyscy gadają na niego Tomcio Paluch. I on rzeczywiście prowadzi dziewczynki w Polonezie. Ale okazuje się, że jemu nikt palucha nie obciął, tylko mu tramwaj przejechał po łapie, jak po pijaku leżał na torach na Fredry, koło WZ. I jak mu przejechał, to wrócił i powiedział, że go bandyci napadli, bo mu głupio było, że się sam tak załatwił, ale kto by taką łachudrę napadał. Co się zaś tyczy kwestii drugiej, znaczy się gości przyjezdnych, co się kręcą po mieście i ewentualnie komuś chcą wpierdolić, żeby w zamian wykupił od nich abonament na ochronę, to jest takich kilku gości, co wieczorami popijają w restauracji hotelu Poznań. Mówią o sobie, że się nazywają Młode Lwy. A ich szefem jest taki gruby gość, ale nie wiem, jak się on nazywa.

– Skąd ta informacja? – zapytał na wszelki wypadek Rychu.

– Rozpuściłem zapytanie i nie było trudno. Widać ich na mieście. To tacy, co lubiejają pokazać, że mają w portfelu parę groszy.

– No to co robimy? Wpadniemy na koniaczek do hotelu Poznań? – zapytał Rychu, spoglądając z uśmiechem na Mirka. Sprawa najwyraźniej zaczynała nabierać rumieńców.

– Możemy skoczyć. Zawsze warto się przyjrzeć z boku facetom, którym później obijemy mordy.

– A czemu oni są „Młode Lwy”? – przypomniał sobie Rychu dziwną nazwę.

– Taki film był – zauważył Tunio, który namiętnie oglądał wszystko, co oferował piracki rynek wideo.

– O czym był?

– O takich gościach, co się przyjaźnili przed wojną, a potem jak przyszła wojna, to okazało się, że jeden jest w Wehrmachcie, a drugi

w amerykańskim wojsku. I musieli się spotkać po latach, ale kto kogo zabił, to nie pamiętam, bo akuratnie na koniec zasnąłem.

Godzina 13.20

Mariusz Blaszkowski wszedł do baru Piccolo i skierował się do położonego w głębi sali bufetu. Przechodząc wzdłuż wysokich stolików z taboretami na pojedynczych nóżkach przytwierdzonych do podłogi, przyglądał się twarzom siedzących tu ludzi. Ale nie znalazł tej, której szukał. Wiktoria jeszcze nie przyszła. Zaczął więc rozglądać się za wolnym miejscem. Miał szczęście. Właśnie zwalniał się jedyny niski, jak na warunki tego baru, stół. Czterooosobowa rodzina, mama, dwójka dzieci i tata, właśnie wstawiała. Rodzice zakładali swoim pociechom kurtki i czapki. Dzieci poddawały się tym zabiegom dość opornie. Mariusz, spoglądając na tę rodzinną scenę przygotowań do wyjścia, pomyślał, że dotąd jeszcze nie musiał ubierać żadnego dzieciaka. Ciekawe, czy mi się to kiedyś przydarzy? – zastanawiał się, podchodząc bliżej.

– Dzień dobry, państwo zwalniamy? – zapytał, choć było to oczywiste. Wolał jednak głośno wyrazić zainteresowanie stolikiem, żeby go ktoś nie ubiegł. Ojciec pokiwał głową.

– No zwalniamy – mruknął. – A co mamy robić? Człowiek jak zje, musi zwalniać.

– Ja jeszcze nie zjadłem – zawołał sześciolatek chłopczyk ubierany przez matkę.

– Alanek, nie będziemy czekać godziny, aż skończysz – rzuciła matka, wciskając mu na głowę drelichową czapeczkę z nausznikami.

– Widziałeś, jak Izaurusia wszystko zjadła, a przecież ma dopiero cztery latka? – Ojciec wskazał na pusty talerz, który wyglądał, jakby

był dokładnie wylizany.

- Bo Izaura jest żarłokiem - stwierdził chłopak.
- Nie jestem. Ty jesteś głupi - rzuciła obrażona dziewczynka.

Rodzice uporali się z ubieraniem i pociągnęli swoje pociechy ku drzwiom. Mariusz natychmiast zajął miejsce i zaczął składać pozostawione przez gości naczynia na kupę, po czym odsunął je na skraj stołu. Była szansa, że ktoś je zabierze. Choć pewności mieć nie mógł, bo bar szybkiej obsługi nie zatrudniał kelnerów. Dania kupowało się w bufecie i przynosiło do stolików na tacach. Tylko od dobrej woli klientów zależało, czy odniosą brudne naczynia po skończonym jedzeniu, czy zostawią je na stole. Większość zostawiała.

Rozsiadł się na stołku, wpatrzony w Stary Rynek za oknem i budynek dawnego pruskiego Odwachu. Pogoda była kiepska, wiał chłodny wiatr, a nisko wiszące chmury, niemal stykające się z wieżą ratusza, zapowiadały ulewę. Skuleni ludzie przemykali więc szybko, by jak najrychlej znaleźć się w ciepłych domach.

Dziś rano Wiktoria zadzwoniła do niego do biura i powiedziała, że chce się spotkać w południe. Wyznaczyła Piccolo, bo wiedziała, że Mariusz lubi podawane tu spaghetti. Była to pierwsza poznańska knajpa, w której jadł to włoskie danie jeszcze w czasach, gdy służył w milicji na Taborowej. Podczas przepustki nie poszedł tak jak większość jego kolegów z drużyny do najbliższej piwiarni, ale na spacer po Starym Mieście, który zakończył się w tej spaghettierii. Od tego czasu często tu wpadał na szybki obiad. Był tu też kilka razy z Wiktoria, więc gdy poprosiła go o spotkanie, bez większego namysłu podała mu to miejsce.

Spojrzał na ratuszowy zegar. Dochodziło wpół do drugiej. Pewnie się jej próba w filharmonii przeciągnęła. Tak niekiedy bywało. Najczęściej miała przerwę koło trzynastej, ale wszystko zależało od dyrygenta, który prowadził zespół. Tym razem był tu na gościnnych występach jakiś Amerykanin, więc możliwe, że facet nieznający miejscowych zwyczajów przetrzymał trochę ludzi.

– Pan już zwalnia? – zapytała go wysoka kobieta, która podeszła do stolika z tacą w szczupłych dłoniach. Pokręcił głową.

– Nie, dopiero zająłem.

– Myślałam, że pan już zjadł. – Wskazała głową na stertę brudnych naczyń.

– Mimo najszczerzych chęci nie dałbym rady tylu porcjom. – Uśmiechnął się do niej i wskazał na puste talerze, a potem na miejsce z brzegu. – Tu jest wolne, bo ja czekam na moją... – przez chwilę szukał w myślach odpowiedniego określenia – znajomą, ale się spóźnia.

– Nie chcę przeszkadzać.

– Nie przeszkadza pani. To w końcu nie ekskluzywna restauracja, ale zwykłe bistro, więc przysiadanie się do stolika, przy którym już ktoś zajął miejsce, jest rzeczą naturalną.

Przesunął stertę talerzy tak, by mogła postawić tacę. Spojrzała na niego z wdzięcznością. Usiadłszy, zdjęła z głowy wełnianą czapkę, spod której wysypały się długie włosy. Rozwiązała jedwabną chustę pod szyją, starannie złożyła ją na kolanach i włożyła do torebki, którą postawiła na krzeselku obok. Wszystko to przykryła zdjętym z ramion płaszczem.

– Jak przyjdzie pana znajoma, to zaraz zabiorę. – Wskazała na swoje rzeczy.

– Jasne, nie ma o czym mówić. – Uśmiechnął się, a potem odwrócił wzrok, kierując go ku temu, co działo się za szybą, na rynkowym placu. Nie miał zamiaru zawierać bliższej znajomości z tą chudą kobietą, choć musiał przyznać, że była bardzo atrakcyjna. Nie przyglądał się jej specjalnie badawczo, ale zwrócił uwagę na szczupłe długie nogi ubrane w zielone grube jesienne rajstopy. Może gdyby nie Wiktoria, zainteresowałby się nią, ale z zasady był monogamistą i jakieś flirty i romanse na boku zupełnie go nie pociągały.

– Może pomylił pan godziny? – Z zamyślenia wyrwał go głos kobiety. Odwrócił się do niej i jednocześnie spojrział na zegarek.

– Nie, nie pomyliłem. Umawiamy się zazwyczaj w przedziale czasowym. Oboje pracujemy o tej porze, więc nigdy nie wiadomo, o której uda się wyrwać.

– Tak, ja to dobrze rozumiem. Też nie wiem, kiedy będę miała przerwę. Wszystko zależy od tego, co jest do zrobienia – wyjaśniła, po czym nawinęła sobie na widelec solidną porcję makaronu i włożyła do ust.

– No właśnie, praca dezorganizuje nam życie prywatne – stwierdził, a ona zaśmiała się głośno.

– Dobrze powiedziane, ale wiadomo, że bez pracy nie ma...

Przerwała, bo gdzieś od strony kuchni rozległ się głośny brzęk. Tak jakby setka talerzy spadła na podłogę. Zaraz po tym z półek musiały zacząć spadać garnki i kolejne talerze. Gdy te hałasy ucichły, rozległ się kobiecy krzyk.

Mariusz poderwał się ze stołka.

– Coś się chyba stało – powiedział sam do siebie i już chciał ruszyć w kierunku bufetu, gdy naraz zobaczył, co było przyczyną tego zamieszania. Dwóch facetów odzianych w skórzane kurtki i dresowe spodnie, trzymających w dłoniach kije bejsbolowe, wyszło z kuchni.

Jeden, nieco niższy od swojego kolegi, łysol, podszedł do kasy, podniósł w górę kij i uderzył w ustawione na blacie wazoniki, pojemniki z solą i z pieprzem, zwalając je na podłogę.

– Siedzieć i się nie ruszać wszyscy! – zawołał drugi z oprychów. – Bo jak się kto nie usłucha, to zaraz wpierdol!

Jakieś dziecko przy stoliku z lewej zaczęło głośno płakać. Niepomna ostrzeżenia starsza kobieta krzyknęła. Łysy podszedł do niej i z jej stołu zgarnął wszystkie naczynia na podłogę. Widać jego koledze to się spodobało, bo zbliżył się do stołu po drugiej stronie i zgarnął bejsbolem talerze czworga gości. Z krzeselka zeskoczył dobrze zbudowany trzydziestolatek, który najwyraźniej nie lubił, gdy ktoś pozbawia go jedzenia. Wyciągnął rękę przed siebie i już prawie udało mu się chwycić kij łysego, ale nie zachował należytej ostrożności w kontakcie z bandytami i zlekceważył drugiego osiłka, który zrzucił naczynia z kolejnego stolika. Odwrócony do niego plecami, nie dostrzegł, jak ten w dwóch szybkich susach przemierza niewielką dzielącą ich odległość. Uderzenie w plecy sprawiło, że mężczyzna zachwiał się i padł jak długi. Obaj bandyci roześmiali się głośno, a ten, który go uderzył, już zamierzał się, by poprawić skuteczność ciosu kopniakiem. Bandzior wziął zamach, gdy naraz poczuł, jak jego druga noga traci kontakt z podłogą. Facet runął jak długi na plecy, uderzając ogoloną głową o posadzkę. Kij wypadł mu z ręki. Mariusz szybko się pochylił, złapał bejsbola i natychmiast przyjął postawę gotowości do odparcia ataku. Zdumiony tym, co zaszło, ten większy z dwójki bandziorów obrzucił nowego przeciwnika zdumionym spojrzeniem.

– A ty chcesz, żebym ci włożył łeb do kibla i utopił? – rzucił dość pewnym siebie tonem. Musiał otaksować Mariusza uważnym spojrzeniem i stwierdził, że ten szczupły gość nie stanowi dla niego jakiegoś specjalnego wyzwania. Blacha się uśmiechnął. Lubił takich

tępych idiotów, którym się wydawało, że wszystko mogą. Już wiedział, że facet nie potrafi należycie ocenić jego umiejętności. Choć dał mu ich pokaz, obezwładniając jednym ciosem jego kumpla. Ten leżał teraz na podłodze bez przytomności. Zapewne bliski kontakt łysej głowy z podłogą musiał być dotkliwym doznaniem.

– Spróbuj, ćwoku – zachęcił go Mariusz.

Osilek ruszył wolnym krokiem do przodu, chcąc wymusić, by Mariusz stanął do niego bokiem. Mogło się to udać, bo przejście między stolikami nie było zbyt szerokie. Ale nie wziął pod uwagę jednej kwestii, tego, że jego przeciwnik nie zamierza biernie oczekiwać na to, co się wydarzy. Gdy obaj odwrócili się na tyle, że każdy z nich za plecami miał stół, Mariusz naraz zaatakował. Na to jego przeciwnik nie był przygotowany. Sam planował ruszyć do ataku, po minięciu stołu i uniesieniu do góry bejsbola, i wymierzyć cios. Tymczasem Blacha zrobił coś kompletnie niespodziewanego. Wyciągnął przed siebie kij i z tak wyprostowaną bronią runął na przeciwnika. Koniec pałki dosięgnął splotu słonecznego. Bandzior wrzasnął z bólu, a potem się pochylił. Mężczyzna, który pierwszy postawił się dwójce niszczycieli, poderwał się z podłogi, dopadł pochyłonego faceta i złapawszy go za kark, przycisnął do ziemi. Kolejna czaszka po zderzeniu z betonową posadzką zadudniła jak pusta tykwa.

– Milicja! Niech ktoś wezwie milicję! – zaczęła wołać jedna z kobiet, którą bandyci pozbawili posiłku.

– Policję! – poprawił ją Mariusz z uśmiechem. – Niech mi pan pomoże – polecił swojemu partnerowi w walce z bandytami. – Zanim policja przyjedzie, trzeba ich przypilnować.

Zaciągnęli ich pod kontuar przy kasie i tam położyli twarzami do ziemi z rękami ułożonymi na plecach. Jedna ze sprzedawczyń

przyniosła sznur do bielizny. Nim pokonani bandyci zdążyli się ocknąć, zostali fachowo skrępowani.

– Niech pani wyprosi wszystkich gości – powiedział Blaszkowski do kierowniczkę, która zameldowała, że policja już wezwana i zaraz ktoś tu podjedzie.

Goście posłusznie zaczęli wychodzić z lokalu. Mariusz podszedł do swojego stolika. Kobieta, która przysiadła się do niego, właśnie zakładała apaszkę.

– Pan jest komandosem? – zapytała zalotnie.

Pokręcił głową.

– Niestety, droga pani, tylko zwykłym szkiełem po cywilnemu – wyjaśnił.

Posłała mu jeszcze jeden uśmiech i wyszła. Całkiem fajna babka i do tego jaka zgrabna, przyszło mu do głowy, ale zaraz zapomniał o niej, gdy kierowniczka krzyknęła, że jeden z bandziorów się ocknął. Wrócił więc do swoich więźniów, by od razu zadać im parę pytań. Odpowiedzi mogły się przydać tym, którzy przejmą sprawę.

Godzina 15.40

– Mnie się zdaje, że z ciebie, Mazurczyk, to jest cymbał.

– Nie Mazurczyk, ale Mazurek, jak Mazurek Dąbrowskiego – oświadczył sierżant, który był dumny z faktu, że jego nazwisko było tak blisko związane z narodowym hymnem.

– Zasadniczo to żadna różnica, bo i jedno, i drugie z Mazur pochodzi. A ty skąd pochodzisz?

– No z Mrągowa.

– A ten Mrągów to gdzie jest?

– Nie Mrągów, tylko Mrągowo. Na Mazurach jest Mrągowo.

– No widzisz, to żeś jest Mazurek z Mazur. To ty się, chłopie, jeszcze musisz sporo nauczyć. Bo my tu, w Poznaniu, to jesteśmy ludzie nauczeni, żeby mieć gospodarskie podejście do życia. I jak, na ten przykład, pcha ci się co same do łapy, to trzeba brać koniecznie, a nie zastanawiać się i czekać nie wiadomo na co. Rozumiesz?

– No niby rozumiem, tylko nie wiem, o co się rozchodzi.

– Rozchodzi się o to, że sam żeś powiedział, że ten gość, co żeście go zaareztowali, to cię oszukał na telewizorze. Mam rację?

– No tak. Oszukał, bo mi sprzedał jakiegoś starego grata, skurwysyn jeden. A ja się dałem nabrać jak dziecko.

– No nie jak dziecko. Każdy by się dał nabrać, jakby kupował taki telewizor, co niby ładnie wyglądający, a w środku szmelc. Ale jak cię gość oszukał, to ty odzyskał żeś przynajmniej bejmy?

Mazurek pokręcił głową.

– Nie miał nic, tylko ten sprzęt, co żeśmy go zabezpieczyli razem z dzielnicowym Obrębskim. Swoją drogą, to niezły z niego ćwok. Miał mi kryć plecy, jak wchodziłem do tego mieszkania, a on zamiast ubezpieczać, polecał szukać patrolu do pomocy.

– Kryspin Obrębski to poczciwy chłop. My razem zaczęliśmy służbę jeszcze w latach sześćdziesiątych w komendzie na Marcinkowskiego. W jednym pokoju my siedzieli i razem na patrole się chodziło. A potem on poszedł na dzielnicowego na Łazarzu, a mnie rzucili na Chwaliszewo. O, to były czasy – rozmarzył się Teoś. Praca dzielnicowego we własnej dzielnicy bardzo mu się podobała, bo znał tam wszystkie ulice i zaułki, ale najważniejsze, że znał doskonale ludzi. A te znajomości bardzo przydawały się w pracy. Szczególnie w organizowaniu wszystkiego, co niezbędne do życia, a czego nie można było dostać w sklepach. Wtedy Olkiewicz żył jak pączek

w maśle, opływając w dobra, takie jak alkohol, wędliny, a nawet niezwykle popularne wtedy i praktycznie nie do dostania w sklepach radyjka tranzystorowe.

– Myślałem, że to jakiś ćwok.

– Chytry lis – stwierdził Olkiewicz. – On się tak potrafi maskować, że wszyscy go mają za niedojdę, a naprawdę to cholerny bystrzak.

– Czyli nie pomógł mi z wyrachowania?

– Nieprawda, że jest wyrachowany, tylko wiedział, co robi. Mogło być niebezpiecznie, więc wołał uderzyć, wzmacniając swoje siły. No i tak właśnie zrobił. A potem to on zabezpieczył to mieszkanie?

– Wziął klucze i zamknął drzwi.

– O, widzisz, znaczy się, że to mądry gość jest. Ty żeś tu przywiózł ten karton od telewizora z narkotykami czy czymś tam jeszcze, a Kryspin zabezpieczył sprzęt. I jak go znam, to już część tego sprzętu jest tak zabezpieczona, że nikt go nigdy nie znajdzie.

– Ukradł?

Olkiewicz pokręcił głową.

– Ty, Mazurski, nic nie rozumiesz z życia. Życie jest krótkie i trzeba z niego korzystać. W szczególności z okazji, co same się do nas pchają. A Kryspin Obrębski to dobrze wie. I dlatego zabezpieczył mieszkanie. A teraz ja ci pokażę, jak sobie w życiu trzeba organizować wszystko, co się da zorganizować, i nikomu w szkodę nie wchodzić. Bo ten twój gość pójdzie siedzieć za narkotyki, a sprzęt w jego chacie przecież nie może stać dwa lata i czekać, aż klient wyjdzie z pudła. No więc przez ten czas musi się nim ktoś zaopiekować. – Powiedziawszy to, Olkiewicz sięgnął po słuchawkę telefonu stojącego na blacie jego odrapanego biurka.

– Poproszę mnie natychmianstowo połączyć z komisariatem Grunwald.

Przez chwilę czekał, spoglądając na Mazurka, który jeszcze nie wiedział, co Teoś kombinuje. Ten uśmiechał się pod nosem, najwyraźniej zadowolony z podjętych działań.

– Halo, mówi Olkiewicz z wojewódzkiej. Czy Kryspin Obrębski to przypadkowo jest dziś w robocie, znaczy na komisariacie, czy na mieście? Łe, na mieście, znaczy, że dziś już nie przyjdzie do roboty, tak? To ja se go odnajdę na Łazarzu – podsumował rozmowę i położył słuchawkę na widełki. – No to w takim razie, szanowny kolego Mazurowski, zorganizuj jakiś transport, najlepiej, żeby to było auto takie jak nyska.

– Nie ma już nysek w naszej komendzie.

– Mnie wszystko jedno co, byleby tylko to był taki mikrobus, a nie osobówka. Rozumiemy się?

– Rozumiemy, panie komisarzu, tylko ja nie Mazurowski, ale Mazurek.

– No tak, wiadomo, Mazurek z Mazur. „Popatrz, jaki na jeziorze wody glazur” – zaśpiewał fragment popularnej piosenki Wałów Jagiellońskich, choć gdyby go zapytać, kto śpiewał tę piosenkę, na pewno nie umiałby wskazać właściwego artysty.

Kwadrans później siedzieli w volkswagenie transporterze, którym kierował Mazurek. Teofil nie prowadził auta, a nawet jakby chciał, to raczej by nie mógł ze względu na ilość wypitej już dziś wódki Wyborowej. Mimo że nadeszły nowe czasy i milicja zmieniła się w policję, to milicyjne przyzwyczajenia nadal były mocno zakorzenione wśród funkcjonariuszy. A Olkiewicz jako wychowanek dawnego systemu nie miał zamiaru przystosowywać się do nowych

czasów. Zawsze miał wódkę w biurku, tyle że teraz na wszelki wypadek popijał nieco bardziej dyskretnie niż dawniej.

Radiowóz wjechał na ulicę Kanałową i zatrzymał się pod kamienicą, której ciężar na swoich barkach podtrzymywali dwaj muskularni giganci.

– No to jest tu właśnie ten dom – wyjaśnił Mazurek. – A gdzie urzęduje ten dzielnicowy, to ja nie mam pojęcia.

– Gdzie urzęduje, to ja wiem najlepiej. Bo dobry dzielnicowy jest w ruchu i łązi po mieście. I jakbyś ty jego chciał tak se znaleźć na ulicy, tobyś jego nie znalazł, bo on się przemieszcza ze swoimi sprawami i ma różne różności do załatwienia. Ale dziś mój koleżka Kryspin ma ważniejsze sprawy na głowie i te sprawy, jak mi się zdaje, mieszczą się wszystkie w tej kamienicy.

– Pilnuje towaru?

– A co ma zrobić? Zostawić, żeby się ktoś na niego połakomił? Głupi by był, jakby zostawił.

Olkiewicz wysiadł z samochodu i ruszył w kierunku bramy. Mazurek zamknął drzwi i pobiegł za nim. Gdy weszli na schody, ze zdziwieniem zauważyli jakiś dziwny ruch. Stało tam kilkanaście osób głośno rozmawiających o czymś w podnieceniu. Wszyscy wyglądali na podekscytowanych, jak ludzie w kolejce pod sklepem mięsnym, którzy nie mają pewności, co dziś będzie w sprzedaży, a wiedzą tylko, że samochód z zaopatrzeniem już przyjechał i właśnie wyładowuje się towar.

– Rozsunąć się, bo my służbowo! – zawołał Olkiewicz, trafiając na półpiętrze na ścianę pleców i tyłków. Ludzie jak na komendę odwrócili się, by sprawdzić, kto to próbuje się przedrzeć przez tę cizbę.

– Patrzcie go, jaki ważny! – rzuciła opryskliwym tonem kobieta w zielonym palcie ozdobionym kołnierzem z królika.

– Chcą bez kolejki najlepszy towar wybrać – dodała inna, w chustce na głowie i wielkich okularach na wydatnym nosie.

– Tu jest kolejka! – Mężczyzna w kolejarskim płaszczu i czarnym berecie wskazał miejsce na końcu, za swoimi plecami.

Olkiewicz znał te typy, ludzi nieustępliwych i twardych, walczących o swoje z determinacją godną frontowych żołnierzy. Na takich nie działała żadna perswazja ani łagodne tłumaczenia. Rozumieli tylko argumenty siłowe.

– Sierzancie – zwrócił się do Mazurka – weźcie no i wylegitymujcie, a potem spiszcie tych obywateli, którzy celowo i w porozumieniu utrudniają pracę operacyjną policji. A, i pokażcie im służbową blachę, żeby wiedzieli, że to nie przelewki i że tych, którzy nie będą się chcieli podporządkować naszym poleceniom, w try miga się wsadzi do pierdła za obrazę munduru.

– Jakiego munduru? – odezwał się ten w kolejarskim płaszczu. – Przecież wy w cywilnych ubraniach jesteście.

– Sierzancie, zabierzcie tego obywatela do suki i przykujcie go do siedzenia, bo mam takie wrażenie, że on tu jest prowodyrem tej całej rozróby. No, obywatelu, pójdziecie po dobroci czy mamy was poprowadzić pod broń? – Powiedziawszy to, Olkiewicz poklepał się po kieszeni, jakby tam miał ukryty pistolet. Oczywiście nie miał ze sobą broni, bo nie chciało mu się jej nosić, ale kolejarzowi natychmiast rura zmiękła.

– Jaki prowodyr, jak tu ino w kolejce se czekałem kulturalnie. Ale jak co, to już mnie nie ma – stwierdził ugodowym tonem i ruszył w dół.

– O, bardzo słusznie. A reszta zez obywaterek i obywateli także samo się rozejdą po grzeczności czy mamy wzywać chłopaków z pałami?

Nikt nie przepadał za policyjnymi pałkami. Dlatego pół minuty później na schodach zrobiło się pusto i cicho. Obaj funkcjonariusze weszli na piętro i stanęli pod numerem czwartym. W tym momencie drzwi się otworzyły i ze środka wyszedł długowłosey chłopak z kartonem pod pachą. Na opakowaniu widać było zdjęcie dwukasetowego radiomagnetofonu typu jamnik. Młodzieniec obrzucił obu mężczyzn nieufnym spojrzeniem, po czym puścił się biegiem po schodach, jakby się bał, że ktoś odbierze mu jego cenną zdobycz.

– Następny, wchodzić! – usłyszeli głos dochodzący z mieszkania. Teofil uśmiechnął się sam do siebie. Natychmiast rozpoznał nieco chropowaty baryton swojego starego kumpla.

Obrębski siedział za stołem i liczył pieniądze. Miał już ich dużo rozłożonych na blacie, czyli sporo towaru musiało znaleźć nowych właścicieli. Zresztą Mazurek od razu dostrzegł, że ubyło trochę kartonów.

– Jak Boga kocham, Teoś! – Dzielnicowy ucieszył się na widok przyjaciela. – A ty co tu robisz? – Jego spojrzenie ześlizgnęło się z okrągłej, uśmiechniętej i zadowolonej z siebie facjaty Olkiewicza i zatrzymało się na twarzy młodego policjanta. – Ano rozumiem, że przyszlście swoją dolę odebrać. Jak najbardziej, jak najbardziej. Bo wiadomo przecież, że w naszej policyjnej robocie najważniejsza jest uczciwość i zaufanie do kolegów. To co wam, panowie, jest potrzeba?

Wskazał na kolorowe kartony pod ścianą, Mazurek już tam patrzył, bo jego wzrok przyciągnął jak magnes wielki telewizor, na

który spoglądał już rano. Z ulgą zauważył, że stał tam, gdzie go widział ostatnio.

– Ja tam żeby ino jakiś magnetowid, żeby moja Jadwiga mogła se filmy oglądać. Ale nasz młody Mazurczak, co tą melinę handlową odkrył, to weźmie i telewizor, i magnetowid. Bo chyba się jemu należy jak mało komu – stwierdził Teofil i zadowolony swoim zwyczajem z radości klepnął się w udo.

– Nie będziemy przecież się wyklócać, co się komu należy. Prawda, że młody na telewizor zasłużył. Ale ty, Teoś, też nie bądź skromny. No weź se coś jeszcze, przynajmniej w dobre ręce pójdzie.

– No jak tak powiadasz, to może jeszcze bym wziął jakie radyjko tranzystorowe, żeby se w kuchni na parapecie postawić, bo to moje stare już jest całkiem zajechane i ledwo zipie.

– Młody, weź tam dla pana komisarza poszukaj jakiego radyjka.

– Robi się – odpowiedział Mazurek.

Tymczasem Teofil podszedł do ściany kartonów pod oknem. Tu wyeksponowane były magnetowidy. Chwycił jedno z pudeł, przyglądał mu się przez chwilę, a potem z uznaniem pokiwał głową.

– Ten jest ładny, a moja Jadwiga lubi czerwony kolor – wyjaśnił.

Wideo, co prawda, było czarne, jak większość podobnego sprzętu, za to karton był cały czerwony i rzeczywiście przyciągał wzrok pośród innych, biało-żółto-czarnych paczek. Nic więc dziwnego, że Teofil dokonał wyboru jak człowiek, który nie ma pojęcia o jakości, więc kieruje się tylko ładnym opakowaniem.

Godzina 16.30

– To znowu pan? – zdziwiła się Jolcia, widząc w progu Mirka Brodziaka. Ten wzruszył ramionami. – Proszę, niech pan wejdzie.

– Rozumiem, że pani chłopak się nie odnalazł?

Pokręciła szybko głową.

– Myślałam, że pan ma jakieś informacje.

– Nie, nic na razie nie wiem. Ale właśnie dlatego wróciłem, żeby jeszcze się rozejrzeć. No i przede wszystkim pogadać z ludźmi. Ktoś musiał widzieć, co zaszło na dole. To było rano, więc sporo ludzi musiało się kręcić na tym parkingu przed blokiem.

– To prawda, ruch jest duży o tej porze. Ludzie jadą do pracy, a dzieci do szkoły.

– A jak pani wyszła na parking, to nie zauważyła pani nikogo, no, powiedzmy, znajomego? Jakiejś takiej osoby, która mogłaby znać pani chłopaka?

Jolcia usiadła na kuchennym taborecie i jednocześnie wskazała miejsce policjantowi. Ten od razu wyciągnął z kieszeni papierosa. Włożył go do ust, ale nie zapalił. W tym momencie zorientował się, że chyba musi poprosić o zgodę. Jeszcze niedawno palili wszyscy i w każdym mieszkaniu na stole stała popielniczka. Od jakiegoś czasu zaczęła do Polski napływać moda na niepalenie. Ulegało jej szczególnie dużo młodych ludzi. Zupełnie bez sensu, myślał Mirek, żeby nie palić teraz, kiedy otworzyły się nieprawdopodobne dotąd możliwości. Jeszcze dwa lata temu papierosy były towarem deficytowym, a te, które można było kupić w kioskach Ruchu, były paskudnej jakości, produkowane z marnego tytoniu. Ale po tym, jak Polska stała się krajem zmierzającym ku demokracji, rynek został dosłownie z dnia na dzień zasypany zagranicznym, doskonałym jakościowo tytoniem. I jak tu nie palić, gdy ma się pod ręką tyle dobra, wcześniej kompletnie niedostępnego?

– Przepraszam, mogę zapalić?

– Proszę, mnie dym nie przeszkadza.

– A pani zapali?

Pokręciła głową, lekko się uśmiechając.

– Nie, ja nie palę.

– Nie lubi pani...? – zadał idiotyczne pytanie i zaraz zrozumiał, że było kompletnie pozbawione sensu. Bo jak można lubić i nie palić?

– Nigdy się nie nauczyłam. Papierosy to przecież paskudna trucizna.

– Ale za to jaka przyjemna – stwierdzi Mirek, odpalając camela.

Wstała i podeszła do szafki wiszącej nad zlewem. Otworzyła ją i wydobyla szklaną popielniczkę z przyklejoną do dna kalkomanią przedstawiającą uśmiechniętą twarz papieża Polaka.

– Głupio tak strzepywać popiół na twarz – zauważył Mirek, wpatrując się w oczy Karola zadumanego nad losem ojczyzny.

– Nie mam innej. Zresztą to nawet nie moja popielniczka, tylko właścicielki mieszkania, co nam je wynajmuje. A obrazkowi jest to najzupełniej obojętne, czy leci na niego popiół, czy nie. Zresztą jakby co, to zgrzeszył producent tego pamiątkarskiego badziewia dla pielgrzymów.

– Papież chyba nie pali?

– Raczej nie, ale księża jak najbardziej. Może myślą, że codzienne modlitwy ustrzegą ich przed zgubnymi skutkami tego nałogu. Nie wiedzą pewnie, że substancje smoliste, które są efektem palenia, osiadają w płucach i mogą doprowadzić do poważnych chorób, jak choćby raka płuc.

Brodziak machnął ręką.

– Palę już tyle lat, że nic nie jest mi w stanie zaszkodzić.

– Nie mam zamiaru pana namawiać, ale warto rozważyć rzucenie palenia, bo to rzeczywiście trucizna... – Przestała mówić i spojrzała

w okno. Nic tam ciekawego nie było widać, prócz ciemnych chmur, które zwiastowały deszczowe popołudnie.

– Dlaczego pani przerwała?

– Tak mi się przypomniało, że rano, jak zjeżdżaliśmy na dół, jechała z nami sąsiadka. Mieszka piętro wyżej, dokładnie nad nami. – Wskazała palcem sufit. – No i ta sąsiadka to taka, wie pan, typowa sąsiadka. Wścibskie babsko. Jechała z psem, bo codziennie go wyprowadza rano, tak około ósmej rano. No i jak zjeżdżaliśmy, właśnie dlatego to zapamiętałam, że jechała z nami, bo znowu coś marudziła. I jak zjechaliśmy na dół, to ona wyszła pierwsza, a Wojtek poszedł za nią na dwór, a ja wróciłam do windy. No i jak zjechałam drugi raz, to ona cały czas się kręciła przy klatce schodowej. Wiem, bo to jest jej rytuał. Pies biega i wali kupy, gdzie popadnie, a ona stoi niedaleko drzwi albo idzie tam na wprost, na tę ławeczkę koło śmietnika, i tam siedzi i pali papierosy. To właśnie mi się przypomniało przez te papierosy właśnie.

– Myśli pani, że mogła coś zauważyć?

– Jeśli nie ona, to kto? Proszę pana, to jest chodzący radar. Ona wie wszystko o wszystkich. A to jej palenie to moim zdaniem pretekst, żeby mieć czym usprawiedliwić swoje wścibstwo. Tak naprawdę to ona tam nie idzie palić, tylko wystawia wartę i wszystkiego pilnuje.

– Jak się nazywa ta pani?

– Nie ma zielonego pojęcia. Nigdy nie byłam na jej piętrze, a wiem, że mieszka bezpośrednio nad nami, bo słyszę, jak krzyczy, żeby ściszyć muzykę albo w ogóle być ciszej. Jak jej się jakiś hałas nie podoba, to bierze kij i wali w podłogę, a niekiedy to jeszcze, dla lepszego efektu, w kaloryfery. Tyle że przez rury taki hałas idzie na cały blok.

– Pójdę do niej. Mam nadzieję, że jest w domu.

– Jest. – Jolcia uśmiechnęła się i popatrzyła w górę, jakby przez sufit można było zajrzeć do mieszkania wyżej. – O, słyszy pan psa? To jej pies ujada. Gnojek potrafi tak szczekać pół dnia. I to jej nie przeszkadza. Ale jak ktoś tylko głośniej... hmm, coś zrobi, to zaraz ma pretensje.

Mirek wstał, pożegnał się i ruszył w kierunku drzwi. Jolcia poszła za nim, żeby przekręcić zamek patentowy.

– Przypomniało mi się... – powiedziała zza jego pleców. Mirek się odwrócił. – Ona nazywa się Kieliszczak albo jakoś tak, w każdym razie coś z kieliszkiem chyba.

– Dziękuję.

– Niech pan go znajdzie – poprosiła, patrząc mu z przejęciem w oczy.

– Zrobię, co się da, pani Jolu – zapewnił i wyszedł na klatkę schodową. Nie było sensu ściągać windy, aby przejechać jedno piętro. Szybko, przeskakując po dwa stopnie, dostał się na ósme. Bez trudu odnalazł mieszkanie blokowej wartowniczkii. Na mosiężnej tabliczce odczytał nazwisko „Karol i Genowefa Chwaliszek”.

No, prawie jak kieliszek. Czyli dziewczyna dobrze skojarzyła. Zapukał i drzwi natychmiast się otworzyły.

– A pan z administracji? – domyśliła się. – Ile można skarg pisać na tych młodych, co ciągiem ino się ruchają na dole, a ja mam taki wrażliwy sen, że jak kto mi jęczy przez pół nocy, to już nie zasnę później. I na co mi przyszło na stare lata słuchać takich bezecności? Sodomia i Gomoria, powiadam panu. Ale zaraz to wszystko jeszcze dokładniej powiem, bo mam wszystko zapisane, co do dnia i godziny. Wszystko im policzyłam. Że też mają zdrowie tak się...

– Ale ja... – Brodziak chciał wyjaśnić, że nie jest urzędnikiem, ale Genowefa Chwaliszek nie chciała słuchać. Zaciągnęła go do pokoju, w którym stał segment na wysoki połysk z telewizorem jako główną ozdobą oraz kryształami na wszystkich półkach. Miejsce pod ścianą naprzeciwko zajmował komplet wypoczynkowy, składający się z ławy szwedzkiej, dwóch foteli i rozkładanej kanapy w obiciu brązowo-rudym z ordynarnym kwiatowym wzorkiem.

– Pan spocznie i słucha. – Wskazała fotel. Brodziak posłusznie usiadł.

Na blacie stołu gospodyni trzymała karafkę, również z kryształu, ustawioną na kryształowym talerzyku, na którym mieściło się jeszcze pięć kieliszków. W tej karafce był jakiś żółty płyn, który najprawdopodobniej był ajerkoniakiem. Brodziak na ten widok zmarszczył nos. Teofil Olkiewicz, znany biesiadnik i smakosz, nienawidził tego trunku i tłumaczył, że zalewanie czystej wódki kogłem-mogłem to świętokradztwo. Z czasem Mirek też zaczął tak uważać i unikał tego alkoholowego ulepku.

– Może ajerkoniaczku odrobinę? Sama robiłam, na wiejskich jajkach ucierałam. Powiadam panu, pychota, nie to, co te gówniane zez sklepu. Nie umywają się do mojego. To co, po maluchu?

Brodziak pokręcił głową.

– Nie mogę słodkiego, bo mi na wątrobie potem leży – powiedział z pełnym przekonaniem, dotykając miejsca, gdzie powinien być ten ważny organ. Czy był dokładnie tam, nie wiedział, bo mu nigdy nic na wątrobie jeszcze nie leżało.

– Łe, jak coś zalega, to lepiej nic słodkiego nie pić. Herbata gorzka najlepsza. Może herbatki? Mam dobrą ulung.

– Nie, za dużo czasu nie mam, a i kłopotu pani robić nie chciałem, to może pani mi powie, czy tego chłopaka z dołu to pani widziała

ostatnio, bo trzeba by z nim trochę porozmawiać.

– A pewno, że widziałam. Widać się pan zna na rzeczy, bo z tą panienką to szkoda gadać. Taka leluja, że ino jęczeć umi i jeszcze rzępoli na tych swoich skrzypkach, że nie idzie wytrzymać.

– Na skrzypkach?

– To pan nie wie? Ona się uczy na skrzypka. Hi, hi! Uczy się tego grania za dnia, a w nocy tego jęczenia, jak się ruchają.

– Myślałem, że uczy się na weterynarza.

– To do południa, a potem chodzi na skrzypce. Po co weterynarce skrzypce?

– A ten chłopak?

Machnęła ręką.

– Z niego to też nic dobrego nie będzie.

– A to czemu?

– Bo to wywijas jest i bandzior jeden.

– Tak? A skąd pani to wie?

– Ano i wiem, bom sama widziała na własne oczy. Weźmy, na ten przykład, wczoraj, jechali ze mną windą. A ja zjeżdżałam na dół, bo mojego Cezara musiałam wyprowadzić. – Wskazała na kocyk koło fotela, na którym spał pies o wyglądzie typowego mieszańca, nieprzypominającego żadnej z oficjalnych ras. Leżał zwinięty w kłębek i widać było, że ta rozmowa, jak i gość, który przyszedł do jego domu, kompletnie go nie interesują. – No i zjechałam z Cezarem, ten wywijas wyszedł, dziewczyna się wróciła, że niby portfel zostawiła. No to poszłam na zewnątrz palić, a ten chłopak szedł do samochodu. Bo on ma małego fiata. Taki młody i już ma swoje auto, pan to rozumie? Takie czasy, że gówniarz taki może mieć swój samochód. Ale nie doszedł do auta, bo wdał się w bójkę.

Wyszedł z klatki schodowej i od razu do bicia. To ci dwaj mu włąli i wsadzili do samochodu swojego, żeby go pewnie na policję zawieść. Bo jak kto tak rozrabia, to na policję trzeba chuligana odstawić od razu, żeby komuś krzywdy nie...

– Pamięta pani, jak wyglądali ci ludzie?

– No jak, normalnie, byli ubrani w ubrania, takie kolorowe, co teraz są modne. Znaczą takie luźne.

– Dresy – odpowiedział.

– O, właśnie. I pojechali.

– A samochód. Jaki to był samochód?

– A bo ja wiem? Na markach to ja się nie wyznaję. Duży jak nyska albo żuk. Ale nie rozeznam marki. Może go pan se po numerach rejestracyjnych go odnaleźć, bo to jest właśnie ta sprawa, co ja ją zgłaszałam do administracji. Oni tym samochodem wjechali na trawnik i go rozryli zupełnie, bo po tych deszczach to trawa się kupy nie trzyma. To ja zapisałam numer rejestracyjny tego auta, żeby ich złapać, i niech tu w czynie społecznym przyjdą zagrabić i naprawić to, co zepsuli, a potem ich na kolegium podać, niech jeszcze karę zapłacą, to się nauczą szanować własność społeczną. – Wyciągnęła kartkę włożoną pod talerzyk z karafką i kieliszkami. – Proszę, to ta rejestracja. Może se pan zabrać, bo mnie ona na nic. Tylko złapcie tych cholerników.

– Złapiemy – zapewnił ją Mirek, wstając z fotela. Chciał zrobić minę człowieka zupełnie pewnego swoich twierdzeń, ale wyszedł mu tylko krzywy uśmiech, który nie dodał kobiecie wiary w jego możliwości i nadziei na szczęśliwe odnalezienie samochodu, który zniszczył trawnik.

Godzina 18.10

Mariusz myślał, że będzie miał dziś luźniejszy dzień, ale wszystko poukładało się w jakiś idiotyczny ciąg zdarzeń, które doprowadziły do tego, że musiał pół dnia spędzić w komendzie przy Marcinkowskiego. Stamtąd bowiem przyjechali policjanci wezwani przez obsługę baru Piccolo, żeby aresztować rozłożonych na podłodze bandziorów. Mariusz, jako świadek, a jednocześnie funkcjonariusz zaangażowany bezpośrednio w sprawę, musiał złożyć wyjaśnienia i dodatkowo jeszcze wziął udział w przesłuchaniu obu zatrzymanych. Nie zamierzał przejmować śledztwa w sprawie wymuszenia i zdemolowania baru, ale chciał posłuchać, co ci faceci mają do powiedzenia. Być może mieli coś wspólnego z tymi, którzy obcięli palec agentowi restauracji U Dyla Sowizdrzała.

Nie siedział bezpośrednio w pokoju przesłuchań. Zajął miejsce za ścianą z lustrem fenickim. Nie chciał, żeby ci dwaj zatrzymani przez niego goście wiedzieli, że jest policjantem. Miał przeczucie, że tak będzie lepiej.

– Kto wam kazał iść do Piccolo po pieniądze? – zapytał prowadzący przesłuchanie starszy aspirant Roman Kąkol, rumiany, okrągłolicy policjant, którego dobronny wygląd mógł wprowadzić w błąd niejednego przestępcę.

– Nikt mi nic nie kazał – rzucił opryskliwym tonem ten niższy, łysy gość, który w barze wywijał kijem bejsbolowym. Na jego czole widać było solidny siniak, pamiątkę po gwałtownym zetknięciu się z podłogą.

– Sam żeś na to wpadł? – zdziwił się policjant.

– Sam, kurwa, a co, nie wolno?

– Wolno, wolno. Jak najbardziej, ale dla takiego matoła jak ty to za trudna sprawa do obmyślenia.

– Zamknij ryj, kurwo – warknął łysy.

– Na twoim miejscu bym się zachowywał trochę grzeczniej.

– Bo co mi zrobisz, psie? Pobijesz mnie. Ha, ha! To nie te czasy, że policja może bić, kogo se chce. Teraz musicie być grzeczni, bo jak nie, to się zamelduje na prokuraturze i wypierdalasz z roboty. Raz-dwa by cię udupili.

– Taki jesteś pewny?

– Pierdol się, kurwo. Chcę adwokata.

– A skąd ja ci wezmę adwokata? Widzisz tu jakiegoś? Może jest pod stołem? – Policjant zajrzał pod stół. – A może tam się schował? –

Wstał, podszedł do szafy i zajrzał za nią. – Tu też nikogo. Nie ma żadnego adwokata, cholera. I co my teraz zrobimy?

Przesunął się w kierunku okna, stanął za zatrzymanym, udając, że zagląda w przestrzeń między oparciem krzesła a ścianą. Wtem złapał łysyego za potylicę i z całej siły pchnął jego głowę w dół. Nos zderzył się z blatem. Najpierw rozległo się głucho uderzenie, potem nieprzyjemny chrzęst, a zaraz potem przeraźliwy krzyk. Kąkol wrócił na swoje krzesło naprzeciwko, wyciągnął papierosa i go odpalił. W tym momencie drzwi pokoju przesłuchań otworzyły się i do pomieszczenia wszedł szczupły trzydziestolatek o delikatnych chłopięcych rysach, z dwoma gwiazdkami podkomisarza na pagonach.

– Wzywałeś pomocy? – zapytał.

– No, ten gnój chciał mnie zabić i... – wyrzucił z siebie skargę łysy, ocierając zakrwawioną twarz.

– Nie ciebie pytam, szmaciarzu.

– Ale on...

– Zamknij się. Jak panowie policjanci rozmawiają, to ty milczysz. Odzywasz się, tylko jak ci ktoś pozwoli. Kapujesz, zjebie? – pouczył go Kąkol.

Zdumiony bandzior otworzył usta ze zdumienia, lecz zaraz je zamknął, bo krew z nosa napływała mu do przełyku.

– Nie wiem, co z nim zrobić. – Starszy aspirant wskazał na zakrwawionego faceta. – Tak się awanturował, że z nerwów przewrócił się na podłogę i rozbił sobie nos. Może by go trzeba wsadzić w kaftan bezpieczeństwa i odesłać do wariatkowa? Według mnie to czubek jest. A tam się nim zajmą troskliwie. Dadzą mu całą garść tabletek na uspokojenie i za tydzień nie będzie nic wiedział o świecie.

– No w sumie masz rację. Po co taki śmieć ma chodzić po ulicach i tlen zabierać porządnym ludziom? Słyszałem, że jak się takiego do czubków odda, to wystarczy miesiąc i przerobią go tam tabletkami, elektrowstrząsami i zimnym prysznicem, że już nigdy nie będzie normalnie myślał – zgodził się z nim podkomisarz.

– A czy ktoś taki normalnie myśli? Ty sobie wyobraź, Olek, że ten bydlak razem z drugim kumplem wpadli do Piccolo i zaczęli machać bejsbolami ludziom przed nosem. I jeszcze zrzucali tymi kijami makaron na podłogę.

– Makaron w Piccolo?

– No, spaghetti.

– A dużo tego makaronu na podłogę zrzucili? – zainteresował się oficer.

– Będzie kilkanaście porcji.

– Najlepszy makaron, znaczy spaghetti, w mieście na podłogę? – nie mógł uwierzyć podkomisarz. – To trzeba być niezłym pojebem, żeby tyle jedzenia ludziom zmarnować. Ja ci powiem, że to spaghetti w Piccolo jest najlepsze w mieście. Ono nawet jest lepsze, niż było dawniej. W wolnej Polsce się poprawiło. To, moim zdaniem, ty masz rację, że tego gościa trzeba wysłać do czubków. – Spojrzał na zatrzymanego i pokręcił głową z obrzydzeniem. – Nie ma się co z nim pierdolić. To co, mam dzwonić po karetkę?

– No chyba tak... – odpowiedział dość niepewnym tonem aspirant Kąkol.

– Panowie, nie, proszę, ja wszystko powiem. Nie chcę jechać do wariatkowa. Ja jestem całkowicie zdrowy. Nie zamykajcie mnie w szpitalu...

– Odpoczniesz tam sobie, dojdiesz do równowagi – zapewnił go podkomisarz.

– Zrobią ze mnie warzywo!

– E, nie wszyscy od razu się dają załatwić tym psychiatrom. Niektórzy nie zjadają tabletek, tylko je chowają pod językiem. Ale zimne prysznic i elektrowstrząsy... No, tego się raczej nie uniknie. – Podkomisarz zrobił strapioną minę. – No i jest jeszcze coś...

– Co? – zapytał łysy.

– Przecwelenie.

– Co?

– No normalnie, jak takie warzywo leży w łóżku, to inni pacjenci, ci, co się lepiej czują, używają sobie na nim. Nie, w psychiatryku dupy nie zabezpieczysz korkiem od szampana. Wyjmą i przelecą cię na sto procent.

– Panowie, błagam was, nie chcę do żadnego psychiatryka. Ja wszystko powiem i wszystko podpiszę. Nas na robotę nikt nie wysyła. My sami żeśmy wymyślili, że pójdziemy do knajpy i będziemy brać haracze. Bo żeśmy słyszeli, że chodzą po knajpach po kasę tacy goście, co na nich się mówi Młode Lwy. To myśmy se wymyślili, że też pójdziemy. I żeśmy sprawdzili, że do kilku knajp oni nie poszli. Takich, co nie mają ajenta, tylko są państwowe. To żeśmy se pomyśleli, że jak oni ich nie obstawili, to my każemy se płacić. I zaczęliśmy od Piccolo.

– Znaczy chcieliście, żeby państwo wam płaciło? – Zdumiony podkomisarz spojrział na przesłuchiwanego, a potem na swojego kolegę i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Państwo to nie, no żeby kierowniczką czy ktoś tam... no z zysku, żeby trochę odpaliła.

– Kierowniczką ze swojej pensji? Boże, co za debile. Przecież żadna kierowniczką nie bierze zysku do kieszeni, tylko oddaje do banku cały utarg dzienny i nie ma z tego ani grosza. To dlatego te Lwy, czy jak im tam, odpuściły knajpy państwowe i poszły do agentów, tam gdzie są pieniądze. Powinniście jeszcze wciągnąć na swoją listę bary mleczne – zadrwił podkomisarz.

– Bary też żeśmy chcieli... – rzucił łysy i spuścił głowę. Krew mu już nie leciała, więc mógł przyjrzeć się swoim butom pozbawionym sznurówek i zastanowić się nad tym, czy dobrze wybrał, przyznając się do wszystkiego. Ale jaki miał wybór? Miał pozwolić, żeby w jakimś domu wariatów zrobili z niego żywego trupa? Nie, to było stanowczo ponad jego siły.

– Niezła robota – pochwalił obu kolegów Mariusz. – Doskonale poprowadzone przesłuchanie.

– My tu z Olkiem wymyślamy różne sposoby – pochwalił się starszy aspirant Kąkol.

– Podkomisarz Olek Grzywacz. – Młody oficer podał rękę Blaszkowskiemu. – Tak tu próbujemy odrobiny psychologii, trochę oddziaływania bezpośredniego i z reguły to przynosi dobre rezultaty. Trzeba tylko odpowiednio trafić do delikwenta. Na starą recydywę wariatkowo nie działa, bo oni w psychiatryku niejednym byli. Ale taki młody kretyn nic nie wie o życiu, wie tylko, jak bejsbolem machać.

– No to teraz się przekona, że z policją nie ma żartów – stwierdził Blacha.

– To pod jakim kątem mamy wybadać tych dwóch głabów? – zainteresował się Kąkol.

– Tych Młodych Lwów i obcinania palców – wyjaśnił Mariusz. – Chodzi o tych, co to proponują ochronę restauratora, a niedawno chcieli zmusić do współpracy ajenta Dyla Sowizdrzała. Gdy nie zamierzał z nimi gadać, obcięli mu paluchy. Może te półgłówki wiedzą coś więcej o tych obcinaczach.

– No to, panie kolego, masz pan jak w banku – rzucił zadowolony Grzywacz. – Jutro zeznania będą zaprotokołowane i podpisane przez obu gości.

– Odzywam się w takim razie jutro – pożegnał się z dwoma specami od przesłuchań i poszedł do domu. Być może był już krok bliżej od znalezienia tych, których szukał. Ciekawe, jak radzi sobie Brodziak. Miał dzwonić do niego do domu. Na pewno się odezwie, bo tak się umawiali, że każdego dnia albo się będą umawiać gdzieś w mieście, albo Mirek będzie się odzywał wieczorem. Miał więc jeszcze trochę czasu. Mógł zrobić zakupy, kupić chleb, mleko i coś do chleba...

Wszedł do spożywczaka, który mieścił się w jego bloku, na parterze. Mleko i chleb dostał. Nie było masła. Kupił więc kilka serków topionych, żeby czymkolwiek posmarować kanapki. Sprzedawczyni powiedziała mu, że masło będzie jutro rano, więc jakby przyszedł o szóstej...

Nie wstawał tak wcześnie. O szóstej przewracał się jeszcze na drugi bok, więc zrywanie się po to, żeby kupić kostkę masła, było zupełnie pozbawione sensu. Kupił jeszcze kawę, bo akurat się pojawiła w sklepie niemiecka jacob's, już zmielona. Tylko taką mógł kupować, bo nie miał w domu młynka. Nie był mu potrzebny, bo kawy nie pił. Piła za to Wiktoria i to dla niej kupował od czasu do czasu paczkę, gdy wpadła mu w ręce. Zapakował wszystko do foliowej torby. Ostatnio w sklepach pojawiły się takie foliowe jednorazówki. Niezbyt wytrzymałe, ale woreczek z mlekiem i odrobinę zakupów można było bez obawy o wytrzymałość siatki donieść do domu.

Wdrapał się na swoje piętro, otworzył drzwi i poszedł wszystko położyć na stole w kuchni. Dopiero wracając, zorientował się, że zostawił mokre ślady na podłodze. Zaklął pod nosem. Nie lubił zmywać podłóg, tym bardziej że nie miał do tego odpowiedniego sprzętu. W sklepach z wyposażeniem domowym można było kupić takie specjalne szmaty na długich kijach, które ścierały na mokro, ale on jakoś nie miał czasu na takie sprawunki. Dlatego gdy trzeba było umyć podłogę, robił to ścierką ze starej podkoszulki.

Zdjął buty w przedpokoju, kurtkę powiesił na wieszaku i już miał iść do łazienki, by splukać z siebie brudy całego dnia, gdy rozległo się pukanie. Otworzył drzwi. Stała w nich Wiktoria. W wyciągniętej dłoni trzymała jego klucze.

– Wejdz – powiedział zdumiony, ale zaraz dostrzegł jej zaciśnięte usta.

- Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego, przeklęty zomowcu - rzuciła nienawistnym tonem, odwróciła się i odeszła, a on zamarł w bezruchu jak czołg trafiony w czuły punkt pociskiem z rusznicy przeciwpancernej. Niby z zewnątrz wygląda normalnie, ale w środku wszystko płonie.

Rozdział VI

Sobota
12 października
Godzina 9.30

Obudził go ból głowy. Nie był bynajmniej spowodowany przez nadmiar alkoholu. Ten wypity przedwczoraj już zdążył wywietrzeć. Może jestem przeziębiony, zastanawiał się, leżąc w łóżku i dokonując przeglądu organizmu z perspektywy najlepszego znawcy własnego samopoczucia. Nie drapało go w gardle, nie miał kataru ani nie czuł, żeby temperatura była podniesiona. Na wszelki wypadek przyłożył sobie dłoń do czoła. Zawsze stosował tę metodę sprawdzania, czy aby nie ma gorączki. Nigdy jednak niczego nie wykazywała. Tak było i teraz. Doszedł do wniosku, że to, co mu dolega, to zwyczajne przemęczenie wynikające ze zbyt intensywnego trybu życia. No przecież właściwie to żył tylko i wyłącznie pracą, w której przesiadywał po kilkanaście godzin dziennie. Nie kończył dyżuru po ustawowych ośmiu godzinach, ale siedział w firmie tyle, ile było trzeba akurat w danym momencie. I pewnie stąd ten ból głowy...

A poza tym jeszcze Wiktoria. Co ona wymyśliła wczoraj z tym zomowcem? No przecież wiedziała dobrze, bo jej o tym mówił, że zaczynał pracę w milicji od służby w ZOMO. Ale też wiedziała, że robił wszystko, by nikomu nie zaszkodzić i nikogo broń Boże nie uderzyć podczas jakichś manifestacji, które jego kompania rozpędzała. Zawsze starał się trzymać z boku i nie przejawiać żadnej aktywności. A gdy tylko nadarzyła się okazja przejścia do komendy

wojewódzkiej, do wydziału dochodzeniowo-śledczego, natychmiast z niej skorzystał. Został więc prawdziwym gliniarzem, a nie facetem od bicia opozycji. I ona, wiedząc to wszystko, teraz przypominała mu ten epizod z jego życia?

Zrozumiał, że to robota tego grubasa Łabędzkiego. To on musiał ją skutecznie podburzyć. Facet zmanipulował ją w ciągu kilku godzin od swojego powrotu. Na tyle skutecznie, że przyznała mu się do zażyłości z sąsiadem. No i Łabędzki postanowił się na nim zemścić. Ale nie docenił Mariusza. W kwestiach samoobrony, jak każdy z policjantów, był dobrze przeszkolony. Dodatkowo jeszcze chodził na kursy judo. Więc walka z facetem, którego jedynym atutem była masa ciała, nie stanowiła większego wyzwania. Owszem, przesadził z tym rzutem, mógł go zwyczajnie odepchnąć, powalić i przygnieść kolanem. Ale jemu zachciało się popisowy i skończyło się zwichnięciem ręki.

Pewnie Łabędzki po powrocie do domu przedstawił go w odpowiednim świetle, jak krwiożerczego zomowca z pałą w dłoni, który zaczął się na niego i zaatakował w podstępny sposób od tyłu, nie dając najmniejszych szans na skuteczną obronę. To pewnie dlatego Wiktoria nazwała go wczoraj zomowcem. A w jej słowach czuć było nieskrywaną nienawiść.

To koniec, całkowity koniec tego związku. Może to i dobrze, zastanawiał się, zakładając spodnie i koszulkę ozdobioną kolorową grafiką przedstawiającą ceglana ścianę i napis „The wall”. Tej ściany, która wczoraj wyrosła między nimi, nie da się już rozwalić, pomyślał, wchodząc do kuchni.

Wydobył z lodówki woreczek z mlekiem. Przez chwilę szukał nożyczek, które powinny być w szufladzie, ale jak zwykle ich tam nie było. Zdumiewające, jak takie drobne przedmioty potrafią zmieniać miejsce swojego położenia i najczęściej znajdują się wtedy, kiedy nie

są potrzebne, w dodatku w dziwnych lokalizacjach. Ciekawe, gdzie odkryje nożyczki za trzy dni, gdy zupełnie przypadkowo wpadną mu w ręce.

Postawił kubek na stole. Chwycił za górną krawędź woreczka i zaczął ją rozszarpywać zębami. Ta metoda nie była doskonała, bo jeśli otwierało się niezbyt ostrożnie, zawsze można było się spodziewać, że kilka kropli wyleci na zewnątrz w niekontrolowany sposób.

– Cholera! – Mleko spłynęło po ceglanej ścianie na koszulce. Chciał odstawić gdzieś worek, ale nie było gdzie. W zlewie zalegała trzydniowa warstwa talerzy, kubków i brudnych sztućców. Trzymając mleko w jednej dłoni, drugą wydobyl z szafy garnek. Wstawił do niego worek i wrócił do zlewu, by zmyć plamy na koszulce.

Co to w ogóle za debilny pomysł, by mleko sprzedawać w woreczkach, myślał zły, trąc koszulkę. Jeszcze niedawno sprzedawali w butelkach, które mogły stać bezpiecznie w lodówce. I komu to przeszkadzało? Na Zachodzie sprzedają mleko w kartonikach. Tylko u nas wprowadza się w życie takie durne pomysły.

Po chwili śladów już nie było, ale koszulka, z której był bardzo dumny i za którą na Łazarzu zapłacił równowartość dziesięciu dolarów, czyli sto tysięcy złotych, była kompletnie przemoczona. Musiał poszukać innej, choć wcale nie był pewny, czy znajdzie jeszcze cokolwiek czystego.

Gdy rozległo się pukanie do drzwi, w pierwszej chwili pomyślał, żeby nie otwierać. Takie pukanie mogło przecież oznaczać kłopoty. Może ktoś z pracy po niego przyjechał... Nie, z pracy by najpierw zadzwonili i poinformowali, że wysyłają radiowóz z kierowcą. Więc

to nikt z firmy. Listonosz? Nie, w sobotę listonosze nie pracują. Więc to któryś z sąsiadów. Może gospodarz domu po tej awanturze chce ustalić, jak ma zeznawać na kolegium, bo wniosek do kolegium na Łabędzkiego za chuligańskie ekscesy poszedł na pewno, wypisany ręką któregoś z policjantów, tych, co pojawili się na miejscu awantury. Stróż musiał się sprawą przejąć, więc korzystając z wolnego dnia, zapewne przyszedł się naradzić.

Spojrzał w dół na koszulkę. Była całkowicie mokra. Wójcik raczej nie będzie zniesmaczony tym faktem. Podszedł do drzwi, otworzył je i zastygł w bezruchu jak surykotka wypatrująca niebezpieczeństwa.

Niebezpieczeństwo wyglądało całkiem sympatycznie, a można by powiedzieć, nawet ładnie. Prokurator Brygida Bocian odgarnęła kosmyk jasnych włosów, który opadł na czoło, i od razu, za jednym zamachem, poprawiła okulary, które lubiły się zsuwać w dół nosa. Zmarszczywszy ciemne brwi, spojrzała na gospodarza, jakby chciała zapytać, czy ją poznaje. Ale z tym nie było problemu, pamiętał ją doskonale, tym bardziej że w ubiegłym roku mogli się sobie nawzajem przypomnieć przy okazji wspólnego śledztwa prowadzonego w Opalenicy.

– Brydzia – bąknął mimo wszystko zdumiony. Nie przypominał sobie, żeby wtedy wymieniali się adresami. – Skąd się tu wzięłaś?

– Mam ci wyjaśniać wszystko, stojąc na klatce schodowej?

– Przepraszam, jasne, wchodź do środka. – Zrobił miejsce w przejściu, a ona wsunęła się, muskając go delikatnie miękką wełną czerwonego płaszcza. Poczował zapach jakichś przyjemnych perfum o lekko korzennej nucie, których nie potrafił zidentyfikować. Jego nos zatrzymał się na etapie rozróżniania przemysławki i pani walewskiej. Stanęła koło ściennego wieszaka. Pomógł jej zdjąć

nakrycie i powiesił je na swojej kurtce. Miał tylko jeden wieszak w przedpokoju.

– Kąpałeś się w koszulce? – zapytała, wskazując na moką ścianę.

– Nie, wylałem mleko i musiałem zaprać.

– A, rozumiem. Jak się człowiek obleje, to trzeba reagować od razu, bo szkoda, żeby taki ładny obrazek na koszulce się zniszczył.

– Prawda, że ładny? – Wprowadził ją do pokoju. Na szczęście na kanapie nie było porzrzuconych skarpetek ani brudnych gaci. W ogóle był tu niecodzienny porządek. No tak, przecież posprzątał dwa dni temu, zanim przyszła do niego Wiktoria. Wtedy kochali się po raz ostatni...

– Coś się stało? – Była jak barometr wyczuwający od razu zmianę ciśnienia i nastroju. Przywołał uśmiech na twarz.

– Siadaj, proszę. Zaraz zrobię kawę. A może herbatę? – zapytał na wszelki wypadek, choć wiedział, że należała do grupy miłośników kawy i mogła ją pić od rana do wieczora. Wolał jednak się upewnić, bo przecież mogło się coś pozmieniać.

– Kawę poproszę – powiedziała, uśmiechając się. Miała piękne kształtne usta podkreślone czerwoną szminką. Ubrana była w kremową spódnicę do kolan i żakiet od kompletu nałożony na białą koszulkę. Do tego dobrała modne białe rajstopy i brązowe buty za kostkę na grubym obcasie. – Co mi się tak przyglądasz? – zapytała, uśmiechając się i lekko przy tym mrużąc oczy. Chyba ma niedopasowane szkła, pomyślał.

– Nic się nie zmieniasz. Jesteś jak zawsze... – przez chwilę szukał odpowiedniego słowa – zjawiskowa.

Uśmiechnęła się, ukazując nieskazitelnie białe zęby. Widać określenie, którego użył, musiało jej sprawić satysfakcję.

– Pomóc ci z tą kawą? – zapytała, gdy zniknął w kuchni. Wychylił głowę.

– Dam sobie radę. Zalanie kawy wrzątkiem nie jest dla mnie specjalnym wyzwaniem.

Chwilę później postawił przed nią szklanę. Podał też cukierniczkę i łyżeczkę. Sobie nalał mleka. Trzeba było je wypić jak najszybciej, żeby nie skwaśniało. Nie zamierzał wstawiać worka do lodówki, bo mogło się to skończyć mleczną powodzią.

– Co cię sprowadza do Poznania?

– Mam dziś wolne. Chciałam zrobić zakupy w tym sklepie w Naramowicach, w Pozperito.

– A, wiem, to jest prawdziwy supermarket.

– No właśnie. Tam jest podobno duży wybór towarów, a u mnie, w Opalenicy, szkoda gadać.

– Rozumiem. I pomyślałaś, że odwiedzisz starego znajomego przy okazji?

– Dzwoniłam do ciebie do pracy, ale cię nie zastałam. Odebrał jakiś zapijaczony gość, z którym nie bardzo mogłam się porozumieć.

– Teoś Olkiewicz. No, to prawda, że jeszcze mocno osadzony w peerelowskiej rzeczywistości i w milicyjnej tradycji picia w robocie.

– To od niego dostałam twój adres.

– Miło z jego strony. Ale że ci dał mój adres, to do niego niepodobne.

– Powiedziałam mu, że jestem z tobą w ciąży i musimy szybko się naradzić, co dalej. Bardzo się przejął.

– O Boże, poważnie, nie żartujesz?

- Z ciąży? Nigdy w życiu.
- Brydzia, gdybym cię nie znał... pomyślałbym...
- Pomyślałbyś, że mam pilną sprawę do ciebie.
- Nic z ciążą?
- Nie, z podwójnym morderstwem. Dwóch facetów zastrzelonych na leśnym parkingu niedaleko Nowego Tomyśla. Był tam jeszcze jeden. Tego trzeciego chyba puszczono wolno, ale zrobiono mu coś okropnego...
- Obcięli mu palec? – zapytał Mariusz, a mina, jaką zrobiła jego dawna przyjaciółka, powiedziała mu wszystko.

Poznań
Godzina 10.30

Wsiadł do auta i poczuł, że kolba pistoletu wbija mu się w skórę nieco powyżej biodra. Spróbował przesunąć kaburę, ale była mocno przytwierdzona do paska. Beretta była dość dużym pistoletem, zdecydowanie za dużym na noszenie w lekkiej brezentowej pochwie, przytroczonej do paska. Nie było problemu, jeśli się było w ruchu, podczas akcji, ale w aucie zdecydowanie przeszkadzała. Mirek wyciągnął więc uwierający pistolet i włożył go do schowka, na wprost siedzenia pasażera.

W zasadzie nie potrzebował broni i być może zostawiłby berettę w domu, ale wziął ją ze sobą przez Marzenę.

- Po co ci ta sfluwa? – zapytała, gdy zobaczyła, że siedzi przy stole w kuchni i sprawdza magazynek.
- No jak po co? Przecież to moja służbowa broń.

– Ja to rozumiem, że służbowa, i właśnie dlatego pytam. Przecież nie jesteś na służbie.

– No nie jestem, ale muszę jechać pogadać z jednym gościem. Wiesz, mówiłem ci, to sprawa związana z ludźmi Rycha, tymi, którzy zostali zastrzeleni. Muszę z nim pogadać, bo tylko on ma wiedzę...

– Ej, Mirek, przecież ty już nie jesteś szkiełem. Ty złożyłeś wypowiedzenie. Za tydzień o tej porze będziesz już całkowicie byłym policjantem, więc kwestie związane z jakimiś morderstwami powinni wyjaśniać twoi kumple, a nie ty.

Chwycił ją za rękę i przyciągnął ku sobie. Nie opierała się. Posadził ją sobie na kolanach i pocałował w wewnętrzną część dłoni. Znał ten stan i wiedział dobrze, że nie może sobie z nią pogrywać i karmić półprawdami. Marzena była jego dziewczyną od dawna, ale znali się właściwie od zawsze. Mieszkali na Starym Mieście, niedaleko siebie, i od początku podstawówki chodzili do tej samej klasy. W zasadzie już wtedy mogliby być parą, gdyby nie to, że zawsze z nimi był ktoś jeszcze. Rychu Grubiński był najbliższym kumplem Mirka, a to oznaczało, że niejako z automatu był też najbliższym kolegą Marzeny. Stanowili nierozłączną trójkę, która przez całą szkołę podstawową trzymała się ze sobą. Szkoły średnie ich rozdzieliły. Rychu poszedł do mechanika, Marzena do technikum gastronomicznego, a Mirek do ogólniaka. Widywali się więc coraz rzadziej, ale za to intensywniej. Obaj młodzieńcy zaczęli w tym czasie patrzeć na Marzenę już nie jak na kumpla, ale na osobę aspirującą do bycia całkiem ładną kobietą. Miała dość oryginalną urodę. Ciemne długie włosy, ciemnobrązowe oczy i nieco śniada skóra sprawiały, że wyglądała jak orientalna księżniczka. Nic dziwnego, że miała wielu adoratorów. Ale ona umawiała się tylko z dwoma chłopakami. Raz do kina na Wielkiej zabierał ją Rychu, a kiedy indziej na lody do Kociaka szła z Mirkiem. Rywalizowali o jej

względy, aż ta rywalizacja wystawiła na próbę ich przyjaźń. Postanowili, że tak dalej być nie może i tylko jeden z nich powinien być jej chłopakiem. Umówili się więc, że sprawę rozstrzygną po męsku w honorowej walce. Spotkali się nad rzeką i stoczyli pojedynek. Bili się długo i zawzięcie, aż obaj tak osłabli, że nie dali rady walczyć dłużej. Ale nie udało im się osiągnąć porozumienia co do tego, kto wygrał. Postanowili więc, że pójdą do Marzeny, żeby to ona wyłoniła zwycięzcę. Gdy ich zobaczyła z podbitymi oczyma, rozciętymi wargami i poranioną skórą, najpierw się przeraziła. Kiedy jej wytłumaczyli, w czym rzecz, zaczęła się histerycznie śmiać, po czym stwierdziła, że są kretynami, i zamknęła przed nimi drzwi. Nie wybrała zwycięzcy. Kochała ich obu. Kilka lat później wyjechała do pracy do Niemiec, Brodziak poszedł na studia do Szczytna, a Rychu zajął się lewymi interesami, które w końcu sprawiły, że musiał uciekać z Poznania. Pojechał do Marzeny. Mieszkali razem przez jakiś czas, ale ten związek nie miał większych perspektyw. Marzena tęskniła do kraju i do Mirka. Przyjechała do Poznania w osiemdziesiątym piątym i wkrótce Brodziak zamieszkał z nią w jej mieszkaniu na rogu Żydowskiej i Wielkiej.

– Masz całkowitą rację i tak jest, jak mówisz. Blacha szuka tych gości. Ale wiesz, on nie ma takich znajomości jak ja. To znaczy, jak ma Rychu. Przed Rychem otwierają się drzwi, przez które nigdy nie przejdzie gliniarz. Więc wykorzystuję to, że w zasadzie już pracuję dla Rycha...

– Mirek, co ty pieprzysz?

– No przecież wiesz, że zaczynam pracę w banku...

– Ja nie o tym mówię.

– A o czym?

– O tym, że chcesz stosować jakieś nielegalne sposoby na pozyskiwanie informacji. – Zeskoczyła mu z kolan i podeszła do okna, jakby chciała sprawdzić, jaka jest pogoda. Nabrzmiące chmury wiszące nad Starym Rynkiem zapowiadały nadchodzący deszcz. Za chwilę musiała wyjść do pracy, więc pomyślała, że przyda się parasol.

– Widzę, że na prawie znasz się lepiej ode mnie.

– Nie, nie znam się na prawie, ale wiem, czym zajmuje się Rychu. Ten facet się nigdy nie zmieni. Nawet jeśli wszystkich dookoła zapewnia, że jest teraz zwykłym bankierem szanującym prawo, to jest to tylko przykrywka. On już zawsze będzie prowadził lewe interesy, które dla ludzi z nim współpracujących mogą się skończyć tragicznie. Widziałeś, co spotkało jego Magdę w zeszłym roku? Wyleciała w powietrze razem z jego samochodem¹³.

– Przecież to nie jego wina – próbował bronić przyjaciela.

– Gdyby był właścicielem restauracji, nikt by mu nie groził...

– Restauratorzy też mają problemy. Jacyś gnoje proponują im ochronę za pieniądze.

– Niech no tylko do mnie przyjdą, to zobaczą.

Mirek pokiwał głową i uśmiechnął się od nosem. Złożył pistolet i wsunął go do kabury.

– Czego ty chcesz właściwie, Marzena?

– Czego? Czego chcę? Spokoju, spokojnego życia z facetem, który nie jest gangsterem...

– To dlatego rozstałaś się z Rychem w Niemczech? – zapytał i zaraz pożałował tego pytania. Zobaczył jej zaciśnięte usta i załzawione oczy. Gdyby mógł, cofnąłby czas i nigdy tego nie powiedział, ale życie to nie taśma w magnetowidzie.

Marzena wyszła z kuchni, a za chwilę usłyszała trzaśnięcie drzwiami. Pomyślał, że zupełnie niepotrzebnie ściągnął na swoją głowę czarne chmury, znacznie ciemniejsze niż te za oknem.

Białe bmw zatrzymało się przed warsztatem samochodowym należącym do Rycha, choć na papierze właścicielem był Marian Waligóra. Jak mówił Grubiński, ten facet to prawdziwy skarb, bo nie dość, że znał się na samochodach, to potrafił jeszcze zajmować się całą logistyką importu aut z Niemiec. To on zatrudniał ludzi, którzy odbierali kradzione auta w Berlinie i przewozili je do Polski, wprost do warsztatu na Dąbrowskiego, przy drodze wylotowej z Poznania. Jego mechanicy mówili do niego „panie inżynierze”, ale nie było wcale pewne, czy facet ukończył polibudę. Jednak dla Rycha nie liczyły się papiery, najważniejsze były praktyczne umiejętności.

Mirek wysiadł z auta i ruszył w kierunku biura. Wszedł do niewielkiego przedsionka, w którym siedział długowłose młodzieniec ze słuchawkami na uszach. Na widok Brodziaka się uśmiechnął.

– Szef jest u siebie? – zapytał Brodziak, wskazując na zamknięte drzwi. Młodzieniec uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. Mirek zapytał więc jeszcze raz nieco głośniejszym głosem, ale znów nie doczekał się odpowiedzi. Chwycił w końcu metalowy pałak, na którym osadzono słuchawki od walkmana, i zdjął je delikatnie z uszu chłopaka.

– Nie, no co ty, gościu? – powiedział długowłose trochę zbyt głośno, jakby chciał przekrzyczeć muzykę wylewającą się ze słuchawek. Mirek zidentyfikował ostre dźwięki metalu, ale nie miał pojęcia, co to za zespół.

– Nie „gościu”, tylko „proszę pana”. Pytałem, czy jest szef.

– No jest. Dlatego tu czekam.

- To skoro czekasz, znaczy, że go nie ma.
- Jest, ale zajęty. Ma jakiegoś gościa, z którym gada. Kazał nie przeszkadzać.
- To po co tu siedzisz?
- Bo muszę się dowiedzieć, co robić z mercedesem.
- Aha. To idź do tego mercedesa i go naprawiaj, a ja tu poczekam.
- Mam naprawiać? - zdziwił się miłośnik metalu.
- Rób, co chcesz, ale spadaj stąd - polecił Mirek. Wolał, żeby byle kto nie usłyszał przez przypadek, o czym będzie rozmawiał z inżynierem.

Chłopak wyszedł, a Brodziak rozsiadł się na jedynym w tym przedsiionku krześle. Z nudów zaczął przyglądać się zawieszonym na ścianie plakatom. Wszystkie przedstawiały poloneza caro w różnych ujęciach. Najgłupsze z nich demonstrowało wysunięty bagażnik auta, z którego wystawały głowy kilku gęsi. Mirek pomyślał, że kłapa bagażnika może służyć do dekapitacji ptaków, ale chyba nie o to chodziło twórcy kampanii reklamowej auta, które było już przestarzałe na początku lat osiemdziesiątych, a teraz mogło spokojnie być zaliczone do zabytkowych konstrukcji.

Naraz uwagę Brodziaka przykuł podniesiony głos dochodzący z biura.

- Jak, kurwa, czekać?! - powiedział ktoś mocnym i nieznoszącym sprzeciwu tonem.
- Ale to wymaga dobrego rozeznania i zaplanowania... - Rozpoznał głos kierownika.
- Wszystko już zostało zaplanowane. Teraz tylko trzeba doprowadzić sprawy do końca.
- Czyli że co?

– Czyli że jak się powiedziało A, to trzeba powiedzieć B. Nie można zatrzymać się w połowie drogi. Ludzie wiedzą, że dziś będziemy w hotelu, znaczy odwrotu już nie ma i ty też masz tam się pojawić. Ta wiadomość, że będziemy dziś w hotelu, musi do niego dotrzeć! Jasne?

W biurze dało się słyszeć jakiś ruch. Brodziak wstał z krzesła i wymknął się na zewnątrz. Szybko zapalił papierosa. Z biura wyszedł jakiś wysoki, postawny mężczyzna w szarym palcie i zielonym myśliwskim kapeluszu na głowie. Brodziak pomyślał, że facet musiał właśnie przyjechać chyba z Bawarii, bo kapelusz był typowo niemiecki, z popielatym piórkiem wpiętym za zieloną taśmę, okalającą koronę. Nawet nie spojrzał na Brodziaka. Minął go, mało nie potrącając.

– O, pan Mirek – powiedział wyraźnie zdziwiony inżynier. – A pan tu...

– Tak tu sobie palę – rzucił Brodziak i zaraz zgasił niedopałek w popielniczce stojącej przy drzwiach. Kierownik uśmiechnął się jakoś krzywo, a potem wskazał głową swoje biuro. Mirek wszedł za nim do środka.

Godzina 11.10

– Czemu nie powiedziałaś, że w tym faksie była informacja o zabitych ludziach? – zapytał Mariusz. Teofil spojrzał na niego jak na psa, który niespodziewanie i bynajmniej nie w wigilię Bożego Narodzenia odezwał się ludzkim głosem.

– W jakim faksie?

– No tym z Nowego Tomysła. Miras przyszedł wczoraj w nocy do firmy, a tyś mu powiedział, że jest taki faks.

– Faks? – pytał zdumiony coraz bardziej Teofil. – Nigdy w życiu nie powiedziałem, że jest jakiś faks. Bo ja nie mogłem mu powiedzieć coś takiego, bo ja nie wiem, kto to ten faks jest. Nie znam żadnego.

– Teofil, faks to jest depesza, co do nas przychodzi z informacją o wydarzeniach w województwie.

Zdziwienie zniknęło z twarzy Olkiewicza, zastąpione szerokim uśmiechem.

– Łe, tej, to ty nie możesz do mnie po polsku mówić, tylko z jakimś faksem tu wyjeżdżasz. Jakbyś powiedział, że o depeszę się rozchodzi, tobym ci od razu powiedział.

– Depesza to z francuskiego jest – wtrącił się Mazurek, który zajął miejsce Brodziaka. Dotąd pracował w zupełnie innym pokoju, wraz z innymi podoficerami, a tu był pokój oficerski. Ale gdy zwolniło się miejsce po Brodziaku, a Marcinkowski nikogo nie przydzielił do jego biurka, w jakiś dziwny sposób szybko się tu przeflancował.

– Jak z francuskiego? – Olkiewicz znów się zdziwił.

– No normalnie, bo po francusku *dépêche* to znaczy „pośpiesz się”. Czyli depesza to *dépêche*, taki szybki list.

– Jak ten zespół Depeche Mode? – zapytał Mariusz, który nie znał francuskiego, ale za to dobrze wiedział, że zespół jest angielski.

Mazurek wzruszył ramionami.

– A tego to ja nie wiem, bo ja się uczyłem w szkole tylko rosyjskiego.

– Niepotrzebnie, całkowicie niepotrzebnie – stwierdził Teoś. – Ruski nam się już nigdy do niczego nie przyda. Piniądze wywalone w błoto na tą naukę dzieciaków. Tyle lat cała Polska uczyła się gadać

po rusku i co? No i nic, Ruscy wyjadą z Polski, a my zostaniemy z tym ich językiem jak z gołą dupą na wietrze.

– A skąd niby wiadomo, że Ruscy z Polski wyjadą? – zapytał Mazurek.

– No jak skąd, przecież Wałęsa o tym mówił, że trzeba ich kulturalnie wyprowadzić i poprosić, żeby zabrali swoje czołgi i samoloty i pojechali do swoich. Bo u nas to już miejsca dla nich nie ma.

– No, nie byłbym taki pewny, że to się może udać. Oni mają tu swoje bazy od wojny. – Mariusz, który miał na studiach zajęcia z polityki międzynarodowej, nie wierzył za bardzo, że uda się dogadać z Sowietami w pokojowy sposób. Przecież to cały czas było mocarstwo atomowe, które mogło dyktować światu swoje warunki.

– Trzeba nam się było uczyć innych języków, na ten przykład czechosłowackiego. Podobny do naszego i łatwiej by było się nam z sąsiadami dogadać. Bo z Czechami to my żeśmy nigdy wojny nie mieli i jeszcze piwo mają dobre i parówki – rozmarzył się Teofil. Jednak Mariusz przerwał mu te idylliczne rozważania, sprowadzając go do rzeczywistości.

– Ty mnie tu nie zagaduj o Czechach, tylko powiedz, jak to było z tym faksem, znaczy się z depeszą.

Teofil przechylił głowę i wzruszył jednocześnie ramionami, jakby tym gestem chciał przekonać ławę przysięgłych, która zmówiła się przeciwko niemu, że jest całkowicie niewinny.

– Ja przeglądałem te depesze, co leżały u mnie na biurku. Nie wiem, po co ktoś je położył, bo wiecie, że ja jestem ulubieńcem porządku i u mnie na blacie nawet odrobina popiołu po papierosie leżeć nie może. I te wiadomości ktoś zostawił, no to je przed wyrzuceniem przejrzałem, ale nie za dokładnie, żeby tylko

sprawdzić, czy tam co ważnego nie napisali. Ale nie jak zwykle, tylko o wypadkach drogowych i zaginięciach obywateli. Ale jedna była ciekawa, bo ja tam przeczytałem, że palca znaleźli. Ale żeby o jakichś zabitych było, to nie widziałem. Może na drugiej stronie albo jak. W każdym razie o tym urzniętym paluchu tam było. I jak Miras przyszedł i zaczął szukać, to mu powiedziałem, że depesza jest w śmietniku, to się ucieszył, bo powiedział, że natrafił na ślad, bo tam było napisane, że według świadków sprawcy odjechali jakimś zielonym transportem czy transparentem.

– Transporterem – podrzucił mu Mazurek, który znał się na markach samochodów. – To musiał być volkswagen transporter.

– O właśnie, chyba tak było – ucieszył się Olkiewicz.

– Było w tej depeszy takie stwierdzenie, znaczy ta informacja o volkswagenie? – zapytał z powątpiewaniem Blaszkowski. Czyżby Brygida zapomniała o takim szczególe? Nie, to raczej do niej niepodobne. Ona jest osobą bardzo skrupulatną. Więc jeśli powiedziała mu o dwóch zastrzelonych facetach, i do tego jeszcze o odciętym palcu, to nie mogła świadomie pominąć informacji o samochodzie widzianym przez świadka. Czyli ktoś z jej otoczenia, policjant i nadawca komunikatu wysłanego z Nowego Tomyśla, nie powiedział jej wszystkiego. Trzeba będzie jej o tym wspomnieć, jak wróci z zakupów w tych Naramowicach. Bo miała wrócić do niego do domu. Jakoś tak wyszło, a on nie wiedział, dlaczego się na to zgodził. Mówiła, że niby chciałyby odpocząć czy coś w tym rodzaju... Wiele się nie zastanawiał i dał jej klucze. Dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że to były te same klucze, które dotąd miała Wiktoria. Ale z Brygidą to była całkiem inna historia. Ona tylko chciała po całym dniu wałęsania się po sklepach odsapnąć i się odświeżyć, a przecież tego nie mógł jej odmówić. To była zwykła przyjacielska przysługa. Nie miał najmniejszego zamiaru wiązać się

z Brygidą dzień po tym, jak rzuciła go Wiktoria, i po tym, jak pobił jej męża. Mimo wszystko jednak jego myśli krążyły wokół Brygidy, choć zdawał sobie sprawę, że przecież teraz najważniejsze jest odnalezienie Brodziaka, zanim ten narobi jakichś głupot.

– No była – przypomniał sobie Teofil. – O palcu i samochodzie zapamiętałem, a reszty nie czytałem, to i o żadnych truposzach nie dowiedziałem się nic. Bo jakbym ja o truposzach przeczytał, to już bym o tym palcu i samochodzie nie doczytał, bo ci zabici byli bardziej interesujący.

Mariusz pokiwał głową, bo dobrze wiedział, w czym rzecz. Teofil należał do tych ludzi, którzy czytają tylko kilka pierwszych zdań tekstu, a potem już nic do nich nie dociera, bo dalsza opowieść ich zwyczajnie nudzi. Nawet do rozwiązywania krzyżówek się chłop nie nadawał, bo nie bardzo szło mu odnajdywanie poprawnych haseł. Choć przyznać mu trzeba, że próbował.

W zeszłym tygodniu Mariusz zastał go ślęczącego nad jakąś gazetą z długopisem w ręce.

– Co to jest na sześć liter do picia? – zapytał Teofil wchodzącego do pokoju Blaszkowskiego. – Piją ją Jankesi. Takie pytanie w krzyżówce jest. Wódka nie pasuje, piwo nie pasuje, wino nie pasuje... Cholera, co mnie podkusiło z tą krzyżówką?

– Jak sobie kupiłeś, to teraz się męcz.

– Zaraz tam kupiłem, znalazłem w kiblu. Ktoś wypełniał i zostawił. O proszę, połowę haseł wpisał, ale najtrudniejsze zostawił. Na sześć liter do picia. A mi się zdawało, że będzie łatwe, bo pierwsze, o co pytali, to była królowa rzek, to wpisałem zgodnie z prawdą „Warta”, bo płynie przez Poznań, znaczy królewskie miasto. Potem było, jaki pseudonim miał Władysław Gomułka, to

wiedziałem, z dawnych lat pamiętałem, że Wiesław. I wyszło, że to, co piją Amerykanie, musi się z tym Wiesławem skrzyżować i być na W, znaczy ten winiak mógłby być, ale nie da się, bo ostatnia litera musi być Y, bo tam jest wyraz wpisany „tyranozaur”, ale to nie ja wpisywałem, więc może być, że jest niedobrze, bo pytają o największego gada.

– To dobrze jest, bo tyranozaur to największy gad. A to, co piją Amerykanie, to gdybyś więcej oglądał westernów, tobyś wiedział.

– Jankesi – poprawił go Teofil.

– Jankesi to Amerykanie.

– To nie można tak od razu? Ja westerny to znam wszystkie i oglądałem *W samo południe*, jak cię jeszcze na świecie nie było, i wiem, że komboje piją łyski. No to ja te łyski od razu pomyślałem i chciałem wpisać, ale z tym W i z tym Y nie pasuje.

– Whisky – przeliterował Mariusz. – Tak się pisze po angielsku.

Zdumiony Teofil wpisał, pokręcił głową z niedowierzaniem i odłożył krzyżówkę na bok.

– Dziwny naród, zamiast po bożemu napisać, to coś tam wymyślają i potem męcz się, człowieku, z ich wodą na myszach. Na szczęście nie musimy tego pić, bo mamy wyborową.

– W tej sytuacji musimy jak najszybciej odnaleźć Brodziaka – stwierdził Mariusz, wracając myślami do rozmowy ze swoimi podwładnymi.

– A bo co on zrobił złego? – zainteresował się Teofil.

– Jeszcze nic – zaczął wyjaśniać Blacha, ale nie miał zamiaru wdawać się w szczegóły. – On teraz prowadzi śledztwo na własną rękę, już nie jako policjant, ale jak człowiek spoza firmy. I jeśli w coś

wdepnie, to będziemy mieć problem, żeby go z tego wyciągnąć. Więc zanim narobi sobie kłopotów, trzeba go znaleźć. Teofil, ty przecież wiesz najlepiej, jakimi drogami chodzi Miras.

Teoś wyprostował się na krześle. Bardzo lubił, gdy ktoś doceniał jego śledcze umiejętności.

– Ja o Brodziaku wiem wszystko. W końcu to pod moim okiem wyrósł na prawdziwego szkieła. Znajdziemy go, tylko dajcie mi auto z tym tu Mazurkiewiczem za szofera.

– Mazurkiem – poprawił go rzeczony.

– No przecie gadam, że z tobą, co nie?

Mazurek oczywiście nie miał nic przeciwko jeżdżeniu z Olkiewiczem po mieście. A Teofil z takiego obrotu spraw był bardzo zadowolony. Szukanie kumpla mogło trwać i trwać, więc nie trzeba było się wyliczać z czasu jeżdżenia. Można było gdzieś zaparkować i napić się wódeczki. Na przykład na Łazarzu z tamtejszym dzielnicowym.

Godzina 11.20

Na półce pod oknem stał niewielki telewizor podłączony do odtwarzacza wideo. Na ekranie przesuwały się szybko obrazy ze skąpo ubranymi panienkami wyginającymi się w rytm skocznej niemieckiej muzyki.

– Ten facet, co tu był u pana, to jakiś polski Niemiec? – zapytał Brodziak. Inżynier uśmiechnął się szeroko, ukazując pożółkłe od nikotyny zęby.

– Gość z Niemiec, ale po niemiecku nie myśli. A co, spodobał się panu jego kapelutek?

– W życiu bym takiego czegoś na głowę nie założył.

– Też się dziwię, że to nosi. Ale ludzie mają dziwaczne pomysły. Jak się go zobaczy w tym czymś na głowie, to z daleka widać, że to Szwab, nie? Zresztą u nas wszyscy wiedzą, że takie kapelusze nosili do czarnych płaszczy ci goście z gestapo. A to dzięki temu, że wiara lubi telewizję oglądać. I telewizja naród wychowuje. No to jak w tym filmie o kapitanie Klossie ubrali w czarne płaszcze i tyrolski kapelutek majora Hubala i jego kumpli, no to już wiadomo do dzisiaj, że tak wygląda najprawdziwszy Niemiec z Niemiec. A pan kapitan też dał się wziąć na to ubranie.

– Kupuje u pana auto?

– Nie, skąd. – Kierownik warsztatu machnął ręką. – U mnie żaden Niemiec kupować nie będzie, boby jeszcze mógł przypadkiem odkupić swoje, ha, ha!

– Czyli że mu się popsuło?

– Nie, chciał sprzedać swoje.

– Kupuje pan?

– Ale gdzie tam. Po co mi auto z Niemiec po cenie rynkowej, jak w takiej cenie sprzedają. A kupuję w cenie hurtowej, i to z nocnego sklepu. Pan rozumie? Więc moje auta, co do nas przyjeżdżają, kosztują jedną czwartą normalnej, a on by chciał za swoje tyle, co w komisie w Niemczech. Żaden interes.

– A jaki to model?

– A volkswagen transporter – powiedział szybko Waligóra. – Widział go pan tam na podjeździe? Całkiem ładne auto, ale nie zarobiłbym na nim. On, co prawda, mówił coś o zamianie, ale na cholerę mi zamiana. Bo chciał coś mniejszego, a tego w rozliczeniu. Tyle że ja nie potrzebuję.

– Dziwne, że facet przyjeżdża z Niemiec i chce się zamieniać na samochody – zauważył Brodziak. Gość w tyrolskim kapeluszu najwyraźniej go zaintrygował.

– On tu przyjechał na stałe. Znaczący wrócił z Niemiec do Polski. No i mówił, że miał za granicą firmę, dlatego jeździł mikrobusem. A tutaj potrzebuje osobowego samochodu, bo ma taką działalność...

– Rozumiem – Mirek pokiwał głową – ale ja w innej sprawie do pana przyjechałem.

– Tak, a o co się rozchodzi?

– O tego chłopaka, który przeżył tę masakrę, czyli tego z obciętym palcem.

– Co z nim? – zapytał inżynier, nalewając sobie do szklanki pepsi z dużej szklanej butelki. Gdy Mirek wszedł do biura, zaproponował mu szklankę, ale Brodziak podziękował, bo nie pijał napojów dla dzieci. Nie pił nawet najpopularniejszego polskiego drinka, czyli wódki z pepsi i plasterkiem cytryny, bo zdecydowanie wolał wódkę z niczym. A pepsi-cola według niego była napojem dla gówniarzy, tak jak oranżada czy polo cockta. Więc gdy potrzebował jakiegoś orzeźwiającego napoju, wybierał wodę albo sok pomidorowy. Waligóra nie miał soku, a woda w Poznaniu była tak brudna, że nie nadawała się do picia bez przegotowania.

– Chłopak zniknął.

– W jakim sensie?

– W takim, że go nie ma w domu. Wyszedł z mieszkania, bo chciał jechać do lekarza. Podobno coś mu się działo z tą raną niedobrego.

– Tak, paskudna ta rana. Jak przyszedł do nas, to go od razu opatrzyliśmy i nawet dostał zastrzyk przeciwțęzcowy...

– W jaki sposób do was trafił? Przecież musiał być po tym wszystkim w dość kiepskim stanie. Przyjechał tu?

– Nie mam dokładnie wiedzy, bo nie bardzo z nim się można było dogadać. Powiedział tylko, że ci faceci zabili jego kumpli...

– A mówił, jak wyglądali, czy coś konkretnego na ich temat?

– Powiedział tylko, że tamci nie żyją, ale był bardzo słaby. No więc odwieźliśmy go do domu i miałem z nim pogadać, jak dojdzie do siebie. No ale chyba nie zdążyłem. I tak dobrze, że w ogóle tu trafił. To znaczy, mówił, że go podwieźli gdzieś tu, w pobliże, i wyrzucili z auta. A on tu dotarł pieszo.

– Jechali volkswagenem transporterem?

– Tego nie powiedział. A skąd pan wie?

– Tak mi się skojarzyło. – Nie powiedział Waligórze, że o transporterze dowiedział się z policyjnej depechy. – Czyli że tamci mają wiedzę, gdzie jest pana... – przez chwilę zastanawiał się nad właściwym doborem słów – gdzie jest pana warsztat samochodowy?

– No niby tak, ale co mam zrobić? Ewakuować siebie, ludzi i samochody? Nic nie mogę zrobić, a oni przecież chyba tu nie przyjdą z giwerami i nie zastrzelą nas wszystkich.

– Pewnie ma pan rację – zgodził się z nim Mirek. – Ale oznacza to, że mają was dobrze rozpracowanych.

– Ja to rozumiem, ale nic z tym nie zrobię. Wszystko zależy od pana Rycha, to znaczy od tego, czy się z bandziorami dogada, czy nie.

– Jak ma się dogadać?

Inżynier zmarszczył brwi, jakby się poważnie zastanawiał nad tym pytaniem. Naraz podniósł palec wskazujący ku górze.

– Myślę, że trzeba by do nich kogoś wysłać i powiedzieć, że się chce negocjować albo pogadać na temat podziału rynku. Ale ja nie wiem, tak tylko mówię. – Nagle się zmitygował.

– Chce pan negocjować z mordercami? – zapytał zdumiony Brodziak. – I myśli pan, że Grubiński na to pójdzie?

– No nie wiem...

– To ja panu powiem, jak będzie to wyglądało. Rychu nigdy się nie zgodzi usiąść do stołu z gnojami, którzy zabili jego ludzi.

– Jego? To raczej moi ludzie. A poza tym to ja ich nawet nie znałem dobrze, tylko dla mnie wozili fury.

– Widać jednak, że pan nie zna Grubińskiego, inżynierze. Ci ludzie pracowali dla niego, więc ci, którzy ich zabili, w zasadzie powinni sobie już wykupić miejsca na Junikowie. Ale nie tylko oni, bo ci, co wydawali im polecenia, też nie mają szans. Z Rychem Grubińskim niczego się nie załatwi, stawiając go pod ścianą. A ci, co postanowili rozpocząć tę głupią grę, powinni najpierw się czegoś na jego temat dowiedzieć. Ale się nie dowiedzieli i popełnili błąd. Więcej błędów już nie popełnią. Nie będą mieli na to szansy.

– Bo co, zabijecie ich?

– Oni już nie żyją, panie inżynierze. Tylko jeszcze o tym nie wiedzą.

Mirek wstał z fotela i skłonił się lekko kierownikowi. Ten poderwał się zza biurka.

– Jakby chłopak się odezwał, niech pan natychmiast daje znać – poprosił Brodziak bez specjalnego przekonania. Już w zasadzie osiągnął to, co zamierzał. Wysłał przekaz, który być może dotrze do tych, do których powinien.

Zadowolony z siebie wyszedł z biura, przemierzył zastawiony samochodami dziedziniec warsztatu i wyszedł na ulicę. Białe bmw czekało zaparkowane przy chodniku. Podeszedł do samochodu, otworzył drzwi i wskoczył na siedzenie. Nie uruchamiał jednak silnika. Włączył radio i wcisnął do środka kasetę. Wnętrze samochodu wypełniły pierwsze takty *Sultans of swing* zespołu Dire Straits. Zapalił papierosa, wpatrzony w bramę zakładu naprawczego. Czekał, co się wydarzy. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Wewnątrz panował normalny ruch, pracownicy chodzili w tę i z powrotem, jakieś auto przejechało z jednej części placu manewrowego na drugą, chłopak z długimi włosami i słuchawkami na uszach wyszedł z hali naprawczej i zapalił papierosa. Po dziesięciu minutach z bramy wyjechał powoli popielaty mercedes. Mirek parkował na tyle blisko od wyjazdu, że mógł bez trudu dojrzeć twarz kierowcy. To był inżynier. Jego auto wyjechało na brukowaną ulicę i ruszyło w lewo. Brodziak wyrzucił przez okno niedopałek, włączył silnik i ruszył za nim. Oba auta po chwili znalazły się na ulicy Dąbrowskiego, podążając w kierunku centrum.

Godzina 13.20

Kryspin Obrębski ze zdumieniem, ale i z pewną nutą przerażenia patrzył na lufę pistoletu, która niebezpiecznie zbliżała się do jego oka. Przeszło mu nawet przez myśl, że nigdy wcześniej z takiej bliskości nie zaglądał w ten czarny otwór. Nie, no może kiedyś i patrzył do środka podczas czyszczenia swojej tetetki. Ale wtedy robił to bezpiecznie, bo pistolet był rozłożony na części, a lufa wypolerowana do czysta. A tu był do niej przyczepiony cały gnat, i to jeszcze odbezpieczony, w dodatku najpewniej z magazynkiem wypełnionym po brzegi nabojami.

– No to gadaj, kurwo! Gdzie jest ten karton? – powiedział łysy facet ubrany w skórzaną kurtkę i kreszowe spodnie. W ręce trzymał amerykańskiego colta. Był jeszcze jeden, którego świszczący oddech słyszał za swoimi plecami, ale jego właściciela nie widział.

– Jaki karton? – Dzielnicowy nerwowo rozejrzał się dookoła. Wokół niego pod każdą ścianą tego dość dużego pokoju pełno było paczek z elektroniką. Mogli sobie znaleźć każde pudło, jakie im się tylko podoba, ale oni szukali chyba jakiegoś konkretnego. – Ja zasadniczo to nie wiem, gdzie jest karton jakiś, bo dopiero tu przyszedłem – wytłumaczył, ale chyba nie usatysfakcjonowało to tego faceta z pistoletem w dłoni. Wbił lufę mocniej w oko Obrębskiego, aż ten jęknął z bólu, ale nic nie mógł zrobić, bo głowy już dalej cofnąć się nie dało. Oparcie starego krzesła było zaraz za potylicą, więc ten pistolet go całkowicie unieruchomił.

– Gadaj, kurwo, gdzie jest karton? – Łysy facet najwyraźniej nie miał zbyt szerokiego zasobu słów. Co gorsza, raczej nie zamierzał uwierzyć w jego wyjaśnienie. Trzeba było więc przemówić mu do rozsądku rzeczowymi argumentami.

– Panowie, ja nie wiem. Tu byli ci z wojewódzkiej. Oni nas nie wprowadzają w swoje sprawy. Tylko przyjeżdżają i robią swoje, a nam każą zabezpieczać teren.

– I ty zabezpieczasz? – wysapał gość za jego plecami.

– No właśnie. Ja tu jestem na zabezpieczeniu terenu.

– To czemu, jak zabezpieczasz, żeby nic nie zginęło, nie zabezpieczyłeś, bo zginęło? – chciał wiedzieć łysy.

– No jak nie zabezpieczyłem? Przecież przyszedłem zabezpieczać.

– To czemu zginął karton? – Stojący za nim pociągnął go za ucho.

– Jaki karton?

– Tu stał, taki czerwony z wideo w środku. A wideo się nazywało Panasonic – wyjaśnił łysy.

Dzielnicowy zmrużył oczy, jakby sobie chciał coś przypomnieć, choć tak naprawdę nie musiał mrużyć ani sobie niczego przypominać. Dobrze wiedział, gdzie jest karton, o którym mówił ten gość. Przecież to wideo, którego szukali ci bandyci, to było to zabrane przez Teofila. Tylko na cholere im akurat taki sprzęt? Może to był jakiś specjalny odtwarzacz. Najnowszy model albo cholera wie co. Że też go podkusiło i akurat wskazał Teosiowi to pudło. Przecież tu jest dwadzieścia innych magnetowidów, jak nie więcej, a teraz ten goryl z pistoletem szuka akuratnie tego jednego.

– Weź no mu odstrzel kolano, to se przypomni – powiedział głos za nim. I wtedy dzielnicowy zdał sobie sprawę, że to chodzi o jego kolano, ponieważ lufa pistoletu odsunęła się od oka i zjechała w dół.

– Nie, panowie! Ja jestem całkowicie niewinny. Nic nie zrobiłem i nic nie wiem. To trzeba się pytać tych, co tu napadli na ten magazyn – wytrajkotał Obrębski, ale naraz zrozumiał, że kłamstwo może mieć krótkie nogi. Szczególnie gdy ktoś mierzy do kłamacy z colta kaliber dziewięć milimetrów. Przecież taki strzał mógłby mu oderwać girę na stałe i pozbawić jej do końca życia. I było to całkiem prawdopodobne w obliczu faktu, że tym, który kazał mu odstrzelić tę bardzo ważną część ciała, był właściciel mieszkania Matyjasik Karol.

– A to ty nie siedzisz na Młyńskiej? – zdumiał się policjant, gdy facet, który według jego najlepszej wiedzy powinien siedzieć zamknięty w celi, stanął naprzeciw niego, trzymając się pod boki. Cały czas ciężko oddychał, jakby przed chwilą zakończył bieg.

– No widzisz pan, panie dzielnicowy, że w tym kraju jeszcze sprawiedliwość obowiązuje. Myśleliście, że zamkniecie mnie za

narkotyki, a tu dupa zimna. Nic z tego nie wyszło. Okazało się, że tabletki, co żeście je u mnie zatrzymali, są, tak jak powiadałem, lekarstwem, które można kupić w każdej aptece. Bo u nas, w Polsce Ludowej, amfetamina nie jest zakazana, ale nawet wskazana. Wszyscy studenci biorą to gównem, jak się chcą uczyć po nocach, a i nawet niektórzy milicjanci czy wojskowi, jak długo pracują, też se mogą to kupić i brać, żeby nie spać. I wiesz pan, co prokurator mi powiedział?

Zdezorientowany Obrębski pokręcił szybko głową.

– Pan prokurator powiedział, że żyjemy w praworządym kraju i w związku z tym nie będzie wsadzał do pierdła człowieka, który miał w domu pół kilo pastylek bez recepty. I jedyne, co mi zrobi, to zarekwiruje towar, a mnie wypuści, bo szkodliwość społeczna mojego uczynku jest mała.

– Ale co mnie to interesuje, panie Matyjasik?

– Ano tyle to powinno zainteresować szanownego pana władzę, że żeś pan wlaź jak dzika świnia wew szkodę i towar, co tu był, wyprzedal ludziom. Na szczęście się o tym dowiedziałem zaraz po wyjściu, żeś pan u mnie sklep handlowy urządził, poszedłem zgłosić do właścicieli towaru, co tu się wydarzyło, i jak widać, jesteście. I to w odpowiednim momencie żeśmy szanownego dzielnicowego zastali.

– To czyj jest ten towar? – Zdumiony Obrębski wskazał głową kartony.

– Nie mój – stwierdził Matyjasik. – Ja jego tylko pilnuję i przechowuję... dla moich znajomych.

– Towar jest nasz, kurwo! Żebyś wiedział, że towar jest Młodych Lwów!

– Kogo?

– Młode Lwy to poważni ludzie – stwierdził Matyjasik – z nimi niebezpiecznie jest mieć kosę. Dlatego albo pan nam powiesz, gdzie jest to czerwone wideo, albo zacznij se pan już szukać protezy prawej giry. A sklep z protezami, jakby co, to jest na Gabarach. Tam sztucznego kulasa se pan obstaluj.

– Nie, nie strzelajcie mi w nogę. Wszystko powiem! – Zrezygnowany Obrębski doszedł do wniosku, że jest na całkowicie przegranej pozycji i nie ma innego wyjścia. Musiał wydać Teofila, bo choć to stary kumpel, to jednak był mniej cenny niż jego własne kolano, bez którego nie wyobrażał sobie życia.

– Czyli że co? – ponaglił go Matyjasik.

– No to, że ten czerwony karton to zabrał kolega Olkiewicz Teofil z komendy wojewódzkiej, zamieszkały przy ulicy Chwiałkowskiego...

– No dobra, to odstrzel mu tą girę, żeby wiedział na przyszłość, że się po cudze ręki nie wyciąga. – Gospodarz spojrział na łysego kompana i wskazał nogę policjanta. Facet był najwyraźniej od roboty, a nie od analizy poleceń, bo nie czekając na dalsze instrukcje, pociągnął za spust. Huk wystrzału wypełnił pokój i poniósł się przez otwarte okno ku górze, odbijany przez ściany okalające podwórko. Z dachu oficyny zerwało się stado dzikich gołębi. W ślad za nimi poleciał rozdzierający krzyk Obrębskiego, który był z bólu jak ranny łoś. Wtem jego krzyk zagłuszony został przez kolejny strzał, a potem jeszcze dwa.

– Kładź się, kładź na podłogę, gnoju! – zawołał ktoś rozkazująco.

– Rzuć ten pistolet, kurwa! – zawtórował mu inny, młodszy głos.

– No dalej, leżeć i się nie ruszać, bo łeb ci odstrzelę, psi chuju! – poleciał ten starszy, zdawać by się mogło, poważniejszy, choć cała powaga zniknęła, gdy dodał jeszcze coś: – O w mordę, magazynek mi wyleciał.

- Ha, ha, jebańcy, mam was! - ryknął właściciel mieszkania Matyjasik, który jeszcze przed chwilą był przekonany, że to jego ostatnie chwile, kiedy to w drzwiach jego mieszkania znów pojawili się ci dwaj policjanci. Ten mniejszy i starszy, z fryzurą na zaczeskę przykrywającą wstydliwie łyse czoło, niemal od razu wystrzelił do jego kolegi, stojącego z jeszcze dymiącym rewolwerem nad zwijającym się z bólu dzielnicowym. Widać zorientował się, w czym rzecz, i natychmiast bez zbędnych kalkulacji strzelił dwa razy. Jego kumpel za to był krócej kąpany w gorącej wodzie, bo za dużo się zastanawiał. Zamiast strzelać do Matyjasika, podszedł do niego z pistoletem w dłoni. Handlarz nie miał zamiaru czekać na rozwój wydarzeń. Podbił uzbrojoną rękę kantem dłoni i pistolet wypadł na podłogę. Schylił się i błyskawicznie go podniósł. W tym momencie niski milicjant wycelował w niego i już chciał pociągnąć za spust, ale magazynek wypadł mu na podłogę. Matyjasik dostrzegł niepowtarzalną szansę, zaśmiał się, a potem wycelował w mniejszego i strzelił. Kula nie dosięgnęła policjanta, który akurat w tym momencie pochylił się, by podnieść magazynek. Droga ucieczki była wolna. Nie było co czekać, aż ten łysy poradzi sobie ze swoją tetetką. Pochylnego nad podłogą Matyjasik kopnął w twarz, przewracając go na plecy, po czym ruszył w kierunku szeroko otwartych drzwi. Już poczuł na twarzy przeciąg z korytarza niosący piwniczny zapach zgniłych ziemniaków, kocich szczyń i zatęchłych szmat. Na prawo były drzwi do kuchni, jak zwykle otwarte na oścież. Nawet tam nie spojrzał i to był błąd. Uzbrojony w pogrzebacz młody policjant wyskoczył z pomieszczenia i z przeraźliwym okrzykiem, godnym najlepszego filmu karate z Bruce'em Lee, przywalił mu stalowym prętem w głowę. Ostatnią rzeczą, którą zarejestrował gasnący umysł handlarza i oszusta w jednym, był wybuch gwiazdy

supernowej, choć nie ma pewności, że Matyjasik potrafiłby nazwać właściwie to astronomiczne zjawisko.

Rozdział VII

Godzina 13.50

Białe bmw zatrzymało się na placu Wolności. Mirek zaparkował na pasie ruchu, blokując kilka samochodów stojących prostopadle do osi jezdni. Nie miał czasu szukać wolnego miejsca. Zresztą tu, pod wydziałem paszportowym mieszczącym się na parterze Komendy Miejskiej Policji, znalezienie wolnego skrawka do parkowania graniczyło niemal z cudem. Ale inżynierowi pół minuty temu się udało. Wykorzystał moment, kiedy z rzędu aut wyjechał kierowca wiśniowego poloneza.

Zamknawszy drzwi, Waligóra poszedł do paszportówki, nie rozglądając się zbyt uważnie. Na białą beemkę i siedzącego za kierownicą Mirka nie zwrócił uwagi, pochłonięty własnymi sprawami. Nie przypuszczał nawet, by ktoś go mógł śledzić. Brodziak ruszył za nim, bo rozmowa, którą udało mu się podsłuchać, była zastanawiająca. Nie, jeszcze nie skierował swoich podejrzeń w stronę mechanika. Ale postanowił go sprawdzić. Dlatego powiedział mu, że żaden człowiek, który w tak brutalny sposób wszedł w drogę Grubińskiemu, nie może się czuć bezpieczny. Ciekaw był jego reakcji, ale z miny Waligóry niewiele dało się wyczytać. Jednak reakcja nastąpiła po chwili, kiedy to kierownik wszedł do samochodu w wyraźnym pośpiechu i ruszył do miasta.

Teraz mechanik stał przed wejściem, tłumacząc coś ludziom czekającym w kolejce. Wskazywał drzwi wiodące do urzędu, ale chyba nie miał dobrze rozwiniętego daru przekonywania, bo ludzie

najwyraźniej nie chcieli go wpuścić. Kolejka miała swoje prawa i nie tolerowała cwaniaków, którzy próbowali wchodzić pod pretekstem zadania szybkiego pytania pracownikom wydziału. Kombinatorstwa nie tolerowano i mało kto dawał się przekonać, że chce się tylko coś tam sprawdzić. Mirek z zainteresowaniem patrzył na zabiegi Waligóry. Jakiś wysoki gość tuż przy drzwiach, który już odstał swoje na ulicy i zapewne za chwilę miał wejść do biura, pchnął natręta w ramię, tak że ten odsunął się do tyłu. Wszystko wskazywało na to, że to pchnięcie jest pierwszym krokiem do awantury. Waligóra chyba nie zamierzał odpuścić...

Ktoś zapukał w boczną szybę. Mirek spojrział w lewo. Na ulicy stał policjant. Otworzył więc okno na tyle, żeby usłyszeć, czego chce funkcjonariusz, a jednocześnie, żeby nie wpuszczać do środka zbyt dużo zimnego powietrza.

– Obywatelu, tu nie można stać – upomniał go starszy posterunkowy o czerwonej, zziębniętej twarzy. Mirek już miał mu powiedzieć, żeby się odpieprzył i nie przeszkadzał, gdy naraz przyszło mu coś do głowy. Wydobył szybko z kieszeni swoją policyjną blachę, nazywaną przez policjantów trumienką, i pokazał ją chłopakowi.

– Komisarz Brodziak z wojewódzkiej. Słuchajcie, posterunkowy, ja tu się nie opalam, tylko muszę tu parkować w ramach wykonywanego zadania. Zrozumieliście?

Na twarzy młodego policjanta wyraz zdumienia szybko zmienił się w całkowitą aprobatę.

– No jasne, panie komisarzu.

– Pomożecie mi, posterunkowy?

– No jasne. Znaczy się, tak jest.

– Widzicie tego gościa w granatowej kurtce? – Wskazał głową wejście do paszportówki i gestykującego Waligórę.

– No.

– Idźcie tam i zapytajcie, o co się rozchodzi. On wam pewnie powie, że musi wejść do środka i takie tam pierdoły.

– Jasne. Tu ciągle się wpychają cwaniaki. Mam go pogonić?

– Nie, macie mu pomóc wejść i idźcie tam z nim. Niech przy was zrobi to, co tam planował. Tak jakbyście chcieli sprawdzić, czy was nie zrobił w konia.

– Rozumie się. Już idę.

– A, i jak już to zrobi, to przyjdźcie mi powiedzieć, co i jak. A jakby mnie już nie było, napiszcie wszystko na kartce i zostawcie na dyżurce w komendzie z adnotacją „dla komisarza Brodziaka”.

– Tak jest – potwierdził chłopak i poszedł w kierunku wejścia do paszportówki. Mirek przyglądał się uważnie scenie, w której policjant przeprowadził szybką rozmowę z Waligórą. Ten zaczął mu coś tłumaczyć, cały czas machając rękoma i pokazując drzwi. Funkcjonariusz pokiwał głową ze zrozumieniem, a potem odsunął tego wielkoluda, który tarasował przejście. Mechanik i policjant weszli do środka. Przez chwilę nic się nie działo. Mirek patrzył na drzwi i ludzi, którzy najwyraźniej zbulwersowani całą sytuacją komentowali tę dziwną policyjną interwencję. Musiała ona wywrzeć na wszystkich duże wrażenie, bo policja z reguły utrudniała życie ludziom, a nie pomagała w sprawach kolejkowych. Gdyby faceta, który chciał się wepchać, aresztowano, nikt by się nawet nie zdziwił, ale żeby umożliwić mu wejście bez kolejki, to było coś.

Drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich jakaś kobieta. Wielki facet ją minął i wszedł do środka. Kolejka zafalowała i przesunęła się o jedno miejsce. Znow otworzyły się drzwi. Brodziak dostrzegł

policjanta, który spojrzał za siebie. Za nim kroczył inżynier, a potem Mirek dojrzał grubego faceta w zielonym kapeluszu. Obaj wyglądali na zmartwionych. Za to zadowolony był policjant. Podeszedł szybko do bmw i nachylił się do otwartego okna.

– Melduję, panie komisarzu, że ten w niebieskim chciał wejść, żeby powiedzieć swojemu szwagrowi, co stał w kolejce o przedłużenie paszportu, że jego żona właśnie zmarła i musiał mu jak najszybciej powiedzieć, i dlatego tam chciał wejść, a wiara nie chciała mu dać wiary. No ale się udało.

– Szkoda, że nie powiedziałem wam, żebyście wylegitymowali ich obu.

– Nie trzeba było mówić. Nasz szef, podkomisarz Ludwisiak, mówi, że zawsze trzeba legitymować i spisywać, tak na wszelki wypadek, bo nigdy nie wiadomo, kiedy to się może przydać. Znaczący się wylegitymowałem i zapisałem obydwóch. – Powiedziawszy to, wyciągnął z kieszeni notes i wydarł z niego kartę, którą podał Brodziakowi.

– Dziękuję, posterunkowy. Dobra robota. – Brodziak rzucił okiem na dane, położył kartkę na siedzeniu pasażera i wskazał palcem na chłopaka. – Jak się nazywacie?

– Starszy posterunkowy Zawieja.

– Dzięki, zapamiętam.

Zawieja wyprostował się, dumny z pochwały. Brodziak odpalił silnik. Szary mercedes właśnie wyjeżdżał na ulicę.

– Zadzwoń do waszego szefa, żeby was pochwalić – zapowiedział jeszcze i wrzucił jedynekę. Auto ruszyło, podążając za mercedesem. W środku siedział inżynier i ten drugi gestapowiec. Tak go w myślach przeważał Mirek. Miał na kartce zapisane jego nazwisko, ale przeczytał je i od razu zapomniał. Nic kompletnie mu nie

mówiło, a gestapowski kapelusz tak go ucieszył swoją nieoczywistością i egzotyką, że skojarzenie z kapitanem Klossem wydało mu się bardzo trafne, ale i dość zabawne.

Mercedes przejechał trzysta metrów i zatrzymał się na parkingu, na wprost wejścia do Banku Ziemskiego należącego do Rycha. Mirek zjechał na chodnik. Inżynier wyskoczył z samochodu i pobiegł do budynku. W tym czasie ten w kapeluszu też wysiadł i ruszył w kierunku kiosku Ruchu. Przez chwilę stał przy okienku, rozmawiając ze sprzedawcą. W końcu sięgnął do kieszeni, wyjął pieniądze i zapłacił. Wziął do ręki gazetę, którą włożył sobie pod pachę, i zabrał się zaraz do rozrywania opakowania marlboro. Zapalił i z papierosem w ustach zrobił kilka kroków, by stanąć dokładnie na wprost drzwi wiodących do banku. Przez moment przyglądał się kamienicy jak wielbiciel secesji, który ma przed sobą szczególnie piękny obiekt. Ale kamienica należąca do banku nie była architektoniczną perłą. Owszem, ładna i ciekawie skonstruowana fasada, ale żadne tam wiedeńskie cuda.

Po chwili wyciągnął spod pachy gazetę, rozłożył ją i zaczął pilnie przeglądać zawartość. Mirek uśmiechnął się pod wąsem. To obserwowanie banku zza gazetowej płachty było tak dziecinne, że aż śmieszne. Numer ze szpiegowskich komedii w wykonaniu faceta w tyrolskim kapeluszu sprawiał groteskowe wrażenie. Zrozumiał, że ma do czynienia z dyletantem, ale jedno było pewne, facet mimo swojej nieporadności obserwował bank.

Gdy mężczyzna dostrzegł wracającego inżyniera, złożył gazetę, wepchnął ją do kieszeni kurtki, niedopałek papierosa rzucił na chodnik, rozdeptał go obcasem, po czym podszedł do auta i wszedł do środka. Mercedes ruszył. Mirek też odpalił silnik. Oba samochody skręciły w Ratajczaka, objechały plac Cyryła i podążyły w dół ulicą Libelta. Dwie minuty później mercedes zatrzymał się obok

trzy piętrowego bloku na Kościuszki. Obaj mężczyźni wysiedli z samochodu i ruszyli w kierunku drzwi wiodących do klatki schodowej. Stróż zamiatający chodnik przed drzwiami uniósł rękę i pozdrowił tego wielkiego, przykładając palec do daszka czapeczki. Coraz popularniejsze się robią u nas bejsbolówki, pomyślał Brodziak, obserwując dwóch facetów znikających w środku. Spojrzał jeszcze raz na drzwi i numer domu i naraz uświadomił sobie, że zna to wejście. Był tu kilka razy, co prawda najczęściej wieczorem, ale to były te same odrapane drzwi pomalowane łuszczącą się ze starości olejnicą. W tej klatce schodowej na drugim piętrze mieszkał Blacha. Czyżby szli go odwiedzić?

Nie, to przecież niemożliwe. Co Blaszkowski miałby mieć wspólnego z tymi facetami? Przecież on nigdy nie był w warsztacie Rycha, więc nie było najmniejszej możliwości, żeby znał się z inżynierem Waligórą. To znaczy, że ci dwaj przyszli tu zupełnie przypadkowo... Ale doświadczenie lat pracy śledczej przecież mówiło mu jasno i wyraźnie, że jeśli dzieje się w śledztwie coś takiego, co można by nazwać przypadkowym zajściem, najczęściej przypadkiem nie jest. Blacha miałby być w coś umoczony? Nie, to przecież niemożliwe. Ten chłopak był zawsze wzorem cnót i prawości, a teraz... Niemożliwe, nie mogę popadać w paranoję, Brodziak zganił sam siebie. Blacha jest poza podejrzeniami.

Naraz go dostrzegł. Szedł chodnikiem, lekko się pochylając, skupiony na tym, co mówiła do niego blondynka w okularach, ubrana w czerwony płaszczyk. Uśmiechnięta kobieta coś mu tłumaczyła, a on słuchał uważnie, spoglądając na nią, jakby się bał uronić słowa z jej opowieści. W rękach miał kilka kolorowych reklamówek wypchanych zakupami. Ona miała jedną siatkę, a przez ramię przewieszoną białą torebkę. Rajstopy też miała białe. Była biało-czerwona jak bocian, ale na odwrót, pomyślał Brodziak i naraz

sobie przypomniał. Tak, znał ją, to była ta prokuratorka z Opalenicy czy z Nowego Tomysła, którą poznał w zeszłym roku. Tylko co ona tu robi? Wyglądają jak starzy znajomi.

Blacha i Bocian podeszli do drzwi klatki schodowej. Ciec ukłonił się i pozdrowił oboje salutem do daszka czapeczki. Coś powiedział do Mariusza. Ten się zatrzymał, odpowiedział i zaraz spojrział w górę ku oknom swojego mieszkania, jakby się miał stamtąd ktoś wychylić. Ale nikogo nie było widać. Dozorca otworzył im drzwi, a oni weszli do środka. Mirek przez chwilę patrzył w ślad za nimi, zastanawiając się, co to wszystko znaczy. Zapalił papierosa, opuścił szybę, by móc strzepywać popiół, i wtedy go zobaczył. Wcześniej nie przyglądał się specjalnie autom stojącym po przeciwnej stronie ulicy, choć ten wóz powinien od razu ściągnąć jego uwagę. Jakies trzydzieści metrów dalej stał zielony volkswagen transporter.

– Kurwa mać! – warknął, zaciskając mocno szczęki. – Co tu się odpierdala? – zapytał sam siebie, ale nie znalazł odpowiedzi na to pytanie. Potem wziął do ręki kartkę, która leżała na siedzeniu obok. Odczytał zapisane przez panią Chwaliszkową równym, kaligraficznym pismem litery i cyfry AB 0624R. Były identyczne z tymi na mikrobusie. Chwycił też drugi świstek, który dał mu posterunkowy pod wydziałem paszportowym. – Kto pan jesteś, panie Oskarze Łabędzki? – Mirek pokręcił bezradnie głową. – I co cię łączy z moim kolegą Blaszkowskim i jego dziewczyną, panią prokurator Bocian, na której terenie rozstrzelano dwóch ludzi Rycha?

Godzina 14.30

Olkiewicz przyniósł flaszkę wódki z kuchni, otworzył ją, upił solidny łyk, a potem nalał pół szklanki.

– W zasadzie to powinienem ci to kolano zdenazyfikować, ale lepiej będzie, jak se golniesz, żeby cię tak nie bolało. No masz, pij!

– Już nigdy nie będę chodził! – jęknął dzielnicowy Kryspin Obrębski. Leżał na tapczanie z nogą fachowo obwiązaną paskiem od własnych spodni. Tę opaskę zrobił mu Mazurek, który się pochwalił, że był na kursach pierwszej pomocy. Olkiewicz nie bardzo wierzył w te jego medyczne umiejętności, ale sam nie miał pojęcia, jak opatrywać rany. Zdał się więc na sierżanta.

– Uczyli nas, że jak jest rana postrzałowa, to znaczy się, że jakieś tam naczynia w środku mogą być uszkodzone, to należy zdjąć pasek od spodni i powyżej rany zacisnąć i tyle – wytłumaczył ratownik Mazurek i tak właśnie zrobił.

Za to Teofil postanowił inaczej pomóc rannemu koledze. W kuchennej szafce znalazł całą baterię flaszek wódki i jedną natychmiast wziął w celach leczniczych.

– A niby czemu to masz nie chodzić? – Olkiewicz popatrzył na Obrębskiego spojrzeniem litościwym, jakim patrzy się na ludzi niespełna rozumu albo takich, co to w malignie opowiadają niestworzone brednie.

– No jak czemu? Nie widzisz, że odstrzelili kolano? Bez kolana się chodzić nie da. Albo się da, ino że gira będzie sztywna do końca życia. A wiesz ty, co to znaczy?

– No że będzie sztywna do końca życia – potwierdził Olkiewicz.

– No widzisz, zgadzasz się ze mną. Czyli że nie będę mógł już rowerem pojechać albo na obchód wyjść ani nawet w pościg za złodziejem się rzucić. Nic już ze mnie nie będzie. Pójdę na rentę inwalidzką i będę jeździł na wózku.

– Najsampierw wypij se, żeby cię nie bolało. – Teoś podał mu szklanekę, a Obrębski wypił jednym haustem. – I co, lepiej?

- Lepiej, ale nie będę chodził...
- A pamiętasz starego Wieczorka, co to jednej giry nie miał i na wózku zasuwiał?
- No pamiętam, tego zez Chwaliszewa.
- Tego starego pierdziela, co to po pijaku wleciał pod bimbę i ta mu girę równiutko jak piła ucięła.
- No ale co to ma wspólnego...
- A ty pamiętasz, jak mu zrobili sztucznego kulasa?
- No pamiętam, ale co...
- I co on z tą girą wyprawiał?
- Ale że niby...
- A co wyprawiał? – zainteresował się Mazurek, który siedział przy stole i zaglądał do kartonu z radiomagnetofonem. Znalazł sobie podobne radyjko jak Teofil i postanowił się nim zaopiekować, bo skoro już tu był, to takie urządzenie mu się zwyczajnie należało za ciężką pracę.
- Ten Wieczorek wchodził do knajpy, siadał przy stoliku, gdzie piło nieznanym towarzystwo, patrzył się na jakiegoś gościa i mówił, że może się założyć, o co ten gość chce, że on, Wieczorek Wincenty, może zrobić coś, czego nikt w tej knajpie nie potrafi. No to taki gość pytał, co on takiego umie zrobić, a on na to, że umie prawą nogą podrapać się za lewym uchem. Wiadomo, że nikt w takie bzdury nie uwierzył, bo tego nogą się nie da zrobić, chyba że ktoś jest człowiek guma. I się zakładali, najczęściej o pół litra albo litra nawet, bo wiadomo, że ludzie są ciekawe i lubią patrzeć na takich popaprańców, co się za flaszkę gotowi wygiąć jak struna z fortepianu Calisia. I ten Wieczorek, jak już zakład był przyklepany, najspokojniej w świecie siadał na krześle na środku sali, wiara cichła

i wszyscy się na niego patrzyli, a on najspokojniej odkręcał se tą sztuczną girę, a potem drapał się nią za uchem. Wiara śmiała się tak, że im bebzole mało nie popękały z uciechy, a tylko tym, co się założyli, do śmiechu nie było. Ale zakład to zakład i nic nie poradzisz, bo Wieczorek zrobił to, co zapowiedział, i flaszkę trzeba było stawiać.

– Dobrze to, ale na dłuższą metę się nie obroni – zawyrokował Mazurek.

– A niby czemu? – zapytał Olkiewicz.

– Bo nie da się numeru ciągle powtarzać. W końcu wszyscy będą go znać i nikt się nie da nabrać.

– I tu się mylisz. Bo Wieczorek robił swój pokaz w różnych knajpach i zawsze podchodził do takich gości, których nie znał.

– A co mnie obchodzi Wieczorek! – krzyknął z wyrzutem Obrębski.

– No jak co? Jak ci tą girę amputują, to ci wyrzucą nową z plastiku i będziesz se mógł ją zdejmować jak Wieczorek i drapać się i za uchem.

– O ja cię chromolę, jak mnie to napierdala. Kolano zgruchotane do amputacji...

– Kolano nie – zaprzeczył Mazurek, kręcąc głową i jednocześnie pokrętem do ustawiania fal radiowych. – Kolano całe. Ten lebiega spudłował. – Wskazał na łysego gościa z dziurą w głowie, leżącego na podłodze. – Gdyby strzelał tak dobrze jak pan komisarz Olkiewicz, to nie byłoby co zbierać z tej twojej nogi. Ale ten cymbał wycelował tak, że kula rozdarła tylko skórę z boku. Rana za miesiąc będzie zaleczona i wtedy...

– Szkoda – zmartwił się Teofil. – Już myślałem, że zobaczę, jak se odkręcasz girę...

– Kolano całe? – Zdumiony Obrębski spojrział na swoją nogę, ale niczego nie zobaczył, bo ranę zasłaniał mu opatrunek sporządzony przez Mazurka z ręcznika i kawałka prześcieradła.

– Masz, bracie, szczęście – rzucił Teoś. – A tak w ogóle to ja tego tu wcale nie chciałem zastrzelić. Samo tak jakoś wyszło – dodał, spoglądając na trupa. Nie lubił widoku nieboszczyków, bo jego własna babcia powiedziała mu kiedyś, że taki nieżywy może rzucić na człowieka urok swoim złym spojrzeniem.

– Wszystko widziałem, jak pan komisarz bez celowania go zgasił prosto w łeb! – pochwalił umiejętności strzeleckie Teofila sierżant, który był pod ich autentycznym wrażeniem. – Jeden strzał i proszę, łachudra leży z dziurą w głowie. Tak to jest, jak się ktoś niebezpiecznie bawi...

– Nie, ja chciałem obok, ino żeby nastraszyć...

– Świetny strzał, panie komisarzu!

– To moje kolano jest całe? – Obrębski cały czas nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. – Jak całe, to... Teofil, nalej no jeszcze. – Podsunął szklankę Olkiewiczowi. Ten nalał wódki i dopił resztkę wprost z flaszki.

Przez uchylone okno usłyszeli sygnał karetki.

– O, chłopaki już jadą – ucieszył się Olkiewicz. – Znaczą się wszyscy wiecie, co macie mówić? – Spojrział na Mazurka, a potem na Obrębskiego. Obaj pokiwali głowami. – A ten drugi, jak mu tam... – Teofil nie miał pamięci do nazwisk. – On się nazywa...

– Matyjasik Karol – przypomniał mu dzielnicowy.

– No właśnie, Matysiak, to co z tym Matysiakiem, znaczy się nie ucieknie?

– Spokojna głowa, panie komisarzu – uspokoił go Mazurek. – Leży związany jak baleron u sąsiadki naprzeciwko. Pozwoliła go przechować, jak długo będzie trzeba. Za nowy telewizor to ona by i nawet Najmrodzkiego¹⁴ schowała.

– No to ciebie, Kryspin, weznę do szpitala, ale przed tym powiedz mi, o co się im tak naprawdę rozchodziło, znaczy się temu, co tu leży z wentylacją czaszki na podłodze. – Wskazał palcem nieboszczyka, którego sam pozbawił przypadkowo życia.

– Oni szukali twojego wideo.

– Jak to mojego?

– No normalnie, wpadli tu, bo tego Matyjasika zwolnili z pierdła i on zaraz wrócił do chaty z obstawą, bo się od złych ludzi dowiedział, że ja tu jego towaru pilnuję. I jak wpadli, to od razu zaczęli tego czerwonego kartonu szukać, ale nie znaleźli, to do mnie z ryjem, gdzie jest. Alem im nic nie powiedział, że to ty wzięłeś. Znaczy, że żeś chyba najlepsze wideo wybrał z tego całego magazynu.

– Moje wideo chcieli? A to skurwysyny jedne...

– Ludzie to nic nie uszanują – odezwał się Mazurek. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale rozległo się pukanie do drzwi. Poszedł więc otworzyć. Wpuścił do środka dwóch sanitariuszy z noszami i doktora.

– Co tu się stało? – zapytał rzeczowo wysoki i szczupły lekarz w okularach zsuniętych na czubek nosa.

– Nic nadzwyczajnego – stwierdził Mazurek, puszczając go przodem. – Akcja policyjna, co się skończyła strzelaniną. Nasz

kolega jest ranny. – Wskazał na tapczan. Obrębski na widok lekarza uniósł się na łokciu. Olkiewicz, który siedział dotąd w nogach przyjaciela, podniósł się i odstawił flaszkę na stół.

– Trzeba było go znieczulić – wyjaśnił, wskazując butelkę. O tym, że i siebie przy okazji też znieczulił, już nie wspomniał. Ta informacja do niczego nie przydałaby się przecież lekarzowi.

– Doktorze, a tu mamy sztywnego – powiedział jeden z sanitariuszy, pochylając się nad zwłokami łysego faceta. – Fachowa robota – stwierdził. – Kula prosto w czoło weszła. Ani zipnął.

– Pan komisarz to strzela jak Robin Hood. Jabłko by z głowy zestrzelił – podkreślił z dumą Mazurek.

– Jabłko to zestrzelił Wilhelm Tell – poprawił go lekarz, sadowiąc się obok dzielnicowego na tapczanie. – Ale on strzelał z kuszy. – Odkrył ręcznik, a potem popatrzył na opaskę zaciskową.

– Ja to chciałem mu w rękę, żeby pistolet wytrącić, ale nie wyszło... – tłumaczył Olkiewicz.

– Jak Wokulski – przypomniało się lekarzowi. – On wtedy baronowi Krzeszowskiemu trafił w zamek od pistoletu, a zamek wybił baronowi zęb.

– Widziałem w telewizji – potwierdził Mazurek.

– Całe szczęście, że mi nie w zęba strzelili, ale w girę – ucieszył się dzielnicowy, który odzyskał już dobry humor po tym, jak okazało się, że jednak nie będzie musiał zarabiać na życie, urządzając pokazy po knajpach. Od razu świat wydał mu się piękniejszy, a i rana jakby zaczęła nieco mniej boleć.

– Masz pan szczęście, bo kula przeszła w zasadzie po skórze. Opaska uciskowa niepotrzebna, bo żadne naczynie raczej nie zostało

uszkodzone. A jakby trochę w lewo, to szkoda gadać. Mogłoby być już po kolanie i do końca życia byś pan ze sztywną nogą chodził.

– Alboby mu ucięli – nie omieszkał dodać Teofil.

– No dobra, panowie. – Lekarz przywołał sanitariuszy, którzy rozsiedli się na krzesłach przy stole, paląc papierosy. – Bierzemy go na dół i do karetki.

– A ten sprzęt radiowy to co? – zapytał nieśmiało rudy pielęgniarz o zielonych oczach i piegopatym nosie.

– To jest bandycka hurtownia – wyjaśnił Olkiewicz. Naraz spojrzął na swojego kolegę Obrębskiego, a potem na lekarza. Mina tego ostatniego nie wyrażała żadnych emocji, choć oczy spoglądały to w prawo, to w lewo, uważnie lustrując elektroniczne bogactwo.

– No to, panowie, żeby naszemu dzielnicowemu w szpitalu lepiej było, dostaniecie po małym prezenciku – powiedział Olkiewicz, zacierając dłonie. – Tylko wiecie, opieka ma być prima sort! Mazurczak, weź no dla panów wybierz, co tam potrzebują. Panowie się rozejrzają.

Lekarz i dwaj sanitariusze zostawili natychmiast rannego, by dokonać selekcji i wynaleźć wśród sprzętu to, co może być im najprzydatniejsze. Ranny w końcu nie był umierający i mógł trochę poczekać. Tym bardziej że jego kolega przyniósł nową butelkę wódki i zamierzał zaaplikować choremu kolejną dawkę znieczulenia.

Godzina 16.50

Brygida zabrała się do parzenia kawy. To znaczy zrobiła dla siebie, bo Mariusz wolał jak zwykle herbatę. Gdy zajrzała do szafek kuchennych, okazało się, że wielkiego wyboru tu nie ma. Opakowanie jacobsa i zwykła herbata ekspresowa. Po chwili

grzebania natrafiła jeszcze na zamkniętą paczkę angielskiej earl grey. Ta wydała jej się zdecydowanie lepsza od ekspresówki w torebkach. W szafce nad zlewem znalazła dwa mało używane kubki, które wyglądały tak, jakby ktoś je ukradł z baru mlecznego. Białe, z zielonym paskiem tuż przy samym rancie i z napisem „KONSUMY”, który wszystko wyjaśniał.

– Widzę, że kompletujesz zastawę prosto z policyjnego bufetu – zażartowała.

– A, pożyczyłem kiedyś kubki, jak mi się szklanki wytlukły, i tak zostały.

– Pijesz z cukrem czy bez? – Usłyszała szum płynącej wody w łazience, do której poszedł Mariusz, więc nie doczekała się odpowiedzi. Czajnik zagwizdał, zdjęła go z gazu i ściągnęła gwizdek. Zalała oba kubki wrzątkiem, po czym zaczęła szukać cukru. Cukiernicy nie było. Ale cukier w kilowej torebce się znalazł. Nasypała trochę do niebieskiej miseczki i wszystko to zaniosiła do pokoju.

Musiła jeszcze zrobić trochę porządku z zakupami, bo Mariusz te jej siatki ze zdobyczami rzucił na kanapę. Zaczęła je odkładać na podłogę, z przyjemnością spoglądając na kupione towary. Szkoda, że nie mogą teraz tego wszystkiego przymierzyć, pomyślała. Gdyby była u siebie w domu, od razu zaczęłyby od mierzenia butów, a potem dopasowywania do nich sukienek. Musiała przyznać, że się obkupiła. Ten nowy sklep przypominał peweks. Można tam było dostać włoskie buty, niemieckie i francuskie ciuchy, choć ceny mieli jak z kosmosu. No ale ona w końcu całkiem nieźle zarabiała i tak naprawdę nie miała kiedy i gdzie wydawać pieniędzy. Mogła sobie więc pozwolić na odrobinę szaleństwa, raz na jakiś czas oczywiście.

Mariusz wyszedł z łazienki i stanął w drzwiach do pokoju.

– Już rozumiem, dlaczego kazałaś mi te wszystkie zakupy wnieść na górę.

– No wiesz, w samochodzie mógłby jeszcze ktoś ukraść – próbowała się tłumaczyć.

– To zrozumiałe, a poza tym nie dałoby się przyjrzeć tym wszystkim zdobyczom.

– Wiesz, jak to jest, jak człowiek coś kupi, to chce to wszystko pooglądać w spokoju.

– Rozumiem, jak kupuję książkę, to też mi chce się ją czytać natychmiast. To najzupełniej zrozumiałe. – Usiadł w fotelu na wprost swojego gościa. Przez chwilę przypatrywał się Brygidzie, gdy szperała w torbach z ubraniami, wyciągając i rozkładając je na tapczanie. I wtedy przyszło mu na myśl, że przecież całkiem niedawno na tym samym, tyle że rozłożonym tapczanie leżała naga Wiktoria. A gdyby tak weszła teraz do tego pokoju? Przecież mogła w każdej chwili wrócić. Nie, nie wrócić, zwyczajnie, tak jak dawniej, zapukać do drzwi, wejść do środka i powiedzieć: „Wiesz, Mariusz, pomyliłam się. Mój mąż jest łajdakiem, a moim prawdziwym przeznaczeniem jesteś ty...”.

Kompletne bzdury przychodzą mi do głowy, myślał, patrząc na Brygidę i lekko się uśmiechając.

– Nie uważasz?

– Co? – Wyrwała go z zamyślenia tym „nie uważasz”, tylko że nie wiedział, co i o czym ma uważać albo i nie. Nie uważał. Myślał o Wiktorii, patrząc na Brygidę.

– Znaczy o czym?

– No o tej sukience?

– Nic nie sędzę.

– Jak to nic?

– No nie sędzę, bo nie potrafię ocenić sukienki, jeśli jej nie zobaczę na modelce. No rozumiesz, na razie to jest tylko kawałek materiału.

– A, rozumiem. – Uśmiechnęła się zadowolona. – Sugerujesz, że mam się w nią ubrać.

– No właśnie – zgodził się, choć niczego przecież nie sugerował. Ona pójdzie się przebrać do sypialni, a tam jest rozbebeszone łóżko, którego rano nie zdążył pościelić. Nie ścielił nigdy łóżka, a piżamę rzucał na podłogę zaraz po przebudzeniu. A skarpetki i gacie? Czy zostawił je tam wczoraj, czy zaniósł do łazienki, do kosza na brudy? Cholera, ona rzeczywiście idzie do sypialni...

Wstała z tapczanu, chwyciła torbę z sukienką i czymś tam jeszcze, a potem podniosła z podłogi jeszcze jedną reklamówkę.

– Założę do tego jeszcze buty. Zobaczysz wszystko na modelce.

Wyszła z pokoju, a on natychmiast rzucił się do łazienki. Majtki i skarpetki z wczoraj leżały w koszu. Odetchnął z ulgą. Wrócił do pokoju, podszedł do wieży i włączył wzmacniacz. Na talerzu gramofonu leżała jeszcze ta płyta Depeche Mode, której ostatnio słuchał z Wiktoria. Cholera, wszystko mu ją przypomniało. Nie, to absolutny koniec. Nie może ciągle o niej myśleć, bo zwariuje. Zdjął płytę i włożył ją do koperty. Ze stojaka wyciągnął album Pink Floyd. Na czarnym tle widać było pryzmat rozszczepiający świetlny promyk. Położył płytę i przesunął nad nią ramię z igłą. Muzyka zaczęła powoli wyłaniać się z ciszy.

– No i jak? – zapytała Brygida.

Odwrócił się i na nią spojrział. W żółto-białej letniej sukience wyglądała pięknie. Wpatrywała się w niego, zagryzając dolną wargę,

jak dziecko oczekujące z niecierpliwością, aż nauczyciel wystawi ocenę.

– Wyglądasz doskonale.

Uśmiechnęła się zadowolona.

– To jest sukienka na lato – wyjaśniła zupełnie niepotrzebnie. Domyślił się, że z takim dekoltem nie chodzi się zimą. Jego spojrzenie przesunęło się z twarzy na piersi. Były kształtne i bardzo ładnie układał się na nich materiał. Musiała chyba pochwycić to jego spojrzenie, bo już chciała coś powiedzieć, ale nie zdążyła. Rozległ się dzwonek do drzwi.

– Pójdę się przebrać – powiedziała i zniknęła w przedpokoju. Mariusz ruszył ku wejściu. A jeśli to Weronika? Cholera, przecież nie może jej wpuścić. Ale jak by to wyglądało, jeśli zatrzyma ją na klatce schodowej? Zawsze wchodziła do środka. Ale tym razem nie jest przecież sam. Tyle że przecież Brygida nie jest jego dziewczyną. Ale Weronika o tym nie wie. Pomyśli, że dzień po ich rozstaniu już sprowadził sobie do domu kobietę. W dodatku bardzo atrakcyjną. Gdyby miał je porównywać, to chyba Brydzia była nawet ładniejsza od Weroniki. Nie, zdecydowanie wpuści ją do środka, powie: „Wejź, siadaj. Chciałem ci przedstawić moją przyjaciółkę Brygidę”. Tak, specjalnie użyje słowa „przyjaciółka”. A co tam, niech sobie nie myśli, że była dla niego całym światem.

Otworzył drzwi i zdębiał. Przed nim stał szef poznańskiego Urzędu Ochrony Państwa.

– Coś tak rozdziawił gębę? Kolegi nie poznajesz? – zapytał Markowski, uśmiechając się od ucha do ucha.

– No poznaję – bąknął Mariusz.

– Mogę wejść?

– Co?

– Do środka.

– A, jasne, ładuj się. Proszę bardzo.

Szczupły szatyn o wysportowanej sylwetce i sprężystych wojskowych ruchach wkroczył do mieszkania. Szybko zdjął kurtkę i zanim Mariusz zdążył zaprotestować, ściągnął też buty. Ruszył dalej i nagle przystanął zdumiony.

– Dzień dobry – powiedział, wyciągając rękę do powitania. Brygida podała mu swoją. – Nie wiedziałem, że masz gościa, przyszedłbym innym razem.

– Nie, to nie gość, znaczy... – Mariusz zamilkł, bo poczuł, że gada bzdury.

– A, rozumiem... – Markowski najwyraźniej opacznie pojął intencje kolegi.

– Mariusz chciał pewnie powiedzieć, że znamy się od dawna – wyjaśniła Brygida, ale i to nie zabrzmiało zbyt przekonująco. Markowski w końcu zrozumiał, w czym rzecz. Zdaje się, że ci dwoje dopiero zaczęli pracować nad zdefiniowaniem wzajemnych relacji, a on wszedł w najmniej odpowiednim momencie. Ale skoro już się tu pojawił, nie mógł się wycofać.

– To jest pani prokurator Brygida Bocian. – Mariusz wskazał dłonią swoją przyjaciółkę. – A to pan pułkownik Kazimierz Markowski.

– My się znamy z panią prokurator. W ubiegłym roku poznaliśmy się krótko po tej strzelaninie przy Obornickiej.

– A, prawda – przypomniał sobie Mariusz. – Jasne, byliśmy tam, zdaje się, wszyscy w komplecie.

– Pamiętam pana pułkownika – potwierdziła Brygida. – Może napije się pan czegoś, kawy albo herbaty?

– Nie chciałbym robić kłopotu.

– Żaden kłopot. Kawa czy herbata? – zapytała.

– To może kawę bym poprosił.

– Ale niestety w szklance. Kubki są tylko dwa – wyjaśniła.

– Jakoś sobie poradzę – powiedział, uśmiechając się.

Skinęła głową i poszła do kuchni. Markowski odprowadził ją spojrzeniem, a potem z uznaniem pokiwał głową.

– Ty to się potrafisz ustawić, chłopie – rzucił cicho z uznaniem.

Mariusz postukał się palcem w czoło.

– Nie jest tak, jak myślisz.

– Ja nic nie myślę – stwierdził podpułkownik, sadowiąc się w fotelu. – Nie mam zamiaru wam przeszkadzać, ale wpadłem w ważnej sprawie.

– Co takiego? – zainteresował się Mariusz.

– Dzwoniłeś do mnie, żebym ci sprawdził tego faceta. No wiesz. – Wskazał głową drzwi wiodące na korytarz.

– No i co? Coś znalazłeś?

Markowski zrobił zatroskaną minę.

– Ten Łabędzki ma u nas całkiem solidną kartotekę.

– No to zrozumiałe. Był przecież działaczem podziemnym, więc esbecja musiała mu założyć teczkę.

Oficer się uśmiechnął.

– Owszem, zaczynał jako działacz podziemny, ale potem... – Przerwał i spojrzał wymownie w kierunku kuchni.

Wyszła z niej Brygida, trzymając w ręce szklanę z kawą. Podeszła do ławy i postawiła ją na blacie.

– Niestety, nie ma w domu kolejnej łyżeczki. Mariusz ma tylko dwie, więc zaraz umyję jedną...

– Nie trzeba, pani Brygido. Nie słodzę.

Miło z jego strony, pomyślała. Przyszło jej jednak do głowy, że skłamał, żeby nie robić jej kłopotu. Kłamstwo miał wpisane w swój zawód, a ona podejrzliwość.

Godzina 17.10

Mirek wyteżył wzrok, ale nie było żadnych wątpliwości. Facet w czarnej kurtce, czapce z daszkiem, przypominającej kepi amerykańskich wojsk z czasów wojny secesyjnej, i w ciemnych okularach to był jego dobry znajomy. Mężczyzna wysiadł z czarnego mercedesa, w którym na miejscu kierowcy siedział mężczyzna w garniturze i pod krawatem. Trzasnął drzwiami i poszedł w kierunku klatki schodowej. Drzwi otworzył mu stróż, ten sam, który pilnował wejścia już wcześniej. Teraz wyrósł jak spod ziemi i natychmiast był gotowy do pomocy. Tyle że wchodzący facet nie potrzebował żadnej asysty. Zatrzymał się jednak i zamienił ze stróżem kilka słów. Ciec coś mu zaczął tłumaczyć, wskazując na górne kondygnacje. Facet w kepi pokiwał głową, klepnął stróża w ramię i zniknął na schodach. Ciec wyszedł na zewnątrz i wziął się do zmiatania chodnika.

Brodziak doskonale znał Markowskiego, bo przez kilka miesięcy pracowali razem w wydziale. Obecny szef poznańskiego Urzędu Ochrony Państwa został skierowany do komendy wojewódzkiej, by nauczyć się policyjnej roboty od najlepszych, między innymi od

Mirka. Pracował jako oficer śledczy do momentu, gdy Służbę Bezpieczeństwa przekształcono w Urząd Ochrony Państwa. Wtedy Markowski został pierwszym szefem jego delegatury w Poznaniu. W kilka miesięcy awansowano go błyskawicznie z podporucznika na podpułkownika.

– W takim tempie wkrótce będziemy mówić do ciebie „panie generale” – zażartował Brodziak, kiedy Markowski zaprosił jego i pozostałych kolegów z wydziału na opijanie pułkownikowskich szlifów.

– Ja przynajmniej mam za sobą prawdziwą służbę w wojsku i prawdziwą służbę śledczą u was – stwierdził Markowski, popijając piwo.

Siedzieli w restauracji Turystycznej przy Starym Rynku, której szefową była dziewczyna Brodziaka Marzena. Korzystali z tego miejsca w sytuacjach, w których trzeba było świętować we własnym gronie, tym bardziej że Turystyczna słynęła z bardzo smacznej kuchni, a Marzena zapewniała im dobrą i dyskretną obsługę.

– A to nie jest wśród nowych kadr oczywiste – ciągnął dalej Markowski. – Wyobraźcie sobie, że wśród moich kolegów z innych delegatur w kraju jest tylko kilku, można by ich policzyć w zasadzie na palcach jednej ręki, takich, co to mają jakąś wiedzę na temat służb, bo posiadają jako takie przeszkolenie. Ale żaden z nich nie wywodzi się z milicji, o SB nie wspominając.

– No raczej chyba nie chcielibyście mieć esbeków w nowej służbie – zauważył Marcinkowski.

– Uchowaj Boże. – Markowski złożył dłonie jak do modlitwy, ale się nie przeżegnał. Nie był specjalnie wierzący, więc w jego

wykonaniu byłby to tylko pusty gest, a przed ludźmi, których zdążył dobrze poznać, nie musiał nikogo udawać.

– Ale przecież ci nowi jakąś wiedzę muszą mieć – rzucił Brodziak, nalewając wódkę do kieliszków.

– No i mają – potwierdził świeżo awansowany podpułkownik. – Wszyscy znają się na działaniach esbecji, bo każdy odczuł je na własnej skórze. Każdy z nich to działacz podziemia, kilku było internowanych, więc widzieli, jak działa milicja polityczna.

– No tak. – Olkiewicz pokiwał głową. – Wszyscy musieli brać udział w przesłuchaniach, tyle że nie przesłuchiwali, ale sami byli przesłuchiwani.

– Tak jest. Urząd będą tworzyć teraz ludzie, którzy byli ofiarami tego urzędu – stwierdził Markowski, uśmiechając się półgębkiem. – W zasadzie to powinniśmy wypić, żeby UOP nigdy nie stał się policją polityczną – zaproponował.

– Zaraz, to jak UOP nie będzie nową SB, to kto teraz będzie pilnował w kraju porządku? – zapytał Teofil, który przez kilka lat pracował w esbecji.

– Policja polityczna nie będzie już potrzebna – oświadczył podpułkownik, podnosząc kieliszek. – W demokratycznym kraju służby nie będą przecież walczyć z opozycją.

– Na tak, bo opozycja będzie teraz władzą. – Teoś zgodził się z tym argumentem. – Tyle że ja się pytam, kto będzie śledził byłą władzę, co ona teraz jest opozycją?

– Nikt – odpowiedział Markowski.

– Nikt? No to po co jest ten cały UOP?

– Do ochrony państwa.

– Przed kim?

– Przed tymi, którzy zagrażają władzy – wyjaśnił cierpliwie szef UOP-u.

– Znaczy się, przed opozycją – zawyrokował Olkiewicz i wychylił kieliszek wyborowej.

Markowski też wypił, ale nie miał zbyt wesołej miny. Być może Olkiewicz zwrócił mu uwagę na problem, który w tej chwili wydawał się niemożliwy do rozwiązania.

Brodziak przez chwilę przyglądał się cieciowi. Ten wyglądał tak, jakby nic go nie interesowało prócz chodnika, który trzeba było doprowadzić do stanu idealnego. Tyle że zmiatanie niewiele dawało, bo mżawka zmoczyła chodnikowe płyty i doprowadzenie ich do czystości wymagałoby użycia gumowego węża z wodą pod ciśnieniem.

Tymczasem czarny mercedes, którym przyjechał pod blok Markowski, zaparkował równolegle, po przeciwnej stronie ulicy. Kierowca wyłączył silnik, ale nie wyszedł z samochodu. Mirek zobaczył rozbłysk światła oznaczający, że facet zapalił papierosa. Czyli czekał na swojego szefa, domyślił się policjant. Co tu się właściwie dzieje? – zastanawiał się. To, co zobaczył do tej pory, było jakieś nierzeczywiste. Bo najpierw pod blok przyjechał Waligóra z tym wielkim facetem, potem pojawił się Mariusz z prokuratorką, a teraz na koniec jeszcze szef delegatury Urzędu Ochrony Państwa. Czyżby oni wszyscy razem szykowali jakiś szwindel? I jeśli jest to jakaś rozgrywka skierowana przeciwko Grubemu Rychowi, to będzie trudno dać sobie radę z nimi wszystkimi naraz. Tylko co oni chcą zrobić, do licha? Chcą w porozumieniu pozbawić Rycha wpływów? Może chcą mu zabrać bank i ograbić z forsy? O ile jeszcze można by było posądzić Markowskiego o jakieś konszachty z ludźmi

działającymi w świecie przestępczym, to co w tym wszystkim robił Blaszkowski, człowiek, o którym wszyscy w wydziale wiedzieli, że nie ma nikogo na świecie od niego uczciwszego? I on miałby się spiknąć z ludźmi, którzy chcą załatwić Rycha? Nie, to chyba niemożliwe. Każdy, ale nie Blacha.

Z klatki schodowej wyszła jakaś starsza kobieta z czarno-białym kudłatym psem na smyczy. Ten zaraz po wyjściu zatrzymał się i zrobił kupę na środku chodnika, w miejscu, które było przedmiotem szczególnych czyszcicielskich zabiegów stróża. Pani pogroziła psu palcem, a potem pociągnęła go za sobą, podążając w głąb ulicy. Kupa pozostała, czekając na nieostrożnego przechodnia. Ten pojawił się wkrótce. Tym razem był to Waligóra. Gestapowca z nim nie było. Inżynier podniósł kołnierz kurtki, by chronić się przed deszczem, który rozpadał się na dobre. Zrobił trzy kroki i zaraz podskoczył jak oparzony. Mirek uśmiechnął się, widząc, jak bezskutecznie próbuje pozbyć się mazi, która oblepiła podeszwę. Zszedł z chodnika na trawnik, by wytrzeć psie odchody trawą. Ale jego wysiłek z góry był skazany na niepowodzenie. Waligóra musiałby mieć jakiś patyk i nim próbować zdrapać paskudztwo. Ale patyka żadnego pod ręką nie było. Więc zrezygnował z tych rozpaczliwych prób pozbycia się psiej kupy. Poszedł w kierunku samochodu, wsiadł do środka, odpalił silnik i odjechał. Brodziak wyobraził sobie, jak smród powoli wypełnia wnętrze auta, i na myśl o tym zmarszczył nos. Odruchowo nawet uchylił szybę, ale zaraz ją zamknął, bo akurat zaczął zacinać deszcz pchany podmuchami wiatru.

Przez głowę przeleciała mu myśl, że powinien był ruszyć za inżynierem, ale zaraz przyszła refleksja, że tu dzieje się sporo ciekawych rzeczy i nie może niczego przegapić. Został więc na miejscu i nie pożałował tej decyzji. Chwilę później na ulicy pojawił

się Mariusz z Markowskim. Obaj przecięli brukowaną jezdnię i poszli do czarnego mercedesa z kierowcą. Ten, dojrawszy swojego szefa, natychmiast wyskoczył ze środka. Oficer machnął dłonią, pokazując mu, żeby wrócił na miejsce. Sam sobie otworzył drzwi, podobnie jak Mariusz. Wsiedli i auto odjechało. Tych dwóch nie miał zamiaru śledzić. Jego niezawodny instynkt łowcy podpowiedział mu, że to, co najciekawsze, dopiero się wydarzy. Czekał więc cierpliwie. Jakaś godzinę później pod blok podjechała taksówka. Wysiadło z niej trzech mężczyzn w czarnych skórzanych kurtkach. Wszyscy krótko ostrzyżeni, ubrani w kreszowe spodnie od dresów i koszykarskie buty za kostkę. Z bagażnika wyciągnęli sportowe torby, takie do zawieszenia na ramieniu. Obładowani bagażami, podeszli pod klatkę schodową. Ukryli się pod daszkiem, wyciągnęli papierosy i oddali się obowiązkowej, ale i ulubionej czynności wszystkich bandytów tuż przed akcją, czyli paleniu. Mirek, przyglądając się im, zrozumiał, że ci faceci za chwilę zaczną jakąś rozróbę. Mógłby się założyć, że w tych podłużnych torbach mają broń, bo na pierwszy rzut oka wyglądały na załadowane czymś ciężkim. Być może były to karabinki automatyczne. A skoro tak, to faceci mogli szykować się do jakiegoś napadu.

Gdy drzwi od klatki schodowej się otworzyły, wszyscy trzej spojrzeli tam jak na komendę. Ich twarze rozjaśniły się, gdy rozpoznali wychodzącego. Facet w zielonym kapeluszu nie miał już na głowie tego charakterystycznego nakrycia. Teraz ubrany był wizytowo, w czarny płaszcz, który założył na garnitur, o czym świadczyły garniturowe spodnie, czarne mokasyny i białe skarpetki.

Powiedział coś do osiłków. Ci natychmiast wyrzucili pety na chodnik i poszli za nim. Po chwili cała czwórka siedziała w volkswagenie transporterze. Mirek odpalił silnik i ruszył za nimi. Teraz był już pewny, że podjął słuszną decyzję, siedząc pod tym

blokiem i czekając na rozwój wydarzeń. Bo te właśnie zaczynały nabierać tempa.

Godzina 18.30

Nie mogli tak od razu wrócić po tego faceta. Trzeba było trochę odczekać. Przede wszystkim dom musiał być pusty, to znaczy policjanci musieli już pojechać, a to stało się dopiero po dwóch godzinach od momentu, kiedy pogotowie zabrało dzielnicowego Obrębskiego. Jak to zwykle bywa w takich wypadkach, technicy policyjni musieli dokładnie obfotografować miejsce, w którym doszło do strzelaniny, zabezpieczyć ślady i odebrać zeznania od obu funkcjonariuszy.

Olkiewicz opowiedział śledczemu, którego przysłano tu z komendy miejskiej, że zostali zaatakowani podczas wykonywania czynności polegających na przeszukaniu mieszkania po tym, jak dostali informację, że odbywa się tu nielegalna sprzedaż sprzętu rtv pochodzącego z przemytu, czyli przywiezionego do Polski bez opłacenia cła.

– Wew trakcie, jak żeśmy tu wkroczyli, to się okazało, że jakiś gość chce do nas strzelać, bo miał w ręce pistolet, to ja nie miałem żadnego innego wyjścia do wybrania, więc co było robić? Trzeba było gościa kropnąć. I muszę się, niestety, przyznać, że nie miałem zamiaru go pozbawiać życia, ale wew trakcie walki człowiek nie zawsze może się zdążyć złożyć do oddania strzału i w związku z tym się nie złożyłem, tylko wypaliłem, i oto jest efektywność mojej działalności operacyjnej. – Teoś wskazał na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą leżały zwłoki zabitego przez niego człowieka.

– Pan komisarz kropnął go koncertowo – dopowiedział sierżant Mazurek, cały czas nie mogąc wyjść z podziwu dla strzeleckiego kunsztu Olkiewicza.

– A skąd panowie mieliście informację o tym, że tu coś nielegalnego się odbywa? – zapytał starszy aspirant.

– My to, kolego, mamy rozbudowaną agenturę – wyjaśnił Olkiewicz tonem eksperta i znawcy tematu poszukiwań hurtowni nielegalnego sprzętu telewizyjnego. – Jak się ma takich informatorów jak my, to nie ma się co dziwić, że nas doinformowują o różnych ciekawych rzeczach, ale na szczęście nie za często, boby człowiek rady nie dał, jakby musiał codziennie jeździć na takie akcje.

– Tak, rozumie się, oczywiście – potwierdził policjant, wpisując wszystko do protokołu. – Znaczy, że dostaliście panowie informację?

– Tak jest, i żeśmy przyjechali na miejsce – potwierdził Mazurek. – Dowiedzieliśmy się o nieuczciwym handlarzu, co prowadzi sprzedaż na rynku Łazarskim. I po nitce do kłębka żeśmy tu dotarli.

– Agentura to podstawa – ciągnął dalej Olkiewicz. – Jak człowiek tyle lat co ja robi w branży, to w końcu ma takie rozległe konszachty wew mieście, że szkoda gadać. O wszystkim się dowiaduje prawie od razu. No i my tu przyjechali, zdawało się, że na łatwą robotę. Ale okazało się, że ten z bronią był na nas mocno zawzięty i trzeba było go uspokoić. Nie lubię, cholera, tego strzelania.

– Musi pan komisarz broń zanieść do rusznikarza, bo magazynek się nie trzyma – przypomniał mu Mazurek.

– Pewnie, że muszę. Broń musi być w identycznym stanie, żeby nie zawodziła, jakby była przypadkowo potrzebna. Ale trzeba jeszcze mieć kiedy ten czas, żeby zanieść – stwierdził Olkiewicz, popijając wódkę ze szklanki. – Na ukojenie nerwów najlepsza jest wódeczka – wyjaśnił, widząc zdziwioną minę młodego aspiranta.

W końcu czynności na miejscu zostały zakończone, mieszkanie opieczętowane, a ekipa techniczna i śledcza pojechała na zasłużony odpoczynek. Olkiewicz z Mazurkiem też pojechali do miasta. Przejechali do góry, przecinając Głogowską, wjechali w Berwińskiego, a potem zrobiwszy kółko, powrócili na Kanałową.

Sąsiadka z naprzeciwka czekała na nich z niecierpliwością.

– A pan to mi wygląda na takiego, co to potrafi się na technice rozeznąć. – Wskazała szczupłym palcem Mazurka.

Ten wzruszył ramionami. Znał się na technice walki wręcz i może jeszcze na sposobach łowienia ryb na wędkę, bo tego nauczył go w dzieciństwie tata, ale techniczna strona urządzeń elektronicznych nigdy specjalnie go nie fascynowała.

– Zależy, o co się rozchodzi – odparł wymijająco.

– No jak o co? Ady przecież o tyn telewizor, com od was dostała za przysługę. Idzie o to, że ja se sama nie podłączę. Antenę mam od starego telewizora i jest ona na dachu, a kabel idzie przez komin. No i można to podłączyć, ino trzeba wiedzieć jak. A ja sama nie poradzę.

– Ja pani nic nie pomogę, bo się na tym nie znam. – Mazurek bezradnie rozłożył ręce. – Ale w poniedziałek może pani pójść tu niedaleko, na Głogowską. Tam, w tej kamienicy na narożniku z ulicą Strusia, tam był neon z żyrafą, to jest punkt ZURT-u. Pójdzie pani do nich i zamówi usługę podłączenia, to wszystko pani zrobią.

– Łe, to ja wiem, gdzie to jest. Ale ten neon to się już nie świeci.

– Neon nie jest taki ważny, pani Jasiakowa – stwierdził Olkiewicz, któremu już pilno było zająć się konkretami. – Pani se jeszcze przez niedzielę popatrzy na czarno-białą telewizję, a w poniedziałek to już pani będzie miała jak w Ameryce, wszystko kolorowe i świecące lepiej jak ten stary neon.

– Co prawda, to prawda – potwierdziła kobieta. – A ten nieborak to leży tam cały czas. – Wskazała drzwi do pokoju. – Idźta se tam popierdolta, a ja wody na herbatę nastawię. – Powiedziawszy to, zniknęła w drzwiach kuchni. Policjanci weszli do wskazanego pokoju. Ich więzień leżał skrępowany na podłodze.

– Weź no mu wyciąg z gęby tą szmatę – polecił Olkiewicz.

Mazurek podszedł do leżącego, ale nie wyciągnął mu chustki. Oparł się dłońmi o ugięte kolana jak bramkarz oczekujący na rzut karny. Przez chwilę patrzył na Matyjasika, a potem spojrział na Olkiewicza.

– A tak w ogóle, panie komisarzu, to na cholere żesmy jego wzięli w niewole?

Olkiewicz uśmiechnął się do chłopaka.

– Młodyś, to i nie wiesz, jak się pracuje, żeby dostać to, co się chce.

– A co my chcemy dostać?

– No jak co? Wiadomo przecież, że nam zależy na prawdzie. A temu tu obesrańcowi, co leży na podłodze, zależy, żeby tą prawdę przed nami schować. I on se myśli tak, że jak nam nic nie powie, to jego kolesie jemu nic nie zrobią i jeszcze przyjmą go z otwartymi rękami. Bo on nic ze świata nie rozumie, taki ćwok. I dlatego by się upierał, że nic nam nie powie i już. No i jakby my go zabrali na komendę, toby kręcił i wykręcał na drugą stronę, i prawdę mieszał z nieprawdą. Wszystko, żeby nas tylko wykołować. A wiesz czemu? – Zapytawszy, Teofil spojrział w oczy młodego policjanta. Ten pokręcił głową.

– No niby nie...

– Bo tak już jest, że wszyscy ci oszuści kłamią, bo na komendzie czują się, że są bezpieczni, myślą se, że my im nic nie możemy zrobić, że co najwyżej któryś w pysk dostanie i na tym koniec. Dlatego zanim się takiego weźnie na komendę, trzeba go przesłuchać dokładnie, tak żeby nam wszystko powiedział, jak było, i żeby tylko prawdę gadał. Żeby on przed nami serce otworzył jak ten tu Jezusek, co na ścianie wisi. – Olkiewicz popatrzył na obraz w złotej ramie z Chrystusem w świetlistej aureoli, który wskazywał palcem na swoje serce w kształcie złotego piernika, blaskiem swym oświetlające obraz i wszystkich, którzy go oglądają. – No i my se musimy z nim pogadać w takich spokojnych warunkach, żeby on mógł nam wszystko powiedzieć w zgodzie z prawdą, jak na spowiedzi świętej.

– A jak nie powie?

– No to się takiego gościa wsadzi do bagażnika i wywiezie na most, a potem chlup i ryby w Warcie będą miały ucztę. Chociaż ja ci powiem, że na miejscu tych ryb to ja bym się nie cieszył za bardzo, że takiego śmierdziela będą musiały obgryzać.

– Ryba to głupia jest. Wszystko zeżre. Ja wiem, bo z Mazur jestem. I już widziałem, jak do topielca ryby się dobierały.

– Jak? – zainteresował się Olkiewicz. – Pożarły go?

– Te małe to tylko podziobią, oko wyjedzą czy nos, ale najgorsze węgorze. One do środka do człowieka wejdą, przez gębę, a nawet przez dupę, i wszystko tam wyżrą.

Matyjasik poruszył się niespokojnie i jęknął przeciągle, jakby chciał powiedzieć, że na ryby się nie zgadza, ale żaden z policjantów nie zareagował. Mazurek zaś ciągnął dalej:

– Jednego roku, jak jeszcze do podstawówki chodziłem, to się utopił taki jeden gość, co po pijaku wypadł z żaglówki. Przez miesiąc

go szukali i nic. Dopiero jak przyjechali płetwonurcy, to go wyciągnęli. Akuratnie po szkole wracałem z kolegami, to żeśmy poszli na tych płetwonurków patrzeć. No i oni go z dna wyciągnęli, to powiem panu, że szkoda gadać, jaki był oporzędzony. A węgorze to mu wszystkie flaki wyżarły i jak go wyciągnęli, to ich było chyba w nim ze trzydzieści. Ale nikt takiego węgorza nie łapał, choć były na wyciągnięcie ręki. Bo to wiadomo, że się jeść takich nie będzie, co człowieka zeżarły, boby to był ten, no, kanibalizm.

– Prawda, słyszałem o takich węgorzach ludojadach. W Warcie też takie znajdziesz.

Związany handlarz znów zaczął jęczeć i poruszać się niespokojnie.

– No dobra, wyciąg mu chustkę. Zobaczymy, co powie.

Matyjasik, oswobodzony z knebla, zaczął parskać i pluć. Teoś wziął ze stołu szklanekę z niedopitą herbatą, którą zostawić musiała tu gospodyni, i mu podał. Mężczyzna wypił wszystko łapczywie.

– No i widzisz, chłopie, że milicja wcale taka zła nie jest.

– Policja – poprawił go Mazurek.

– Wszystko to jedno, czy tak, czy siak, ważne, żeby ludzie chcieli z nami rozmawiać. A ty chcesz czy nie chcesz? – zapytał Teoś.

– Chcę! – rzucił szybko Matyjasik.

– No to bardzo dobrze, że chcesz. To dlatego powiedz nam wszystko od początku do końca, o co tu w tym wszystkim chodzi, bo ja czegoś tu nie rozumiem. Przede wszystkim nie rozumiem tego, o co się rozchodzi z tym czerwonym magnetofonem.

– Magnetowidem – odezwał się Mazurek.

– Idzie o to, że ten magnetowid to nie jest magnetowid. Znaczy się w pudełku jest magnetowid, a w kartonie kasa.

– Jaka kasa?

– No to jest... – zaczął opowiadać Matyjasik. – Oni gadają, że to jest fundusz operacyjny. Znaczą ich kasa.

– A czemu kasa jest u ciebie? – zapytał Mazurek.

– Bo do mnie przyjechał transport sprzętu i w nim miała być ich kasa za jakieś rozliczenia towaru, dokładnie to nie wiem. Dość, że mieli dziś to odebrać, i dlatego przyjechał ten łysy, co to żeście go odstrzelili.

– Czyli że dla kogo niby te piniądze? – zainteresował się Olkiewicz.

– No dla tych, co przyjechali z Niemiec. Oni się nazywają Młode Lwy. I oni chcą tu robić interesy, ale najpierw chcą sprzątnąć jednego gościa.

– Kogo?

– Faceta, co mają z nim zatarg sprzed kilku lat jeszcze z Niemiec. Ponoć przez niego Jugole zabili jakiegoś ich kumpla...

– Co to za gość, co go chcą zabić?

– Nazywa się Grubiński.

– Grubiński? Znaczą Gruby Rychu? Cholera jasna! – Teofil zrozumiał właśnie, że sprawa raczej jest poważna. – No to gadaj po kolei, co i jak – polecił.

Policjanci pochyliłi się, żeby nie uronić ani słowa z tej opowieści.

– Ich szef to mój kuzyn. Dlatego do mnie ten cały towar wysłali i jeszcze tą ich kasę, i jakieś tabletki. Musiał uciekać z Reichu, to postanowił, że przyjedzie ze swoimi ludźmi do Polski, bo tam im się dupa paliła. Chcieli mocno wejść na rynek samochodowy i knajpiany, żeby, jak to powiedział ten mój kuzyn, była dywersja dochodów. Musieli tylko przestraszyć, znaczą się wyrzucić z rynku konkurencję. Dlatego jak się dowiedzieli, że fury ciągną ludzie

z giełdy w Berlinie, weszli ostro i zabili dwóch kurierów, a jednemu obcięli palca...

– Pod Nowym Tomysłem na parkingu – przypomniał sobie Olkiewicz.

– No dokładnie, ale ten, co jemu palca obcięli, to powiedział, że robi dla Grubińskiego, i to wszystko zmieniło.

– Co? Grubiński coś zmienił? – zapytał Teoś.

– No właśnie że tak, bo okazało się, że mój kuzyn ma z Grubińskim kosę jeszcze z Niemiec. I dlatego plan się zmienił. Oni już nie chcą przejmować interesu Grubińskiego. Oni chcą go wykończyć. Rozchodzi się o rachę¹⁵.

– Wykończyć Rycha? – Olkiewicz pokręcił głową z niedowierzaniem. Znał Grubińskiego od lat i dobrze wiedział, że nieraz próbowała go wyeliminować konkurencja, ale jak dotąd nikomu się to jeszcze nie udało, więc i ci nowi też mogą mieć z tym problem. – A kiedy chcą go... – Teofil nie dokończył, tylko wymownie przejechał kantem dłoni po gardle. Matyjasik popatrzył na niego, a potem wbił spojrzenie w podłogę.

– Z tego, co wiem, to dzisiaj...

Rozdział VIII

Godzina 20.30

Czekał na Brodziaka, ale jego przyjaciel gdzieś się zawieruszył. Umówili się, że przyjedzie do banku i razem pójdą stąd spacerkiem do hotelu Orbis Poznań. Z placu Wolności nie było daleko, więc mogli sobie pozwolić na taką przechadzkę. Poza tym Rychu lubił chodzić po centrum, przyglądając się zmianom, jakie zachodziły na ulicach. W ciągu ostatnich kilku miesięcy obraz miasta przeobraził się diametralnie, stare państwowe sklepy, które działały przez wiele lat, nagle, niemal z dnia na dzień, znikwały, a ich miejsce zajmowały całkowicie nowe, prowadzone przez prywatnych właścicieli. Zwłaszcza dużo działało się w branży spożywczej. Przyglądając się zmianom, Rychu analizował jednocześnie rynek, zastanawiając się, czy może by nie rozszerzyć działalności na jakąś branżę handlu i w nią zainwestować.

Poza tymi względami biznesowymi zawsze warto było chodzić po mieście w dobrym towarzystwie, tym bardziej że z Brodziakiem miał o czym pogadać. W końcu Mirek był jego najstarszym kumplem, kimś jak brat, którego nigdy nie miał. No ale dziś nie dojechał na czas, więc Rychu postanowił pójść sam. Brodziak wiedział, że celem wyprawy jest hotel Poznań, więc jeśli nie dotarł do banku, na pewno przyjdzie do Orbisu i jak zwykle powie coś o tym, że zatrzymały go ważne sprawy. Bo tych Mirek zawsze miał pełno na głowie. Ale od przyszłego tygodnia nie będzie już taki zalatany, więc może przestanie się spóźniać.

– A pan prezes to idzie do hotelu, jak rozumiem? – zapytał Tunio, błyskając w uśmiechu dwoma złotymi zębami. Na widok prezesa poderwał się z fotela i podbiegł do niego, przemierzając w kilku krokach bankowy hol.

– No tak mi się zdaje, że trzeba się przejść.

– A pan Miras to niby gdzie?

– No miał dojechać, ale jakoś nie dojechał. Przyjedzie pewnie do hotelu.

– To jak pan prezes pozwoli, to ja się zaofiarowuję, że się przejdę. W razie czego się mogę przydać, bo tych, co w hotelu siedzą i popijają, znaczy się, co żeśmy o nich gadali, to ich mogę wskazać. Podobno dzisiaj ma być tam też ich szef, powiedział mi o tym Waligóra.

– No to jak się panu chce, to czemu nie. – Grubiński machnął ręką i ruszył przodem, kierując się ku drzwiom.

Wyszli na zewnątrz i wtedy okazało się, że ten wieczorny spacer to jednak niezbyt dobry pomysł. Mżawka bowiem definitywnie się skończyła, a zastąpił ją ulewny deszcz, który wielką falą pokrył całe centrum, skutecznie splukując chodniki i przepędzając chodzących po nich ludzi, którzy w pośpiechu uciekali do swoich domów.

– Panie Tunio, wróć się pan na portiernię i zadzwoń do garażu, niech podjedzie Marian. Niech podjeżdża pod wejście do banku, bo w takim deszczu to ja po mieście jednakowoż łazić nie będę.

Tunio ze zrozumieniem skinął głową i cofnął się do budynku. Rychu sięgnął do kieszeni i wydobył paczkę pall malli. Nim zdążył podpalić papierosa, Ząbek był już z powrotem.

– Melduję, że już podjeżdża Marian ekspresowo, znaczy się, jak zadzwoniłem, natychmiastowo poszedł na podwórko i zaraz będzie.

– O, właśnie już jest. – Rychu wskazał na ulicę. Jego nowy mercedes, niedawno przywieziony z Niemiec, a kupiony w salonie w Berlinie, zatrzymał się przy krawężniku. Marian, kierowca, który całe swoje życie przepracował w milicji, wyskoczył z auta z parasolem w ręku. Nie zdążył jednak zapewnić ochrony przeciwdeszczowej prezesowi. Ten szybko pokonał niewielki dystans i wskoczył do samochodu. Tunio też nie potrzebował parasola. Zajął miejsce z przodu. Marian wrócił za kierownicę. Przez chwilę szamotał się ze składaną parasolką, ale w końcu udało mu się ją złożyć i wcisnąć pod fotel.

– Panie Marianie, jedziemy do hotelu Poznań – zarządził prezes.

– Hotel Orbis Poznań jest tam, przy tych ruinach browaru – podpowiedział na wszelki wypadek Tunio.

Marian popatrzył na niego z politowaniem.

– A co pan myślisz, że ja jestem z Mosiny albo z Lubonia i Poznania nie znam? Ja, panie kochany, jestem poznaniak z dziada pradziada i znam wszystkie poznańskie fyrtle¹⁶ jak własne kiejdy¹⁷.

– To pan, panie Marianie, z jakiego fyrtla jest? – zapytał Grubiński.

– Ja jestem z Wildy – odpowiedział z dumą były milicjant.

– No to po sąsiedzku, bo ja ze Starego Miasta – oznajmił Rychu. – A tam, gdzie jedziemy, to prawie granica naszych dzielnic. I ten browar, taki zrujnowany, że szkoda patrzeć, na tej granicy. Mój dziadek opowiadał, że tam warzyli najlepsze piwo w Poznaniu.

– Piwo Huggera – zgodził się z nim Marian. – Zawsze wiara gadała, że komuna zarznęła najlepsze poznańskie piwo.

– Mój tatuś powiadał, że Kobylepole było najlepsze – wtrącił się Tunio, który nie mógł pozostać w tej licytacji nieuwzględniony. – Ja

się na Jeźycach chowałem – dodał z wyraźnym poczuciem dumy dzielnicowej. – A mój tatuś po wojnie jeździł na dryndzie, co ją odziedziczył po dziadku, też dryndziarzu. I powiadał, że w Browarze Huggera co sobotę ustawiała się kolejka ludzi z całej okolicy, każdy z kanką na mleko, żeby kupić piwo taniej jak w gospodzie, bo prosto z browarnej beczki, świeże i niepasteryzowane.

– Szkoda tego browaru. Można by go odbudować. – stwierdził Marian, spoglądając w lewo, na resztki zrujnowanych budynków stojących powyżej muru oporowego, ciągnącego się wzdłuż ulicy po przeciwnej stronie. – Pan prezes mógłby kupić te nieużytki i odbudować...

– Panie Marianie, to ruina. To się nie opłaci. A poza tym browar w centrum miasta? Wiara by się skarżyła, że im piwem śmierdzi w mieszkaniach. Tu by można zbudować co najwyżej centrum handlowe, takie jak widziałem we Frankfurcie nad Menem, jak tam w Niemczech mieszkałem. Stare mury wykorzystali, a w środku całkiem nowe sklepy... Ale do tego trzeba mieć sporo bejmów.

– A co to, pan prezes nie ma? – zaśmiał się Tunio. – Kto, jak nie pan prezes, może w Poznaniu zrobić dobre interesy handlowe?

Mercedes wjechał na hotelowy parking, a stamtąd pod zadaszone wejście.

– Może pan jechać do domu, panie Marianie. – Rychu otworzył drzwi i wysiadł z samochodu.

– Panie prezesie, poczekam – odpowiedział kierowca.

– Co pan będziesz tu siedział jak kołek. To zrobmy tak, że pan za dwie godziny podjedzie. Równie o dziesiątej pan Tunio zejdzie na dół i powie, czy jedziemy do chaty, czy jeszcze siedzimy.

– Nie ma sprawy, panie prezesie. O dziesiątej jestem. – Marian spojrzął na zegarek, a gdy Tunio zamknął drzwi, ruszył z podjazdu,

przejechał kilkadziesiąt metrów i zaparkował. Rychu z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Widział żeś pan, panie Tunio?

– Że o co się tak w ogólności rozchodzi?

– Marian nie odjechał, tylko parkuje przed hotelem.

– A po co panu szanownemu prezesowi kierowca i goryl w jednym, co będzie siedział w chacie? Ma robotę, to ją wykonywa, tak jakby był na służbie. Zez szkieła się księdza nie robi.

Weszli do hotelowego foyer i od razu skierowali się do restauracji, w której codziennie odbywały się dancingi. Ale Rychu nie zamierzał tańczyć...

Godzina 20.40

Brygida wsiadła do samochodu i przekręciła klucz w stacyjce. Rozrusznik jęknął przeciągle i metalicznie, jak dusza potępiona wrzucona do kotła ze smołą.

– Coś mi się chyba psuje – powiedziała, zagryzając wargę. Czują, że być może wina auta to tylko część prawdy. – Tak niekiedy zapiszczy, jak dusza potępiona – dodała, a Mariusz pokiwał głową.

– Ten golf ma dość czuły rozrusznik.

– No wiem, przecież to słychać.

– I wystarczy tylko lekko przekręcić kluczyk...

– Przecież przekręcam.

– Za długo trzymasz – stwierdził. – Weź no rękę i daj mi...

Cofnęła dłoń, niezbyt przekonana.

– Wciśnij teraz pedał sprzęgła – polecił, a gdy oznajmiła, że już jest gotowa, przekręcił lekko kluczyk. Rozrusznik jęknął i zaraz potem silnik zaskoczył. – Widziałaś, jak to delikatnie zrobiłem?

– Też tak robię. Może masz większą wprawę. – Najwyraźniej nie chciała przyjąć oczywistej prawdy. Miała bardzo wysokie mniemanie o swoich umiejętnościach. Poza tym uważała, że bardzo dobrze prowadzi. W końcu miała prawo jazdy już ponad rok i w tym czasie pokonała samodzielnie kilka razy trasę z Opalenicy do Poznania. –

To dokąd jedziemy? – zapytała gotowa, by wrzucić jedynekę i pojechać nawet w najtrudniejszą z poznańskich ulic. O tej porze miasto było kompletnie puste. Mogła więc jeździć do woli, nie czując zagrożenia ze strony innych kierowców.

– Do hotelu Poznań. Ten taki jakby z dwóch wieżowców złożony. Wyjedziemy na Stalingradzką, a potem cały czas prosto. Zresztą ci pokażę.

– Chyba na Niepodległości – poprawiła go. Jeszcze nie zdążył przyzwyczać się do tych zmian, a Brygida mieszkająca w Opalenicy o nowych nazwach wiedziała więcej niż on.

Ruszyła ostrożnie, bez jakichś gwałtownych przyspieszeń. Po chwili auto dojechało do skrzyżowania z Libelta.

– Po co właściwie chcesz tam jechać? – zapytała po chwili.

Mariusz włączył radio. Z głośnika popłynęły takty piosenki *Dire Straits Calling Elvis*.

– To nic nadzwyczajnego. Dwaj goście, którzy popróbowali wymusić haracz na ajencie knajpy *Piccolo* na Starym Rynku, zeznali podczas przesłuchania, że faceci, którzy być może zajmują się wymuszaniem i obcinają palce swoim ofiarom, przesiadują codziennie w hotelu Poznań. – Powiedziawszy to, uśmiechnął się zadowolony.

Spojrzała na niego, marszcząc brwi. Na środku czoła, tuż nad nosem, pojawiła się bruzda świadcząca o tym, że nad czymś intensywnie się zastanawiała.

– Ty przebiegły niegodziwcze!

– Co? Skąd u ciebie takie słowa?

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– No bo to, co zamierzam zrobić, jest działaniem... no że tak powiem, trochę jakby pozasłużbowym.

– Jak pozasłużbowym?

– Bo nie jestem teraz na służbie, to po pierwsze. Nie zamierzam tam nikogo aresztować, to po drugie. A po trzecie, to nic pewnego. Powiedzieli tylko, że ci faceci tam przesiadują. Mam nawet ich pseudonimy, no i opisy wyglądu. Ale nie mam pewności, że to oni są tymi, których szukam.

– Których szukamy – rzuciła szybko Brygida. – Pamiętaj, że u mnie, pod Nowym Tomysłem, też był obcięty palec.

– To jeszcze nie znaczy...

– Mariusz, nie bądź dzieckiem! – weszła mu w słowo. – Ile obciętych palców znalazłeś w ciągu ostatniego roku. No powiedz mi ile?

– W zasadzie to niewiele.

– No właśnie! Nie ma takich przypadków.

– No dobra, tak właśnie myślę. Dlatego cię tam zabieram.

– Ha, a ja myślałam, że zaprosiłeś mnie na kolację!

– Obserwacja tych facetów nie wyklucza kolacji. Spędzimy wieczór w miłej atmosferze, a jednocześnie przyjrzymy się im

z pewnej odległości – wytłumaczył się, ale ona i tak wiedziała swoje. To było tylko zawodowe zaproszenie od kolegi z pracy.

Mariusz raczej nie był nią zainteresowany. Owszem, zachowywał się bardzo grzecznie i było nawet miło, ale nic więcej. Jaka byłam głupia, myślała, obserwując go kątem oka. Siedział zadumany, planując pewnie jakiś ruch, który może mu pomóc w zatrzymaniu tych bandziorów. A jej się przez chwilę wydawało, że to zaproszenie do knajpy może być zapowiedzią romantycznego wieczoru. Po zakupach w zasadzie chciała się już zbierać do domu, ale najpierw pojawił się ten podpułkownik, a potem Mariusz wyskoczył z tym zaproszeniem...

– W zasadzie pani prokurator może usłyszeć to, co mam do powiedzenia na temat twojego sąsiada. Tu nie ma żadnej tajemnicy – powiedział Markowski, popijając ostrożnie gorącą herbatę.

– Szczerze powiedziawszy, to sąsiedzi Mariusza nie bardzo mnie interesują.

– To zrozumiałe. – Oficer się uśmiechnął. – Nikt normalny nie zajmuje się sprawdzaniem sąsiadów. Ale w tym przypadku Mariusz miał po prostu nosa. Facet ma ciekawą przeszłość i wszystko wskazuje na to, że i jego teraźniejszość jest równie intrygująca.

– Czyli nie jest to kryształowa postać niepodległościowego działacza – domyślił się Blaszkowski.

– Był kryształowy, ale stał się... można by powiedzieć, że kryształowa postać zmieniła się w mętną kreaturę.

– Aż tak? – Mariusz poczuł niezbyt przyjemny dreszcz, który przeszedł mu po plecach. Miał przeczucie co do tego faceta, a teraz Markowski znalazł potwierdzenie.

– Facet wyjechał z Polski na początku lat osiemdziesiątych. Był wtedy pracownikiem wydziału nauk społecznych na Szamarzewie,

a oprócz tego działaczem opozycyjnym. Aresztowany za druk i kolportaż nielegalnej wówczas prasy podziemnej, dostał ultimatum: albo dwa lata w pudle, albo wyjazd za granicę. Wybrał wolność.

– Nie ma się co dziwić – odezwała się Brygida. – Wtedy wielu działaczy wyjeżdżało.

– Tak, to prawda. Ci najślabi zazwyczaj. Niektórzy nawet podpisywali zgodę na współpracę i wyjeżdżali.

– Jak zgodę? Przecież to bez sensu. – Zdumiony Mariusz spojrział na Markowskiego. Ten sięgnął po papierosy. Palił klubowe.

– No tak, to może wydawać się dość dziwne. Skoro wyjeżdżasz, to po co jeszcze ci współpraca z esbecją? Ale jeśli zobaczyłbyś, na jakich warunkach miałyby się ta współpraca odbywać, to od razu byś zrozumiał, w czym rzecz. A warunki były dość interesujące. Jedziesz na Zachód, szpiegujesz swoich kolegów z opozycji, piszesz raporty, a za to dostajesz pieniądze na życie i możesz nawet ściągnąć rodzinę.

– Czyli mógł ściągnąć rodzinę? – zdziwił się Blaszkowski.

– No tak, ale chyba nie bardzo chciał.

– Nie chciał. Tak przynajmniej twierdziła jego żona...

Brygida uważniej spojrzała na Mariusza. Nie wiedziała nic na temat jego związku z Wiktoria, ale widać coś zaczęło jej świtać w głowie. W końcu była prokuratorką, a podejrzliwość była wpisana w jej zawód.

– Znacie się z tą żoną? – zapytała.

– Trudno się nie znać, jak się mieszka drzwi w drzwi – rzucił Mariusz lekkim tonem. Od razu poczuł, że ona coś podejrzewa. Tylko jakie to ma znaczenie, skoro nie są parą? – pomyślał. – Mówiła, że ją zostawił i przestał się odzywać – zaczął jednak wyjaśniać, choć

nie zamierzał wchodzić w szczegóły. – Podobno wyjechał do Niemiec, a potem do Stanów. A teraz wrócił nagle... No więc postanowiłem go sprawdzić...

– I bardzo słusznie zrobiłeś – pochwalił go Markowski. – Bo ja znalazłem jego teczkę bez żadnych problemów, no i z niej dowiedziałem się, że nawiązał współpracę z SB i donosił regularnie na środowisko, w którym się kręcił. Na temat jego wyjazdu do USA nic nie wiem. Być może to jakaś ściema dla żony, żeby go nie szukała. Od wyjazdu z Polski siedział cały czas w Niemczech. Dlatego wpadłem też na pomysł, żeby go sprawdzić u Niemców. No i tu dostałem dość szybko odpowiedź od tamtejszej policji, że facet jest tam poszukiwany za działalność przestępczą. Ma na koncie kilka napadów na hurtownie i sklepy ze sprzętem elektronicznym. Prócz tego podejrzenie popełnienia czterech morderstw na gościach z konkurencji. On i jego kolesie rozwalili konkurencyjny gang, który działał na ich terenie. Zastrzelili z zimną krwią czterech Jugoli. Do tej jatki doszło kilka lat temu, a policja dopiero niedawno wpadła na to, kto stał za tą masakrą. Ponoć dostali informację z Polski, a dokładniej od kogoś z Poznania. Nie udało się jednak aresztować Łabędzkiego. Facet wyparował. Teraz mamy go u siebie.

– Czyli co z nim? Wsadzamy go? – Mariusz nie krył podniecenia. Gdyby mógł, poszedłby od razu do mieszkania naprzeciwko i aresztował faceta.

– Nie tak szybko. Najpierw go trochę poobserwujemy. Skoro jest tutaj, to musi mieć jakieś kontakty, może coś szykuje. No wiesz, w czym rzecz. Zdjęcie go od razu byłoby dużym błędem. Przyjrzymy mu się dokładnie. Zresztą już to robimy...

– A poza tym nie macie na niego nic, za co można byłoby go wsadzić w Polsce – domyśliła się Brygida.

– To prawda – zgodził się z nią Markowski. – Gość popełnił przestępstwa na terenie Niemiec, a u nas nic jeszcze nie wywnął.

– Niemcy mogą wystawić za nim list gończy – stwierdził Mariusz.
– Wtedy moglibyśmy...

– Nic nie możemy zrobić, nawet mając wiedzę o jego bandyckich wyczynach. – Markowski zrobił kwaśną minę. – Nie mamy z Niemcami umowy ekstradycyjnej.

– Czyli trzeba cierpliwie czekać, aż coś zmajstruje, za co moglibyśmy go aresztować – domyślił się Mariusz. – Mam nadzieję, że facet nie zdąży zbyt wiele namieszać...

– Nic się nie bój. Już ja się o to postaram. – Na twarzy szefa UOP-u pojawił się tajemniczy uśmiech. Mariusz zrozumiał, że ten chowa coś w zanadrzu, ale raczej nie powie mu w tej chwili, o co chodzi.

Golf zajechał pod hotel Poznań i po chwili zaparkował w rzędzie samochodów należących do gości. Brygida i Mariusz wyszli z auta i ruszyli w kierunku wejścia, osłonięci od deszczu czarną parasolką, którą on trzymał w ręku. Ona wsunęła swoją dłoń pod jego ramię. Wyglądali jak para, która przyszła do wykwintnej restauracji pobawić się wieczorem na dancingu. Podobno dancingi w tym hotelu należały do najlepszych w mieście.

Godzina 20.50

– Słuchaj, Wawrzyk, nie ma czasu do stracenia, bo inaczej z Rychem będzie dość kiepsko – stwierdził Olkiewicz, chwytając strażnika za guzik. Strażnicy w Banku Ziemijskim należącym do Grubińskiego nosili czarne uniformy, przypominające na pierwszy rzut oka milicyjne mundury. Krój bluz, tak zwanych olimpijek, był wypisz, wymaluj taki jak te noszone przez funkcjonariuszy MO, tyle

że ten kolor był jakby kolejarski. Nawet czapki były podobne do milicyjnych, a orzelki na nich różniły się tylko tym, że te z czasów PRL-u nie miały korony. Cała tajemnica tego podobieństwa była dość prosta. Na wyprzedaży w sklepie mundurowym Rychu kupił jak leci cały milicyjny towar, czyli spodnie, bluzy, koszule, majtki i podkoszulki. Zapłacił za to jakieś grosze, bo artykuły o przestarzałym kroju i fasonie powinny pójść na przemiał. On jednak jako człowiek praktyczny postanowił dać im drugie życie, ale żeby jego ludzie nie kojarzyli się zbyt mocno z milicją, kazał wszystko przefarbować na czarno.

W strażniku, który miał dzisiejszego wieczoru służbę w banku, Olkiewicz natychmiast rozpoznał starego znajomego z komisariatu Nowe Miasto.

– Ale ja nie mogę nic gadać. – Wawrzyk, dawniej starszy chorąży, a teraz strażnik bez stopnia, wzruszył ramionami.

– To nie jest tak, że nie możesz, chłopie, ale musisz, bo inaczej będzie źle – próbował go przekonać Teofil.

– Ty nie wiesz, ale my mieli tu kursy strażnicze, na których nam instrukcje przekazywał kapitan Brodziak. I on właśnie nam mówił, że tajemnica służbowa jest święta i z nikim o tym, co się dzieje w banku, gadać nie można. A już na pewno nie wolno nikomu mówić, gdzie jest prezes, jak on prywatnie jedzie do restauracji napić się wódki czy czegoś tam innego, na ten przykład piwa. I to właśnie jest tajemnica bankowa, której trzeba strzec jak samego swojego oka. Tak powiadał kapitan Brodziak.

– Miras już nie jest kapitanem, tylko komisarzem – poprawił go Teoś, który z trudem spamiętał te wszystkie nowe stopnie. Ale skoro już mu się to udało, to nie widział powodu, dla którego inni nie mieliby, tak samo jak on, się tego nauczyć.

– Niech se będzie nawet generałem, dość, że jak ja pracowałem jeszcze w milicji, to on był dla mnie kapitanem, a ty żeś był porucznikiem.

– Prawda, że skończyłem na poruczniku. I dlatego teraz jestem podkomisarzem. I kto wie, jak będę odchodził na emeryturę, to może i zrobią ze mnie generała, bo wysługę lat mam. Ale ty nie zostaniesz już nigdy starszym strażnikiem.

– A to czemu? – zdumiał się Wawrzyk, który czuł, że jako człowiek z poważnym stopniem w milicji tu też powinien być co najmniej kierownikiem zmiany, a nie zwykłym stróżem. Starał się więc, żeby doceniono jego zaangażowanie i ofiarność na służbie. Ale informowanie o tym, gdzie się znajduje jego szef, nie było najlepszym sposobem na awansowanie. Tak mu się przynajmniej w tej chwili wydawało. Dlatego postanowił, że z tym Olkiewiczem gadał nie będzie, bo mogą być z tego tylko kłopoty.

– Ano dlatego, że generałami zostają tacy, co to mają nosa i potrafią w odpowiedniej chwili zareagować na to, co się dzieje. A ty nie potrafisz, tak mi się zdaje...

– Ja nie potrafię? No ładne sobie. Ja już dawno zareagowałem na wszystko i powiem ci, że szef jest od tego, żeby se odpoczywać, jak ma na to chęci, a pracownik ochrony jest od tego, żeby go chronić przed tymi, co jemu chcą dupę zawracać.

– Słuchaj, Wawrzyk, mnie uważnie, bo nie będę więcej powtarzał. Ja tu na popierdółki nie przyszedłem i nie mam zamiaru tracić czasu na takiego lebiegę jak ty. Powiedz mi zaraz, gdzie jest Rychu, bo jak nie powiesz, to jutro się może okazać, że już nie masz szefa, a co za tym idzie roboty. Bo ja będę musiał zameldować prezesowi, że my go szukali w ważnej sprawie, w której na prezesa chcą się zamachnąć. A jak się zamachną, to prezesa już nie będzie. I wtedy zostaniesz,

chłopie, sam na sam z kapitanem Brodziakiem, któremu ja oczywiście jako mojemu koledze powiem, że żeś nie chciał powiedzieć, gdzie jest Grubiński, czyli że to przez ciebie prezes został zabity.

– Jak to? Kiedy został zabity?

– Jeszcze nie został zabity, ale zostanie, jak go nie uratujemy. I dlatego muszę...

– Łe no, jak mają prezesa zabić, to trzeba było tak od razu gadać, a nie coś tam nawijać jak makaron na uszy.

– Czyli gdzie on jest?

– Pojechał do hotelu Poznań, znaczy się Orbis Poznań, koło tego starego browaru. Wiesz gdzie?

– Co mam nie wiedzieć? Przecież ja z Poznania jestem. A to pewne, że on tam poszedł?

– Nie poszedł, ale pojechał. Ode mnie z dyżurki pan Tunio, wiesz, ten ze złotym umeblowaniem w papie, dzwonił do garażu, żeby Marian Opałka zachodził i brał auto, bo prezes po deszczu latał nie będzie.

– Opałka to ten z Wildy sierżant, co pracował na Chłapowskiego?

– Ten sam, nasz chłopak.

– No to przynajmniej tyle dobrego, że naszego człowieka ma przy sobie. Dobra, jadę tam, a ty, jakby się przypadkiem zjawił tu Brodziak...

– Mam nakazane powiedzieć dyrektorowi Brodziakowi, że szef oczekuje na niego w hotelowej restauracji.

Olkiewicz wyszedł z budynku i przebiegł na drugą stronę ulicy, tam gdzie stał zaparkowany policyjny radiowóz. W środku siedział

Marjański, gotowy, by wyruszyć do miejsca, które miał ustalić Olkiewicz.

Wracając z Kanałowej, Teofil postanowił wpaść na chwilę na komendę, żeby naradzić się z kimś, z kim mógłby przedyskutować to wszystko, czego dowiedział się od Matyjasika, ale w sobotni wieczór nikogo w wydziale już nie było. Jediną osobą, która jeszcze kończyła jakąś papierkową robotę, był literat Marjański. Gdy zobaczył Olkiewicza wchodzącego do biura, natychmiast schował swoje zapiski do szuflady. Teofil nie zwrócił jednak najmniejszej uwagi na ten rozpaczliwy gest ukrywania notatek, które mogły zdradzić, że ich właściciel pracuje nad kolejną powieścią kryminalną. Na razie nikt o tym nie wiedział i autor nie zamierzał się nikomu tym chwalić. W końcu ta pierwsza jego powieść nie została jak dotąd wydana, a i druga, którą napisał zaraz po tej pierwszej, też trafiła do szuflady. Obie opowiadały o ciężkiej służbie milicjantów, ale na nieszczęście milicja już się skończyła i nikt nie był zainteresowany czytaniem o dzielnych funkcjonariuszach MO. Za to ta nowa to miało być coś całkowicie innego, opowieść o policjantach, czyli ludziach bez skazy, broniących społeczeństwo przed bandytami napływającymi do nas z Zachodu. Na razie jeszcze nic nie napisał, bo pracował nad planem akcji. Tyle że mu trochę nie szło, bo nie miał głównego bohatera. A dokładniej to szukał kogoś, jakiejś autentycznej postaci, na której mógłby się oprzeć, by ukazać całą złożoność i znój policyjnej roboty...

– A ty, Maryjanek, sam tu tak se siedzisz? – zagadnął Teoś jakby od niechcienia.

– No sam sobie siedzę. A co, bo ja już po pracy jestem? Siedzę i mam jeszcze trochę do zrobienia. Zasadniczo to muszę dokończyć jedno sprawozdanie...

– Nie, to nie będę ci gitary zawracać. Ino chciałem się spytać...

– O co? No pytaj. Przecież wiesz, że jak trzeba, to na mnie zawsze możesz...

– Idzie o to... – Teoś nie czekał na dalsze wyjaśnienia. Trochę mu się śpieszyło, a musiał pogadać, bo nie miał pewności, czy to, co zamierza zrobić, nie okaże się działaniem wbrew regulaminowi. –

No o to, że powziętem informację o tym, że Grubego Rycha zamierzają kropnąć jedni goście.

– Jakiego Grubego Rycha?

– No tego kumpla Brodziaka. Przecież ty jego znasz. To jest prezes od tego banku, gdzie Brodziak zamierza zacząć robotę od przyszłego tygodnia.

– Ano tak. Gruby Rychu mnie trochę zmylił i dlatego... Bo on się nazywa Grubiński przecież. To stąd ta ksywa, jak się domyślam.

Teofil pokiwał głową, choć nie miał pojęcia, o czym gada Marjański. Jemu potrzebna była szybka porada, żeby potem ktoś mu nie zarzucił, że samodzielnie podjął złą decyzję. Lubił być kryty, dlatego spojrzawszy na komisarza, przyglądał mu się przez chwilę, chcąc się upewnić, że dokonuje właściwego wyboru. Nie upewnił się, bo gęba kolegi była taka jak zawsze, silna żuchwa, wydatny nos i dwa zakola na skroniach. Nie wyglądał na szczególnie mądrego, ale jak wiadomo, na bezrybiu i Marjański mógł uchodzić za dorsza.

– Więc mamy w aucie jednego gościa. Leży tam skuty i zakneblowany, bo ja nie wiem, czy mam go wsadzić do aresztu.

– Jak jest przestępcą, to...

– Ale on nie jest tu ważny, ino ważne jest to, co nam powiedział. A powiedział, że ludzie, z którymi współpracuje w handlowych sprawach, chcą sprzątnąć Grubińskiego. I dodatkowo mają to zrobić

jeszcze dzisiaj wieczorem albo w nocy. Nie wie dokładnie kiedy, dość, że ma informację, że jutro Grubińskiego ma już nie być między żywymi. No i normalnie to ja bym o tym powiedział Brodziakowi, a Miras, jak wiesz, z Grubińskim ma sztamę, i to on by jego przestrzegł w ogóle natychmianstowo. Ale Mirasa nigdzie nie ma, to ja muszę sam tego Rycha ostrzec. I dlatego się chciałem dowiedzieć, co ty o tym myślisz.

– Hmm! – Marjański dotknął palcem czubka nosa, pokazując w ten sposób, że bardzo intensywnie analizuje całą sytuację. – Hmm – powtórzył, a potem machnął ręką, jakby właśnie znalazł najważniejsze rozwiązanie. – Najlepiej by było zadzwonić do Freda Marcinkowskiego.

– Tyle to ja wiem, ale ja ciebie pytam.

– To według mnie trzeba Grubińskiego ostrzec.

– O właśnie. O to mi chodziło. To jadę.

– Poczekaj, pojedę z tobą.

– A po co?

– Nie wiem, mogę się przydać – powiedział Marjański i sam się zdziwił, że jest taki odważny. Nigdy by siebie samego nie posądzał o taki bezinteresowny heroizm.

– A co z tym gościem, co my jego mamy w aucie?

– Albo do aresztu, albo wywalić – doradził Marjański, choć nie miał pojęcia, podobnie jak Teofil, które rozwiązanie będzie lepsze. No to się go pozbyli z auta po drodze.

Radiowóz, żeby nie rzucał się w oczy, zaparkowali po drugiej stronie ulicy, tuż przy skrzyżowaniu z Półwiejską, przy sklepie sportowym z markową zagraniczną odzieżą. Nie chcieli robić

sensacji. Poszli pieszo, po drodze omawiając plan działań. Gdy dotarli do parkingu przed hotelem, żadnego planu nie udało im się stworzyć, więc postanowili, że nie mają innego wyjścia, jak tylko improwizować.

Godzina 21.00

Kelner Grzegorz Kalina był bardzo zadowolony. Ten wieczór mógł stanowczo uznać za udany, choć tak naprawdę jeszcze na dobre się nie rozkręcił. Ale mógł się spodziewać, że skoro tak dobrze się zaczął, to koniec będzie równie miły i sympatyczny, szczególnie dla jego kelnerskiej kieszeni. A wszystko dzięki swojej spostrzegawczości i czujności. Ponieważ w pewnym momencie, gdy akurat stał przy stoliku i przyjmował zamówienie od jakichś podpitych gości, coś, może jakaś siła nieznanego pochodzenia, magnetyczna moc płynąca zapewne wprost z kosmosu, kazała mu się odwrócić w lewo i spojrzeć ku drzwiom prowadzącym z hotelowego foyer. Popatrzył i zastygł na chwilę.

– Co pan tak stoisz jak pomnik Mickiewicza z odwróconą na bok głową? – zapytał brodaty facet z czerwonym nosem, w mocno poluzowanym bordowym krawacie.

– Ej, panie kelner, замуrowało pana? – Towarzyszka brodacza w wydekolowanej czarnej sukni z bufiastymi ramionami spróbowała pociągnąć go za rękaw, ale jej się nie udało, bo na przeszkodzie stanęła butelka oranżady. Potrącona flaszką przewróciła się i wychlapała zawartość do talerza z sałatką jarzynową.

– O, teraz będziemy mieć warzywa na oranżadzie – zauważył szczupły gość, który mimo okularów o dość grubych szklach

natychmiast dostrzegł, jakie skutki przyniósł ten niezręczny wypadek.

– Panie kelner, no weź pan coś zrób, bo... – Brodacz postawił butelkę, ale nie uchroniło to stolika przed oranżadowym potopem. Chwycił jeszcze papierosy, do których zbliżał się czerwony strumień, a jego kolega złapał butelkę wódki, tak na wszelki wypadek, bo jej nie groziło w żadnym wypadku rozcieńczenie.

– Weź no pan jaką ścierę! – warknął okularnik, ale adresat tego polecenia zniknął. Obaj mężczyźni spojrzeli tam, gdzie stał jeszcze przed chwilą kelner Kalina, który zdawać by się mogło, uległ kompletnej anihilacji. Zdumieli się, bo przecież kelnerzy w polskich restauracjach raczej nie rozplývają się w powietrzu przed podliczeniem rachunku. Później to zupełnie co innego, ale na samym początku? Zajęci ratowaniem stolika nie zauważyli, że kelner wskoczył na parkiet wprost w wirujący tłum, kręcący się w rytm wielkiego przeboju Mydełko Fa. Piosenkę Marka Kondrata wykonywał mniej utalentowany od słynnego aktora wokalista i gitarzysta w jednym, którego nazwiska nikt nie znał i raczej nikt z bawiących się na parkiecie poznać nie miał zamiaru. Głos miał lekko ochrypy, zapewne z powodu nadmiernej ilości wypalanych papierosów popijanych każdego dancingowego wieczoru zimną wódką gastronomiczną.

*Gdy się pojawiaasz na szklanym ekranie,
wizję zalewa czerwień twych ust.*

Jesteś najlepsza zdecydowanie

i z wszystkich dziewczyn największy masz biust.

Kelner przedarł się przez ludzką barierę i stanął przed postawnym brodatym gościem z zaczesanymi do tyłu włosami ułożonymi na żel.

Elegant miał na sobie dwurzędowy garnitur o srebrnych guzikach.

– Witam szanownego pana prezesa. Dawno pana nie było u nas. Bardzo się cieszę, że mogę panu zaoferować swoją pomoc. – Uśmiechnięty od ucha do ucha Kalina wskazał Grubińskiemu drogę. Na szczęście miał po przeciwnej stronie sali stół zarezerwowany telefonicznie przez jakichś gości, których nie znał i nic na ich temat nie wiedział. Szczęśliwie się złożyło, że jeszcze ich nie było, więc mógł posadzić tam prezesa. A tym, jak przyjdą i upomną się o rezerwację, powie się, że nastąpiła pomyłka i że nie można jej zrealizować z przyczyn niezależnych od lokalu.

– Dużo ludzi macie dzisiaj – stwierdził Grubiński, rozglądając się po sali.

– Jak to przy weekendzie, panie prezesie – zauważył kelner. – U nas tak zawsze w każdą sobotę. Poza tym orkiestra ładnie gra i same przeboje, to wiara wali drzwiami i oknami.

*Siabada, siabada, ty i ja,
mydełko Fa.*

*Siabada, ty i ja, ty i ja,
mydełko Fa.*

– Panie Kalina, od razu, żeby nie zapomnieć, daj pan butelkę zimnej wódeczki i dwa piwa Poznańskie – poprosił grzecznie Tunio, błyskając złotymi zębami, które skrzyły się w świetle lasera odbijającego się od wirującej pod sufitem szklanej kuli.

– Jasne, panie Tunio, zrobi się, co trzeba, a tu właśnie jest dla pana prezesa przyszykowany stół z perspektywą na całą salę, ale to pan może się na wszystko patrzeć, a ci, co na sali są, to już niekoniecznie mogą widzieć, co przy stoliku się dzieje, bo to dzięki temu stojakowi na kwiaty. O, proszę bardzo, pan siada. – Kelner

wskazał miejsce na miękkiej kanapie. Rychu usiadł, a Kalina zabrał ze stołu tabliczkę „Rezerwacja”.

– To był stolik zarezerwowany? – zapytał zdziwiony Grubiński.

– Głupstwo. – Kelner pokręcił głową. – My tu tak na wszelki wypadek rezerwujemy najlepszy stół dla niespodziewanego gościa.

– To dobrze wiedzieć, że w razie czego można tu wieczorem wpaść, jak się człowiek musi odprężyć po pracy.

– Zawsze do usług, panie prezesie.

– To przynieś pan tą wódeczkę – polecił Grubiński.

Kelner uśmiechnął się zadowolony, już licząc w głowie, jak uprzejmość wobec prezesa może przełożyć się na stan jego portfela. Wziął z bufetu zmrożoną flaszkę, włożył ją do wiaderka z lodem i postawił na tacy dwa kieliszki i dwie literatki do oranżady.

– Co to za gości masz tam przy czternastce? – zapytał bufetowy Rafał Mysior, mężczyzna w średnim wieku, o szczupłej twarzy ozdobionej idealnie przyciętym czarnym wąsem.

– Prezes Grubiński z Banku Ziemińskiego.

– Zaraz, ten prezes to on czasem nie był dawniej cinkciarzem?

– Ten sam – potwierdził Kalina. – Czuć go z daleka wielką kasą.

– I takiemu gościowi dajesz zwykłą wódkę?

– He, he! Nie znasz prezesa. To na rozgrzewkę. Najpierw zaczyna od zimnej wódeczki, a potem zobaczysz, co będzie zamawiał. Lepiej sprawdź, jakie łyśkacze masz w barze.

– Mam johnniego walkera i ballantine’asa – stwierdził z dumą Mysior.

– Łe, to ty idź lepiej do peweksu coś skombinuj więcej, bo ja ci powiadam, że najdroższa wódka dziś pójdzie.

Kalina włożył pod pachę dwie karty menu, zabrał tacę i poszedł do swoich specjalnych gości. Postawił tacę na stole, otworzył butelkę wódki i rozlał do dwóch kieliszków.

– Panie Tunio, pan poczekasz z toastem. Ja najpierw małego wypiję z panem Kaliną. No to, panie Grzesiu, nie odmówi pan?

Kalina spojrział na Grubińskiego, potem na Tunia, który przełknął ślinę, poruszając chudą grdyką. Już czuł smak tej wódki, ale musiał być posłuszny poleceniom szefa.

– To ja se kielonek przyniosę z bufetu – powiedział Tunio, wstał szybko od stołu i ruszył tam, skąd właśnie przyszedł kelner. Ten wziął kieliszek do ręki, uśmiechając się niepewnie. Toast wypity z klientem to zawsze było coś w rodzaju zobowiązania. Ale zobowiązanie wobec tego gościa musiało mu się opłacić, analizował sytuację, zastanawiając się, co się za tym kielichem kryje.

– No to zdrowie, panie Grzesiu – rzucił Grubiński. Wypili, a gość od razu napełnił kieliszki. – Pan se siądzie na chwilę.

Kelner zrobił tak, jak mu kazano. Rychu sięgnął do portfela i wydobył z niego dwadzieścia dolarów. Położył dwa banknoty na blacie i przesunął je w kierunku Kaliny. Ten wpatrywał się w zielone papierki jak w święty obrazek. Nic dziwnego, bo to był prawdziwy majątek w czasach rosnącej inflacji.

– Weź pan tą walutę, bo jeszcze wiatr zdmuchnie – zażartował Rychu.

Kelner natychmiast schował pieniądze.

*Lubię oglądać jedyną reklamę,
domek z Drewbudu, a w domku my.*

*Chcę taki domek i dużą wannę,
a w niej po prostu ja i ty.*

– Napiwek przed zamówieniem? – zapytał chłopak niepewnym głosem. Domyślił się, że musi za te pieniądze coś zrobić, i był gotowy na wszystko. Za te dolary zjadłby nawet flaki, których szczerze nienawidził od dzieciństwa, kiedy to ojciec kazał mu jeść to świństwo pod groźbą lania paskiem na gołą dupę.

– Wpłacisz se pan na domek z Drewbudu – wyjaśnił Rychu.

– Na domek nie wystarczy.

– Jak pan dobrze pokombinujesz, to kto wie. A tak w ogóle to mam pytanie, pan tu wszystkich chyba znasz?

– Oczywiście, panie prezesie. Taka praca, że lepiej się orientować, komu się podaje.

– To w takim razie musisz pan znać kilku gości, co to zjechali do Poznania niedawno i piją tu ponoć codziennie. Podobno groźnie wyglądają.

Kelner przez chwilę patrzył w swój pusty kieliszek. Znał tych ludzi, którzy biesiadowali tu od jakichś dwóch tygodni. Załatwiał dla nich różne sprawy związane z walutowymi geszeftami. Przede wszystkim wymieniał im marki i dolary na złotówki po kursie nieco lepszym od kantorowego. Dzięki temu co wieczór wpadało mu dodatkowo parę groszy czystego zarobku. A oprócz tego zostawiali całkiem godne napiwki. Przez chwilę zastanawiał się więc, co zyska, mówiąc Grubińskiemu o nich, a co może zyskać, jeśli by nic o nich nie powiedział. Wyszło mu, że przysługa zrobiona Grubińskiemu znacznie bardziej mu się opłaci niż lojalność wobec tych obcych, bądź co bądź, gości.

– To Niemcy – powiedział.

– Niemcy z Niemiec?

– Nie do końca. To Polacy, co mieszkali w Niemczech, a teraz wrócili i chcą tu robić interesy.

– Jakże?

– Mówią, że zajmują się ochroną różnych miejsc przed bandytami.

– Czyli trzeba im płacić za nic? – domyślił się Grubiński.

– My nie musimy. – Kelner wysunął dłoń przed siebie w obronnym geście. – My jesteśmy orbisowska restauracja, znaczy państwowa firma, to jakby chcieli, musieliby się dogadać z Warszawą.

– Są tu dzisiaj?

– Są. – Kelner pokiwał głową. – Dziś na razie tylko ich szef i jeszcze jakiś gość, co z nimi współpracuje, bo ma warsztat samochodowy. Ale reszta pewnie ma jakąś robotę, a potem dołączy.

– Którzy to?

– Tam siedzą w kącie. Widzi pan tego wielkiego gościa?

Rychu się obejrzał. Przez kilka sekund patrzył, mrużąc przy tym oczy. Cholera, trzeba było wziąć okulary, pomyślał.

– Co za ciekawe spotkanie, panie prezesie – usłyszał naraz głos Tunia, który siadał właśnie przy stoliku. Postawił przed sobą kieliszek i sięgnął po butelkę.

– Co? – odpowiedział Rychu, wpatrując się w dwóch facetów siedzących po drugiej stronie sali.

– No tam, gdzie pan się patrzy, mówię, że to przecież tam siedzi nasz znajomy inżynier Waligórski.

– Waligóra – poprawił go prezes.

– No to on jest, ale tego drugiego, grubego, to ja nie znam.

Rychu przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w tę drugą postać, a potem wskazał palcem kelnera.

– Panie Grzesiu, idź no pan do baru, nalej do kieliszka od wina soku pomidorowego. Macie sok pomidorowy?

– Mamy, oczywiście pudliszki w puszkach...

– I zanieś pan ten sok temu wielkiemu gościowi. A jak się zapyta, co to jest, to powiedz mu, że ukłony przesyła mu z sokiem Gruby Rychu z Aschaffenburga. Zapamiętasz pan?

– Co nie mam zapamiętać, panie prezesie. Jasne, że tak. Przecież ten tam, co na niego mówią Profesor, sam ciągle gada, że oni tu z Aschaffenburga przyjechali.

– O, to pan prezes go zna? – ucieszył się Tunio.

– Znam, panie Tunio, znam – potwierdził Grubiński, a w jego głosie dało się słyszeć jakąś złowieszczą nutę.

Godzina 21.10

Mirek zapalił kolejnego papierosa, pociągnął kilka razy i strzepnął popiół do popielniczki. Była niemal po brzegi wypełniona niedopałkami. Gdy brał samochód z warsztatu Waligóry, auto pachniało nowością, a w popielniczce nie było ani jednego peta. To znaczy, że to wszystko, co było teraz w środku, to jego sprawka. Tylko co innego miał robić, jeśli cały dzień siedział za kierownicą i obserwował, co dzieje się obok niego? A to, co zobaczył, było co najmniej dziwne, wręcz niepokojące. Nie miał jeszcze pewności, o co w tym wszystkim chodzi, dlatego postanowił, że na razie, tak długo, jak to możliwe, będzie się wszystkiemu przyglądał. Pozostanie tylko obserwatorem i włączy się dopiero wtedy, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Przyjechał pod hotel Poznań za volkswagenem transporterem, w którym jechało trzech łysych gości w skórach i dresach i jeden w garniturze. Ten gruby wysiadł pod drzwiami hotelowymi, a reszta facetów pojechała na parking. Ustawili busa w pierwszym rzędzie aut, z którego mogli bez przeszkód obserwować wejście do hotelu. Auto Mirka stało nieco z boku. On sam nie był widoczny, ale widział i volkswagena z facetami, i drzwi. Wszystko wyglądało tak, jakby ten gość w garniturze szedł na oficjalne spotkanie, a ci łysole mieli go ubezpieczać. Gdy Brodziak zastanawiał się, z kim ma się spotkać ten gruby, zobaczył, jak na parking wjeżdża popielaty mercedes. Od razu rozpoznał siedzącego za kierownicą Waligórę. Szybko pochylił się, żeby mechanik go nie dostrzegł. Nie zauważył go, mimo że stanął jakieś trzy miejsca dalej. Inżynier wyszedł z samochodu, zamknął drzwi kluczem i ruszył w kierunku wejścia.

To znaczy, że ci dwaj spotkali się w jakichś sprawach w mieszkaniu Blachy, a teraz mieli dokończyć interesy i opić je w hotelu. A może wcale nie spotykali się z Blaszkowskim? Może to kompletny przypadek, że ci ludzie wchodzili do tej samej klatki schodowej? Przecież w tym budynku jest jeszcze dziesięć innych mieszkań. Blacha nie musiał mieć z tym ich spotkaniem nic wspólnego. Miał własne sprawy na głowie, chociażby takie przyjemne jak ta prokuratorka. Swoją drogą, niezła z niej sztuka. Zdaje się, że Blacha ją poderwał, ale nikomu nie pochwalił się taką piękną zdobyczą. Wszyscy w wydziale myśleli, że nic z niego nie będzie, a niektórzy wysnuwali nawet teorie, że być może Blaszkowski woli chłopaków, skoro nikt nigdy nie widział go z żadną dziewczyną. A tu proszę, niby taki grzeczny Mariuszek, a najładniejsza babka z prokuratury została przez niego zbałamucona. Cicha woda brzegi rwie, przypomniało mu się znane porzekadło i uśmiechnął się na myśl o tym chłopaku, który był jego

policyjnym odkryciem. Teraz, gdy on odejdzie z wydziału, Blacha będzie musiał go zastąpić. Ale kto jak kto, on na pewno sobie poradzi.

Znów sięgnął po papierosa i wtedy okazało się, że paczka jest pusta. Na szczęście kupił w kiosku kilka na zapas i wrzucił je do schowka w desce rozdzielczej. Otworzył go. Paczki papierosów leżały na pistolecie Beretta. Wyciągnął go i chwilę potrzymał w dłoni, by odłożyć go na podłogę. W ten sposób miał broń pod ręką, a nie dało się jej zauważyć z zewnątrz. Wydobył też paczkę cameli i zaczął zaraz zrywać folię. Rozdarł pudełko i wyciągnął papierosa. Wtedy jego spojrzenie przesunęło się z pudełka na przednią szybę i to, co się za nią działo. Mariusz z dziewczyną, która trzymała go pod rękę, przemknęli tuż przed maską jego auta. Zajęci rozmową, roześmiani, nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi. W pierwszej chwili chciał wyskoczyć z samochodu i ich zatrzymać... Ale nie wyskoczył. Trwał nieruchomo w aucie z niezapalonym papierosem w zębach.

Przecież to, do cholery, nie mógł być przypadek! Blacha kierował się do hotelowych drzwi. Razem z prokuratorką zmierzali tam, gdzie wszedł ten gruby gość, a potem mechanik Waligóra. To znaczy, że wszyscy czworo się ze sobą umówili. Czyli prowadzili wspólne interesy. Mariusz dał się wciągnąć w jakąś lewiznę, a do tego ta kobieta. To pewnie ona namówiła go na jakiś przekręt, a ten cymbał się na to zgodził. Młody niedoświadczony idiota dał się omamić. Pewnie nie chodziło o forszę, bo Blacha nigdy nie przejawiał nadmiernej potrzeby posiadania jakichś wyszukanych dóbr. Więc musiał zostać usidlony przez tę piękną prokuratorską modliszkę, która go wykorzysta, a na koniec odgryzie mu łeb. Trzeba tego kretyna ratować. Tylko jak? Ma tam wejść i rozgonić towarzystwo? Nie, musi się przyjrzeć z daleka i sprawdzić, co tam się dzieje. Wejdzie, wmiesza się w tłum i będzie obserwował...

Rychu! Jeszcze tego brakowało. Skąd on się tu wziął? Siedzi w mercedesie prowadzonym przez Mariana. O, i jeszcze Tunio Ząbek jedzie z przodu. Na śmierć zapomniał. Przecież umówił się z Rychem, że pójdą razem do hotelu Poznań. Ale nie miał czasu zawracać sobie głowy tym spotkaniem, skoro tyle się tu działo. No i teraz jego kumpel wejdzie prosto na to całe towarzystwo, które siedzi w knajpie. Spojrzał w lewo. Ci w volkswagenie transporterze nadal tam siedzieli. Widać było ich twarze w blasku papierosowego żaru. Rychu wysiadł z auta i wraz z Tuniem weszli do hotelu. Marian zjechał z podjazdu i pojechał na parking. Zatrzymał się w następnym rzędzie, zgasił silnik i natychmiast zapalił papierosa.

Dobrze, że jest Marian, pomyślał, bo to człowiek, któremu może zaufać. Zostawi go na warcie. Powie mu, żeby zwrócił uwagę na tych facetów z mikrobusu. Sam pójdzie na górę i powie Rychowi, że coś tu się szykuje. Tylko tego, co się działo, sam do końca nie był pewny.

Wyszedł z auta i ruszył w kierunku mercedesa.

– Miras, ja cię chrzanię! – usłyszał głos, który natychmiast rozpoznał. Teoś Olkiewicz stał na środku parkingu w swoim szarym płaszczu Burberry z podniesionym kołnierzem i w berecie na głowie. Obok niego Marjański i jeszcze ten młody Mazurek. Zmoknięci wyglądali jak proszalne dziady.

– A wy co tu robicie? – odpowiedział, zdumiony ich widokiem.

– A niech że cię jasna cholera, Miras. My cię wszyscy szukamy, bo się dzieje tyle, że aż strach.

– Chłopaki, z nieba mi żeście spadli. Chodźcie, nie ma czasu do stracenia.

Poszedł w kierunku mercedesa należącego do banku. Marian na jego widok otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz.

– Panie kapitanie, pan Rychu...

– Wejź do środka, bo przemokniesz. Wy siadajcie do tyłu. – Wskazał miejsce swoim kolegom, a oni, nie zadając zbędnych pytań, wykonali polecenie.

– Panie Marianie, to moi koledzy z komendy...

– Ja znam wszystkich, oprócz młodego.

– Czołem, Marian. – Teofil podał rękę kierowcy. – Czy ty jeszcze robisz w firmie?

– Marian jest kierowcą Rycha Grubińskiego – wyjaśnił Mirek.

Usłyszawszy to nazwisko, Teofil zrobił zdumioną minę.

– Jego chcą odstrzelić – powiedział szybko, jakby się bał, że coś pokręci.

– Rycha?

– No. Dlatego my właśnie tu przyszli, żeby jego ostrzec, co nie, Maryjanek?

– No właśnie, że Teofil był na komendzie i...

– Kto go chce załatwić?

– Ci goście, co wymuszają pieniądze od restauratorów – wyjaśnił Olkiewicz.

Mirek nie musiał się długo zastanawiać nad tym, co zrobić. Był w swoim żywiole. Błyskawicznie podjął decyzję.

– Teofil i Maryjanek wchodzi do hotelu i idą na salę dancingową. Po cichu idziecie do Rycha i mówicie mu, że musi wyjść. Wyprowadzacie go przez zaplecze na tyły hotelu. Gdzie macie samochód?

– Przy Półwiejskiej stoi radiowóz – wyjaśnił Mazurek.

– Idziesz po auto i podjeżdżasz za chwilę od przodu z włączonym kogutem, ale nic nie robisz, tylko siedzisz, a kogut się obraca.

Chodzi o to, żeby zablokować drzwi do hotelu. Marian jedzie do tylnego wyjścia, od strony teatru. Tam czekasz, aż Teofil i Maryjanek wyprowadzą Rycha. Wsiadacie do mercedesa i odwozicie go do banku.

– A ty? – zapytał Teoś.

– Ja będę ubezpieczał od tej strony. W transporterze siedzi trzech gości, którzy najprawdopodobniej są uzbrojeni. Być może to oni mają za zadanie odstrzelenie Rycha, gdy będzie wychodził. Więc idzie o to, żeby Rychu za nic w świecie nie pojawił się w tych drzwiach. – Wskazał wejście do hotelu.

– Jest ich trzech? – zapytał Marjański. – Za dużo jak na ciebie jednego. Potrzebujesz pomocy. Niech Teofil idzie sam do knajpy, a ja zostanę z tobą. – Powiedział to w taki sposób, że Mirka zatkało. Widać było, że podjął ostateczną decyzję i nie zamierza dyskutować na jej temat, co w jego wypadku było dość dziwne, bo zazwyczaj starał się trzymać z daleka od wszelkich awantur.

– Wszyscy wiedzą, co mają robić? – zapytał Brodziak. Nikt się nie odezwał. Wszyscy przyjęli wytyczne bez sprzeciwu. – Jeszcze jedno, w środku jest Blacha z taką ładną prokuratorką. Nie wiem, po co tam przylazł, ale myślę, że mógł wplątać się w jakieś kłopoty. Kilka godzin temu spotkał się z dwoma facetami, jeden to niejaki Waligóra, który prowadzi dla Rycha zakład autonaprawczy, a drugi to niejaki Łabędzki, facet, który przyjechał z Niemiec. I najlepsze jest to, że jego auto, volkswagena transportera, widziano na tym parkingu, na którym zabito dwóch ludzi Rycha. Sprawdziłem, numery się zgadzają.

– Blacha by się kontaktował z bandziorami? – zdumiał się Marjański. – Nie, to niemożliwe. Nigdy by nie zdradził.

– No, chyba że chce ich aresztować – stwierdził zdecydowanym tonem Teofil. – Może działa pod pokrywką?

– W każdym razie uważajcie, żeby Blacha się tam gdzieś nie zaplątał pod nogi.

– Już ja go przypilnuję – potwierdził Teofil i klepnął się w udo zadowolony.

– W takim razie do roboty. Po wszystkim spotykamy się w banku na placu Wolności – zarządził Brodziak. Spojrzał jeszcze raz na swoich ludzi, po czym uśmiechnął się, szczerząc zęby. Był najwyraźniej w swoim żywiole. Tylko Marjański czuł się trochę nieswojo. Zdecydowanie wolał swoje biurko. Jednak pomyślał, że dzięki znalezieniu się w samym oku cyklonu w zasadzie ma przed sobą wyłożony niemal na blacie biurka materiał na najnowszą książkę o wierności, służbie i zdradzie, która czała się na każdym kroku, rozdzielając najtrwalsze przyjaźnie. I ta zdrada właśnie podsunęła mu pomysł na tytuł, a jeśli się ma dobry tytuł, to wiadomo, że właściwie wystarczy już tylko do niego dopisać książkę i po robocie. Postanowił, że jego najnowszy kryminał będzie nosił tytuł *Pocałunek Judasza*.

Rozdział XI

Godzina 21.30

– A ten co tu robi? – Rychu dostrzegł naraz, że od stolika pod oknem wstaje szczupły wysoki brunet i idzie w jego kierunku. Mariusz Blaszkowski nie zauważył Grubińskiego, zajęty najwyraźniej własnymi myślami. Na jego twarzy pojawił się jakiś dziwny wyraz determinacji.

Muzyka płynęła z magnetofonu, bo orkiestra miała przerwę. Członkowie zespołu siedzieli w kącie obok niewielkiej sceny, pili wódkę, zagryzali mielonymi na zimno i popijali oranżadą. Im też należała się chwila relaksu. Ich miejsce zajął zespół Republika z Grzegorzem Ciechowskim na czele, który szukał właśnie swoich przyjaciół. Rychu pomyślał, że jemu też przydałoby się w tej chwili przyjaciele, a w szczególności jeden, Mirek Brodziak, który gdzieś się zawieruszył. Może cholernik pokłócił się znowu z Marzeną i odreagowywał awanturę, pijąc na umór? Takie sytuacje zdarzały mu się od czasu do czasu. Pił tak długo, aż w końcu Rychu znajdował go w jakiejś knajpie, zabierał do domu i robił szybką kurację antyalkoholową. Miał nawet w swojej domowej apteczce przygotowane na wszelki wypadek zastrzyki z glukozą, którą trzeba było podać dożylnie. To najczęściej stawiało na nogi zapijaczzonego delikwenta, który po odespaniu kilkunastu godzin budził się zdrowy i wypoczęty.

Gdyby go miał teraz przy sobie, mógłby szybko zakończyć sprawę i niewyrównane rachunki z tym gościem, który siedział przy stoliku

obok jego pracownika, inżyniera Waligóry. Profesor, przed którym stał kieliszek z czerwonym jak krew sokiem pomidorowym, spoglądał w stronę Rycha i uśmiechał się lekko pod nosem. Grubiński znał ten uśmiech. Pamiętał go doskonale z czasów, kiedy współpracowali w Aschaffenburgu, w Niemczech.

Poznali się przypadkiem i jakoś tak się złożyło, że zaczęli robić ze sobą drobne interesy i handlować sprzętem elektronicznym. Profesor był współwłaścicielem hurtowni, a Rychu wraz z kilkoma Jugolami dostarczał towar kradziony w sklepach z elektroniką. Metoda kradzieży była banalnie prosta. Złodzieje wjeżdżali do sklepu rozpędzoną ciężarówką, pakowali cały towar, który wpadł im w ręce, i po kilku minutach uciekali, zanim na miejscu zdążyła pojawić się policja. Fanty trafiały do hurtowni, którą Profesor prowadził wraz ze swoim jugolskim współnikiem, Zdrawkiem Stefanoviciem.

Po kilku miesiącach tej bardzo opłacalnej działalności coś zaczęło się psuć. Oni dostarczali towar zgodnie z umową, a hurtownicy zaczęli zalegać z zapłatą. Płacili nieregularnie i, co gorsza, zaniżali wartość odebranego towaru. W końcu okazało się, że paserzy są im winni prawie sto tysięcy marek. Złodzieje i paserzy umówili się na spotkanie, podczas którego mieli wynegocjować jakiś kompromis. Rychu nie chciał się zgodzić na te negocjacje. Uważał, że z oszustami nie ma co gadać. Chciał, żeby zwrócili im cały dług, a potem się rozstali. Tym bardziej że miał pewne podejrzenia.

Któregoś dnia zobaczył Profesora, jak ten nad ranem wychodzi z kasyna w pobliskim Frankfurcie. Facet wyklócał się z obsługą i właściwie został przez bramkarzy wyniesiony i wyrzucony. Rychu jechał z nocnej obserwacji sklepów, które można obrobić, i naraz dostrzegł znajomą sylwetkę. Profesor dostał kopa od jednego z ochroniarzy i potoczył się na ulicę. Grubiński zatrzymał swoje auto. Podeszedł do leżącego i pomógł mu wstać.

– Co, kurwa, chcesz ode mnie? – warknął Profesor po polsku.

– Wstawaj, zawiozę cię...

Usłyszawszy ojczystrą mowę, Profesor spojrział zdziwiony na Rycha. Przez chwilę mu się przyglądał, a potem na jego twarzy pojawił się szeroki, typowo pijacki uśmiech.

– A, to ty! – Rozpoznał w nim znajomego i to go wyraźnie ucieszyło. – Te chuje zapłacą mi za wszystko! – warknął, wskazując drzwi do kasyna. – Jebane niemieckie skurwysyny.

– Za co zapłacą?

– Oszukali mnie. Rozumiesz, że te hitlersyny mnie oszukali i zajebali mi kasę. Pięć tysięcy marek, wszystko poszło się jebać. Oni mają system. Najpierw człowiek wygrywa. Czyli że robią podpuchę, a potem... – Machnął ręką. – Szkoda gadać, ale ja im jeszcze pokażę.

– Co im pokażesz?

– Zajebię ich wszystkich. W szczególności tego rudego esesmana. – Wskazał na krótko obciętego osiłka, ubranego w białą koszulę, spiętą muszką na szyi. – Nie wiedzą, jebani faszyci, z kim zadarli. Ale się kurwy niemieckie przekonają, że wojna z Polską to wojna totalna! A my, Polacy, nie bierzemy jeńców.

Rychu wsadził go do samochodu i odwiózł do domu. Nigdy później nie rozmawiali o tym zajściu pod kasynem. Grubiński nie chciał do tego wracać, bo było mu niezręcznie, a Profesor, kto wie, może wcale o tym nie pamiętał. Przecież często się zdarza, że ludzie po alkoholu nie wiedzą, co robili dzień wcześniej. Wtedy zrozumiał, że ten facet może mieć problem. Być może gra nałogowo w kasynie i traci pieniądze, jak to mają w zwyczaju hazardziści.

Kilka dni później we „Frankfurter Allgemeine Zeitung” Rychu wyczytał informację o tym, że znaleziono zwłoki Gustawa Fischera,

który był krupierem w Casino Merkur przy Kaiserstraße. W rubryce kryminalnej pisano też o tym, że przed śmiercią krupierowi obcięto wskazujący palec. Opublikowano również zdjęcie zamordowanego mężczyzny. Rychu poznał go natychmiast, bo od czasu do czasu bywał w tym kasynie. Przez głowę przeleciała mu myśl, że to może być zemsta Profesora, który przecież odgrażał się, że załatwi krupiera. Ale nawet jeśli tak się stało, to nie była przecież jego sprawa.

Gdy po jakimś czasie zaczęły się pojawiać problemy z płatnościami i tak zwane zatory, Rychu doszedł do wniosku, że powodem może być hazard. Powiedział o tym swojemu przyjacielowi Michajlowi, Chorwatowi z Dubrownika, z którym wspólnie prowadzili złodziejskie przedsiębiorstwo.

– Oni chcą gadać – rzucił Michajlo. – Zdrawko jest Chorwatem, więc muszę dać mu szansę na rozmowę. Nie wiem, czy on wie, że ten Polak – spojrzał na Rycha i się uśmiechnął – ten Profesor, gra w kasynie. Może nie ma o tym pojęcia i trzeba mu otworzyć oczy. Porozmawiamy jak ziomkowie.

– Jak uważasz, ale mi coś w tym wszystkim śmierdzi – rzucił Rychu, który zawsze był podejrzliwy. Przede wszystkim nie ufał ludziom, którzy nie dotrzymywali słowa w interesach.

– Nic się nie przejmuj. Jak nie chcesz jechać, to nie. My sobie wszystko wyjaśniamy i w razie czego powiemy im, że jeśli nie oddadzą nam pieniędzy, to przestajemy dla nich robić, a po drugie wyciągniemy im forszę z gardła.

Hurtownik Zdrawko, krajan Michajla, zaprosił ich wszystkich na spotkanie w podmiejskim motelu dla omówienia kwestii rozliczeń. Rychu wybrał salomonowe rozwiązanie. Nie poszedł na rozmowy, ale postanowił się wybrać na imprezę po zakończeniu negocjacji.

Uznał, że warto się napić i dowiedzieć, co ustalili. Gdy przyjechał o drugiej w nocy, pod motelem stały policyjne samochody z włączonymi kogutami na dachach i karetki pogotowia. Wszędzie kręcili się policjanci i przypadkowi ludzie, którzy, jak zwykle w takich wypadkach, chcieli dowiedzieć się jak najwięcej o tym, co się tam wydarzyło, żeby móc potem opowiadać o tym rodzinie i znajomym.

– Co tam się stało? – zapytał Rychu jakiegoś łysego gościa w okularach, który stał tuż przy żółtej policyjnej taśmie.

– Rzeźnia numer pięć, panie szanowny.

– Że co?

– Czterech Jugoli zamordowanych. Każdy z odstrzelonym łbem. Najechało się tu do nas tego słowiańskiego robactwa i teraz się zabijają. Niech do siebie jadą się mordować...

Rychu nie słuchał dalej. Przeszedł pod taśmą i podszedł do karetki, która czekała na załadunek, bo tylne drzwi miała szeroko otwarte. Wskoczył do środka i się rozejrzał. Na wieszaku wisiał lekarski fartuch. Założył go. W kieszeni był stetoskop, więc jak prawdziwy lekarz owinał go wokół szyi. Tak ubrany pewnym krokiem wszedł do motelu. Nikt nie zwrócił uwagi na kręcącego się tam lekarza. Nawet nie musiał specjalnie się wysilać, żeby znaleźć miejsce, którego szukał. Na korytarzu było pełno policjantów. Drzwi do jednego z pokoi były otwarte. Zobaczył leżące na podłodze zakrwawione ciała, przewracane krzesła i zastawiony butelkami i talerzami stół. Na białym obrusie nietknięta szklanka soku pomidorowego...

Następnego dnia Rychu odwiedził hurtownię. Na jego widok Zdrawko chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył. Kula z walthera przebiła mu czoło i wyszła z tyłu głowy, rozpryskując krew na białej

ścianie. Profesora nigdzie nie było. Szukał go bezskutecznie przez kilka kolejnych dni, w końcu musiał się sam ewakuować.

I teraz ten facet, który winny był śmierci czterech jego kumpli i który z zimną krwią zastrzeliłby też i jego, gdyby przyszedł wtedy na spotkanie, siedział przy stoliku i bezczelnie patrzył mu w oczy. Dlatego Rychu postanowił, że nim ostatecznie wyrówna z nim rachunki, najpierw splunie mu w gębę. Tyle że ten Blaszkowski, nie wiedzieć dlaczego, szedł teraz w stronę Profesora...

– To czego pan prezes sobie życzy do jedzenia? – Z zamyślenia wyrwał go głos kelnera Kaliny. – Masz pan na coś w szczególności ochotę? – zapytał Tunia. Ten uśmiechnął się i jego dwa złote zęby zamigotały odbitym światłem stroboskopu.

– Ochotę mam na to, co pan prezes se zażyczy – stwierdził.

– Ja wiem, co chcę, a pan masz prawo do wyboru – mruknął Rychu. Tunio zrozumiał, że ma szansę niepowtarzalną i wyjątkową.

– Poproszę ajerkoniaczek.

Rychu zmarszczył nos, ale nie skomentował.

– Ale oprócz tego, panie Kalina szanowny, daj pan to, co tam macie najlepszego – zaordynował. – Oczywiście, że ja mówię o jedzeniu, bo przy picciu pozostanę na razie przy wódeczce gastronomicznej.

– Będzie pan prezes zadowolony – rzucił wyraźnie uradowany kelner i poszedł do kuchni składać zamówienie. Oczyma wyobraźni widział już kolejny napiwek w pięknych zielonych papierkach.

– Czego tu chcesz, zomowcu pierdolony? – zapytał Łabędzki, spoglądając spode łba na Blaszkowskiego.

– Chciałem pogadać – odpowiedział Mariusz, odsuwając krzesło i siadając naprzeciwko.

– Tu jest zajęte – rzucił szybko nieznany Mariuszowi facet, który siedział obok grubasa.

– Dobra, daj spokój, inżynierze – powstrzymał go Łabędzki. – Czego chcesz, śmieciu?

– Widzę, że nastawili ci rękę.

– Jest na tyle sprawna, żeby dać ci po ryju.

– Już raz miałeś szansę, ale ci nie wyszło.

– Chcesz spróbować teraz? – zapytał drwiącym tonem grubas.

– Nie mam zamiaru się z tobą bić, choć uważam, że jesteś draniem i kanalią. Nie masz zdolności honorowych, śmieciu.

– Ha, ha, ha! – Łabędzki złapał się za brzuch, jakby się bał, że ze śmiechu mu się rozpadnie. – Zomowiec gada o honorze? Czegoś tak zabawnego jeszcze w życiu nie słyszałem.

– Śmieję się, śmieję, gnoju, bo niewiele ci czasu już zostało.

– Co? Gadaj, czego chcesz, i spierdalaj.

– Chciałem tylko spojrzeć na ciebie z bliska i...

– Już go aresztowałeś, Blacha? – usłyszał za sobą znajomy głos. Odwrócił się. Tuż za jego plecami stał Rychu Grubiński. Jego się tu nie spodziewał. Czyżby to Grubiński był szefem gangu obcinaczy palców? Nie, kompletna bzdura. To nie ta branża. Grubiński był bankierem z cinkciarską przeszłością i na pewno nie był rzezimieszkiem. Musiał tu być przypadkowo. Zobaczył go i podszedł, żeby się przywitać. Ale zaraz, dlaczego powiedział „Już go aresztowałeś?”?

– Kogo? – zapytał.

– Jak kogo? Tego gnoja, co przyjechał z Niemiec, żeby się teraz urządzać w nowej Polsce.

– To jest Łabędzki – wyjaśnił Mariusz. – Był działaczem Solidarności... – Nie mógł przecież powiedzieć, że facet jest w Niemczech poszukiwany listem gończym. Ale Rychu coś wiedział na jego temat i to było całkiem ciekawe.

– To jest człowiek, z którym lepiej nie siedzieć przy stoliku, bo nigdy nie wiadomo, czy ci nie strzeli w plecy.

– Dobrze cię widzieć, Rychu – rzucił Łabędzki drwiącym tonem. – Nic się nie zmieniłeś.

– Ja może i nie, ale świat się zmienił. A po tym zmienionym świecie takie kanalie jak ty nie mają prawa chodzić. A pan, panie Waligóra... Niestety, zawiodłem się na panu. I dobra rada, raczej nie powinien się pan z nim zadawać, bo znajomość z tym szcurem nikomu jeszcze nie przyniosła niczego dobrego.

– Tobie też niczego dobrego nie przyniesie – rzucił Łabędzki.

– Taki jesteś pewny? To się niedługo okaże. – Powiedziawszy to, Rychu odwrócił się i odszedł wolnym krokiem, jak rewolwerowiec, który wyzwał właśnie na pojedynek swojego śmiertelnego wroga.

Przy stoliku zapadła cisza. Przerwał ją Mariusz, odsuwając głośno krzesło.

– Myślę, że jeszcze się zobaczymy – rzucił na odchodnym.

– Czekam z niecierpliwością – odpowiedział Łabędzki. Waligóra też się podniósł.

– Ja też już będę się zbierać – powiedział inżynier, a Blaszkowski dostrzegł porozumiewawcze spojrzenie, przykryte zmrużeniem oczu,

które było jak zgoda przełożonego na odmeldowanie się podwładnego.

Błaszkowski wrócił do swojego stolika, gdzie czekała na niego Brygida.

– Miałeś tylko iść do ubikacji – powiedziała z wyrzutem, taksując go sondującym spojrzeniem.

– Spotkałem starego znajomego.

– Chyba niejednego.

– Tak, zaraz ci wszystko powiem, ale... – Naraz dostrzegł coś bardzo dziwnego. Przez parkiet pomiędzy tańczącymi przeciskał się Olkiewicz. Teofil parł jak lodołamacz przez skute morze, rozgarniał na boki tańczące pary i płynął prosto do celu po drugiej stronie sali. W końcu przebił się przez ludzką ścianę i wpłynąwszy na spokojne wody, zatrzymał się, rozejrzał wokół, jakby chciał sprawdzić, czy nikt go przypadkiem nie obserwuje, a potem strzepał niewidoczny pyłek ze swojego szarego płaszcza i powoli podszedł do stolika, przy którym siedział Tunio Ząbek.

– Brydzia, wybacz. Muszę na sekundę tam podejść. – Powiedziawszy to, Mariusz wskazał stół, przy którym zatrzymał się Olkiewicz.

– Co się stało? – zapytała, niezbyt zadowolona.

– Cholera, mam wrażenie, że coś jest nie tak.

– Co?

– Jeszcze nie wiem, ale widzę tu Olkiewicza, tego kolegę z mojego wydziału. Mówiłem ci o nim. To ten, który z tobą rozmawiał przez telefon.

– To kolega nie może przyjść na dancing?

– Teoś na dancingu? Jemu muzyka nie jest potrzebna do picia. – Pochyliwszy się, pocałował ją w policzek. – Przepraszam – rzucił i zaraz ruszył przed siebie. Wolał nie czekać na jej przyzwolenie ani niczego więcej wyjaśniać, bo przecież nie miał pojęcia, co się tu dzieje. Sytuacja była dynamiczna, tego był pewien. Poszedł szybko, ale nie biegiem, żeby nie wywoływać niepotrzebnej sensacji. Zatrzymał się przy stoliku w chwili, gdy Teofil chwycił Tunia za krawat i pociągnął ku sobie.

– To gdzie jest Gruby Rychu?

Ząbek, który sprawiał wrażenie wychudzonego świstaka, właśnie wyrwanego z zimowego snu, próbował odepchnąć namolnego faceta.

– Pan prezes? Prezes pan Ryszard gdzieś tu jest. – Zakreślił palcem w powietrzu kółko. – Znaczy się w chwili obecnej przebywa w bliskich okolicznościach...

– Aha, to, kurwa, gadaj, gdzie jest, albo go spod ziemi wydobyj, chłopie, bo trzeba nam jego wyprowadzić z budynku, bo inaczej źli ludzie go kropną.

– Kogo? – zdumiał się Tunio.

– Rycha.

– Teoś, co ty gadasz? – Mariusz spojrział na Teofila jak na szaleńca.

– Blacha, dobrze, że żeś tu jest. Nie ma czasu na ksiuty. Grubiński musi stąd wyjść natychmianstowo.

– Musi, ale zaraz się udusi – jęknął Tunio. Olkiewicz w końcu puścił jego krawat. Ząbek pokręcił głową z godnością, po czym poprawił uwierający go i zbyt mocno ściągnięty węzeł.

– Był tu przed chwilą. Gadałem z nim. – Blacha rozejrzał się wokół, próbując w tańczącym tłumie wyłowić znaną sylwetkę.

Bezskutecznie.

– Gdzie poszedł? – zapytał Olkiewicz.

– Nie mam pojęcia. Myślałem, że wrócił do stolika.

– Mnie się jednakowoż wydaje, że pan prezes najprawdopodobniej udał się do kibla – stwierdził Tunio.

– Siedź pan tu i filuj – polecił Teoś. – Jakby się znalazł, niech zaraz idzie przez kuchnię na zewnątrz od strony teatru. Tam czeka już na niego wasz samochód.

– Jak to? – zdumiał się Tunio.

– Srak to! – warknął Olkiewicz. – Rób pan, co gadam, i nie dyskutuj. Wyprowadź pan prezesa, bo jak nie, to będzie po nim. Rozumiesz?!

Na wszelki wypadek podsunął Tuniovi pod nos zaciśniętą pięść. To był solidny argument, który przekonał go, że to nie żarty.

– No jak pan tak mówisz – stwierdził pracownik Grubińskiego i błysnął zębem w krzywym uśmiechu.

– Teoś, a skąd te informacje, że Rychowi coś grozi? – zapytał Błacha.

– Później pogadamy, leć go szukaj. Nie może wyjść przez główne drzwi, rozumiesz? Nie może przez główne, bo tam zrobili na niego zasadzkę. Jak tam pójdzie, to mu odstrzelą łeb. Kapujesz?

Mariuszowi nie było trzeba dwa razy mówić. Widząc, jak bardzo Olkiewicz jest przejęty, natychmiast zrozumiał, że sprawa jest poważna. Nie ma czasu na jakieś wyjaśnienia, trzeba działać. Teofil poszedł sprawdzić toaletę, Tunio siedzi i czeka, a on... Powinien pójść na dół, by zatrzymać Grubińskiego, gdyby ten jednak chciał wyjść.

Okrażył parkiet, przyglądając się ludziom przy stolikach. Grubińskiego nigdzie nie było. Dostrzegł za to Łabędzkiego, który lustrował go niezbyt przychylnym spojrzeniem. Zignorował go i wyszedł z sali, po czym przyspieszył kroku. Po chwili znalazł się w obszernym holu, w którym nie działo się nic szczególnego. Za kontuarem, na tle plakatu promującego usługi LOT-u pięknym zdjęciem pasażerskiego tupolewa opatrzonego napisem „Lotem bliżej”, siedział znudzony recepcjonista. W głębokich fotelach odpoczywało kilku mężczyzn popijających drinki i palących papierosy.

I wtedy go dostrzegł. Rychu stał na podjeździe i rozglądał się, lustrując parking uważnym spojrzeniem. Zapewne szukał swojego samochodu. A Teoś powiedział, że auto czeka od strony teatru. Trzeba go stąd jak najszybciej zabrać i wyprowadzić tylnym wyjściem.

– Panie Rychu! – zawołał i wtedy powietrze rozerwał huk, po którym pękła i rozsypała się na kawałki szyba w głównych drzwiach. A potem rozpętało się prawdziwe pandemonium. Mariusz padł na podłogę, spojrzął przed siebie, a tam na zewnątrz Rychu Grubiński stał jak ten generał, który się kulom nie kłaniał, podobno dlatego, że stale był nachlany.

Rychu spojrzął jeszcze raz na Profesora, a w tym jego spojrzeniu dało się wyczuć lodowaty chłód. Łabędzki uśmiechnął się drwiąco. Bezczelny skurwysynu, zetrę ci ten uśmiech z ryja, pomyślał Grubiński i odwrócił się na pięcie.

Właśnie wszystko zaczęło mu się układać w głowie, jak dziecinne klocki z obrazkami, które dotąd leżały na dywanie, porzrucane bez ładu i składu.

Odwrócił się i w tym momencie dostrzegł, że Tunio macha do niego i wskazuje na blat. Kelner przyniósł talerze z zakąskami, więc pewnie chciał rozpocząć konsumpcję, ale nie wypadało zaczynać jedzenia bez szefa. Pokręcił głową i pokazał ręką, że może zacząć, bo on jeszcze ma coś do załatwienia. Tunio posłał swój złoty uśmiech w jego kierunku.

Postanowił, że musi natychmiast wyjść z hotelu. Marian siedział w aucie na parkingu i czekał na niego, więc odnajdzie samochód bez trudu. W schowku od strony pasażera wożą pistolet. Weźmie tę broń i uzbrojony wróci do stolika. Gdy zobaczy, że Łabędzki wstaje i wychodzi, pójdzie za nim i dopadnie go przed hotelem. Musi dziś, tu i teraz, zakończyć tę zadawnioną sprawę, bo jeśli tego nie zrobi, to już jest po nim. Łabędzki nie spocznie, póki go nie dopadnie. Ludzi, którzy za dużo wiedzą, nie zostawia się przecież przy życiu.

Wszedł jak rozbawiony uczestnik dancingu w wirującą na parkiecie tłum. Stracił z oczu Tunia, ale i Łabędzkiego. Liczył na to, że jego przeciwnik będzie przekonany, że poszedł się bawić. Przez chwilę kręcił się, udając człowieka, którego bez reszty pochłania taniec. Nie był zbyt wprawnym tancerzem. Kręcił się w kółko, wymachując rękami, ale uważał przy tym, by nie znokautować kogoś jakimś niezgrabnym ruchem.

W pewnej chwili na wprost niego pojawiła się jakaś szczupła blondynka. Zaczęła się wyginać, uśmiechając się przy tym zalotnie. Próbował się jej przyjrzeć, ale w migającym stroboskopowym świetle było to raczej niemożliwe. Mimo to wydała mu się całkiem urodziwa, więc gdyby nie sytuacja, może by ją nawet zaprosił do stolika. Tyle że nie miał w tej chwili czasu na flirty. Już chciał odejść, ale dziewczyna przybliżyła się do niego i niespodziewanie położyła mu ręce na ramiona. W tej sytuacji poczuł się zobowiązany do poświęcenia jej odrobiny uwagi, skoro już go wybrała.

Uśmiechnął się zachęcająco. Podała mu rękę, pozwalając się poprowadzić.

- Jak masz na imię? – zapytała, przekrzykując muzykę.
- Co? – W pierwszej chwili nie zrozumiał pytania.
- Imię! Twoje imię? Jak masz...
- Wiesiek – skłamał. Po co miała wiedzieć. Wiesiek miał na drugie, więc nawet nie skłamał specjalnie.
- Fajnie.
- Co?
- Wiesiek jest takie staromodne, jak Czesiek.
- Nie Czesiek, tylko Wiesiek.
- No wiem, Wiesiek. Znaczy się, Wiesiu.
- A ty, znaczy, jak masz na...?
- Co? – Teraz ona nie dosłyszała.
- Imię, twoje?!
- A, moje, Renata.
- Fajnie – pochwalił. – Renata jest rzadkim imieniem.
- Nie, ja mam nawet jedną koleżankę Renatę. Znaczy się dwie Renaty!
- Co?
- Że dwie jesteśmy. Fajnie tańczysz, Wiesiek.
- Co?
- Fajnie.
- No fajnie! Renata, fajnie tańczysz.
- A skąd jesteś? – zapytała w pewnym momencie, tak jakby był jakimś zagranicznym gościem. Być może wrażenie zrobił na niej jego

porządny dwurzędowy garnitur ze srebrnymi guzikami. To był w końcu ostatni krzyk mody. Mało kto mógł w Poznaniu pochwalić się takim ubraniem, sprowadzonym specjalnie dla niego z Paryża.

– Jestem z Niemiec.

– A, wiedziałam. A mówisz po niemiecku?

– Oczywiście.

– To powiedz coś.

– *Hände hoch!*

Gdy po kilku minutach wyczerpujących wygibasów znaleźli się blisko wyjścia, obrócił spoconą Renatę tak, by znalazła się tuż przed nim, a sam zrobił dwa szybkie kroki do tyłu i już był poza parkietem. Żał mu było ją zostawiać, ale przecież nie miał dziś czasu na zabawę. Jeśli się upora ze swoim problemem, to może nawet wróci do niej, zaprosi ją do stolika i zamówi kolację. Ale na razie miał ważniejsze zadanie.

Po chwili był już w hotelowym foyer. Nic nadzwyczajnego się tu nie działo. Za recepcyjnym kontuarem trzymał posterunek znudzony młody portier. Na fotelach siedziało trzech facetów w garniturach popijających drinki. Pewnie jakieś asy biznesu, pomyślał, uśmiechając się pod nosem. Teraz wszędzie pełno takich młodych gniewnych, którzy chcą robić interesy na wielką skalę, ale nie mają na nic pieniędzy. Przychodzą do niego do banku, przedstawiają pomysły na biznes życia i proszą o pożyczkę. Ale gdy pyta, co mogą zaoferować jako gwarancję spłaty, robią zdumione miny i twierdzą, że sam pomysł jest najlepszą gwarancją. Większość odprawiana jest więc z kwitkiem.

Wyszedł na zewnątrz i przystanął, lustrując parking uważnym spojrzeniem. Gdy wchodził do hotelu, Marian parkował auto w drugim rzędzie. Teraz jednak nigdzie nie było widać mercedesa.

Czyżby kierowca pojechał sobie gdzieś akurat w chwili, kiedy najbardziej go potrzebował?

Spojrzał na zegarek. Coś było chyba nie tak. Nie ma Mariana, a ten pierdolony Łabędź może w każdej chwili wyjść. Mógłby w zasadzie pójść za nim i przywalić mu czymś w łeb, a potem wykończyć go cegłówką, ale pistolet był zdecydowanie bardziej przydatny w takiej sytuacji.

Naraz dojrzał jakiś ruch na parkingu. Dwaj faceci szli w jego kierunku. Najpierw dostrzegł ich, potem automaty w ich dłoniach, a na końcu zobaczył Mirka Brodziaka. Stał pięć metrów przed nim z pistoletem w obu dłoniach. W pierwszej sekundzie ucieszył się, gdy go zobaczył, ale zaraz radość ustąpiła miejsca przerażeniu. Mirek celował wprost do niego. Chciał więc krzyknąć, zawołać, że to przecież on, Rychu, żeby nie strzelał! Kurwa, Brodziak zdradził?!

– Miras, nie poznajesz mnie?! Miras, oszalałeś?

I wtedy padł strzał. Szyba za plecami Rycha rozleciała się w drobny mak. Mirek strzelił po raz drugi i tym razem nie spudłował. Kula wystrzelona z beretty trafiła niemal dokładnie w środek czoła, pozbawiając życia w ciągu ułamka sekundy. Bezwładne ciało padło na chodnik jak rażone gromem.

– To co mamy robić, Miras? – zapytał Marjański. Deszcz padał im na głowy, ale nie mieli gdzie się schować. Marjański żałował, że nie zabrał parasola. Mógłby się trochę osłonić, choć z drugiej strony parasol mógłby zdradzić ich kryjówkę. Stali za dostawczym roburem na skraju parkingu, za którym już nic nie było oprócz budowlanego płotu. Podobno miała się tam zacząć jakaś inwestycja. Nie miał pojęcia, co będą budować, ale chyba coś dużego, bo ogrodzony teren był dość rozległy. Przechodził tu kilka dni temu i specjalnie się

zatrzymał, żeby zobaczyć, co tam się dzieje, ale niewiele było widać przez płot. Tylko same nieużytki i byle jaki barak na kołach, przypominający wóz cyrkowy. Ludzie mówili, że mają tu stanąć wieżowce przeznaczone na biura. Na razie jednak był tu taki sam bajzel jak po drugiej stronie ulicy, gdzie niszczały resztki starego browaru.

– No na razie czekamy – odpowiedział Mirek, ocierając wierzchem dłoni wodę z twarzy.

– Czyli że co?

– Czekamy, czyli że czekamy.

– A jak się doczekamy, to na co?

– Przede wszystkim musi podjechać Mazurek radiowozem. I ci goście, co siedzą w transporterze, jak zobaczą radiowóz na sygnale, to spękają. A wtedy my wkraczamy i każemy im grzecznie wyjść i położyć się na glebę.

– A jak otworzą ogień?

– No to wtedy nie będziemy mieli wyjścia i ich wszystkich zabijemy – rzucił lekkim tonem Brodziak, szczerząc przy tym zęby w uśmiechu.

– Aha. – Komisarz pokiwał głową. – Jak to zabijemy?

– No normalnie, mierzysz takiemu w klatę i strzelasz.

– A nie w głowę?

– Jeśli chcesz kogoś trwale wyeliminować, powinien żeś celować tam, gdzie jest największa powierzchnia do trafienia. A głowa jest mała. Jak stoisz od faceta w odległości dwudziestu metrów, to jest wielkości kurzego jajka, trzeba więc walić tam, gdzie jest szansa, że trafisz, dlatego najlepiej w brzuch. Taki strzał na sto procent eliminuje przeciwnika.

– Ale wiesz, że jak ktoś jest najedzony i dostanie postrzał w brzuch, to potem może mieć problem...

– Maryjanek, kurwa, to nie twoje zmartwienie. Ty się martw, żeby to oni ciebie nie kropnęli.

– Na szczęście nic nie jadłem.

– Myśl o ich brzuchach, nie o swoim. Chodzi o to, żebyś był szybszy i trafił.

– Ale wiesz, Miras, ja to ze strzelaniem nie najlepiej. Znaczący dawno nie ćwicyłem. Wiesz, jak człowiek ma tyle roboty papierkowej, to nie ma czasu jeździć na strzelnicę, żeby ćwicyć...

Marjański nie czuł się zbyt pewnie na tym parkingu. Gdy powiedział Olkiewiczowi, że z nim idzie, wcale tego nie przemyślał. Pokierował nim jakiś impuls, który zrodził się jakby niezależnie od niego. Potem, gdy już jechali radiowozem, mógł wszystko na zimno przeanalizować i ta analiza nie wypadła zbyt korzystnie. Olkiewicz, jak to miał w zwyczaju, chciał coś zrobić, tyle że nie miał pojęcia jak. Czyli jak zwykle szedł na żywioł, zakładając, że jakoś to będzie, zgodnie z powiedzeniem, które lubił wygłaszać, że jeszcze nigdy tak nie było, żeby jakoś nie było, i dlatego musi jakoś być. Marjański postanowił więc, że w miarę możliwości będzie się trzymał na uboczu i zajmie się ubezpieczeniem, bo przecież i tak nie mógł się na nic przydać, jeśli gdzieś tam w środku dojdzie przypadkowo do strzelaniny. Nie należał do najlepszych strzelców i nawet nie starał się podnieść swoich kwalifikacji, dlatego, jak mógł, unikał strzelnic. Nie interesował go też specjalnie jego służbowy pistolet P-64, który zazwyczaj leżał zamknięty w biurku. Dzisiaj go zabrał na wszelki wypadek, ale miał nadzieję, że nie będzie z niego korzystać.

Dopiero gdy Brodziak przejął dowodzenie akcją, dotarło do niego, że może być naprawdę niebezpiecznie. Dlatego wyszło mu, że

najbezpieczniej będzie zostać z Mirkiem. To w końcu Brodziak był najbardziej doświadczony z nich wszystkich i w razie czego włączy się do akcji z pistoletem w dłoni. A on zaczął się gdzieś z tyłu, gotowy go wspomóc, gdyby stało się jakieś nieszczęście i kolega zostałby trafiony. Wtedy on wkroczy... Nie, niemożliwe, żeby Brodziak sobie nie poradził. Zawsze dawał sobie radę w trudnych sytuacjach jak bohater książek kryminalnych, taki, co to zawsze wie, co robić, i robi to we właściwym czasie, zazwyczaj z pożądanym skutkiem. No właśnie, tego szukał, a miał przykład obok siebie. Bohaterem jego książki, prawdziwej powieści kryminalnej, w której policjant walczy z bezprawiem, powinien być komisarz Brodziak. Tylko nie może się tak nazywać. Trzeba mu zmienić nazwisko na jakieś bardziej charakterystyczne. Na przykład mógłby się nazywać Brudny! To jest to, niech on się tak nazywa i niech działa jak Brudny Harry, w bezwzględny i brutalny sposób rozprawiając się z bandytami.

Książka mogłaby się zacząć od takiej sceny, jaka właśnie rozgrywała się w tej chwili. Od oczekiwania na policyjną akcję. Główny bohater siedzi przyczajony za jakimś starym samochodem i obserwuje hotel. Nie, hotel nie, bo nikt nie uwierzy, że jacyś bandyci mogą się kryć w hotelu. Tam zatrzymują się porządni ludzie. Lepiej, żeby ukrywali się w jakichś ruinach. Więc główny bohater patrzy na ten opuszczony budynek, a jego przyjaciel trzyma nad nim parasol, żeby czasami nie zmókł za mocno, bo deszcz leje jak z cebra, prawie jak ten dzisiejszy.

Komisarz Marian Brudny zapalił papierosa, osłaniając go wierzchem dłoni przed deszczem. Zupełnie niepotrzebnie, bo jego przyjaciel trzymał nad jego głową rozpiętą parasolkę, by chronić go przed kapryсами aury pogodowej. A deszcz padał i padał, jakby niebo płakało. Bo i był ku temu powód. Brudny czekał

ukryty za samochodem na to, aż bandyci ruszą. A gdy tylko pojawią się na placu przed starym zamczyskiem, pamiętającym jeszcze czasy polskiego rycerstwa, które przelewało krew za te stare piastowskie ziemie, klepsydra ich czasu przewróci się z trzaskiem i stłucze brzękliwie szklane bańki, piach się rozsypie, a smutny kosiarz przetnie nici ich bezwartościowego żywota.

Brudny czekał i czekał. Deszcz padał i padał. Wtem komisarz odwrócił się do swojego przyjaciela, komisarza Marczaka, z którym w dawnych czasach studiowali na jednym roku w szkole oficerskiej w Szczytnie, a później los rzucił ich do komendy wojewódzkiej policji.

– Bądź czujny, przyjacielu. Zaczyna się. Jestem przekonany, że za chwilę ruszą.

– Możesz na mnie liczyć – odpowiedział Marczak. – A skąd wiesz, że ruszą już?

– Czuję swoim policyjnym nosem. – Mówiąc to, dotknął lufą pistoletu czubek własnego nosa, a potem, ująwszy broń oburącz, pewnie i zdecydowanie wymierzył w ciemność. Złoczyńcy byli blisko...

– Kurwa jebana! – warknął Brodziak. – Ubezpieczaj od transportera – rzucił w kierunku zanurzonego w twórczym procesie Marjańskiego. Poderwał się zza auta, za którym przykucnięci czekali na rozwój wypadków, i ruszył zdecydowanym krokiem w kierunku wejścia do hotelu. Marjański też się podniósł, żeby zapytać, co to znaczy, że ma ubezpieczać od transportera, bo nie bardzo wiedział, o co koledze chodziło. Ale na zadanie jakiegokolwiek pytania nie było najmniejszej szansy. Zobaczył z przerażeniem, że Miras wyciąga z kieszeni pistolet, nie zwalniając kroku, przeładowuje go i cały czas idąc, strzela w kierunku stojącego na podjeździe Grubego Rycha.

Szyba za Grubińskim rozpada się z trzaskiem. Jakiś facet, który pojawia się za plecami Grubińskiego z pistoletem w dłoni, przewraca się, trafiony prosto w czoło. Wtem w mikrobusie zaparkowanym kilkanaście metrów na lewo Marjański dostrzega ruch. Brodziak strzela nadal, ale nie może się odwrócić, żeby sprawdzić, co tam się dzieje, bo z auta wyskakuje dwóch krótko obciętych facetów z kałasznikowami w rękach. Obaj rzucają się ku drzwiom, w których stoi Grubiński. Mirek ich nie widzi. Bandyci przystają, żeby złożyć się do strzału. Unoszą kałachy do ramienia. Brodziak znów strzela w kierunku Grubińskiego. Nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa, które czai się za nim.

I wtedy Marjański nagle zrozumiał, o co chodziło Mirasowi. Miał go ubezpieczać od strony transportera na wypadek, gdyby ktoś go próbował zaatakować od tyłu. Chodziło mu właśnie o tych dwóch łysoli. Wyrwał więc z kieszeni pistolet, odbezpieczył i natychmiast przycisnął spust. Kula uderzyła w okno samochodu obok facetów z kałachami. Mężczyźni spojrzeli po sobie i nim zdążył ponownie wystrzelić, odwrócili się i jak na komendę posłali w jego kierunku dwie krótkie serie. Na szczęście Marjańskiego nie zawiódł instynkt samozachowawczy. Nim ci dwaj zdążyli pociągnąć za języki spustowe, komisarz leżał już płasko na asfalcie, ukryty za rzędem samochodów. Nie mieli szansy go dopaść. Na razie był bezpieczny. Chwilę potem usłyszał kolejne charakterystyczne odgłosy serii oddanych z kałasznikowa, które współgrały z odgłosami wystrzałów z beretty. Nagle ktoś krzyknął głośno i niezrozumiale, ktoś inny zawył z bólu, a potem nastąpiła cisza...

Ostrożnie wystawił głowę zza fiata, za którym się schował. Tych z kałasznikowami nie było widać. Za to Brodziak stał tam, gdzie wcześniej stali oni. Omiatał parking uważnym spojrzeniem, jak kot wypatrujący myszy. Było coś nierzeczywistego i jednocześnie

upiornego w jego twarzy. Mirek patrzył pod nogi i uśmiechał się, szczerząc przy tym swoim zwyczajem zęby, jakby właśnie ktoś opowiedział mu doskonały dowcip. Tyle że ci, którzy leżeli u jego stóp, nie mogli już niczego powiedzieć i wcale nie było im do śmiechu.

Mariusz skoczył na posadzkę, bo kula, która rozbiła szybę w drzwiach, przeleciała koło niego i wbiła się w ściankę hotelowego kontuaru. Recepcjonista rozbudził się z letargu, krzyknął i schował się za meblem.

– Wszyscy na podłogę! – zawołał Blacha w kierunku mężczyzn siedzących w fotelach z drinkami w dłoniach. Nie ruszyli się z miejsca, zajęci rozmową. – Kłąć się, kurwa! – krzyknął jeszcze raz i wtedy chyba do nich dotarło, że dzieje się coś złego. Tym bardziej że jakiś facet stojący tuż przy drzwiach, ubrany w kreszowe spodnie od dresu, jasne buty sportowe, sięgające za kostkę, i czarną kurtkę, naraz zawył, a w jego okrzyku dał się słyszeć wyraz zdziwienia zmieszanego z bólem. Mężczyzna ciężko opadł na kolana, trzymając się za brzuch.

– Ja pierdołę, Miras, co ty robisz? – krzyknął Mariusz. – Nie strzelaj, kurwa, do mnie! – wołał Blaszkowski, jednocześnie pełznąc w kierunku postrzelonego mężczyzny. Dopadł do niego i ostrożnie obrócił na plecy. – Jesteś ranny? – zapytał, gdy facet otworzył oczy.

– Kurwa... w brzuch... mnie pizgnął – wyjęczał. – Ja pierdołę, dopiero co... zjadłem dwa... hot dogi.

– Zaraz wezwę pogotowie. Ej, recepcja! Ej, ty, wezwij pogotowie. Słyszysz?

– Słyszę! Ale jak mam wezwać?

– Normalnie telefonem.

- Ale telefon jest na górze, znaczy się na blacie, a ja pod blatem.
- To go sięgnij.
- W życiu, bo mnie postrzelą! Nie jestem frajer, żeby dać się zabić przez przypadek.

Jakby na potwierdzenie jego obaw odezwała się seria z kałasznikowa, a zaraz potem druga.

- Miras, jesteś tam? Odłóż broń i połóż się na ziemi! - krzyknął Mariusz, kiedy zdał sobie wreszcie sprawę, że być może jego kolega oszalał i strzela do wszystkiego, co się rusza.

- Wy jebani kurwiarze! - odpowiedział Brodziak raczej nie na temat. - Idę po was, skurwysyny! - rzucił, a potem rozległy się kolejne strzały oddane z beretty. To upewniło Mariusza, że kumpel kompletnie zwariował.

Seria z kałasznikowa zadźwięczała na szybie okiennej, rozbijając ją na drobne kawałki jak kryształowy wazon. Mariusz przycisnął głowę do zimnej posadzki i wtedy dostrzegł, że ten ranny w brzuch człowiek leży na czymś dziwnym. Przesunął go trochę i ze zdumieniem odkrył, że to kałasznikow.

- To twoja giwera? - zapytał kompletnie bez sensu. Tym bardziej że leżący nie mógł już odpowiedzieć na żadne pytanie. Jego oczy zasły mgłą, a kompletnie nieruchome spojrzenie zastygło, wbite w kasetonowy sufit hotelowego foyer. Niewiele się zastanawiając, Blaszkowski chwycił karabin, przekonany, że być może będzie musiał unieszkodliwić Brodziaka, który najwyraźniej doznał pomieszania zmysłów i jest niebezpieczny dla otoczenia.

Naraz na zewnątrz zrobiło się cicho. Nikt nie strzelał.

- Halo, milicja! Wezwijcie pogotowie do hotelu Orbis Poznań. Ktoś tu strzelał w budynku i przed budynkiem - krzyczał do

słuchawki portier. – A skąd mam wiedzieć, kto strzelał? Bandyci strzelali – wyjaśnił najlepiej, jak umiał. Ale to chyba nie usatysfakcjonowało dyżurnego z komendy. – Co, mam iść do tych, co strzelali, i się zapytać, kim są? A co ja jestem szkieł, żeby z bandziorami gadać? Sam se pan przyjeźdź i se gadaj.

– Powiedz im, że policjant potrzebuje wsparcia! – polecił mu Mariusz.

– Co?

– Policjant potrzebuje wsparcia, kurwa! Powtórz!

– Policjant potrzebuje wsparcia, kurwa! – powtórzył słowo w słowo, a potem odsunął słuchawkę od ucha i spojrzał na nią zdziwiony. – Już jadą – powiedział, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Mariusz przeładował kałasznikowa i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Tuż przy drzwiach leżał mężczyzna z pistoletem w ręce i dziurą w głowie. Rozpoznał go natychmiast. To był ten gość, co siedział przy stoliku z Łabędzkim, którego ten nazywał inżynierem. Obok niego leżał Gruby Rychu. Blaszkowski pochylił się nad nim. Stwierdził, że ma dwie rany postrzałowe. Dostał w okolice obojczyka i w ramię. Był przytomny. Uniósł prawą rękę i skinął na Mariusza.

– Miras... ratuj... go... Mirasa ratuj!

– Miras oszalał – rzucił Blacha przez zaciśnięte zęby.

Grubiński chciał jeszcze coś powiedzieć. Pokręcił głową i stracił przytomność.

– Zaraz tu będzie pogotowie... Wytrzymaj, chłopie! – powiedział Blaszkowski.

Naraz z hotelowego foyer wybiegła skąpo odziana blondynka. Zobaczywszy Rycha zalanego krwią, uklękła przy nim i chwyciła go za rękę.

- Wiesiek! - zawołała. - To ja, Renata! Obudź się. Słyszysz mnie?
- Renata? - odpowiedział cicho Rychu.
- Apteczka, potrzebuję apteczki! - krzyknęła.
- Ty! - Mariusz wskazał lufą kałasznikowa szczupłego mężczyznę stojącego w drzwiach. - Leć do recepcji po apteczkę! - polecił, a facet natychmiast pobiegł do środka.

Naraz Blaszkowski zdał sobie sprawę, że Brodziak gdzieś zniknął. Wyszedł ostrożnie na parking, rozglądając się uważnie. Deszcz natychmiast zmoczył mu rozgrzaną głowę.

- Gdzie jest Miras? - zapytał Marjańskiego, który wychylił się zza podziurawionego auta.

- Był tu przed chwilą, przy tym transporterze - wyjaśnił, pokazując lufą pistoletu miejsce parkingowe. Mariusz spojrział w tamtym kierunku, ale samochodu tam nie było.

- Jaki transporter? - zapytał.

- Volkswagen... cholera, stał tam jeszcze przed chwilą! - Marjański pobiegł tam, gdzie powinno stać zaparkowane auto, ale miejsce było puste. Na asfalcie leżeli za to dwaj mężczyźni, ci sami, którzy chwilę wcześniej do niego strzelali. Żaden nie wykazywał najmniejszych oznak życia.

Blacha pochylił się i na wszelki wypadek zabrał dwa porzucone kałasznikowy, zarzucając je sobie na ramię, po czym odwrócił się, żeby powiedzieć coś do Marjańskiego. Ten rozglądał się dookoła, czegoś szukając.

- Tu stał ten transporter - powiedział, wskazując puste miejsce parkingowe. - No i jak Miras ruszył do przodu, to oni wyszli z tego auta. Znaczy ci dwaj wyszli, a wcześniej ich było trzech. To znaczy się, my żeśmy nie zauważyli, jak ten jeden wyszedł, i okazało się

potem, że był w środku w hotelu. Znaczący Miras wstał, wyciągnął spluwę i zaczął iść na hotel, kiedy zobaczył, że w drzwiach pojawił się Grubiński. I wszystko przez to właśnie, całe to zamieszanie, bo Teoś Olkiewicz miał Grubińskiego wyprowadzić na tyły hotelu i wsadzić go do jego samochodu i odwieźć do banku.

Na hotelowy podjazd wjechał dość poważnie spóźniony policyjny radiowóz z włączoną syreną alarmową. Zza kierownicy wyskoczył Mazurek. Obrzucił pobożowisko taksującym spojrzeniem i zaraz podszedł do dwóch oficerów.

– Co się tu, kurwa, stało? – zapytał, zwracając się do Marjańskiego.

– Czemu żeś się spóźnił? – zapytał Marjański.

– Ja się spóźniłem? – zdziwił się Mazurek. – Pojechałem tylko na komendę po broń, bo nie miałem – powiedział i wskazał na trzymany w ręku pistolet. – Ale teraz już mam...

– Teraz to se go możesz wsadzić... – rzucił Marjański. – Jakbyś tu podjechał od razu...

– Co było dalej? – ponaglił go Mariusz.

– Jak Grubiński stanął przed hotelem, to za nim wyszedł taki chudy facet z pistoletem. A Brodziak szedł na nich z tą swoją berettą. Strzelił raz, chyba żeby gościa odstraszyć, ale ten zamiast podnieść rękę do góry, wymierzył w Mirasa i posłał kulę. Na szczęście nie umiał strzelać, bo Mirka nawet nie drasnęło. No ale znacie Brodziaka, jak ktoś już do niego wystartuje, to ma przesrane. No więc Miras go kropnął w samo czoło. Potem zobaczył, że za plecami Rycha stoi w hotelowym holu facet z kałachem, to też go odstrzelił i w końcu chyba zaczął już walić, gdzie popadnie. Mówię ci, kule latały wszędzie...

– A ci dwaj? – zapytał Blacha, wskazując na zastrzelonych bandytów.

– Ci to wyszli z tego transportera i od razu chcieli pruć do Mirasa. No to ja do nich trach-trach zza samochodu, a oni na mnie dwie serie. No to padłem na glebę. I wtedy oni jednak pociągnęli w kierunku Mirka.

– Kurde, a Łabędzki? – Mariusz popatrzył pytająco na Marjańskiego, ale nie poczekał na odpowiedź. Ruszył natychmiast z powrotem do hotelu.

Przecisnął się przez tłum gapiów, który zebrał się w holu, i po chwili był już w sali restauracyjnej. Tu wszystko wyglądało tak, jakby na zewnątrz nic nie zaszło. Ludzie nie mieli pojęcia o strzelaninie na parkingu, bo muzyka zagłuszyła strzały, i dalej bawili się w najlepsze. Przy stoliku Łabędzkiego nie było nikogo. Mariusz się rozejrzał, ale po facecie nie było śladu. Poszedł więc do stołu, gdzie Tunio czekał w dalszym ciągu na swojego szefa. Obok niego siedział Olkiewicz. Obaj panowie raczyli się zimnymi zakąskami, ciepłym bigosem i zmrożoną wódką. Asystował im kelner gotowy obsłużyć ich, jak przystało na ważnych gości.

– Tam na dole, w drzwiach, leży postrzelony Grubiński – rzucił Blacha.

– Co? – wykrzyknął Tunio. – Jak postrzelony? Kto go postrzelił?

– Jest ranny...

Ząbkowi więcej nie trzeba było tłumaczyć. Zerwał się z krzesła i pobiegł przez parkiet, roztrącając na boki wirujące pary. Teofil jadł dalej, niezbyt zainteresowany losem Grubińskiego.

– A ty nie idziesz? – zapytał Blacha.

– A co, tyle dobra ma się zmarnować? – Olkiewicz wskazał na talerze i prawie pełną butelkę wódki. – Chlapniesz se?

Mariusz pokręcił głową.

– Ten, co siedział tam w kącie, to gdzie jest? – zapytał Olkiewicza, ale ten tylko wzruszył ramionami. Wskazał na pełne usta, które uniemożliwiały mu konwersację. W końcu przełknął jedzenie, popił wódką, a potem uśmiechnął się do kolegi.

– A skąd ja niby mam wiedzieć, jak ja nawet nie wiem, o kogo się rozchodzi?

– No o tego grubasa. Taki wielki...

– Jeśli idzie o tego grubego gościa, co z nim prezes miał okoliczność, to on jakiś czas temu wyszedł – stwierdził kelner, który na wszelki wypadek cały czas asystował biesiadnikom. – Prosił, żeby mu pozwolić przez kuchnię – wyjaśnił. – Niby że nie chce się spotkać ze swoją żoną, co to się pojawiła na sali i go szuka. To normalna sprawa, że takie zawzięte baby po swoich chłopów przychodzą na dancing i robią awantury.

– I wypuściliście go przez kuchnię?

– No co było zrobić. Dał dziesięć dolców, to za tyle moglibyśmy go tam nawet zanieść – stwierdził kelner z rozbrajającą szczerością, zaraz odwrócił się i odszedł, zanim oskarżą go o jakieś przestępcze działanie.

– Siadaj, napij się – zaproponował Teofil, widząc, że Blacha nad czymś się zastanawia.

– Nie, muszę poprosić panią prokurator, żeby zajęła się śledztwem. – Spojrzał w lewo. Brygida cały czas siedziała przy stoliku, czekając na niego. Postanowił zainteresować ją czymś konkretnym, żeby spacyfikować ewentualne pretensje. Nie mogła

być przecież zadowolona, że zostawił ją samą i poszedł się strzelać z bandytami. Musiał jej coś dać na przeprosiny. A udział w śledztwie w takiej sprawie na pewno jej się spodoba. – A poza tym... – przez chwilę zastanawiał się, jak to powiedzieć – Miras chyba strzelał do Grubińskiego i chyba nawet do mnie. A teraz gdzieś się zapodział – dodał. – Trzeba go poszukać.

– Miras do Grubińskiego... i do ciebie? Coś ci się, Blacha, w łepetynie pochachmęciło. Miras to nie jakiś Judasz jest. Nie, on nigdy w życiu. Wiem, co gadam. Może żeś za dużo wychlał dzisiaj? – Powiedziawszy to, Olkiewicz nalał sobie wódki do kieliszka i wypił. Za zdrowie Brodziaka, który zawsze wiedział, jak wybrnąć z kłopotów.

Rozdział X

Niedziela
13 października
Godzina 0.10

Bolała go głowa. Tak, jakby ktoś wbił mu w czaszkę gwóźdź i teraz obracał nim w jedną i drugą stronę. Otworzył oczy, ale niczego nie zobaczył. Czy ja oślepiłem? – pomyślał przestraszony. Niewielu rzeczy bał się tak bardzo jak ślepoty. Wiele razy wyobraźnia podsuwała mu obraz ciemności. To był taki wracający sen. Był w jakimś kolorowym, pełnym słońca miejscu. Wokół zielone krzaki, pod nogami puszysta trawa, obok niebieska rzeka i odbijające się w niej błękitne niebo. Biegnie po tej trawie w miękkich trampkach, tak jak biegało się, gdy był chłopakiem i kiedy nad Wartę chodził z Rychem i kumplami z klasy grać w nogę. Piłka toczy się po zielonym dywanie, on podbiega do niej, by ją wykopać jak najdalej od własnej bramki, której słupki wyznaczają dwie flaszki po wódce, znalezione w nadwarciańskich krzakach. W pełnym biegu trafia w piłkę prawą nogą, ta leci gdzieś wysoko w górę, ku słońcu. Promienie słoneczne oślepiają mu oczy, eksplodują w głowie i naraz zapada absolutna ciemność. Wie, że jest dalej nad rzeką, słyszy głosy kolegów. Rychu woła go, żeby nie stał jak dupa, żeby się ruszył, a on nie może zrobić ani jednego kroku, bo nic nie widzi i boi się, że spadnie w jakąś dziurę. Ale przecież na łące nie ma żadnych dziur. Może to nie łąka, a zupełnie inne miejsce, w którym nie ma trawy, rzeki, słońca, nic nie ma oprócz ciemności? Czy tak wygląda śmierć?

– Jak ja się, do cholery, tu znalazłem? – zapytał sam siebie, nie oczekując w zasadzie żadnej odpowiedzi. Ta przyszła niespodziewanie z odległości dość bliskiej, a nawet bardzo bliskiej. Ktoś był tuż obok niego.

– Wrzucili pana jakiś czas temu.

– Kto?

– No ci gnoje.

– Kto tu jest?

– Ja jestem. Znaczy się jestem Wojtek.

– Aha. A co tu robisz?

– Nic...

– Jestem związany?

– No chyba tak...

Naraz stanęły mu przed oczyma całkiem wyraźnie wydarzenia, których był uczestnikiem. Podszedł do dwóch facetów, którzy jeszcze przed chwilą stali przed mikrobusem i ostrzeliwali wszystko i wszystkich z dwóch kałasznikowów. Ale nie byli fachowcami. Strzelali na ślepo, jak niezbyt wykwalifikowany strażak, który leje sikawką wszędzie, gdzie się da, i nie może tylko trafić w miejsce, gdzie się pali. Mirek za to wiedział, jak się robi użytek z broni. Przyklęknął za czerwonym polonezem, złożył się do strzału i wycelował jak na strzelnicy w korpus. Facet w zielonych spodniach dresowych padł na asfalt z rękoma rozrzuconymi na boki. Kałasznikow upadł z trzaskiem. Jego kompan popełnił kardynalny błąd, który stał się jego ostatnim. Zamiast schować się za którykolwiek z samochodów, a miał ich przynajmniej kilka do wyboru, pochylił się nieco, a potem zaczął ostrzeliwać na oślep

wszystko przed sobą. Brodziak siedział spokojnie za polonezem, patrząc w boczne lustro. Widział więc dokładnie, jak facet przestaje strzelać, jak wyciąga magazynek, sięga do kieszeni czerwonych spodni z białymi lampasami i po chwili wydobywa z niej kolejny magazynek. Jednak Brodziak nie dał mu szansy na ponowne załadowanie. Poderwał się na równe nogi i prawie nie celując, pociągnął za spust. Nie mierzył w pierś czy brzuch. Głowa łysego bandziora sama weszła mu w celownik. Zdziwił się, bo miał wrażenie, że najpierw eksplodowała, a dopiero potem on nacisnął spust. Ale w tym ferworze walki nie miało to większego znaczenia. Najważniejsze, że bandyci zostali wyeliminowani.

Wyszedł zza samochodu i ruszył wolno w kierunku leżących facetów. Był przekonany, że obaj nie żyją, ale na wszelki wypadek trzymał jeszcze w pogotowiu pistolet. Stał nad zwłokami, obrzucając twarze swoich ofiar zaciekawionym spojrzeniem. Nie znał ich. Nagle przypomniał sobie o Rychu.

Spojrzał w kierunku hotelu, gdy nagle poczuł uderzenie w głowę. Fala bólu przeszła od czaszki w dół, pozbawiając go sił i świadomości. Zamknęła się nad nim ciemność, ta sama, która właśnie teraz powoli wypuszczała go ze swoich objęć. Wpatrując się w nią, zaczął dostrzegać jakieś niewyraźne kształty. Coś poruszyło się obok niego, ale nie wiedział, czy to wyczuł, czy coś zobaczył.

- Mówiłeś, że jak masz na imię? – zapytał Mirek.
- Nazywam się Kalafarski, Wojtek Kalafarski.
- Kalafarski? – Coś mu mówiło to nazwisko, ale nie mógł sobie przypomnieć, skąd je zna. Jego umysł nie pracował jeszcze na wysokich obrotach. To chyba przez ten cios w głowę. – A ty skąd się tu wzięłeś?

– Uwięzili mnie ci sami, co pana. To dłuższa historia... Dostałem robotę od takiego gościa, co się nazywa... Waligóra. Przywożenie z Niemiec kradzionych samochodów. Jak wracaliśmy ostatnio z dwoma kolegami, to nas zatrzymali tacy gnoje i...

– Zabili dwóch, a tobie obcięli palec... – Mirek wreszcie zrozumiał, skąd zna to nazwisko. – Twoja dziewczyna Jola niepokoi się o ciebie.

– Skąd pan wie?

– Rozmawiałem z nią.

– Jak to?

– Jestem policjantem. Szukałem cię – powiedział, choć nie do końca była to prawda z tymi poszukiwaniami. Szukał przede wszystkim tych, którzy chcieli zagrozić Rychowi, a odnalezienie chłopaka mogło być tylko punktem na drodze do wyjaśnienia tej sprawy.

– No to znalazł mnie pan. Ale nie zmienia to faktu, że nic nie możemy zrobić.

– Może i nie, ale najpierw spróbuj mnie rozwiązać.

– Nie wiem, czy dam radę.

– Dasz – stwierdził Mirek. – Musisz tylko wyciągnąć coś z kołnierza mojej kurtki.

– Jak z kołnierza?

– Tam gdzie jest kaptur zawinięty i zamknięty na zamek błyskawiczny. Otwórz go. Tam zawsze noszę coś, co może się przydać.

Godzina 0.30

Teofil Olkiewicz był w niezłym humorze. Całkiem możliwe, że za sprawą dobrej kolacji popitej zimną wódką. Nie rozumiał rozterek Blaszkowskiego ani obaw o bezpieczeństwo Brodziaka. Znał Mirka od dziesięciu lat i widział go nieraz w poważnych tarapatach, ale on zawsze wychodził z nich obronną ręką. Więc i teraz nie widział powodu do niepokoju.

– Ja ci powiem, jak było, bo ty, Blacha, nie masz wiary w sercu.

– Ja nie mam...?

– Tak właśnie, że nie masz i nie wierzysz w Mirasa. On, jak już tam wszystkich wytłukł na tym parkingu, to musiał zobaczyć tego grubasa, co uciekał. Ten, co o nim żeś gadał z kelnerem...

– Mówisz o Łabędzkiem?

– Niech on sobie będzie łabędziem czy jakimś innym krokodylem, bo mnie to ganc pomada. To ja tobie powiem, że jak znam Mirasa, to on jego zobaczył na parkingu i poleciał za nim.

– Jak poleciał?

– No normalnie, na girach, a jak nie, to wziął taksówkę.

– To czemu nic nie powiedział?

– A komu miał co gadać? Tobie? Przecież on nawet nie wiedział, żeś ty się ustawił w tej restauracji z panienką.

– Myślę, że jednak pan komisarz powinien zwrócić uwagę, że nie jestem żadną panienką, tylko panią prokurator – rzuciła ostro Brygida.

Siedzieli w głębokich klubowych fotelach ustawionych w foyer hotelowym. Na blacie stołów i na podłodze leżały kawałki rozbitego szkła okiennego w kałużach porozlewanych drinków.

– O pardonsik, pani prokuratoro szanowna, ale pani taka piękna, że człowiek się może zapomnieć, jak się tak zapatrzy na panią.

Brygida odkaszlnęła, próbując w ten sposób ukryć zadowolenie z tego, co usłyszała. Ten ochlapus z biura Mariusza potrafił być miły, co nie zmieniało faktu, że był to zwyczajny cham.

– Teofil, twoja teoria nie trzyma się kupy – stwierdził Mariusz.

– A to niby że dlaczego?

– Ano dlatego, że Brodziak raczej nie miał pojęcia, kto to jest Łabędzki. Nie był w środku w restauracji, nie widział go siedzącego z Rychem, więc nie mógł go ścigać. Poza tym Łabędzki uciekł przez zaplecze kuchenne, bo potwierdził to kelner, który go sam wyprowadził na tyły hotelu. Więc Mirek zniknął zupełnie z innego powodu. Być może uciekł, bo ma coś na sumieniu.

– Miras? – zdumiał się Olkiewicz. – Niemożliwe. – Pokręcił głową.
– Brodziak nie ma nic na sumieniu. Znam go.

– To czemu strzelał do Grubińskiego?

– On nie, to nie on!

– Sam widziałem, jak do niego mierzył. – Mariusz przypomniał sobie tę chwilę, kiedy Mirek strzelał do wszystkiego, co się rusza, w tym do Rycha, ale i do niego. Wszystko to wyglądało tak, jakby Brodziak oszalał, a potem, zdawszy sobie sprawę z tego szaleństwa, uciekł i gdzieś się ukrył. Czyżby więc ich długoletni kolega, a nawet więcej niż kolega, bo przyjaciel, próbował zabić Grubińskiego i przy okazji jego? To wszystko nie trzymało się kupy, ale przecież widział to na własne oczy.

Portier z recepcji podszedł do Brygidy i nachylił się nad nią. Ta skinęła głową i podniosła się z fotela.

– Mam telefon z prokuratury – powiedziała i poszła do kontuaru. Czekwała na to połączenie od momentu, gdy Mariusz zadzwonił do dyżurnego komendy miejskiej i przekazał informacje o tym, co

zaszło. Poprosił o przysłanie ekipy technicznej i powiedział również, że na miejscu jest już pani prokurator z Nowego Tomysła, która zajęła się nadzorem śledztwa, bo dotyczy ono sprawy, którą ona prowadzi na swoim terenie. Dyżurny policjant przekazał tę informację do poznańskiej prokuratury, a tam chyba właśnie podjęto szybką decyzję, że Bocian ma dopilnować wszystkiego. Gdy wróciła do stolika, było jasne, że teraz już oficjalnie ona tu dowodzi.

– Dostałam zgodę – stwierdziła, a Mariusz uśmiechnął się zadowolony. Chyba jednak dobrze ją znał, bo widać było, że pod maską prokuratorowskiej powagi i surowości na ustach błąka się lekki uśmiech zadowolenia.

– Pierwszy raz mam przyjemność mieć czynności pod takim pięknym nadzorem – stwierdził Teofil, uśmiechając się radośnie. Wstał z fotela i wskazał hotelowy bufet. – Pójdę jakąś oranżadę kupić – wyjaśnił. Nie odszedł jednak daleko, bo po drodze natknął się na Marjańskiego. Ten trzymał coś w dłoni. Była to kolorowa torba foliowa z jakąś zawartością.

– Gdzie Blacha? – zapytał Teofila.

– O, tam siedzi ze swoją panienką – wyjaśnił.

– A, to chodź ze mną! – rzucił, a Teoś chciał mu wyjaśnić, że mu zaschło w gardle, ale Maryjanek pociągnął go za rękaw. – Mam coś ważnego.

Chcąc nie chcąc, poszedł za nim. Pomyślał, że picie może jeszcze chwilę poczekać. Oczywiście byle nie za długo.

Mariusz siedział w fotelu zatopiony w myślach. Stojąca w drzwiach Brygida tłumaczyła coś jednemu z techników, którzy zabezpieczali ślady strzelaniny. W przejściu stali dwaj mundurowi policjanci, którzy kierowali ruchem ludzi wychodzących z dancingu. Wypuszczano ich na zewnątrz bocznym wyjściem ewakuacyjnym od

ulicy Kościuszki. Dancing skończył się dziś definitywnie, jednak wyprowadzanie imprezowiczów szło dość opornie, bo rozbawieni ludzie nie chcieli przyjąć do wiadomości, że muszą skrócić zabawę z powodu jakiejś policyjnej akcji.

– Mariusz, zobacz to. – Marjański podał mu torbę. Ten wziął ją do ręki, a potem zajrzał do środka bez specjalnego zainteresowania. Przez chwilę wpatrywał się w to, co tam było, a potem spojrzał pytająco na kolegę. – Jak zabrali tych zabitych gości, to poszedłem się jeszcze rozejrzeć na wszelki wypadek. No wiesz, nigdy nic nie wiadomo – zaczął tłumaczyć komisarz. – No i tak tam chodziłem i o coś mnie tknęło, żeby zajrzeć pod ten samochód, znaczy dużego fiata, co tam stał obok tego transportera, co z jego wysiedli ci dwaj. No i patrzę, a tam przy kole leży to.

– A co to niby jest? – zapytał Teofil.

Mariusz bez słowa otworzył reklamówkę. Teofil zajrzał do środka.

– To jest ten beret Mirasa! – wykrzyknął Olkiewicz. – To jego spluwa.

– Najprawdopodobniej jest to jego beretta – zgodził się z nim Mariusz, a Marjański pokiwał głową. Nie mieli wątpliwości. Znali dobrze tę broń, bo Mirek był dumny z jej posiadania, a oni mu zazdrościli takiej giwery. Teraz mieli w ręku jego pistolet, a jego samego nigdzie nie było. Zniknął bez broni.

– Ciekawe, jak w takim razie poleciał za tym Łabędziem bez pistoletu? – zadał pytanie Olkiewicz, cały czas przekonany, że jego teoria pasuje doskonale do rzeczywistości.

– Albo ktoś go rozbroił i kazał mu iść ze sobą – powiedział Marjański niepewnie.

– Kurwa, Brodziak ma kłopoty – stwierdził Mariusz. – Tylko że ja nic z tego, cholera, nie rozumiem.

Mariusz spojrział tam, gdzie stała Brygida, rozmawiając z policyjnym technikiem. Ten tłumaczył jej coś, pokazując palcem jakieś linie. Słuchała, uważnie kiwając głową. W końcu policjant zamilkł, a ona wyraźnie podziękowała mu, po czym odwróciła się w kierunku Mariusza. Ich spojrzenia się spotkały. Skinęła na niego głową. Zrozumiał, że chce z nim rozmawiać sam na sam. Wstał z fotela i do niej podszedł.

– Czegoś ciekawego się dowiedziałaś? – zapytał, widząc jej skupioną minę.

– No właśnie że tak, i to mnie właśnie zastanawia.

– Co takiego?

– Kurczę, ten technik...

– Jaworski z miejskiej. Facet zna się na robocie.

– Takie też zrobił na mnie kompetentne wrażenie. No więc on powiedział mi, że ci dwaj faceci w dresach zastrzeleni na parkingu zostali zabici strzałem karabinowym. Każdy z nich zainkasował kulę z karabinu, a nie z pistoletu. A ty mówiłaś, że Brodziak ich zastrzelił z beretty.

– No tak twierdzi Marjański, bo widział, jak do nich strzelał. Może nie trafił. Zaraz, co ty mówisz? Jak to strzałem z karabinu?

– Karabinek snajperski najprawdopodobniej. Tak mi powiedział. Kula przeszła przez głowę i wyleciała z drugiej strony, ale ten drugi trafiony w pierś pewnie ma tę kulę w sobie. Jaworski mówi, że to będzie łatwo ustalić. Ale na razie to tylko jego wstępne ustalenia.

– I ten Jaworski tak od razu stwierdził, że rana postrzałowa jest z karabinu, a nie z pistoletu? Co on jest chirurg?

– O to samo go zapytałam. Mówi, że ma przypuszczenia, ale potwierdzi się to podczas sekcji.

- Brygida, to znaczy, że ktoś tam jeszcze był w całym tym burdelu.
- Jaworski mówi, że to zza tego ogrodzenia budowlanego strzelano. - Wskazała za siebie gdzieś w głąb parkingu rozświetlanego przez policyjne koguty. - Wysłał tam kilku chłopaków, żeby poszukali łusek, bo woli się upewnić...

Przerwała, spoglądając w drzwi. Do środka wszedł człowiek, którego kilka godzin wcześniej widziała w mieszkaniu Mariusza. Machnął przed oczyma policjanta pilnującego wejścia legitymacją i dostrzegłszy ich, pokiwał, najwyraźniej zadowolony.

- Sam Markowski! - zdziwił się Olkiewicz, który przytruchtał, zobaczywszy podpułkownika. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że UB przejmuje nasze śledztwo? - zapytał, gdy oficer podszedł bliżej.

- Teoś, UB to było, jak żeś sam tam służył - rzucił podpułkownik.

- O, przepraszam, byłem w SB.

- Jak zwał, tak zwał. To teraz nieważne. Chciałem wam tylko powiedzieć, że trzymamy rękę na pulsie.

- Czyli że co, jednakowoż zabieracie nam sprawę? - dopytywał Olkiewicz. Markowski pokręcił głową.

- Nie, nie odbieramy. Współpracujemy. Łabędzki nam się trochę wymknął - powiedział, spoglądając na Blaszkowskiego. - Wyjechał spod hotelu transporterem. Niestety, do auta wsadził też Mirasa.

- Zaraz, powiedz wszystko po kolei, bo nic nie rozumiem. - Mariusz przerwał mu, bo na razie nic mu w tej historii się nie zgadzało.

- Łabędzki wrzucił go nieprzytomnego do swojego samochodu. Moi ludzie pojechali za nim. Wiemy, gdzie jest, i za chwilę Mirek będzie wolny.

– Czyli widzieliście to wszystko i nic nie zrobiliście? – Blacha był najwyraźniej zdumiony. Markowski pokręcił głową.

– Przede wszystkim zrobiliśmy tyle, że obstawiliśmy teren. Moi snajperzy obserwowali parking. I gdy zaczęła się strzelanina, położyli czterech gości z bandy Łabędzia. Dwóch na parkingu, jednego tu – wskazał na podłogę, na której wciąż widoczna była plama krwi – a czwartego przed drzwiami.

– A ja myślałem, że to wszystko robota Brodziaka – odezwał się zdumiony Marjański.

– Brodziak strzelał i może nawet kogoś trafił, ale to moi ludzie ich załatwili. I wtedy, jak już było po strzelaninie, odłożyli karabinki i nie zauważyli w porę, że na placu pojawił się Łabędzki. Przywalił kolbą pistoletu Mirasowi w głowę, wszedł do auta i pojechał. Nie zdążyliśmy zareagować. Ale za chwilę zrobimy z nimi porządek.

– No to znaczy, panie pułkowniku, że ma pan wreszcie za co wsadzić tego Łabędzkiego – stwierdziła dość cierpkim tonem Brygida.

– Prawda – potwierdził oficer. – Będzie za co go wsadzić i kto wie, czy nie będzie to dla niego gorsza alternatywa, niż gdyby pojechał jednak do Niemiec. Nasze więzienia nie należą do zbyt komfortowych, a perspektywa dożywocia we Wronkach czy w Rawiczu na pewno nie jest spełnieniem bandyckich marzeń.

Godzina 0.40

– Scyzoryk? – zdziwił się chłopak.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać – powiedział Brodziak. – Weź go i rozetnij mi więzy.

Już po chwili Brodziak poczuł, jak chłopak pracuje nad sznurkiem, szarpiąc go i nacinając raz za razem. Ostrze nie było zbyt okazałe, więc musiał się trochę napracować, jednak po chwili Mirek poczuł, że więzy robią się luźniejsze, a zaraz po tym udało mu się uwolnić dłonie.

– Dobra, daj mi ten nożyk. Nogi zrobię sobie sam.

Kalafarski włożył mu nóż do ręki. Mirek zaczął intensywnie pracować i w końcu udało mu się całkowicie wyswobodzić.

– Dobra, już jestem wolny. Teraz powiedz mi w ogóle, gdzie jesteśmy?

– To piwnica w warsztacie Waligóry.

– Szukałem cię, a twoja dziewczyna umiera ze strachu. Zniknąłeś prawie na jej oczach, więc jest pełna najgorszych obaw.

– Wtedy wyszedłem z bloku...

– Mówiła mi o tym.

– No więc wyszedłem i mieliśmy jechać do lekarza. Ale jak szedłem do mojego auta, to podjechali ci gnoje, co mi obcięli palec. Kazali mi wsiadać. Ja nie chciałem, to mnie siłą wsadzili i tyle.

– Skąd wiedzieli, gdzie mieszkasz? – zapytał podejrzliwie Mirek.

– Musiał im powiedzieć mój... wuja.

– Jaki wuja?

– Waligóra to brat mojej matki...

– To już rozumiem, dlaczego cię nie rozwalili. Ale dlaczego cię porwali?

– Powiedzieli, że trzeba mnie schować, póki szkiely węszą.

– Dobra, nie ma co tak siedzieć z założonymi rękoma – zdecydował Mirek. – Gdzie są drzwi?

– Dokładnie to chyba na wprost od pana...

– Trzeba stąd spadać – zdecydował Mirek, ważąc w dłoni swój syczoryk. Był to nożyk miniaturka, którym niewiele mógł zdziałać. No chyba że ostrze wbiłby w tętnicę szyjną albo w oko.

Ostrożnie się podniósł, trzymając ściany, a potem ruszył przed siebie z wyciągniętymi w przód rękoma. Po chwili trafił na ścianę. Oparł się o nią i zaczął przesuwać się w lewo. Namacał chłodną płytę drzwi. Chwycił za klamkę, ale nie ustąpiły. Zaczął uważnie badać całą płaszczyznę i naraz się zaśmiał.

– Co jest? – zapytał chłopak.

– To są zwykłe drzwi, takie jak w mieszkaniach w bloku.

– I co?

– To znaczy zrobione z płyt klejonych na drewnianej ramie.

– I co?

– I to, że nie są w stanie powstrzymać żadnego prawdziwego włamywacza.

Odsunął się nieco, podniósł w górę nogę i uderzył z całej siły podeszwą. But wszedł w drzwi jak w masło. Pękły w kilku miejscach. Brodziak wyciągnął nogę, która ugrzęzła w płycie, a potem zaczął powoli wyłamywać kawałki dykty. Do środka wpłynęła smuga żółtego światła. Dziura była na tyle duża, że przecisnął się przez powstały w ten sposób otwór i znalazł się na korytarzu oświetlonym podsufitową lampą. Wojtek poszedł w jego ślady. Po chwili schodami wspięli się na pierwszą kondygnację.

– Na prawo jest biuro, a za nim wyjście na dziedziniec – wyjaśnił chłopak szeptem.

– A na lewo?

– Taki pokój socjalny i z niego wyjście na magazyn, a dalej... Dalej jest betonowy mur, taki, wie pan, z płyt betonowych, i wyjście na kolejną posesję.

Stali przez moment przy zamkniętych drzwiach, wiodących na podwórko, uważnie nasłuchując. Z zewnątrz nie dochodził żaden najmniejszy nawet dźwięk. Warsztat jak każdej nocy był kompletnie uśpiony. Nie było też słychać nikogo, kto kręciłby się w biurze.

– Może nikogo tu nie ma – powiedział cicho Brodziak.

– Niemożliwe. Zawsze ktoś jest na miejscu – stwierdził Wojtek. – Tu przecież stoi ciągle kilkanaście fur na sprzedaż, dlatego pilnują tego dobra, szczególnie w nocy – wyjaśnił, bo dość dobrze orientował się w specyfice tego miejsca.

– Gdzie jest w takim razie jakiś wartownik?

– Kanciapę mają w warsztacie. Jeden siedzi w środku i pewnie śpi. Drugi powinien chodzić po podwórzu, ale podejrzewam, że też siedzi w środku. Jak jest zimno, raczej nie łązi po dworze.

– Tym bardziej w deszczu – domyślił się Mirek.

Nacisnął klamkę i drzwi ustąpiły. Wyszedł ostrożnie na niewielki korytarzyk. Poznał to miejsce, oświetlone poświatą wpadającą z dziedzińca przez niewielkie okno. To był ten sam korytarz, na którym czekał ostatnio, nim Waligóra przyjął go w swoim biurze. Wyjście na zewnątrz, w kierunku magazynu, o którym mówił chłopak, było po przeciwnej stronie.

– I co robimy? – zapytał Wojtek.

– Zostań tu, ja pójdę do hali, tam gdzie ta wartownia.

– Przecież możemy iść w drugą stronę, przez magazyn i przez płot...

Naraz od podwórza rozległ się jakiś huk, a potem krzyki. Usłyszawszy następujące po sobie detonacje i serie karabinowe, Brodziak podjął błyskawiczną decyzję.

Odwrócił się i trzema susami dopadł drzwi wiodących na drugie podwórko. Były zamknięte na zamek yale. Na szczęście taki wyposażony w pokrętło. Otworzył go bez trudu i wydostał się na zewnątrz. Wojtek, który był tuż za jego plecami, wyskoczył do przodu.

– W lewo! – krzyknął, a Brodziak pobiegł tam, gdzie podpowiedział mu chłopak.

Kalafarski dobrze znał teren, bo przebiegłszy kilka metrów na skos poprzez dziedziniec, wślizgnął się między dwa narożniki budynku biurowego i magazynu. Było tam wąskie przejście, w które się wcisnął, opierając się ręką o jedną ze ścian. Brodziak szedł za nim, aż dotarli do niewielkiej przestrzeni pomiędzy płotem a budynkami.

– Na ten betoniak da się łatwo wejść. – Wojtek wskazał ścianę przed sobą, a potem złapawszy zdrową ręką górną krawędź, wspiął się na górę. Mirek przytrzymał mu nogę, a gdy ten przełożył drugą przez górną płytę, sam złapał się oburącz, wybił w górę, oparł się brzuchem i przerzucił obie stopy na drugą stronę. Upadł na trawę obok Wojtka.

– I co teraz? – zapytał.

– Tu jest zaraz przejście na uliczkę. Tędy będzie się można dostać do przecznicy, a potem na tą ulicę do Poznania. – Podniósł się i już chciał wyjść, ale przystanął na moment, nasłuchując. Niczego jednak nie było słychać. – Co to mogło być? – zapytał Brodziaka i jednocześnie wskazał za siebie.

– Wyglądało tak, jakby ktoś zaatakował warsztat. Wyraźnie tam ktoś strzelał – stwierdził policjant, który nie mógł się mylić. – A jeśli ktoś strzela, to lepiej być od niego jak najdalej – stwierdził i klepnął chłopaka w ramię.

Ruszyli przed siebie w kierunku ulicy oświetlonej latarniami. Żaden z nich nie miał szansy usłyszeć sierżanta Mrowińskiego z UOP, który pochylał się, stojąc przy otwartych drzwiach czarnego mercedesa. Mówił dość głośno i wyraźnie do trzymanego w dłoni mikrofonu:

– Panie pułkowniku, melduję, że weszliśmy na teren warsztatu. Znaleźliśmy tylko dwóch śpiących wartowników. Wskazali nam miejsce, gdzie przetrzymywano policjanta, ale piwnica była pusta. Powtarzam, piwnica była pusta. Nikogo więcej na terenie posesji nie ma...

Godzina 0.55

Markowski oddał mikrofon radiotelefonu kierowcy.

– Niech to szlag trafi! – warknął pod nosem i wyszedł z samochodu. Mercedes był zaparkowany na wprost drzwi wiodących do hotelu. Obok stało kilka radiowozów. Technicy mimo deszczu cały czas krzatali się na miejscu strzelaniny, zabezpieczając ślady, które cierpliwie zmywała lejąca się z nieba woda. Markowski był przekonany, że odbicie Brodziaka to tylko kwestia minut i Mirek będzie na wolności, tymczasem wszystko się skomplikowało, gdy okazało się, że dwa auta z ludźmi z UOP-u, wysłane za transporterem, w którym przewożono Brodziaka, zgubiły uciekający samochód. Mogło się to wydawać nieprawdopodobne, zważywszy fakt, że przecież Poznań to nie Nowy Jork, a prowincjonalne miasto. Prawda, że rozległe i z płataniną ulic w centrum, ale w dzielnicach

otaczających środek miasta jeździło się szerokimi i przestronnymi ulicami wiodącymi do wszystkich wylotówek miejskich. No i ten samochód, z którym mieli cały czas kontakt wzrokowy, bo w nocy ruch był niewielki, zniknął im z pola widzenia tylko na chwilę gdzieś w okolicy stadionu Lecha przy Bułgarskiej i na tym zakończyła się akcja śledzenia obiektu. Auto musiało zjechać w którąś z bocznych uliczek Grunwaldu i tyle je widzieli. Dwa mercedesy UOP-u bezradnie krążyły po wszystkich zakamarkach dzielnicy i niczego nie znalazły. Wtedy Markowski zdecydował się włączyć do akcji miejską policję. Dał znać do dyżurnego, że poszukują zielonego volkswagena transportera na niemieckich numerach, a ten przekazał informacje do wszystkich patroli w mieście. Także i te działania okazały się bezskuteczne. Samochód, którym uprowadzono Brodziaka, dosłownie rozplynął się w powietrzu.

Markowski, który jeszcze przed chwilą był pewny siebie i sukcesu w postaci złapania groźnego przestępcy ściganego międzynarodowym listem gończym, poszedł do hotelu poinformować o porażce Mariusza i tę jego prokuratorkę. Wszedł do holu, ale nigdzie ich nie dostrzegł. Za to przy stoliku w fotelach siedzieli Marjański z Olkiewiczem. Teofil drzemał z dłońmi splecionymi na brzuchu i głową odchyloną do tyłu. Marjański za to pilnie pracował. Notował coś w swoim zeszycie, obłożonym charakterystyczną czerwoną okładką, którą musiał chyba pożyczyć od jakiegoś ucznia podstawówki.

Na widok podchodzącego do nich szefa UOP-u komisarz poderwał się z fotela.

– Panie pułkowniku... – zaczął, ale Markowski przerwał mu machnięciem ręki.

– Zwariowałeś, Maryjanek? Nie melduj się, tylko siadaj.

– I co z Mirasem? – zapytał Teoś.
– Mamy problem – stwierdził, robiąc przy tym kwaśną minę.
– Co, zgubiliście ten samochód, co nim uciekli? – domyślił się Olkiewicz.

– Wiesz, nasz UOP to młoda służba. Dopiero kilka miesięcy pracy, a wiara jeszcze nieotrząskana. Zdarzają się takie wpadki.

– Jakbyś za nimi wysłał zwykłych szkiełków z patrolu, toby ci tego grubego w aucie i nawet z autem przynieśli w zębach, nie mówiąc już o Mirasie. A teraz chłop se musi sam poradzić.

– Jak sam? – zdziwił się podpułkownik. – Przecież nie ulega wątpliwości, że go namierzemy. Prędzej czy później go namierzemy i wtedy...

Teoś pokręcił głową.

– Zanim wy jego ustalicie, gdzie on się znajduje, to on już tu sam wróci. Co ty myślisz, że Brodziak da się utrzymać jakimś gnojkom? Nic z tych rzeczy, Miras niedługo się tu pojawi, jak nic.

– Jesteś optymistą.

– Czym jestem, to jestem, a w Brodziaka wierzę. Co nie, Maryjanek?

– Prawda, że Miras se radzi w każdej sytuacji. I jak Teoś gada, że się samowyzwoli, to tak będzie. Ale jednakowoż nie przerywałbym poszukiwań.

– Prawda najprawdziwsza – zgodził się z nim Teofil. – I może zanim on się sam wyzwoli, to warto, żebyście do niego pojechali, zamiast się zastanawiać, gdzie wam auto zniknęło.

– A dokąd mamy pojechać? – Markowski spojrzał na Olkiewicza zaintrygowany.

– No jak dokąd?

- Zaraz, czy ty chcesz mi powiedzieć, że wiesz gdzie?

- No tak mi się zdaje, że wiem. Pewnie pojechał tam, gdzie jest ich baza, znaczy ten warsztat, co jego kierownika żeśmy tu wspólnymi siłami odstrzelili pode drzwiami. - Wskazał głową na wejście do hotelu, w którym właśnie pojawił się Blaszkowski.

- Teoś, gadaj, do cholery! - Markowski poczuł, że znów wraca do gry.

- No to będzie gdzieś na Dąbrowskiego, znaczy na wylocie z Poznania, już prawie tam, gdzie jest tylne wejście na Ławicę wojskową.

- Przy zakładach wojskowych - spróbował uściślić Marjański.

- Nie. - Teoś pokręcił głową. - Wuzetmoty są wcześniej, tam gdzie pod drogą przechodzi tor kolejowy do przewożenia czołgów, co przyjeżdżają do naprawienia. A to jest dalej, tam gdzie stara droga na Świecko, taka z boku, idzie brukowana, a nowa, szeroka, taka autostrada, idzie niżej. I tam jest właśnie, ale numeru to ja ci nie powiem, bo nie pamiętam.

- Co to jest, do cholery, za baza? - zniecierpliwił się Markowski.

- No to jest ta dziupla, co ją dla Grubińskiego prowadził ten Waligóra zastrzelony dzisiaj - wyjaśnił Teofil, jakby tłumaczył coś całkowicie naturalnego.

- Waligóra? - wtrącił się Mariusz, który przyszedł z parkingu przemoczony do suchej nitki. - O co chodzi?

- Nic, ino że on miał ten warsztat na Dąbrowskiego, na wylocie z Poznania. No wiesz, tam gdzie w zeszłym roku żeśmy już nakryli gości, co przebijają numery silników dla Grubińskiego i co Brodziak kazał zostawić go, że niby ma z Grubińskim układ...

– No pamiętam. Będzie to chyba numer czterysta trzydzieści pięć czy jakoś tak – przypomniał sobie Blaszkowski, który miał doskonałą pamięć, także do liczb.

– Wiedzieliście o dziupli, gdzie przebija się numery, i jej nie zlikwidowaliście? – Markowski był autentycznie zdumiony. Blacha i Teoś spojrzeli na siebie, a potem na podpułkownika, którego, owszem, szanowali, ale o jego operacyjnym doświadczeniu nie mieli zbyt dobrego mniemania.

– A po co nam likwidować coś, co się może przydać? – powiedział Blaszkowski, jak coś najbardziej oczywistego na świecie.

– Lepiej mieć taką bazę na oku niż nie mieć – wyjaśnił Olkiewicz.
– Przynajmniej wiemy, dokąd auta jada, i jak trzeba, to się je odzyskuje.

Markowski pokręcił głową z niedowierzaniem. Jemu się wydawało, że standardy pracy służb zaczęły się zmieniać w nowej Polsce, a ci dwaj pokazali mu właśnie, że właściwie nic się nie zmieniło.

Machnął ręką i poszedł na parking do służbowego wozu, żeby przekazać adres swoim ludziom. Jeśli Olkiewicz się nie mylił, to tam właśnie powinien znajdować się Brodziak. Pół godziny później funkcjonariusze UOP-u wkroczyli na teren zakładu. Po Brodziaku został jednak tylko pocięty sznurek, którym skrępowano mu dłonie.

Godzina 2.50

– W zasadzie to mogłabym wynająć tu pokój. Jak myślisz, chyba mi wynajmą?

– Zwariowałaś? Przecież pokój tutaj musi kosztować jakieś sto tysięcy złotych. W tej prokuraturze chyba nie zarabiasz tyle, żeby

móc sobie pozwolić na takie wydatki.

– No wiesz, jeśli bym uzasadniła, że zostałam tu ze względu na dobro śledztwa...

– Trochę to naciągane.

– Teoretycznie tak. No ale co mam zrobić? Pójść zapytać o miejsce w jakiejś noclegowni?

– Mam lepszy pomysł, warunki zbliżone do noclegowni, ale za to komfortowa łazienka z własnym kibelkiem i wanną, a do tego jeszcze ciepła woda.

– Gdzie takie luksusy oferują?

– U mnie w domu.

– U ciebie?

– No przecież nie pozwolę ci się nigdzie błąkać.

– To miło z twojej strony, ale wiesz, nie chcę być dla ciebie ciężarem. Poza tym to raczej nie wypada...

– Wypada, nie wypada, to przecież już nie te czasy, żeby coś nie wypadało. Wypada to, na co się zgodzimy. W dziewiętnastym wieku może nie wypadało, żeby panna spała w garsonierze swojego znajomego, ale dziś żyjemy w innym świecie. Za pasem dwutysięczny rok, a ty się przejmujesz jakimiś pierdołami.

– Może masz rację.

– Mam.

– I nie będę ci przeszkadzała?

– Jak zostaniesz dzień czy dwa, to jasne, że nie. No chyba że chciałabyś się wprowadzić na stałe, to wtedy musiałbym to poważnie przemyśleć.

– W porządku, jutro pewnie śledztwo przejmie już ktoś z większym doświadczeniem, znaczy jakiś facet z prokuratury rejonowej, więc nie masz się co martwić. Zniknę z twojego życia błyskawicznie.

– No tak całkowicie to zniknąć nie musisz. Wyjazd z mojego mieszkania nie musi koniecznie oznaczać, że zerwiemy ze sobą wszelkie kontakty.

– Tak? Mówisz poważnie?

– No raczej owszem.

– Że chciałbyś się ze mną spotykać częściej? – zapytała, żeby się upewnić. Pokiwał głową, a ona uśmiechnęła się zadowolona. –

W sumie i tak musiałabym wrócić do twojego mieszkania, bo przecież zostawiłam tam wszystkie zakupy. No i muszę zrobić szybkie pranie, bo nie mam bielizny na zmianę. Jutro coś kupię, ale na razie muszę się zadowolić tym, co mam.

Policjanci, którzy zabezpieczali miejsce, gdzie doszło do strzelaniny, właśnie wychodzili z hotelu. Olkiewicz drzemał w fotelu, a obok niego Marjański siedział w pozycji półleżącej z przymkniętymi powiekami.

– No, chłopaki, podnoście się. Spadamy stąd. Idźcie do domu się przespać, a jutro, powiedzmy w południe, meldujemy się w wydziale – polecił Mariusz.

– Chyba dzisiaj. – Marjański odruchowo spojrzął na zegarek. Dochodziła trzecia.

– No tak, masz rację – zgodził się z kolegą Blacha. – Przecież mamy już niedzielę. Niech was jakiś radiowóz rozwiezie do domów – zaproponował.

– Ja tam się przejdę, bo do mnie na Chwiałkowskiego to tylko parę kroków. – Teofil rzeczywiście miał blisko do domu. A poza tym planował jeszcze zajrzeć do pewnego nocnego sklepu, który całkiem niedawno otwarto na Wierzbięcicach. Gdyby jechał radiowozem, to musiałby prosić tych z prewencji, żeby zatrzymali, a po co ktoś ma wiedzieć o jego planowanych zakupach.

– A co jest z Grubińskim? – Teoś przypomniał sobie człowieka, dla którego przyjechał do tego hotelu. Mariusz się uśmiechnął.

– Mam informacje, że nie jest źle. Wyliże się – wyjaśnił Blacha.

– Ma szczęście skurczybyk. – Olkiewicz z uznaniem pokiwał głową, po czym z jakimś trudem wstał z głębokiego fotela. Marjański też się podniósł, po czym przeciągnął się i ziewnął, otwierając szeroko usta.

– No to do zobaczenia za kilka godzin – rzucił Blaszkowski i ruszył w kierunku drzwi. Brygida stała tam już ubrana w swój czerwony płaszcz, gotowa do wyjścia. Mariusz spojrzał na nią i uśmiechnął się na widok jej uśmiechu. Zauważył, że na jej twarzy nie było widać ani odrobiny zmęczenia. Ciekawe, jak kobiety to robią, że po tylu godzinach pracy wyglądają jak nowo narodzone? No może nie wszystkie kobiety, ale ona na pewno ma taką umiejętność dbania o swój wygląd. Poza tym przyszło jej do głowy coś, o czym on nigdy by nie pomyślał. Mówiła o praniu bielizny. To znaczy, że będzie musiała spać nago, no chyba że on pożyczy jej jakąś swoją piżamę. Tyle że on nie ma piżamy, bo śpi w bokserkach i koszulce z napisem „Policja”... – Mogę poprowadzić, jeśli chcesz – zaproponował. Nie miała nic przeciwko temu. Wsiedli do auta i ruszyli pustymi o tej porze ulicami miasta. Pięć minut później przejechali plac Cyryła, skręcili w Libelta, a potem w prawo koło urzędu miejskiego.

– Wiesz, że hotel, spod którego wyjechaliśmy, jest na Kościuszki, a my przejechaliśmy pół miasta i znowu jesteśmy na tej samej ulicy?
– zapytał, ale nie odpowiedziała. Spała. Zaparkował przy chodniku, wyłączył silnik, a potem lekko potrząsnął jej ramieniem.

– Co? Gdzie jesteśmy?

– Wsiadamy. Jesteśmy na miejscu.

– Zasnęłam? – zdziwiła się.

– Zaraz będziesz spać w normalnych warunkach.

Wysiedli z auta. Uliczne latarnie oświetlały dobrze cały ten rejon. Całkiem niedawno zainstalowano nowe, bo te poprzednie, z czasów PRL-u, najczęściej były przepalane. Nowoczesne sodowe żarówki sprawowały się za to doskonale. Zamknął drzwi auta i oboje podeszli pod budynek. Mariusz machinalnie spojrział w górę. W jego mieszkaniu było ciemno. Ale po drugiej stronie klatki schodowej na jego piętrze paliło się światło. Pomyślał, że to dziwne, bo Wiktoria nigdy tak wcześnie nie wstawała. Należała raczej do ludzi ceniących sobie każdą minutę snu, dlatego zawsze rano miała kłopot z pobudką o siódmej, przed wyprawieniem dzieci do szkoły. A teraz była trzecia godzina. Dlaczego więc nie spała?

Naraz dostrzegł coś, co sprawiło, że stanął jak wryty.

– Co jest? – zapytała zdumiona Brygida.

– Ten samochód. Zobacz, widzisz go?

– No widzę, i co...

– To jest ten volkswagen transporter na niemieckich blachach.

– Jaki transporter... – Brygida była tak zmęczona, że w pierwszej chwili nie skojarzyła, o co mu chodzi.

– Ten samochód, który stał pod hotelem. To auto, którym odjechał Łabędzki z Brodziakiem w środkiem.

– Jesteś pewien?

– Widziałem tych łysych gości przy tym wozie – wyjaśnił. Podszedł do samochodu, a ona za nim. Pochylił się przy drzwiach od strony pasażera. – Patrz na to – powiedział, dotykając blachy. – To są wyraźne ślady po kulach z pistoletu Brodziaka.

– Skąd to wiesz?

– Bo on strzelał w kierunku gości, co stali obok auta. Snajperzy byli za płotem, więc walili z tyłu, a Mirek z boku. Strzelał do nich, ale nie trafił. Trafił za to w auto.

– To może Brodziak jest tam w środku? – zapytała, ściszej głośnie, jakby zbyt głośne mówienie mogło Mirkowi w czymś przeszkodzić.

– Zaraz się przekonamy.

Mariusz wydobył z kabury podramiennej pistolet i niewiele się zastanawiając, stłukł boczną szybę. Podniósł przycisk blokujący i pociągnął za klamkę. Auto było otwarte. Zajrzał do środka, ale niczego nie dostrzegł. Brygida tymczasem otworzyła przesuwne drzwi w przedziale bagażowym. Na podłodze zobaczyła jakiś kształt. Dotknęła go i pociągnęła ku sobie.

– Brodziaka nie ma, ale patrz, co znalazłam – powiedziała zadowolona z siebie. Stała na chodniku z kałasznikowem w rękach.

– Musieli go gdzieś wywieźć – domyślił się Mariusz. – A właściciel tego kałacha jest tam. – Wskazał na okno kuchni mieszkania Wiktorii. W oknie nie paliło się już światło. Za to rozbłysło na klatce schodowej. – Tutaj! – rzucił szybko i wskazał na bok samochodu.

Ukryli się na wszelki wypadek. Przecież nie mieli żadnej pewności, kto tam schodzi. Gdy usłyszeli skrzypienie nieoliwionych drzwi, Blaszkowski wyjrzał ostrożnie zza auta. Z klatki schodowej na

chodnik wyszła Wiktoria. Za nią szedł Łabędzki. Trzymał w dłoniach dwie walizki.

– Po co to wszystko? – powiedziała głośno kobieta.

– Zamknij się i idź do auta. Jedziemy po dzieci do Szamotuł, a stamtąd do...

Do Szamotuł. Mariusz przypomniał sobie, że rodzice Wiktorii mieszkali w Szamotułach, więc musiała tam wysłać dzieci na weekend, a teraz zamierzali oboje do nich dołączyć. Nie mógł pozwolić im odjechać.

– Stój tu – szepnął do ucha Brygidzie. Skinęła głową na znak, że się zgadza.

– Kurwa, ktoś wybił szybę – powiedział Łabędzki.

– I co teraz?

– Nic, pojedziemy bez szyby. Patrz, nie ukradli radia. Może się przestraszyli czegoś i uciekli albo... – Spojrzał za siebie i w tym momencie na chodniku pojawił się Mariusz z pistoletem w dłoni.

– Podnieś ręce do góry. Nigdzie nie pojedziecie!

– Mariusz, co ty robisz? – krzyknęła Wiktoria. Blacha na moment spojrzał w jej kierunku, a tę chwilę nieuwagi wykorzystał Łabędzki. Wyciągnął z kieszeni płaszcz pistolet i bez mierzenia wystrzelił do Mariusza. Kula trafiła go w ramię, a pistolet wypadł mu z dłoni.

– Boże, nie! – krzyknęła kobieta i podbiegła do Mariusza.

Druga kula wystrzelona z pistoletu Łabędzkiego trafiła ją w plecy. Potknęła się i runęła do przodu. Mariusz chwycił ją drugą ręką. Nie miał jednak siły, by trzymać ją bardziej zdecydowanie. Oboje osunęli się na kolana. Wiktoria patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, w których malowała się rozpacz.

- Ty milicyjny skurwysynu! - warknął Łabędzki i dokładnie wymierzył w głowę Mariusza. Ale nie wiedział, że ten nie jest sam. Z drugiej strony auta wyszła na chodnik Brygida z kałasznikowem.

- Rzuć broń! - powiedziała ostro, a zdumiony gangster odwrócił się za siebie. Nie rzucił jednak pistoletu. Wycelował w nią i pewnie byłby nacisnął spust... Nie dała mu jednak szansy. Była szybsza. Pojedynczy strzał z karabinu rozdarł nocną ciszę, a kula trafiła go w splot słoneczny. Zdumiony bandyta spojrzął w dół na swoją pierś, a potem runął na plecy.

- Niezły strzał, pani prokurator - krzyknął Brodziak, który pojawił się obok niej, nie wiadomo skąd.

- Chodzę od dziecka na strzelnicę - wyjaśniła. - A pan, komisarzu, skąd tu się wziął?

- Chciałem go aresztować. - Wskazał na Łabędzkiego. - Spóźniłem się, jak widzę. - Przeszedł nad nim i zbliżył się do Mariusza. Ten, klęcząc, podtrzymywał jedną ręką postrzeloną kobietę. Była przytomna, patrzyła na Brodziaka zdumiona, chyba nie do końca kojarząc, co się właściwie wydarzyło.

- Zimno mi - powiedziała. Brodziak szybko zdjął kurtkę i okrył nią Wiktorię. - Mariusz, pomóż mi - mówiła cicho. - Muszę iść do domu. Chcę się położyć do łóżka.

- Zaraz wezwiemy pogotowie. Panie Wójcik, wezwij pan pogotowie! - zawołał Blaszkowski do stróża, który wyszedł z klatki schodowej ubrany w kurtkę puchową zarzuconą na piżamę. - Niech pan powie, że trzy osoby są postrzelone.

- Dwie - uściślił Brodziak. - Temu grubemu pani prokurator nie dała żadnej szansy. Dziewczyna strzela jak Clint Eastwood.

- Robi się, panie Mariuszu - potwierdził Wójcik i zniknął za drzwiami.

Pięć minut później przyjechała karetka. Do nyski zapakowano ostrożnie nosze z nieprzytomną Wiktoria. Mariuszowi na szybko opatrzone rękę i posadzono go na fotelu obok. Naraz przypomniał sobie o czymś. Wydobył z kieszeni pęk kluczy i podał go Brygidzie.

– Idź się przespać. Jak mnie opatrzą, to przyjdę do domu.

– Poczekam na ciebie – powiedziała, a potem pocałowała go w policzek.

Karetka odjechała na sygnale. Brygida podeszła do Brodziaka i zdjęła z ramienia kałasznikowa, by mu go podać.

– Co mam z nim zrobić? – zapytał.

– A skąd mogę wiedzieć? Niech go pan odda do muzeum.

– Wolę zamiast tego żelastwa swoją beretę.

– Jest w materiale dowodowym zabezpieczona. Pewnie jutro będzie pan mógł odebrać.

– Wie pani prokurator, że to z niej kropnąłem tych dwóch na parkingu?

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Pana kule są w tym aucie. – Wskazała na dziury w drzwiach.

– Jak to?

– Nie każdy ma takiego cela jak ja – powiedziała i odeszła, zostawiwszy go samego. Mirek przez chwilę spoglądał w ślad za nią, a potem zbliżył się do volkswagena, odnalazł otwory po kulach i na wszelki wypadek dotknął każdej palcem.

– Cholera jasna – powiedział i uśmiechnął się do swoich myśli. – Tylko kto w takim razie zabił tych gości?

Na to pytanie nie umiał znaleźć żadnej odpowiedzi.

– No to, panie Olkiewicz, ręce do góry! – usłyszał za sobą znajomy głos. Na wszelki wypadek podniósł obie dłonie. W jednej trzymał butelkę wyborowej, w drugiej foliówkę z czterema piwami w puszcze. Nie było mu zbyt wygodnie, no ale jak kazali, to co miał robić. Musiał tak stać, czekając na dalszy rozwój wypadków.

– Czego? – warknął do nikogo konkretnego, bo w dalszym ciągu napastnik nie objawił się przed jego oczyma. Poczuli za to, że coś wbija mu się w plecy. Być może był to pistolet. Sprawa była więc całkiem poważna.

– Nie „czego”, tylko „proszę” – powiedział głos.

– O co prosisz?

– Nie ja proszę, ino ty prosisz.

– O co?

– O życie.

– Łe tej, a kogo niby mam prosić?

– No jak kogo? Mnie prosisz, człowieka, co żeście go obrabowali i jeszcze mu zabili kolegę. Teraz przyszła zemsta na ciebie, ty mały śmierdzielu.

– A to ty żeś jest Matyjasik Karol, syn Mariana – przypomniał sobie Teofil handlarza z Kanałowej. Widać miał do niego dużą złość, skoro się tu zaczął. Tylko skąd wiedział, gdzie go szukać? Zaraz, no przecież sam się przyznał, że mieszka na Chwiałkowskiego i że tam ma to wideo z pieniędzmi, co je zabrał sobie na pamiątkę po akcji. Ten czerwony karton przyniósł do domu i postawił na stole w jadalni, oświadczając Jadwidze, że gdy wróci, to podłączy do telewizora i będą mogli teraz jak królewska para siedzieć i oglądać różne filmy. Ale widać temu gnojkwowi zależało szczególnie mocno na tym magnetowidzie, więc się wybrał aż tutaj, żeby go odebrać.

– Widzę, że mnie kojarzysz. No to teraz mnie jeszcze lepiej zapamiętasz – oświadczył handlarz. – Dalej, idziemy do ciebie do chaty po moje wideo.

– A bierz se to gówno. Na cholere mi takie wideo. Proszę, zabieraj i spierdalaj.

– Ty durniu, nawet nie wiesz, że to nie o żadne wideo się rozchodzi. Tam, w tym kartonie, jest ukryta cała forsa, co ją do nas przywieźli moi kumple z Niemiec. Przecież ci o tym mówiłem, jak mnie chcieliście zabić. Wszystko wam o tej forsie powiedziałem. Ma iść na rozruch interesu w Polsce, a nie zostać funduszem emerytalnym jakiegoś śmierdzącego łysego grubasa.

– Grubasa! O ty pierdolony szuszwolu! – warknął Teofil, który był dość przeczulony na punkcie swojej tuszy. Ale jeszcze bardziej nie lubił, gdy ktoś przypominał mu o jego łysinie, skrzętnie ukrywanej pod sprytną zaczeską. Takiej zniewagi nie mógł puścić płazem. Nim Matyjasik się zorientował, co się dzieje, Teoś zakręcił nad głową siatką z piwami w puszkach, odwrócił się błyskawicznie i foliówka opadła na głowę bandziora. Uderzony nie miał żadnych szans. Cztery piwa pękły, oblewając go pianą i jednocześnie pozbawiając przytomności. Gdy upadł na chodnik, Teofil spojrzął na swoją nietypową broń i na wszelki wypadek dołożył mu jeszcze raz, żeby mieć pewność, że facet się nie ocknie. Pochylił się nad nim, wyciągnął z dłoni pistolet i poszedł na górę. Wkroczył do ciemnego mieszkania, zdjął buty, palto i marynarkę. Potem, założywszy laczki na nogi, poczłapał do jadalnego. Jeśli ten gnojek mówił prawdę, to w kartonie muszą być jakieś pieniądze. Może nawet z dziesięć tysięcy dolarów? A jeśli tak, to będzie miał zapewniony byt na starość albo założy jakiś interes, na przykład otworzy własną knajpę...

Zapalił światło. Na stole, tam gdzie zostawił karton, było pusto. Zaczął szukać pod stołem, na podłodze, na kanapie... Naraz dojrzał

coś dziwnego. Na półce pod telewizorem stał zupełnie nowy magnetowid. Palila się na nim dioda i wyświetlała godzina. Było dwadzieścia po trzeciej. Skoro zegar działał, to znaczy, że ktoś musiał podłączyć wideo do telewizora. Jadwiga sama by tego nie umiała zrobić. Może więc zawołała Drażkowskiego, sąsiada z naprzeciwka? Ale co z kartonem? Chyba mu go nie dała?

Poszedł szybko do sypialni.

– Łe tej, Teoś, co się po nocach poniewierasz. Zagaś to.

– Jadwiga, gdzie jest karton?

– Jaki karton?

– No karton od wideo.

– Łe, Teoś, co ty mi po nocy głowę zawracasz? Dalej no się kładź...

– Jadwiga, gdzie jest karton?

– Na co ci on?

– Potrzebny.

– Kartona już nie ma.

– Co?

– No nie ma. Na co karton w chacie trzymać? Poszedł na rozpałkę. Spalony wew całości i tyle.

– Łe tej, nie wierzę!

– Co? No powiadam ci, że się ładnie fajczyło. Bo ten papier taki ślizgi od tego kartona, to się pali najlepiej. A dodatkowo były tam takie paczuszki, takie mocno zwinięte wew papier pakowy, co to chyba były do upychania, żeby się ten magnetofon nie przesuwiał i żeby nie było luzów w paczce, dla zabezpieczenia. Te to się ale paliły. Ze dwadzieścia takich paczuszek się spaliło tak ładnie, że aż

miło było patrzeć. Lepiej jak drewno. Powiadam ci, na tych paczuszkach to ja cały rumpuć ugotowała, tak się nahajcowało.

– Matko Bosko, nie wierzę...

– A co masz nie wierzyć. U nas przecież zawsze wszystkie kartony, co w nich jakieś paczki przychodzą, się spala. Jak człowiek ma piec, to w końcu czymś musi podpalić w tej westfalce. Kartonem najlepiej. Kładź się, Teoś, i nie gadaj już, bo mi się chce spać.

Olkiewicz zgasił światło i poszedł do kuchni, zdjął pogrzebaczem fajerki i zajrzał do pieca. Wewnątrz zostało jeszcze trochę żaru, ale niewiele. Po kartonie nie było śladu. Bandyckie pieniądze poszły z dymem przez Olkiewiczowy komin.

Zamknął piec, podszedł do stołu, otworzył butelkę i pociągnął z niej spory łyk wódki.

– Łatwo przyszło, łatwo poszło – powiedział do siebie. Trudno, nie będzie knajpy, choć już nawet wymyślił jej nazwę. Miała się nazywać Świat Wódek.

Koniec

Cerekwica, listopad 2023

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz

1 Zakład Usług Radiotechnicznych i Telewizyjnych mieścił się przy ulicy Głogowskiej 61.

2 Gemela (gwar.) – bałagan. Łazarska gemela to rynek Łazarski, znane miejsce handlu starzyzną w Poznaniu.

3 Flepy (gwar.) – papiery, dokumenty.

4 Więcej o tym w powieści *Trzynasty dzień tygodnia*.

5 Więcej o tym w powieści *Upiory spacerują nad Wartą*.

6 Więcej o tym w powieści *Śliski interes*

7 Szkieł (gwar.) – policjant.

8 Więcej w powieści *Ręczna robota*.

9 Podylaj, dylać (gwar.) – potać, tańczyć.

10 Sznupa (gwar.) – twarz, gęba.

11 Wywijasy (gwar.) – rozrabiaki, chuligani.

12 Więcej w powieści *Granica możliwości*.

13 Więcej w powieści *Granica możliwości*.

14 Zdzisław Najmrodzki – polski przestępca, nazywany królem złodziei i mistrzem ucieczek. Jeden z najsłynniejszych polskich przestępców okresu PRL. W aresztach i zakładach karnych spędził jedenaście lat. Dwadzieścia dziewięć razy wymykał się pościgom, uciekał z konwojów lub zakładów penitencjarnych.

15 Racha (gwar.) – zemsta.

16 Fyrtle (gwar.) – dzielnice.

17 Kiejdy (gwar.) – kieszenie.